

Meg Wolitzer
POZYCJA

Przełożył Paweł Laskowicz



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS
POZNAŃ 2007

Rozdział pierwszy

Książka stała normalnie na półce w domowej bibliotece, zupełnie jakby była jedynym egzemplarzem na świecie, i gdyby dzieci jej nie znalazły, na zawsze pozostałyby nieświadome życia seksualnego swoich rodziców i nigdy nie wiedziałyby, co znaczy przywrzeć do siebie gorącymi ciałami, co znaczą przepłatające się szepty, co znaczą drżenia i chrobot mosiężnego wezglowia, które rytmicznie uderza w tynk, wykuwając przez lata bliźniacze zagłębienia w kształcie pęku liści, w ścianie sypialni, w której rodzice spali lub też, w zależności od nocy, nie spali.

Stała w zbiorze niepowiązanych ze sobą tytułów, po które nikt już nie sięgał: *Wodnikowe wzgórze*, *Dieta dla małej planety*, *Sam zbuduj werandę*, *Tak, potrafię: Historia Sammy'ego Davisa Jr.*, *Wielka antologia golden retrieverów* i tak dalej, i tak dalej. Została tam wsunięta najzwyczajniej w świecie, jedyny egzemplarz, który rodzice trzymali w domu, bo gdyby trzymali u siebie wszystkie wydania, także te w językach obcych, gdyby znieśli je do piwnicy w zaklejonych taśmą pudłach, opisanych jako „Przybory kuchenne” albo „Rupiecie”, to dzieci otrzymałyby oczywisty przekaz: seks jest czymś obrzydliwym. No, jeśli nie obrzydliwym, to w każdym razie czymś, co może przyjść do głowy tylko pod kołdrą, w całkowitej ciemności, i tylko parze zgadzających się, kochających, namiętnych, wierzących i poślubionych sobie dorosłych ludzi.

Takiego poglądu nie podzielali, rzecz jasna, ich rodzice, którzy od dawna uwielbiali seks i większość jego aspektów - uwielbiali z taką pasją, że znaleźli w sobie dość odwagi i czelności, by napisać o tym książkę. Kiedy sobie wyobrażali, jak tę książkę czyta czwórka ich dzieci, długo się zastanawiali, jaki wpływ na nich wywrze. Odbije się po prostu od ich czerstwych, rosnących ciał czy też zostanie przez nie wchłonięta razem z ułamkami, porcjami spaghetti z puszek i lekcjami jazdy na łyżwach - rzeczami, które nie będą trwały długo i nie będą ważne, lub może będą ważne, ponieważ zleją się w jakąś bezkształtną masę i nabiorą znaczenia w ich wnętrzu?

Ufność wyparła jednak większość rodzicielskich obaw - dlatego więc nie postawić książki na półce w bibliotece, wysokiej, ale dostępnej, do której dzieci będą w stanie sięgnąć, jeśli zechcą; prawdopodobieństwo, że zechcą i że nikogo ta książka nie uśmierci, że życie potoczy się dalej normalnym rytmem, było niemałe.

Książkę znalazł Michael, lat trzynaście, drugie według starszeństwa dziecko Mellowów. Było późne piątkowe popołudnie, w listopadzie tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku. Wszedł do biblioteki dosłownie parę chwil po tym, jak ojciec odłożył książkę na wolne miejsce na półce i wrócił do siebie na górę. Michael szukał zszywacza, którym chciał spiąć kartki składające się na szkolne wypracowanie o osmozie jaja. Trudno powiedzieć, dlaczego mały, czerwony zszywacz miałby się znaleźć właśnie tutaj, w domowej bibliotece. W tym domu rzeczy kwitowały, przepływały między pokojami: zszywacz, którego stałe miejsce było w szufladzie biurka chłopca, w niewytłumaczalny sposób mógł się znaleźć, rozarty na całą szerokość, pod stolikiem do kawy w bibliotece, podobnie jak pudełko krakersów, pełne czy puste, mogło się tymczasowo „urządzić” przy umywalce w łazience. Przedmioty się przemieszczały, przesuwwały i zamieniały miejscami równie często jak ludzie, którzy je posiadali.

Wchodząc do biblioteki, Michael od razu wyczuł obecność czegoś nowego. Jakby miał jakąś nieprawdopodobną, fotograficzną pamięć i potrafił się zorientować, że w otoczeniu znajduje się coś, czego wcześniej nie było. Niczym Olbrzym z *Jasia i czarodziejskiej fasoli*, „fi, faj, fo, fam!” Michael przez krótką chwilę czuł ludzką krew, a ściślej rzecz biorąc, nieludzką krew, coś zupełnie niezziemskiego. Zszywacz, którego nie mógł znaleźć, nie odezwał się do niego, ale odezwała się książka, więc Michael stał, mrużył oczy i powoli podnosił wzrok; coraz wyżej, z półki na półkę, lustrując znajome tytuły, te uspokajające, te, które przez lata definiowały życie rodziny, podobnie jak kalendarz UNICEF-u przypięty pinezkami do szafy z mopami, jak jedna z kuchennych szuflad wypełniona bateriami, które przetaczały się w bezładzie przy każdym otwieraniu.

Życie rodziny Mellowów definiowała również piosenka, którą nieraz śpiewali podczas wspólnych wypraw na wakacje. Przez całe lata, kiedy tłukli się szosami, czy to do skansenu w Williamsburgu z kolonialnymi warsztatami tkackimi i kotłami do lania świec, czy to do sennego, podupadłego hotelu Trzaskający Ogień w górach Pocono, upakowani ciasno z torbami i walizami w swoim volvo kombi, śpiewali chórem: „Hej, Mellowów rodzinka to my, trójka chłopca, dziewczyn trzy...” Potem ciągnęli dalej na tę samą modłę z użyciem nazwisk rodzin z bliskiego sąsiedztwa. „Hej, rodzinka Gamble’ów to nie my, bo obrosłyby nas mchy...” Albo: „Hej, rodzinka Dreyerów to nie my, bo nie my rodziną frajerów...” Albo: „Hej, rodzinka Rinzlerów to nie my, bo nie my rodziną...” Głucha cisza zapadła w samochodzie, gdy każdy zaczął się ciężko zastanawiać, jak wybrnąć z takiego zadania. „...Pinzlerów!” - wrzasnęła raptem Claudia, najmłodsza, i chociaż nie miało to żadnego sensu, rodzina się wahała przez chwilę, starsze rodzeństwo wydało drwiące prychnięcie, szybko urwane pod karcącymi

spojrzeniami rodziców, i w końcu wszyscy dali za wygraną i zgodnym chórem wyśpiewali nową rymowaną.

Każda rodzina na świecie ma własną, pozbawioną znaczenia, bezsensowną, wesołą piosenkę albo pótkę z książkami, po które już nikt nie sięga, albo kalendarz ścienny, albo szufladę z przetaczającymi się bateriami, i u każdej z rodzin wszystko to do pewnego stopnia jest do siebie podobne. Takie same elementy dawno zostały wprowadzone do gospodarstwa domowego Mellowów i pozostały w nim na dobre. Michael Mellow wciąż stał w bibliotece, a po chwili wskoczył bosy na kanapę, skupił się głęboko i wreszcie ją dostrzegł - na drugiej półce od góry.

Książka miała biały grzbiet, twardą oprawę, była gruba, kuszająca, w logo wydawnictwa wdzięczyła się syrenka, która opierała rękę na biodrze i podnosiła beztrzesko widełkowaty ogon. Mogłoby się здаwać, że przemówiła do niego właśnie ta syrenka. Co mu powiedziała? *Weź ją do ręki, Michael. Dalej. Nie bój się. Nie ma się czego bać prócz samego strachu.* To ostatnie zdanie usłyszał w tym tygodniu na lekcji wychowania o społeczeństwie.

Kiągnąc z całych sił, wyrwał książkę spomiędzy innych, zerknął z lękiem na swoją zdobycz i wcisnął ją szybko pod koszulę; poczuwszy na gołej skórze połyskliwą gładź, całkiem już zapomniał o zszywaczu i kolejnych etapach osmozy jaja. Potem w sprinterskim tempie pognął schodami na piętro i na dobrą godzinę zniknął w półmroku swojego pokoju.

Michael Mellow zobaczył w tej książce coś, czego - jak uświadomił sobie w ciągu tej długiej godziny - nie zdoła zaakceptować w pojedynkę. Musi wciągnąć w to Holly. Często się do niej zwracał, jeśli coś było po prostu zbyt trudne, zbyt niepojęte, zbyt emocjonujące, zbyt niejasne, by sam mógł z tym sobie poradzić. Holly była starsza, niejedno wiedziała i miała szerokie, cyniczne spojrzenie na świat, którego jemu

brakowało. Potem jednak przyszło mu do głowy, że tego nie może zobaczyć wyłącznie Holly. Pomyśli, że to dziwne, nawet perwersyjne, jeśli rodzony brat zaprasza ją do swojego pokoju na oglądanie takich rzeczy. Będzie musiał zaprosić również pozostałą dwójkę; być może będzie to chwila wielkiej wagi dla więzi między rodzeństwem, dla ich wiecznego przymierza. Tak postanowił zrobić. Bo jeśli rodzice piszą taką książkę, książkę, która jak wybuch wdziera się do ich świata, to nie ma mowy, by przeczytać ją zupełnie samemu, by nie przedyskutować jej z innymi, jak i nie ma mowy, by ją zignorować, zachować się wobec niej chłodno i obojętnie. To niemożliwe, by z taką książką spokojnie egzystować pod jednym dachem, mijając ją za każdym razem w bibliotece, podczas gdy ona stoi wysoko i spala się na półce, i mówić sobie: „Jeszcze nie jestem na to gotów”.

Michael siedział w swoim pokoju na łóżku z otwartą książką na kolanach. We wgłębieniu nad górną wargą zebrały mu się krople potu, zlizął je szybko, ale już ten niewinny odruch wydał się Michaelowi w jakimś sensie seksualny, jak sam smak ludzkiego waru, który wydziela gorące ciało. Jego własny pot nabrał nowej jakości, tak samo język, który wydał mu się raptem gruby i pełen życia. Co będzie następne? Opuszka kciuka? Rzepka kolana? Czy wszystko, co należy do jego ciała, będzie teraz można poddać nowej interpretacji?

Po pewnym czasie odłożył książkę na miejsce, nic nikomu nie powiedziawszy. Plan został już jednak wprowadzony w życie i Michael tylko czekał. Nazajutrz wczesnym popołudniem powiedział do reszty:

- Pojechali. Słyszałem samochód.

Była sobota. Stado dzieci zostało samo w zagrodzie. Całe przedmieście Wontauket zdawało się drzemać, jakby pogrążone we wczesnym śnie zimowym; dzieci z innych rodzin siedziały otępiałe, uwięzione w domach, wszyscy czuli się jakoś niewytłumaczalnie osłabieni w obliczu deszczu lub spadku

temperatury. Latem miasto wiedziało, jak zareagować, jak się wyrwać dzięki strzelającym zraszczom do traw, sztucznym ogniom albo grillom z wielkimi pokrywami w ogródkach, jak pokazać ducha. W taki dzień jak ten zawsze jednak zdawało się zapadać w ciężką, regionalną depresję. Nic się nie ruszało. Żaluzje pozostawały spuszczone. Za nimi, w rozmaitych kuchniach, białych, w kolorze awokado, wykładanych miedzianymi płytkami, kromki chleba trafiały obojętnie w otwory tosterów, psy otrzymywały swoją porcję karmy z puszki, a gazety rozpościerały się szeroko przed twarzami, niczym kabiny oddzielając zebranych przy stole członków rodziny. Rzeczy, które od dawna w domu szwankowały, dzisiaj mogłyby zostać naprawione, przynajmniej w części. Była inicjatywa, ale za nią postępowało znużenie i porzucenie pomysłu.

Taka apatia, na pierwszy rzut oka, zdawała się panować również tutaj, w tym dużym, drewnianym domu na Swarthmore Circle. Przed frontem rytmicznie skapywały z brzoź krople deszczu, tworząc na chodniku grubą warstwę śliskich, sklejonych liści, a w środku, w ciemnoróżowym pokoju starszej siostry, Holly, dzieci Mellowów siedziały i leżały na rozrzuconych po podłodze poduszkach w „tureckie” wzory. Mijały długie chwile, podczas których nikt nic nie mówił, choć w pokoju, zwłaszcza zaś w Michaelu, gotowała się jakaś ukryta energia, jakiś zew.

Dashiell, ośmiolatek, przedostatni z czwórki rodzeństwa, nucił pod nosem piosenkę własnej kompozycji, o elektrycznym otwieraczu do konserw, który ożył i zaczął tańczyć, a pozostała trójka grała w „Życie”, usypiającą grę z drobiazgowo opracowanymi etapami: idź na studia, wybierz zawód, kup samochód, weź ślub. (Dlaczego przez cały czas trzeba coś robić? - zastanawiało się to jedno, to drugie dziecko. Czego ten świat ciągle chce? Dlaczego nie zostawi człowieka w spokoju, by sobie spokojnie żył?)

Michael Mellow, który tak przebiegle wszystko zaplanował i zdecydował o losie rodzeństwa, był chudym i ciemnowłosym chłopcem, już atrakcyjnym, choć posapywał z powodu przerośniętych migdałów, skazanym na to, by przez całe życie widziano w nim mola książkowego, nawet gdyby pracował jako operator wózka widłowego. Michael spojrzął nad planszą ku starszej siostrze, Holly, osobie często zajmującej jego myśli, ale nie takie, które mógłby kiedyś wypowiedzieć na głos. Musi je zagrzebać jak psią kość. Piętnastoletnia Holly fascynowała blond włosami o metalicznym odcieniu i masą piegów na twarzy, ramionach i dekolcie, które pojawiły się za sprawą letnich sesji na składanym krzeselku w parku Jones Beach, gdzie przesiadywała z rozłożonym przed sobą albumem, którego nie dawało się słuchać (Mitcha Millera *Stars and Stripes Sing-Along*), owiniętym aluminiowym papierem do pakowania. Promienie słońca padały na arkusz aluminium i odbijały się na jasną, wrażliwą twarz dziewczyny; było to na długo przed tym, zanim zaczęto ostrzegać przed szkodliwością promieniowania słonecznego i śmiertelnym czerniakiem. Słońce budowało przed Holly taką ścianę światła, że nawet po zamknięciu oczu widziała coś srebrzyście białego: sypiący śnieg, olbrzymią, spienioną falę.

Teraz, chłodną późną jesienią, kiedy o lecie dawno już zapomniano, a aluminiowe dwupłytowe zwierciadło leżało zamknięte w garderobie na drugim piętrze, wśród starych dętek bez powietrza i okrutnie szorstkich ręczników plażowych, Holly Mellow siedziała na podłodze w swoim pokoju, ziewała i wcale nie myślała ani o bracie, ani o nikim z rodziny, prócz siebie samej. Jej stopy okrywały grube, żółtozielone skarpety. Nieustannie było jej zimno, jak wielu piętnastolatkom. To trochę tak, jakby z nadejściem okresu dojrzewania żeńska skóra traciła grubość, wystawiając bezbronne dziewczęta na działanie każdej zbłąkanej myśli, każdego lęku, pragnienia,

wyzwalając w nich potrzebę jakiegoś okrycia. Dlatego Holly stwierdziła raptem, że musi się otulać szydełkowanymi szalami lub poncho z długimi frędzlami. Natomiast niedawno zaczęła odczuwać potrzebę otulenia ciepłą, owłosioną, chłopięcą ręką, której lekki ucisk da jej uspokojenie, jakiego na próżno szukała sama w swoim różowym pokoju. Kolor wybrała ośmiście dawno temu, bo tchnął jakąś falbankową, niczym niezmaconą dziewczęcnością - jednak w ostatnim czasie ten róż wydawał się jej kolorem dzikiej rozpacz.

Dojrzewanie dopadło Holly i Michaela niedawno, każde z osobna, w towarzystwie zwyczajnej w takich wypadkach łojotokowej nadprodukcji i gwałtownych zmian nastroju. Bez porozumiewania się przejęli rolę młodego ojca i młodej matki wobec młodszego rodzeństwa, Dashiella i Claudii, którzy z dumą demonstrowali nowe zęby wypierające mleczaki, koszulki wypuszczone na wierzch i nieświeży oddech po witaminach. Michael i Holly rządziли na drugim piętrze, gdzie mieszkaly wszystkie dzieci, współegzystując z całym inwentarzem zwierzaków, których nikt nie potrafił pokochać: była tam fretka, był gekon, było akwarium z morskimi małpkami (tak naprawdę były to zwykłe krewetki słonaczki, choć według katalogu wysyłkowego miały mieć buzię, oczy, a nawet długie, kręcone rzęsy) i była mieniaca się, niebieska, drapieźna rybka z rozkładającym się ogonem, którego cząsteczki zostawiała za sobą, kiedy parła naprzód jak tnące ostrze w gwałtownie mętnej wodzie.

Rodzice, bardzo kochający swoje dzieci, jakkolwiek ostatnio nazbyt zaprzątnięci niespodziewanym, olbrzymim sukcesem książki, prawie nigdy nie zaglądali na drugie piętro. Skutkiem tego przeistoczyło się ono w swoistą anarchistyczną menażerię, zagęszczoną stęchłym smrodkiem, śladami brudnych palców na ścianach i najrozmaitszym sprzętem z dziecięcego i zwierzęcego świata - piętro bardzo się różniło od tego poni-

żej, piętra rodziców, które stanowiło oazę duńskiego modernizmu. Gościom w domu Mellowów piętro rodziców zdawało się kojarzyć z seksem, a przynajmniej z jakimś wysublimowanym środowiskiem, w którym seks mógł wzrastać bez przeszkód - takim drżącym, przeświecającym, galaretowatym agarem, w którym mężczyzna i kobieta mogą się położyć byle gdzie, na łóżku z jasnego drewna czy mosiądzu i rozpocząć uwerturę ochoczego, radosnego i bezcelowego pieprzenia.

Po ponagleniach Michaela, który powiedział, że „czas to zobaczy”, czas, „abyśmy się stali dorośli, mnie nie wyłączając”, dzieci Mellowów wynurzyły się z pokoju i zeszyły na dół trzeszczącymi, dębowymi schodami, tuup-tuup-tuup!, po których ciągnął się wypłowieły perski chodnik. Przeszły potem obok galerii szkolnych zdjęć i rodzinnych fotografii, wiernych historycznie, cóż, życie jest krótkie, a nieco dalej, na półpiętrze, obok zaznaczonych ołówkiem na ścianie kresek dokumentujących, jak dzieci rosły, od wysokości ulicznego hydrantu do rozmiarów, w przypadku Michaela, antylopy.

Dashiell i Claudia szli za nimi w pewnej odległości. Claudia, sześciolatka, trzymała lalkę-trolla za czuprynę pomarańczowych, pokudłaczonych włosów i nie bardzo rozumiała, o co chodzi; po co ta tajemniczość i po co potrzeba zachowania powagi. Rzadko jednak kwestionowała autorytet Michaela czy Holly, którzy wydawali się jej równie starzy jak drzewa. Jako najmłodsza czuła się inna od reszty, nawet od Dashiella, który był od niej starszy tylko o dwa lata. Kiedy myślała o Holly, miała ochotę zemdleć i umrzeć, tak bardzo Holly była piękna, tak niezniszczalnie kobieca, podczas gdy ona sama była tylko rozkoszną, grubiotką, małą rzeczą o krótkich nóżkach, pozbawioną płci i miłości.

Po lekcjach Claudia często oglądała w domowej bibliotece film o szesnastej trzydziści na kanale siódmym - za oknem zapadał już zmierzch, a jej bracia i siostra zajmowali się włas-

nymi sprawami w innych częściach domu. Każdy film utwierdzał ją w przekonaniu, że kiedy człowiek dorasta, kiedy się staje naprawdę dorosły, to pilnie musi sobie znaleźć kogoś do kochania. Wieczorem w łóżku Claudia niekiedy obejmowała się, całowała i lizała sobie dłoń, przemawiając do siebie męskim głosem aktora z filmu: „Kocham cię, kobieto, i chcę się z tobą ożenić”.

Była pewna, że znalezienie kogoś, kto pewnego dnia się z nią ożeni, może się okazać trudne. Będzie musiała mu zapłacić. Już teraz, mając sześć lat, Claudia zaczęła oszczędzać pieniądze, wrzucając regularnie monety do twardej, plastikowej, białej skarbonki w kształcie kuchcika Pillsbury. W któryś weekend rodzice spytali ją:

- Claudio, czy w ogóle masz zamiar wydać kiedyś swoje kieszonkowe?

- Claudia jest sknerą - obwieściła zaraz Holly i dodała niepotrzebnie: - Nienawidzę sknerstwa.

- Nie jestem sknerą - zaprotestowała Claudia. - Wiem, na co zbieram pieniądze.

Co tydzień Claudia Mellow odkładała po cichu kieszonkowe, nic sobie nie kupując; ani czekoladki, ani batoników o arbuзовym smaku, ani cukierkowej buteleczki z colą, którą należało wypijać jednym haustem, odchylając głowę. Claudia odkładała każdy grosz, była jak samotna zakonnica; jakby czekała na daleką, bogatą przyszłość.

Za nią szedł po schodach Dashiell, osoba o wiele bardziej skryta niż Claudia i zupełnie inna. Szedł powoli, dłubiąc w nosie. Wiedział, co niebawem mają zobaczyć, i wcale nie chciał brać w tym udziału. Próbował znaleźć pomysł, jak się z tego wywinąć, a w miarę jak myślał, jego palec łowił coraz głębiej w nosie. Dashiell od dnia narodzin zdawał się nieustannie szukać skarbu. Potrafił włóczyć się po śmietnikach Wontauket przez cały dzień, grzebiąc wśród starych mebli i części samo-

chodowych. Jakby nie opuszczała go pewność, że gdzieś leży coś niezwykłego, czego warto szukać, bo przecież to śmiertelnie poważne życie nie może być tylko tym, czym się wydaje, a jeśli jest, to... mój Boże, co za potworne rozczarowanie, co za tragedia.

Kiedyś Dashiell przez dwadzieścia cztery godziny krwawił z nosa i trzeba było poddać nos kauteryzacji; nieprzyjemny to zabieg, dokonywany skwiercząca, elektryczną igłą. Dashiell chlupał głośno w gabinecie doktora Enzelmana, ich lekarza rodzinnego, błyszcząca krew plamiła mu dłonie i twarz, szeleścił pod nim na kozetce szorstki papier, ale kiedy wracał samochodem do domu i mama prawiła mu kazanie, wcale nie czuł skruchy.

- Dash, musisz zwalczyć ten nawyk - mówiła łagodnym głosem, choć wyraźnie zaniepokojona. - Boję się, że ludzie nie będą chcieli przebywać w twoim w towarzystwie, koledzy nie będą chcieli się z tobą bawić. Wiesz, kiedy byłam dzieckiem, w Arkadii...

- Już to słyszałem.

- Nie, tego jeszcze nie słyszałeś. Nie to. Kiedy byłam dzieckiem, w Arkadii, do mojej szkoły chodził chłopiec, który robił to samo, miał na imię William, po prostu nie potrafił odebrać palca od nosa. Pamiętam, że na szkolnym boisku od razu spotkał się z ostracyzmem.

Dashiell nie odpowiadał. Nie wiedział, co to znaczy, gdy ktoś „spotyka się z ostracyzmem”, wyobrażał sobie jednak, że na pewno związali chłopaka, a może jeszcze dali mu solidny wycisk. Skulił się w swoim foteliku z tyłu volvo i wlepił wzrok w szosę. Jego matka była sympatyczną, choć czasem zbyt emocjonalnie reagującą kobietą, która ku przestrodze lubiła opowiadać dzieciom historie z własnego, ponurego dzieciństwa.

- Proszę, patrz na mnie, *kiedy* do ciebie mówię - ciągnęła, a Dashiell odwrócił się w jej kierunku z przekornym wyrazem

twarży, podnosząc głowę tak, by nos (jego nos, jego!) był wysunięty do przodu, wprost na mamę.

Także teraz, idąc po schodach z bratem i siostrami, Dashiell czuł w sobie przekorę, tyle że tym razem nikt tego nie zauważał i nikogo to nie obchodziło. Wiedział, że jeśliby się opierała, to młodsza siostra wyśmiewałaby się z niego do końca życia. Wystarczy, że spojrzy na książkę, a ucieszy się, że dowiedziała się czegoś, o czym on wciąż nie wie. Nie chodziło tylko o strach, że książka wzbudzi w nim niesmak - tego był nawet pewien, miał raptem osiem lat. Chodziło też o to, że nie znosił, gdy ktoś go do czegoś zmuszał, jak choćby do skończenia przygotowującego o mdłości, niechcianego posiłku. Z ogromnego okna na półpiętrze, tuż nad parterem, dzieci zobaczyły zlaną deszczem pustą podjazd, na którym już nie stało ich kombi. Rodzice rzeczywiście wyjechali do Nowego Jorku, pięćdziesiąt pięć mil na zachód autostradą Long Island. Na tym polega sztuka wychowywania kilkorga dzieci: jeśli człowiek cierpliwie poczeka, dzieci organizują sobie własną kolonię i generalnie potrafią same o siebie zadbać - mniej więcej w czasie lunchu starsze dzieciaki rzucają na pajdę chleba plaster szynki i podają ją młodszym; albo rozprawiają nad jasnymi główkami młodszych zaszyfrowanym językiem o przesadnie złożonej składni.

Michael sprowadził swoje owieczki z frontowych schodów i dalej prosto do biblioteki, do jej jesiennie przystrojonego wnętrza, gdzie od lat cała rodzina wspólnie oglądała filmy Jacques'a Cousteau („Thuudno przewidzieć, kiedy hekin zaatakuje”, przedrzeźniali jego francuski akcent), gdzie nieśmiała Claudia siadywała samotnie na tkanym chodniku, śpiewała i układała swoje lalki-trolle w kręgu, jakby w druidycznym obrzędzie, gdzie nie tak dawno Holly stała za kotarami z Adamem Seligiem z ulicy Princeton Court, poznając, czym jest wzajemna bliskość oddechów, gdzie Michael brnął z tru-

dem przez większą część lektury *Kociej kołyski* i *Wielkich nadziei*, gdzie Dashiell, chcąc coś komuś udowodnić, ukrył się na długie godziny za olbrzymim wazonem w stylu Ming, pełnym chrupiących, okrągłych jak monety liści eukaliptusa, i śpiewał coś do siebie, i gdzie kilka lat wcześniej, pewnego późnego wieczoru, po tym, jak kochali się ze szczególną namiętnością i entuzjazmem na starej, brązowej kanapie obitej prążkowanym aksamitem, rodzice wpadli na pomysł napisania książki.

Dzieci tego teraz potrzebowały: by świat naturalny zniknął, by zniknęli rodzice, by było właśnie tak; rodzice jadą autostradą, mama opuszcza lusterko od strony pasażera, którego nikt nigdy nie używa, i nakłada sobie na usta cieniutką warstwę perłowego błyszczyka, ojciec, na zupełnym luzie, palcami wystukuje na kierownicy rytm melodii stacji jazzowej, a samochód unosi ich daleko od Swarthmore Circle w Wontauket, za miasto, gdzie będą z dala od nienasyconej ciekawości swoich dzieci.

- Jeśli raz to zobaczymy - mówiła Holly parę minut wcześniej, kiedy Michael ogłosił swój zamiar - nigdy już nie będziemy mogli tego... nie widzieć. Pamiętasz, jak zobaczyliśmy wiewiórkę, którą zabił prąd na linii energetycznej, a potem miałam te potworne sny?

- Pamiętam.

Jej brat przymknął powieki, mając przed oczami obraz drobnego ciałka z dwiema burymi pręgami na plecach, zwisającego nad ogródkiem z drutu energetycznego. Koszmary senne nawiedzały potem Holly każdej nocy; krzyczała o trzeciej nad ranem i była tak przerażona, że mama, przebudzona, podawała jej łyżeczkę syropu na uspokojenie.

- Widziałaś ją, ale żyjesz - stwierdził Michael. - Wciąż jesteś sobą.

Siostra przyjęła tę myśl w milczeniu, przytakując powoli. Ma białe rzęsy, zauważył. Dla niego była niezmiernie; była syrenką.

- A potem co? - zapytała. - Mamy im powiedzieć, że wdziliśmy książkę?

- Po co mielibyśmy mówić? - odparł. - Pewnie będą chcieli o niej porozmawiać. Zawsze chcą o wszystkim dyskutować. Zresztą, mówisz im jeszcze coś o sobie?

Holly zastanawiała się przez chwilę i w końcu musiała przyznać, że nie, nie mówi już im nic na swój temat, nic o niej nie wiedzą i bardzo się jej podoba, że tak jest.

Rodzice byli w drodze do wypełnionej po brzegi sali wykładowej w New School na Manhattanie, gdzie niebawem dadzą pierwszy z wielu, bardzo wielu czekających ich wykładów, w których będą omawiać genezę powstania książki, szczególnie kwereńdy, a także to, w jaki sposób wypróbowywali pozycje aktów seksualnych i jak je potem opisywali. Będą też mówić, czym dla nich było pozowanie do ilustracji rysownikowi Johnowi Sunsteinowi; mama będzie opowiadać, jak początkowo czuła się skrępowana, bo przecież nie jest ekshibicjonistką, jednak Sunstein okazał się młodym, dwudziestoparoletnim, bardzo skromnym i kulturalnym człowiekiem, z długimi, jasnobrązowymi włosami, który chodził w kłapkach z paseczkiem na duży palec i potrafił się odnieść do swojej pracy z respektem, a jednocześnie profesjonalizmem - zatem po pewnym czasie z miłą chęcią czekała na kolejne sesje. „Oboje wyglądacie państwo wspaniale”, mówił artysta, a potem zniknął za sztalugą, a ona zapominała o nim. „Pozowanie panu Sunsteinowi było pełne spokoju”, będzie mówić słuchaczom. Z uczonością będą rozprawiać o erotycznej sztuce Chin i naukach *Kamasutry*, których pewną część zawarli w swojej pracy. Będą też mówić o nowej pozycji, stworzonej przez nich samych, o tym, ile uciechy przyniosło im jej wymyślanie, a potem dopracowywanie. „Te ćwiczenia to naprawdę ciężka robota!” powie ojciec, czym wywoła salwy śmiechu na sali, z której wkrótce popłynie rzeka niekończących się pytań, bo każdy będzie chciał o coś zapytać

albo wtrącić swoje trzy grosze, nawet jeśli by nie miał nic istotnego do powiedzenia.

Tak więc w tej chwili rodzice mknęli autostradą w rodzinnym samochodzie, którego już sama nazwa, volvo, trąciła namiętnością. Jeśli się jednak dobrze zastanowić, wszystko już się kojarzyło z seksem: i volvo, i zlizanie potu znad wargi. Cały świat rozświergotał się i rozkwitł czymś żywym i zmysłowym, powstałym z ziemi, piasku i wody, ożył niespokojnymi ludźmi, którzy wypełniali powietrze jęklivymi, nieraz trudnymi do odróżnienia pomrukami bólu i podniecenia.

Książka nosiła tytuł *Jak dać rozkosz: podróż pewnej pary do spełnienia*. Tytuł, z chwilą kiedy dzieci go przeczytały i zaczęły rozumieć, wywołał w nich tak silny, pałający wstyd, że zdawało się, iż zastygną tu na wieczność, zatrzaska się w tej jednej chwili, w kategoriycznej odmowie wkroczenia w świat dorosłych i jego męczące wymogi wobec twojego dnia, twoich sił, twoich finansów, twojego ciała. Dzieci skupiły się wokół książki; Holly i Michael z przodu nadzorowali rytm przewracania stron, Dashiell i Claudia po bokach - wszyscy razem, na pierwszy rzut oka reklama wspólnej nauki w domu.

- Zaczynamy - powiedział Michael, kiedy Holly otworzyła pierwszą stronę i z ust wszystkich wydobyły się jakieś nieokreślone dźwięki; fanfara obwieszczająca nadejście króla, parsknięcie, prychnięcie, dziecięce czknięcie, ale już zaraz nastąpiło gwałtowne, wzajemne uciszanie.

Na okładce oprócz tytułu nie było nic, co mogłoby ich przestraszyć lub poruszyć. Klasyczny odcień bieli, lśniącej, z prostym rysunkiem wymiętoszonego łóżka, nic więcej, pościel odrzucona na bok, jakby miała być niepotrzebna i wiadomo dlaczego. Było to łóżko pary ludzi, kobiety i mężczyzny, i na razie potrafili to przyjąć do wiadomości. Tytuł, pisany kręconymi, złotymi czcionkami, zawisł w powietrzu nad pustym łóżkiem niczym resztki snu. Na razie nie najgorzej. W środku było

sporo mało wymagającego tekstu, w tym wprowadzenie jakiegoś naukowca o nazwisku L. Thomas Slocum, z Uniwersytetu Illinois w Urbana-Champaign.

- Slocum - rzuciła Holly z drwiną. - Też mi nazwisko.
- Niby jakie? - zapytał Michael, nie rozumiejąc.
- Slocum. Zupełnie jak *słow... cum...* wolno dochodzi...
- Aa... Tak. Racja - powiedział w końcu, kiwając głową.

Uwagi L. Thomasa Slocuma umieszczały przedsięwzięcie Melowów w szerokim kontekście społecznym, oceniały książkę jako odważną i piękną, będącą czymś „bardzo potrzebnym w dzisiejszych czasach”. Po tym wstępie następował rozdział pierwszy pod tytułem: „Stosunek płciowy, czyli najpierw o rzeczach podstawowych”; otwierał go zapierający dech w piersiach, szczegółowy opis, któremu towarzyszyła kolorowa ilustracja, pierwsza z wielu.

To byli oni. Oni. Rodzice. Leżeli na wymiętym prześcieradle, na tym samym dużym, białym łóżku, które widniało na okładce książki. On na niej. Uśmiechnięci i odprężeni, ich ciała zespolone, niczym zespawane części jakiejś maszynerii.

- Jezu, ja pierdolę - wyrwało się Holly, która w ostatnim czasie coraz częściej używała podobnych wyrażień.

Kiedy używała ich w weekendy w centrum handlowym Wontauket przed wejściem do jednego lub drugiego butiku - gdzie z grupą przyjaciółek udawały, że przyglądają się bluzeczkom na wystawie, a w rzeczywistości z tłącą się pogardą w oku zerkały w stronę grupy chłopców wałęsających się tu i tam - robiła to tylko po to, żeby się popisać. Teraz jednak czuła szczerą potrzebę, by tak powiedzieć, musiała zareagować głośno, bo bała się, że inaczej rozedrze się na dwa kawałki, wzdłuż jakiegoś niewidzialnego szwu, który biegł bokiem jej ciała.

Siedzący obok Dashiell odwrócił głowę, wściekły, że w ogóle tu jest, burcząc coś pod nosem, ale po chwili rzucił szybko okiem na książkę. Powtórzył te ruchy kilkakrotnie, nie mo-

gąc ścierpieć, że starszy brat go do tego zmusił, podczas gdy jemu samemu zależało dzisiaj tylko na jednym: by się zatopić w łagodnych, wymyślanych przez siebie melodiach, przemykających mu nieustannie przez głowę. Tymczasem musi tu siedzieć i patrzeć na te strony. Poczł po chwili, jak zaczynają mu płonać policzki, i nienawidził całego życia, że tak uwięził go w tym miejscu, i poprzysiął sobie, że jeszcze im wszystkim pokaże, pokaże, choć tak naprawdę nie miał nic do pokazania. A jego oczy nieuchronnie wracały do książki, przyciągane bezwolnie, jakby ciążył na nich jakiś zły urok. Tak, mistrzu, myślał usłużnie Dashiell, ale kto właściwie miałyby być jego mistrzem? Brat? Siostra Holly? Rodzice ze swoją bezwstydną otwartością? Nie sposób było powiedzieć, więc tylko patrzył i patrzył, pragnąc po cichu, by ktoś go przebudził i uwolnił z okowów.

Mała Claudia wydawała z siebie jakieś chichotliwe okrzyki. Dziewczynka myślała teraz o sobie, o tym, jak leży wieczorem w łóżku ze swoim przyszłym mężem, i po raz pierwszy w życiu zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście warto wydać na niego swoje oszczędności. Jaki to ma sens? Żeby tak wypinać plecy i tak pokazywać zęby? To po prostu okropne i nie można tego widzieć inaczej. Jutro wszystkie pieniądze wyda na łakocie, na miniaturowe butelki coli, na lizaki, na pomarańczowe żelki, które choć mają kształt fistaszków, to nie wiadomo dlaczego smakują jak banan, i na wszystko, co tylko wpadnie jej w oko w małej cukierni, którą od miesiący omijała z daleka. Nie chciała mieć nic wspólnego z tym, co jej rodzice robią w łóżku. Cały czas żyła w błędzie. Miłość nie jest dla niej; wcale nie jest tym, czym się jej wydawała.

Claudia zaczęła się uderzać lekko po twarzy i powtarzać:

- Zadzwońcie po pogotowie! Zadzwońcie po policję!
- Och, cicho mi tu - rzucił spokojnie Michael.

Żadne ze starszych dzieci nie zniosłoby teraz, by ktoś im

przeszkadzał - zupełnie jakby zaczęły raptem zakuwać do jakiegoś nieoczekiwanego egzaminu z życia, chłonąc wszystko, co tylko można, i zachowując to w sobie, by w przyszłości mieć się na co powołać.

Jak wszystkie ilustracje w książce, także ta pierwsza narysowana była piórem i tuszem, a następnie delikatnie wypełniona pastelowymi kolorami. Ich autorem był John Sunstein, ów nieśmiały artysta, który miał już na koncie projekt okładki do jednej z płyt słynnych Rolling Stonesów. Tu utrwalił rodziców w pełni ich człowieczeństwa, narysował ich w różnych aktach seksualnych, zwyczajnych i niezwykłych, zachodnich i wschodnich, starożytnych i współczesnych, odręcznie bądź przy użyciu różnych przyborów. Żaden krytyk nigdy nie wystąpił publicznie ze stwierdzeniem, że te postacie to rzeczywiście ich rodzice, a Sunstein bardzo taktownie w obu postaciach dokonał nieznacznych retuszy, zmieniając u mamy jej irlandzki rudy odcień włosów w bardziej neutralny, kasztanowy, i przemieniając ojca, który w rzeczywistości miał gęstą, ciemną brodę i wąsiska, w mężczyznę idealnie ogolonego, za to z kędzierzawymi włosami na głowie. Czy jednak miało to znaczenie? Każdy wiedział, że to oni. Każdy. Wiedzieli rodzice rodziców, już starsi i słabi z powodu chorych kości i arytmii. Wiedział lekarz rodzinny, doktor Enzelman. Wiedział listonosz, wiedziała bibliotekarka i wiedzieli sąsiedzi na Swarthmore Circle, Princeton Court i Cornell Avenue. Wiedzieli nauczyciele dzieci. Dzieci wiedziały. Zmiany włosów na rysunkach znaczyły tyle co kiepskie przebrania przestępców, którzy nieświadomie dążą do tego, by ich złapano i ukarano.

Wszędzie bym poznała ciało mamy, pomyślała Holly Mellow, ponieważ zwykle przebierały się z matką w jednym pokoju, choć od jakiegoś roku Holly coraz gorzej to znosiła. W sklepie Lord&Taylor w centrum handlowym, zanim jeszcze zaczęła odczuwać skrępowanie, zdejmowały w jednej przy-

mierzalni bluzki i džinsy, i stały obok siebie w kabinie nie większej od boksu w lokalu wyborczym, za wahadłowymi drzwiami, na prostym dywaniku z ozdobnymi ćwiekami; były razem w tym kobiecym świątku, w którym starsze kobiety, grube kwoki, z okularami zawieszonymi na koralikach i pętkiem chusteczek wetkniętych za dekolt, patrolowały korytarze przymierzalni, nawołując co chwilę: „Wszystko w porządku, drogie panie?”

- Kiedyś w domu, w łazience na pierwszym piętrze, stały z mamą ramię przy ramieniu, nagie od pasa w górę i mama pokazywała córce, jak zbadać piersi.

- Nauczyłam się tego z rysunku w magazynie „Dla pani”, powinnaś wiedzieć, jak to robić, Holly, bo babcia miała coś złośliwego, również węzłów chłonnych - wyjaśniała tajemniczo mama, unosząc jedną rękę, jakby salutowała, a drugą przekładając w poprzek klatki piersiowej; potem z wprawą, energicznie zaczęła przebierać palcami po piersi, jakby była to harfa.

Jednak tutaj, na stronach książki, piersi mamy mógł zobaczyć cały świat - jak odchylają się lekko na boki, gdy leży na plecach, a tato unosi się nad nią rozkraczony. Dzieci w lot pojęły, że czym innym jest patrzeć na ciała oderwane od siebie, pojedyncze, a czym innym patrzeć na ciała będące razem, zespolone ze sobą w taki sposób, w jaki tylko ciała mogą być zespolone, i nic nie jest w stanie przygotować człowieka na taki widok. Oczywiście na to po prostu nieprzygotowane.

Na kolejnych stronach ich mama i tato oddawali się sobie w każdy możliwy do pomyślenia sposób. Najwyraźniej przybierali te pozycje w pracowni Johna Sunsteina, a być może również w domu, nieskończenie wiele razy, kiedy dzieci spały i syczał cicho nawilżacz albo kiedy dzieci karmiły głucho i nie-me morskie małpki, albo kiedy paliły jointa, albo kiedy sunęły dłońią po ciele, w spodniach od piżamy, delikatnie obejmując

genitalia, jakby chciały je ustrzec przed przyszłymi napięciami i brzemieniem, jakich z konieczności będą musiały doświadczyć. Dzieci zaczynały bowiem sobie uświadamiać, że już nie ma odwrotu; zmierzały ku temu nieodwołalnie, jakby pędziły ku bardzo niebezpiecznej, ale jednocześnie podniecającej wojnie.

Michael zerknął na Holly; jej jasna, piegowata skóra była zaczerwieniona - nawet czubki jej uszu zdawały się płonąć. Holly miała prężne, wysportowane ciało i łatwo było mu sobie wyobrazić, jak wypina je w łuk, na łóżku, za rok albo dwa, jak rżnie ją jakiś chłopak, którego twarzy nie widać, czyniąc przy tym jakieś niezwykle wygibasy. Swoją drogą, jak można się czuć, gdy ktoś cię rżnie? Tego już nie potrafił sobie wyobrazić, bo musiałyby sobie wyobrazić siebie z wgłębieniem, gościnnym otwarciem, a tego nie miał. Nie opuszczał go za to obraz siostry. Nie. Nie. Przestań. Nie myśl o niej w taki sposób, mówił sobie Michael.

Podczas tych krótkich, współsennych rozmyślań pojawiła się następna strona, na której mama i tata robili teraz coś z wykorzystaniem szalików, przywiązanych do mamy kostek i nadgarstków.

„Wiązać powinniśmy z czułością”, głosił tekst obok ilustracji; dzieci wpatrywały się mimowolnie w rysunek, a Dashiell myślał ze zgrozą: Och, nie, mama spotkała się z... ostracyzmem!

Dzieci wyobraziły sobie teraz oboje rodziców w łóżku, tym ustawionym w nowojorskiej pracowni, do której przez ponad miesiąc jeździli parę razy w tygodniu, żeby, jak mówili, „pracować z artystą”, i żadne z nich nigdy się nie dopytywało, z czym właściwie ta praca się wiąże. Zamiast tego podnosiły głowy do rodziców, ze znużeniem i obojętnością, i dawały się pocałować na pożegnanie. Tak, tak, zapewniały, będziemy pamiętać o lunchu, tak, tak, znamy na wszelki wypadek **nu-**

mer do państwa Rinzlerów, tak, tak, damy sobie radę, a potem dalej zajmowały się same sobą. Czy gdyby wtedy wiedziały to, co wiedzą teraz, próbowałyby rodziców powstrzymać? Może mogłyby zabarykadować drzwi i uwięzić ich w domu? Może mogłyby powiedzieć: „Nie róbcie tego, bo to wszystko zmieni”?

Bo to rzeczywiście wszystko zmieniło, naprawdę.

Teraz, wobec pierwszej fali oszałamiającego sukcesu książki, gwałtownej przemiany w rynkowy fenomen czegoś, co miało tylko zarabiać pieniądze, rodzice ani nie mogli nic przewidzieć, ani nie czuli wyrzutów sumienia. Byli świetnie się trzymającą parą, kobietą i mężczyzną w wieku, odpowiednio, trzydziestu dziewięciu i czterdziestu lat. Niesforna, czarna czupryna i broda ojca nadawały mu trochę diaboliczny, ale i artystyczny wygląd, choć w istocie rzeczy był człowiekiem bardzo łagodnym i bynajmniej nie artystą. Był troskliwy, lubił zabawę i doskonale potrafił słuchoać. Kiedy dzieci do niego mówiły, kiwał wolno głową, gładząc palcami brodę. Pamiętał też nazwiska ich nauczycieli. W ogóle był nadzwyczaj uroczym ojcem, w niedziele smażył naleśniki z bananami, uczył dzieci śpiewać *Norwegian Wood* w angielskim slangu i gwizdać na palcach. Najchętniej nosił golfy, zwykle czarne, a do nich skórzany pasek ręcznej roboty, z wielką, kwadratową kłamrą, jak w barokowych butach. Dzieci kochał bezmiernie i sentymentalnie, ale było to niczym w porównaniu z miłością, jaką darzył żonę, i dzieci dobrze o tym wiedziały, bo siła tej miłości była olbrzymia i każdy mógł łatwo wyczuć, jak przenika dom.

- Wasza mama wygląda cudownie, nawet kiedy pod szyją ma serwetkę z homarem - powiedział kiedyś w restauracji z owocami morza, gdzie jedli na obiad. - Spójrzcie tylko na nią! Laureatka nagrody dla Najbardziej Seksownego Homarowego Śliniaczka Anno Domini tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt dwa!

- Och, przestań, głuptas z ciebie - odpowiedziała mama, machając ręką, z wargami lśnącymi od masła, jakby miało ono podkreślić tę część jej ciała, która ma dla niego szczególny erotyczny urok; choć tata nie był w stanie wybrać dla siebie jakiejś konkretnej części mamy, bo w jego mniemaniu, dobry efekt przynosiło po prostu wszystko razem.

Nie było jednak tak, by dzieci miały się czuć odtrącone, ojciec poświęcał im bowiem dużo uwagi, a mama nigdy nie czuła się komfortowo pod spojrzeniem ojca. Czasem zdawało się nawet, że jest poirytowana i próbuje odlecieć jak spłoszony ptak. Był to dla nich taniec godowy: adoracja, a w odpowiedzi radość, duma i pierzchliwość. „Spójrzcie tylko na mamę - nakazywał tata. - Zobaczcie, jak wdzięcznie wygląda z tymi pałeczkami w dłoniach”. Albo: „Spójrzcie tylko na mamę. Nie-samowita kobieta”. Albo: „Spójrzcie na mamę. To najbardziej interesująca osoba, jaką w życiu poznałem”. Spoglądali więc na nią. Znad restauracyjnego stołu, zza regałów w supermarkecie, w kuchni, gdy stała przy zlewozmywaku, rwąc pod strumieniem wody liście sałaty. Jej mocno rude włosy, blada karnacja i duży biust czyniły ją jakby kruchą, matczyną i serdeczną, ale najwyraźniej również bardzo pociągającą. Była głośniejsza od ojca, łatwiej się poddawała nastrojom, dramatyzowała i ulegała łzom, które wypełniały jej błękitne oczy i rozświetlały je. Kiedy płakała, jej nos się czerwienił, dopasowując się do koloru włosów; wyglądała wtedy jak czarująco wstawiona Irlandka, która skrywa w sobie głęboko strzeżoną tajemnicę. „Wiem, że tatę czasem ponosi - mówiła z kolei mama, kiedy ojca nie było w pobliżu. - Ale to człowiek, który otwarcie wyraża swoje uczucia, co jest bardzo rzadkie”.

Rodzice ich koleżanek i kolegów z całą pewnością nie obdarzali się tak gorącą miłością. Większość matek i ojców żyła ze sobą jak lokatorzy domu z pokojami do wynajęcia: dzielili ze sobą przestrzeń, starali się nie wchodzić sobie w drogę,

ale zasadniczo każde wiodło własne, osobne życie; jedno się zajmowało arkuszami kalkulacyjnymi i domowym budżetem, a drugie dziećmi. Mellowowie byli inni i dzieci dawno to zauważyły, z pewną dumą i smutkiem.

Ich rodzice codziennie się gimnastykowali, w czasach, kiedy to nie było jeszcze w modzie; każdego ranka wykonywali odpowiednią liczbę przysiadów i pompek, zalecaną przez Kanadyjskie Królewskie Siły Lotnicze, nie dopuszczając do tego, by ich brzuchy straciły jędrność i nabrały tej potwornej workowatej konsystencji, która oznaczała kapitulację i klęskę. Tutaj, w książce, z dumą pokazywali, jak potrafią o siebie zadbać. Na jednej z ilustracji mama - czyli „kobieta”, jak wolały o niej myśleć dzieci - klęczała rozkraczona na łóżku, lekko znużona, odchylając do tyłu głowę, jakby chciała zobaczyć, co to za poruszenie za jej plecami czyni „mężczyzna”, jakby rzeczywiście nie wiedziała, jakby „mężczyzna” za nią składał mapę. Na innej ilustracji siedziała nad nim, z głową uniesioną wysoko, a John Sunstein (który jeszcze kilka lat wcześniej był najbardziej wybijającym się studentem, jakiego miał kiedykolwiek jego profesor od rysunku anatomicznego w akademii sztuk pięknych Cooper Union) niezwykle subtelnie potrafił naszkicować każdy detal jej pięknej szyi. Oczy mamy były zamknięte, lecz tylko pozornie, bo rozkosz była zbyt wielka, by smakować ją z szeroko otwartymi oczami, a może wiedziała, że niebawem ten rysunek obejrzącej dzieci, i nie chciała z nimi mieć kontaktu wzrokowego.

- To chyba nie dzieje się naprawdę - powiedziała Holly, przewracając szybko kartki.

- Owszem, tak - odparł Michael. - Oczywiście. Musisz sobie jakoś z tym poradzić.

Natychmiast pożałował tonu, jaki przybrał wobec siostry, której miłości i zaufania potrzebował teraz bardziej niż zwykle. To on był tym, który sprawił, że Holly musi teraz dać

z tym sobie radę, choć prędzej czy później i tak musiałyby z tym sobie radzić. Holly nie dopuściłaby do tego, by książka stała na półce w tym domu nieprzeczytana; nie było mowy. Podobnie jak Michael, w końcu musiałyby się dowiedzieć.

- Jakos sobie poradzę. Oczywiście. Ale czy oni są chory? Którzy rodzice tak robią? - zapytała.

- Nasi - odpowiedział Michael.

Zależało mu teraz, by nie dać nic po sobie poznać. Robił wrażenie, że zachowuje się zwyczajnie, jakby to nie jego należało winić za to, że to oglądają, więcej nawet, jakby to nie on ich do tego przymusił.

Akcja na ilustracjach rozgrywała się w ciągu dnia, białe strony służyły w nich za tło rozjaśnione słońcem lub światłem reflektorów. Ciekawe, nie było prób pieprzenia się w nocy; w ciemności zapewne zginęłyby szczegóły. Ktoś może kogoś dotknąć i doznanie będzie cudowne, ale szybko przemijające, i nigdy nie da się odtworzyć tego połączenia dotyku i finezji. Na białej kartce papieru, na białym prześcieradle nie umknie natomiast najmniejszy szczegół. Właśnie tak dłoń mężczyzny znajduje sutek kobiety, właśnie tak pieszczą go kciuk i palec wskazujący, w sposób, w jaki tylko fotograf może ograniczyć ujęcie; do tego, co niezbędne, zostawiając z boku to, co niepotrzebne. Gdy kobieta napiera na mężczyznę, ich ciała formują coś w rodzaju ludzkiej, ciągnącej się po horyzont połąci pól.

W książce *Jak dać rozkosz* mężczyzna i kobieta prezentowali się dobrze, nawet bardzo dobrze, to jednak, co wprowadzali w życie - każdy ruch, każdy palec szukający drogi w zagłębieniu, każdy czubek kutasa, każda dłoń, stopa, brzuch, kręgosłup, otwór, obojczyk, każdy bezgłośny krzyk, podwiązki, kajdanki, falujący purpurowy szal, szpilki na gołych nogach - wszystko to było dla dzieci nowym źródłem zaskoczenia, serią coraz szybszych uderzeń młotka: niektóre nie były nieprzyjemne, inne były bolesne w przyjemny sposób, jak bolesne

może być podważanie strupka na zdartym kolanie, a jeszcze inne podniecające, choć mniejsze dzieci nawet nie wiedziały, że są podniecone, ponieważ tego doznania nikt im dotychczas nie zdefiniował.

Młodsze czuły się po prostu uniesione na duchu, rozemocjonowane, podobnie jak w czasie gonitwy po czarnym asfalcie szkolnego boiska lub kiedy w sylwestra nie szły spać przed północą, lub gdy pływały przez cały dzień w Jones Beach, a potem wychodziły ociekające na brzeg, z posiniałymi wargami i spalonymi od słońca głowami, najwyraźniej jednak chcąc dalej się kąpać, choć mama i tata stanowczo mówili już: „Dość”.

Żadne z czworga dzieci nie potrafiło się oderwać od książki. Na ten pierwszy, rozgrywający się przed ich oczami akt seksualny rodziców zdobyli miejsca w pierwszym rzędzie - oto ciężka, rdzawoczerwona kurtyna poszła w górę, odsłaniając najskrytsze tajemnice miłości, których żadne dziecko na świecie nie ma zaszczytu ani prawa obejrzeć.

Mogłabym tak spróbować z Adamem Seligiem? - zastanawiała się Holly.

Odpowiedź na to pytanie znajdzie wcześniej, niż jej się zdaje. Boże, nienawidzę ich, pomyślał Michael.

Szybko się nauczy zachowywać tę myśl tylko dla siebie.

Jeśli wyrwę im tę książkę i rzucę na wysypisko w Wontauket, to czy zniknie na zawsze? - myślał Dashiell.

Przykra sprawa, ale nie. W ciągu następnych lat książka będzie żyła nie jednym życiem, lecz wieloma. Nic jej nie zabije.

Będę w życiu sama, tylko z trollami, pomyślała Claudia.

Przez długi czas tak właśnie będzie, może w nieco zmodyfikowanej wersji.

Więc to rodzice robią w łóżku - teraz dzieci już wiedziały. To dlatego czasem w nocy ich drzwi są zamykane na klucz, więc tacy są, dlatego nie wolno do nich wchodzić, takimi zna ich teraz cały świat, to właśnie znaczy być człowiekiem, chcieć

być dorosłym w Ameryce tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku, być właścicielem części ciała, które poruszają się i reagują samodzielnie i zniechęca; oto, co znaczy być nimi, rodzicami, więc nie odwracajcie się, miejcie oczy szeroko otwarte, wy wszyscy, mali Mellowowie, nawet to najmłodsze, sześćcioletnie, przytłoczone fascynacją i potwornym strachem - bo już jest za późno, może i obrazki są malowane tuszem, ale są takie delikatne i pozostaną z wami na zawsze, jak tamta wiewiórka w ogrodzie, która choć rażona prądem, długo trzymała się kurczowo drutu, bo tak samo wygląda kurczowe przywarcie do siebie ludzi, tak samo przyciskają się do siebie mężczyzna i kobieta. Tak to jest być nimi, tak to jest, a najbardziej niewiarygodne w tym wszystkim jest to, że któregoś dnia tak samo będzie z wami.

Rozdział drugi

Nieszczęśliwe życie seksualne to miasto samo w sobie, ze świecącymi do nocy oknami, za którymi mężczyźni i kobiety siadają w łóżkach z ostrożnością, znużeniem lub złością i rozmawiają o tym, co poszło źle, kogo należałoby winić, jak „znowu wyjść na prostą”, czy próbować jeszcze tej samej nocy, czy też ulec poczuciu wymęczenia i sponiewierania. Za jednym z takich okien, na dwudziestym trzecim piętrze masywnego punktowca na Amsterdam Avenue, Michael Mellow kochał się właśnie z Theą Herlihy, swoją dziewczyną od dwóch do-brych lat. W wieku czterdziestu jeden lat był w łóżku namiętny i skupiony, lecz jego miłosne zmagania zdawały się trwać w nieskończoność, choć wkładał w nie cały wysiłek. Po prostu nie mógł skończyć. Mimo to czuł potrzebę, by jeszcze próbować, by swoją sumiennością wyczerpać siły ich obojga, zerrzeć ich w kopczyk wiórów, piramidkę ludzkiego prochu, nim w końcu będzie mógł się przyznać, że znowu nie podołał naj-prostszemu z zadań człowieka.

Wiedział, że to nie jego wina, lecz środka przeciw depresji, który zażywał. Zapewne powinien już zmienić go na inny, przyzwyczajenie organizmu do nowego leku zajmuje jednak wiele czasu, a Michael nie potrafił znieść myśli, że znowu miałby popaść w stan przygnębienia. Leki przeciwdepresyjne zaczął przyjmować pół roku wcześniej, kiedy nie mógł się skoncentrować w pracy i męczył się potwornie w cichych, spokojnych i zgrabnie urządzonych biurach firmy Dimensions D-Net. Choć

w firmie Michael Mellow uważany był za prawdziwego geniusza programów komputerowych, acz usuwającego się w cień, to on sam, nieoczekiwanie i zupełnie nagle, zauważył pewnego dnia, że pozostaje dziwnie obojętny na śpiew syren płynący z monitora i na owalne, klonowe jezioro stołu w sali konferencyjnej. Przez głowę przelatowały mu bezładne obrazy, wszystkie podszyte tym samym ciężkim brzemieniem strachu: czy byłby to atak islamskich terrorystów, którzy wysadzają całe miasto w powietrze, czy gafa popełniona w czasie lunchu, kiedy naśmiewa się głośno ze scjentologów, podczas gdy siedzący z nimi przy stole ważny inwestor, jak się okazuje, od dawna należy do ich sympatyków.

Za namową przyjaciela Michael poszedł na spotkanie z psychofarmakologiem o nazwisku Snell. Ten przepisał mu coś z grupy SSRI, coś, co rozjaśniało mu umysł serotonina, której mózg tak usilnie się dopraszał. Pierwszy lek wywoływał w nim jednak uczucie jakiegoś odurzenia i rozgorączkowania w środku nocy, kiedy powinien spać. O drugiej zbierał się z łóżka i wchodził na długie godziny do Internetu; wysyłał wiadomości do brata do Providence, do młodszej siostry mieszkającej w bloku w East Village, do matki zajmującej dom w Saratoga Springs na północy stanu, do ojca, do jego mieszkania na Florydzie, a nawet do Rufusa, kolegi z pracy i towarzysza niedoli, który diabli wiedzą gdzie mieszkał, najpewniej pod biurkiem we własnym biurze, i który bez względu na godzinę odpisywał mu niemal natychmiast.

Snell przepisał zatem Michaelowi nowe lekarstwo, o budzącej podskórny niepokój nazwie Proviva, która niby była słowem, ale nie do końca. To niby-słowo sugerowało, że zażywając lek, człowiek automatycznie staje się życiowo aktywny, a w każdym razie zaczyna być „pro”. Najnowsza generacja leków przeciwdepresyjnych nosiła nazwy brzmiące jak modele samochodów, jak rzeczy, w których środku człowiek chciałby

się znaleźć. Co będzie, zastanawiał się Michael, kiedy się wy-
cierpią te wszystkie niosące nadzieję, kosztowne nazwy? Jaka
nazwą ochrzczą następną generację SSRI? Torpeda? Diabło?
Rakieta? W każdym razie po trzech miesiącach przyjmowania
Provivy życie Michaela znowu zaczęło coś znaczyć, za to jego
seksowi zaczęło brakować zakończenia. Za każdym razem,
kiedy się to działo, czuł wstyd, jakby przyłapano go na ściąganiu
w czasie egzaminu albo odkryto na jego plecach szczątko-
wą płetwę grzbietową.

Michael unosił się nad Theą, spoglądając na nią w przy-
ćmionym świetle halogenu, który włączył palcem od nogi; to
było ciepłe, spokojne światło, podobne do tego, jakie sączy się
z dyniowego lampionu - światło, które może sprzyjać miłości
i, na co liczył Michael, orgazmowi. Nikt bardziej od niego nie
mógł odczuwać ironii tej sytuacji: oto on, Michael Mellow, syn
osławionych Mellowów, tych od seksu, od kilku dobrych mie-
sięcy nie może skończyć tego, co zaczyna, nie może skończyć
aktu miłosnego, nie może, mówiąc bez ogródek, osiągnąć or-
gazmu - było to coś, co wprawiało go w zakłopotanie, a zara-
zem dawało odczuć właśnie ironię losu. Żaden z tych stanów
nie był niczym dobrym; w zakłopotaniu człowiek się spina,
a ironia to tylko niemilknący komentarz, ciche stepowanie to-
warzyszające każdej porażce i łudzące, że porażki nie mają zna-
czenia, nawet jeśli mają ogromne.

Ta miała znaczenie. W dyniowej poświacie, wciskając się
w Theę Herlihy, Michael zobaczył, że jej ręce są wyciągnięte nad
głową, jakby w geście poddania, a palce wczepiają się w mięk-
ką poduszkę z gęsim puchem. Gdy wchodził w nią, cofał się
i znowu wchodził, czuł, jak fala podniecenia napływa i opada
za każdym razem, kiedy głowa napotyka wymoszczony, szar-
y panel wezgłowia, bijąc w niego jak bokser markujący ryt-
miczne ciosy. „Nnng”, usłyszał własny głos, zawstydzony jego
brzmieniem w przestronnej, nowoczesnej sypialni, która zawsze

głośno niosła echo ich kłótni lub seksu. „Nnng” powtarzał - brzmiało to jak wietnamskie imię: słowo bez samogłosek.

Powieki Thei zadrżały, otworzyły się, a po chwili znów zamknęły. Zdał sobie sprawę, że dyskretnie sprawdza, czy dochodzi i czy w ogóle jest w stanie skończyć w najbliższym czasie. Nie chciała, żeby zobaczył, jak to robi, ale było za późno, już dostrzegł, a ich oczy się spotkały w tej okropnej chwili porozumienia, która natychmiast złamała rytm, zerwała go na sekundę, jakby serce przestało na chwilę bić. Teraz żadne z nich nie wiedziało, co robić, jak postąpić dalej. Myśl, powiedział sobie Michael, myśl.

- Na dole wszystko w porządku? - zapytał, próbując się uśmiechnąć.

- Uhm. Na gorze?

- Jasne - odpowiedział. - Po prostu się nie śpieszę. Spokojny spacer.

Pogłaskała czoło Thei i odgarnęła parę luźnych kosmyków, które spadły jej na oczy. Wydawała się, zauważył, trochę zafrasowana, lecz nagle jakby zmieniła plany, przygarnęła go mocno do siebie i pocałowała gorąco w usta, i znowu się wszystko zaczęło. Kilka chwil później wydobywała z głębi gardła ciche jęki, a Michael się zastanawiał, czy rzeczywiście z podniecenia, czy też robiła to po to, by po prostu przyśpieszyć sprawę, niczym dorzucony hormon wzrostu, by bardziej się podniecił i skończył, by było już po wszystkim, by mogli leżeć obok siebie i rozmawiać o pracy, jej próbach teatralnych, jego jutrzejszej podróży, o tym, co słysząc u przyjaciół i w ogóle na świecie - bo wydawało się, że właśnie na to Thea ma teraz największą ochotę.

Za długo to dzisiaj trwało - jak zresztą już od wielu tygodni. Najpierw zjedli obiad, wspólnie ugotowany w ich małej, nowojorskiej kuchni, z wykorzystaniem składników, które Thea kupiła w Fairwayu w drodze powrotnej z teatru: ma-

karon tagliatelle, oliwa z oliwek, lekko tłuczona bazylia i pecorino. Stali ramię przy ramieniu, ich dłonie wędrowały po miskach, szarkach i szufladach, i śpiewali przy tym starą jak świat piosenkę Jamesa Taylora i Carly Simon, *Mockingbird* - on basowym, niskim głosem, ona słodziutkim, odpowiednio wyższym.

- Mock... - śpiewał.

- Jee...

- ing...

- Jee...

- bird...

- Jee...

I dalej. Michael był zachwycony, że Thea ją zna, bo miała dwadzieścia osiem lat, więc piosenka nie była z jej czasów. Zresztą z jego również nie, a do tego jeszcze w młodości z pogardą się odnosił do muzyki łatwej i przyjemnej. Kto mógł jednak przypuszczać, że pewnego dnia stanie w ciasnej kuchni, by gotować ze swoją dziewczyną obiad, i nabierze ochoty, by zanucić razem z nią coś szybkiego i chwytliwego, i że nie będzie to nic z Pink Floydów ani Yesów, ani żadnej innej grupy, które jako chłopiec poznawał z talmudyczną żarliwością i których piosenki śpiewał tylko wtedy, gdy był pewien, że jest sam.

Podczas obiadu we wnęce jadalnej Michael i Thea byli całkowicie rozluźnieni, spoglądali przez okno na odległe pasmo świąteł, ponad ulicą i rzeką Hudson, jedli z zielonożółtych talerzy, które wybrali wspólnie, gdy zamieszkali razem. Nawet potem, kiedy włączył komputer - wszedł na chwilę do Internetu, najpierw napisał do siostry Claudii, a potem do Rufusa - Michael nie miał na nic ochoty. Kiedy wreszcie poszli do łóżka, około wpół do jedenastej, ich ciała miały odpowiednią temperaturę i gładkość w dotyku, łatwo reagowały i łatwo się podniecały.

Po pocałunkach, pieszczotach i krótkim turlaniu Michael wsunął delikatnie dłoń między nogi Thei, ona odpowiedziała na swój sposób, najpierw spokojnie i kontemplacyjnie, a później lekkim drzeniem; i wszystko było cudowne, wszystko podniecające i zacisnęła uda wokół jego ręki, i odchyliła głowę w kierunku okna, jakby była nieśmiała i nie chciała, by widział, jak ściąga usta, wysuwając dolną szczękę niczym Franklin Delano Roosevelt. Potem westchnęła głęboko, rozluźniła ucisk jego biednej, dużej dłoni, nie chcąc jej miażdżyć, i to już to. Jego penis wciąż stał wyprężony, wyczekujący, niemal tykał, zdawało się, jak bomba zegarowa, ale to mu nie przeszkadzało; bynajmniej nie było żadnego niebezpieczeństwa, by Michael teraz doszedł. Thea dotykała go lekko, leniwie, kiedy popijali ciepłą wodę z kranu z jednej szklanki, i znowu zaśpiewali parę taktów *Mockingbirda*, a potem, po paru minutach, odsta- wił szklankę na stoliczek i wrócili do miłości.

Wówczas, w tej nowej fazie, nagle zrodziło się między nimi napięcie: pytanie, na które w taki czy inny sposób będzie się musiała znaleźć odpowiedź. Położył się na niej i wszedł w nią szybko; doznanie, że coś go otacza, trzyma mocno, było jak zawsze bardzo przyjemne, ale chociaż powiedział do niej: „Kocham cię, Thea”, a ona odpowiedziała natychmiast i z uczuciem: „Ja ciebie też”, to wydawało się, że on mógłby być kimkolwiek i ona również mogłaby być kimkolwiek. Raptem zobaczył ich jako dwoje obojętnych sobie ludzi w pokoju hotelowym za granicą. Ona mogłaby być niepiśmienną prostytutką, a on biznesmenem - oto, ile miłości łączyło ich tak naprawdę w tym momencie.

Silna koncentracja dławiła mu głos, mierzył w nagrodę nieosiągalną na takim średnim dystansie, w cel, na którym się skupiał cały jego umysł i każdy mięsień jego długich ramion i nóg. Penis nie opadnie, ale nic się nie wydarzy - nigdy nie będzie miał wytrysku, choćby nie wiadomo co. To nie mia-

ło sensu, daleko tak nie zajdzie. „Nnng” stało się wojennym okrzykiem frustracji, a potem strachu, przedwerbalnym, zawierającym wszystko.

Wreszcie zdecydował, że czas przerwać. Nie miał z tego radości; Thea prawdopodobnie już także nie. To trochę tak, jakbyś oglądał wspaniały film i nagle zdał sobie sprawę, że jesteś nim śmiertelnie znudzony, że film wcale nie jest wspaniały, a ty jesteś znieczepliwiony i masz ochotę wyjść. Witaj w mieście nieszczęśliwego pożycia seksualnego, pomyślał, oto twoje mieszkanko. Przestał się poruszać i spojrzął na Theę, kręcąc głową.

- Przystajesz? - zapytała Thea.

- Mogę?

- Jasne.

- Po prostu znowu nic z tego nie będzie - powiedziała.

Ujął nasadę penisa dwoma palcami i ostrożnie zaczął się z niej wycofywać. Kiedy opuszczał jej ciało, usłyszał ciche mlaśnięcie, pyknięcie, jakby mieli w tamtych miejscach naoliwione części metalowe; śrubę, nakładkę i nakrętkę motylkową.

- Wydawało mi się, że byłeś blisko - powiedziała Thea.

- Nie. Przepraszam.

- Och, nigdy nie potrafisz poznać, czy jesteś blisko czy nie. Mężczyźni. U was to wielka tajemnica, dopóki się nie stanie.

- Nie ma w tym żadnej tajemnicy - odpowiedział Michael, myśląc jednocześnie, że prawdziwą tajemnicą są kobiety, które mogłyby udawać podczas całego aktu miłosnego i nikt by tego nie zauważył; zaczął się nawet zastanawiać, czy Thea kiedykolwiek udawała przed nim orgazm, i podejrzewał, że tak. - Po prostu już nie mogę. Przepraszam.

Leżeli, patrząc sobie w oczy. Wydawało się, że Thea niezbyt się przejęła jego niepowodzeniem.

- Nie musisz przeproszać - powiedziała po chwili. - Nie jestem zła.

- Cóż, ja jestem. Możesz do mnie mówić L. Thomas Wolno
Dochodzi Slocum.

Przed oczami stanęła mu siostra, jej piegowata twarz dojrzewającej nastolatki, jaśniejąca radośnie, i poczuł się trochę podniesiony na duchu.

- Co jest? - zapytała Thea.

- Nic - odpowiedział. - Nic ważnego.

Ten jeden, konkretny sukces stał się w ostatnich tygodniach tak bardzo nieosiągalny, że nagromadził w Michaelu morze energii, urósł w jego głowie do rangi nagrody nad nagrodami, do czegoś, co wyparło wspomnienia wszystkich poprzednich orgazmów, tych niezliczonych, pozbawionych głębszych myśli zdarzeń, do których doszło czy w tej sypialni, czy gdzie indziej: na zabałaganionym tylnym siedzeniu jego srebrnego, używanego hyundaia, na rozmiękłym, podgnitym pomoście w Maine, na jakiejś werandzie w Rzymie na pierwszym roku studiów, na parkingu w Michigan, w samochodzie kempingowym o opływowych kształtach, należącym do ojca jego dziewczyny, i w samotności, kiedy jeszcze był dzieckiem, w jedwabistym, wilgotnym śpiworze pod gwiazdami w ich ogrodzie, kiedy patrzył na impresjonistyczne kropki gwiazdozbiorów Oriona, Łabędzia i Niedźwiedzic, lecz których nie widział, tak bardzo pochłonał go ten głęboki, przyprawiający o drżenie moment. Tamte orgazmy były beztroskie i łatwe, nie wiedział tego, co wie teraz: że rozkosz nie jest dana raz na zawsze, że w miarę jak człowiek się starzeje, przyjemność jest mu odcinana w kawałkach drobnych jak konfetti, że jeśli przywołany w wyobraźni obraz kobiety napełnia pożądaniem całe ciało, nie znaczy to, iż zawsze przyniesie zaspokojenie.

Dni pewnych orgazmów miał za sobą. Dzisiaj wieczorem poszedł do łóżka z Theą Herlihy, kobietą, którą kochał - poszedł bezmyślnie, jakby wreszcie miało się to skończyć tak jak powinno. Choć seks z Theą od miesiąca był już taki jak dzi-

siaj: niemożliwy do spełnienia, a przynajmniej niemożliwy do zakończenia. Wydawało mu się jednak ważne, by znowu spróbować, choćby symbolicznie, bo następnego ranka jak zwykle wyjdzie do pracy, a wieczorem, pod koniec dnia, pojedzie samochodem na lotnisko, skąd wyruszy w podróż, i minie blisko tydzień, zanim znowu znajdą się z Theą w łóżku.

Michael jechał do miasteczka Naples na Florydzie, a konkretnie do Roześmianego Lasu - była to indiańska nazwa chronionego, zamkniętego osiedla zadziwiająco niebrzydkich bloków mieszkalnych, na którym mieszkał jego ojciec, Paul Mellow, ze swoją trzecią żoną, Elise. Może Elisą? Michael nigdy nie był tego pewny. Jechał, bo poprosiła go o to matka, a Michael niemal zawsze ustępował matce - tej sześćdziesięciosiedmioletniej żywej energii, która kiedyś przygotowywała na Boże Narodzenie galaretkę z czerwonych i zielonych papryczek, a teraz prowadziła dla studentów pierwszego roku Skidmore College zajęcia z seksualności człowieka, podczas których, co stało się głośne, demonstrowała, jak założyć na banana kondom, choć oczywiście pierwszorocznicy potrafiliby to zrobić z zamkniętymi oczami. Pomimo pewnego zażenowania, które oczywiście zawsze ogarniało Michaela, gdy chodziło o rodziców, Roz Mellow była jego matką, i nawet jeśli potrafiła manipulować innymi i dawała się ponieść emocjom, to okazywała mu wiele dobrego serca i musiał spróbować jej pomóc.

Za niecałe dwa lata książka *Jak dać rozkosz: podróż pewnej pary do spełnienia* będzie obchodziła swoje trzydzieste urodziny i wydawca zaproponował jej wznowienie. Zanim skontaktowano się z Mellowami, pomysł był prawdopodobnie przedmiotem gorącego sporu w wydawnictwie. To oczywiście, przekonywał jeden ze starszych redaktorów, że książka jest skamieniałą, skarabeuszem, który ukazuje ślad zaginionej cywilizacji znanej z chwil intymności i prywatności, zanim pochłonęła ją

jazgotliwa erupcja elektronicznego porno, z nieprzerwanym dostępem do sieci i witrynami o takich nazwach, jak lizaniecipek.com, randkazerznieciem.com albo orgazm.org, za których stworzenie kogoś gdzieś spotkało uznanie - za projekt i za różową, debilną grafikę, przyciągającą oczy do jaśniejącego ekranu noc w noc, noc w zmarnotrawioną noc.

„Właśnie dlatego powinniśmy znowu ją wydać”, przeciwstawiła się młoda, nadzwyczaj zdolna redaktorka, Amerykanka pochodzenia chińskiego o nazwisku Jennifer Wing, która pięła się bardzo szybko po szczeblach wydawniczej kariery. - Musimy ludziom przypomnieć - przekonywała podczas kolegium redakcyjnego w poniedziałkowy poranek - o zaginionym świecie miłości.

Coś, co w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku uważano za niecenzuralne, za szokujące - te zwykłe rysunki kobiety i mężczyzny w białym łóżku - z biegiem czasu stało się ledwie wzruszające ze względu na swoją niewątpliwą intymność. Przecież na wszystkich rysunkach był ten sam mężczyzna i ta sama kobieta: byli tylko we dwoje, owłosieni i urzekający, niedoskonali, ale oddani sprawie, jeśli razem, to zawsze roznamiętnieni, zawsze gotowi na coś nowego, no i zawsze wracali do tego samego, białego łóżka.

„Co z tego, że książka jest skamieliną?” - mówiła Jennifer Wing do pozostałych poniedziałkowych redaktorów, niewyspanych, z mokrymi jeszcze włosami. (Ona sama nie spała od świtu; szukała ze swoim chłopakiem dobrych argumentów do dyskusji.) Byłby to nawet atut marketingowy; czytelnicy mogą przecież głęboko tęsknić do tego, czego już nie ma. Wszyscy jednak zgodzili się, że aby książka zachowała aktualność, aby utrzymała się w „gołej szpicy” (określenie, którego Marge Fenner, wiekowa redaktorka i stara panna, użyła bez cienia skrupowania), trzeba napisać do niej wstęp i rozważyć dodanie kilku nowych rozdziałów dotyczących między innymi kwestii

zasad bezpiecznego seksu czy, co było mniej jasne, koncepcji „uprawiania miłości w dobie terroryzmu. (Niby co to ma znaczyć? - zastanawiał się Michael. Oklejanie penisa taśmą do kneblowania ust?) W tamtym starym, dobrym tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku takie środki ostrożności byłyby nie do pomyślenia, byłyby całkowicie zbędne, byłyby futurystycznym koszmarem wymyślonym przez jakiegoś świra od science fiction.

Do wznowienia trzeba będzie zrobić serię nowych ilustracji, przekonywała Jennifer Wing, kiedy pierwszy raz telefonowała do Roz Mellow. Stare rysunki dzisiaj trochę śmieszą, zwłaszcza długie, zmierzwione włosy, które artysta dorysował Paulowi, i pomarszczone, białe, winylowe buty do kolan w striptizerskim stylu, które Roz miała na sobie na jednym z rysunków, ilustrującym krótki rozdział o fetyszyzmie. Będą pozowały nowe osoby, kobieta i mężczyzna, o bardziej współczesnej urodzie, młodzi, z kolczykami w strategicznych miejscach, o lekko zaniedbanym, sardonicznym wyglądzie - seksowna, szczupłutka para, w jakimś sensie uderzająco źle do siebie usposobiona, ale któż nie przebył tej trajektorii od miłości i pożądania do chłodu i wzdrywania się, jak choćby z upływem czasu sami Mellowowie.

Właśnie ta wzdryka ostatecznie zdecydowała, że Paul Mellow nie wyraził zgody. Nie, powiedział, nie chce, aby książka znowu się ukazała; nie, nie chce mieć nic wspólnego z byłą żoną Roz ani z tamtym okresem ich życia. Kiedyś kochał ją do szaleństwa, włożył w tę miłość całego siebie, jak dobrze wiedzą jego dzieci, i proszę tylko spojrzeć, do czego to doprowadziło. Zresztą, przekonywał, niepotrzebne mu pieniądze z honorariów; jego żona, Elise/Elisa, posiadała odziedziczony majątek, który w zupełności wystarczał na koszty mieszkania w Roześmianym Lesie i pozwalał Paulowi robić coś więcej, niż tylko dostarczać artykuły do czasopism i periodyków psy-

chologicznych. Paul doskonale też wiedział, jak bardzo Roz zależy na wznowieniu książki, jak bardzo brakowało w jej życiu udziału w talk-showach, akademickich panelach na temat seksu, drukowanych później w formie broszur, jak brakowało jej artykułów w tygodnikach, które publikowały zdjęcia młodych, błyszczących i pełnych wigoru Mellowów, a obok starych Mellowów: jego z brzuszkiem i brodą, już nie czarną i diaboliczną, ale coraz bardziej rozrośniętą i siwą, lekko amiszową, co bardzo mu przeszkadzało i co z jeszcze większym naciskiem kazało mu powiedzieć: nie.

- Pojedź do ojca, porozmawiaj z nim - prosiła Michaela kilka tygodni wcześniej zdesperowana Roz. - Pokaż mu nowy projekt książki, który przysłała mi Jennifer Wing, nowy wstęp, nowy układ stron. Wygląda naprawdę szafowo. Może zmieni zdanie. Mnie na pewno nie będzie słuchał.

- Ojciec mieszka na Florydzie, mamó. Nie mogę tak po prostu do niego pojechać - mówił Michael.

Miał ochotę zapytać, dlaczego nie próbuje wysłać do ojca innych dzieci, ale w porę się powstrzymał; doskonale znał odpowiedź na to pytanie. Holly właściwie nie należała już do rodziny, była jakimś dziwacznym hologramem, mieszkała daleko w Los Angeles z mężem, irytującym doktorkiem, i synkiem Buddym. To była wyłącznie jej decyzja, podjęta dawno temu, i nikt w rodzinie jej nie rozumiał. Musiała być z dala od nich, może dopiero wówczas czuła, że wszystko jest w porządku. Holly nie wchodziła więc w grę. Z kolei Dashiell miał dla mamy mało serca, choć często się z nią kontaktował. Pozostawała Claudia, która z całą pewnością pojechałaby na Florydę, gdyby mama ją poprosiła, ale w żaden sposób nie potrafiłaby wpłynąć na ojca, ponieważ za grosz nie miała daru przekonywania. Claudia była bardzo uprzejma i bardzo posłuszna, wręcz służalczo posłuszna, co w oczach Michaela nie trzymało się kupy, bo przecież z drugiej strony Claudia była

dużą indywidualnością i z pewnością umiała pokazać charakter, prawda? Nie, w stosunku do rodziców nie umiała pokazać charakteru. Była jedyną z rodzeństwa, która wciąż mieszkała sama, która nie podjęła stałej pracy, i dlatego rodzice otaczali ją wciąż największą troską.

Rozmowę telefoniczną z matką przerywały i bombardowały chwile ciszy. Mama wdychała głośno i długo, raz czy drugi zachlipała nawet. Nim rozmowa dobiegła końca, Michael zapewnił, że dobrze, dobrze, pojedzie do ojca, porozmawia z nim, „nie martw się, mamó”. Musiała wiedzieć, że Michael ulegnie. Nie tylko dlatego, że tak uparcie naciskała - zawsze była natarczywa. Chodziło również o to, że dla większości dorosłych mężczyzn ojciec to bardzo czuły punkt. Większość dorosłych mężczyzn, uważał Michael, gdy tylko w ich obecności pada imię ojca, z miejsca staje się frajerami i mazgajami, wielkimi dzieciakami w czapeczce, z parodniowym zarostem. Roz Mellow wiedziała o tym doskonale i chociaż nie zdawała sobie sprawy z pewnych szczegółów dorosłego, prywatnego życia swojego starszego syna - zwłaszcza jego depresji i frustrujących problemów w łóżku - to wiedziała, że Michael pojedzie.

Frustracja była dla Michaela raczej nowym uczuciem; w przedkim, miejskim życiu, jakie od dawna wiódł, przywykł do szybkiego zdobywania różnych rzeczy i rzadko musiał czekać na coś, czego zapragnął. Och, oczywiście, rano i wieczorem trzeba było czekać na publiczną komunikację albo na kawę, której pojawienie się na kontuarze w Starbucksie obwieszczano z istic królewską pompą, ale to były ledwie elementy zwykłego, codziennego tanga, banalna wańka-wstańka miejskiego życia, na które człowiek przecież sam się decydował. Jeśli ci to nie w smak, możesz zacząć żyć jak inni - przeprowadzić się w głąb kraju, gdzie nikt nigdy na nic nie czeka.

Jednak czekanie w nieskończoność na orgazm było uwłaczające i nie do przyjęcia. To błyskawicznie budzące się podnie-

cenie, które zawsze uważał za coś oczywistego, zastępował najpierw jakiś stan neutralności, a potem brak podniety; w końcu Michael miał poczucie, jakby piłował kłoc drewna, którego po prostu nigdy nie da rady przepiłować. Wreszcie się poddawał, szedł do łazienki i patrzył na dotkniętego anafilaksją penisa nieszczęsnym wzrokiem, wypełnionym udręką i dezaprobatą, niczym rodzic na krnąbrne dziecko.

- Słuchaj, to nieważne - przypominała mu teraz Thea w łóżku.

- Ważne.

- Jeśli chcesz, możesz się tym zadręczać, ale dla mnie to, naprawdę, naprawdę nie ma znaczenia - powiedziała.

Usiadła na łóżku, włączyła stojącą na stoliku nocnym lampkę na esowatej nóżce i wzięła do ręki scenariusz sztuki, do której się przygotowywała. Sztuka była oparta na doświadczeniach sławnej pacjentki Sigmunda Freuda, Dory, która cierpiała na histerię, była jednym wielkim konglomeratem skarg i żalów, a w kwestii seksu kompletną katastrofą.

- Nie rozumiem, dlaczego coraz bardziej cię to wścieka - ciągnęła Thea.

- Bo się wciąż powtarza.

- Dlaczego nie poprosisz o inny lek? Codziennie wypuszczają na rynek coś nowego, prawda?

- Już raz zmieniałem lekarstwo - powiedział Michael. - Taka zmiana to prawdziwa męczarnia. Mijają tygodnie, zanim krew się przystosuje do czegoś nowego. Zresztą ten dobrze działa.

Odniosł wrażenie, że jego niemożność osiągnięcia orgazmu daje Thei jakąś podłą, króciutką chwilę przyjemności. Choć takie myślenie nie miało sensu, bo Thea go kochała. Wydawała się jednak jakoś nadmiernie rozluźniona wobec braku satysfakcji z jego strony. Jej głos nabierał wesołego przyśpiewu. Mówiła coś w rodzaju „Och, no cóż...” albo „To nie ma zna-

czenia, Michael" i on jej wierzył; to dla niej w ogóle nie miało znaczenia.

Thea Herlihy należała do kobiet, które mają gotową odpowiedź na wiele rozmaitych problemów, a jeśli niekiedy jej nie miała, to najpierw podchodziła do tego filozoficznie, a potem z wesołą obojętnością. Potrafiła osiągnąć orgazm w trzy minuty, wystarczyło popieścić z wigorem jej łechtaczkę i zasugerować złowróźnie do ucha, co jeszcze można by jej zrobić. Thea miała spokojne usposobienie, któremu towarzyszył pewnego rodzaju androginizm, co zdawało się czynić jej naturę bardziej złożoną, niż w istocie była. Wyglądała na Francuzkę, osobę dzielną, lecz zranioną, choć naprawdę pochodziła z Marblehead w Massachusetts (wciąż wymawiała tę nazwę „Mobblehead”), i w ciągu swoich dwudziestu ośmiu lat życia nigdy nie doświadczyła prawdziwej traumy. Miała włosy ciemnoblonde, krótko przyszczyżone, jak Mia Farrow w *Dziecku Rosemary*. Nosiła obcisłe dzinsy sięgające połowy łydek i męskie koszule w wielkanocnych odcieniach różu i żółci, jakich nigdy nie włożyłyby żaden ze znanych Michaelowi mężczyzn. Miała zdumiewająco drogie okulary - to bodaj jej jedyna ekstrawagancja w skądinąd dość oszczędnym życiu.

Była aktorką z legitymacją związku artystów scenicznych, często obsadzaną, która jednak nie odniosła dotychczas wielkiego sukcesu. Grała w spektaklach przynoszących mizerne dochody, ale ciężko pracowała, chcąc wyrobić sobie nazwisko w marginalnym wszechświatku małych, zimnych manhattańskich teatrów na zachodnim krańcu Dwudziestej Ulicy, gdzie okutani w grube, wełniane okrycia aktorzy próbowali sztuki Sama Sheparda albo Davida Mameta, na scenach będących zwykłymi platformami, a z każdą wycharkowaną lapidarną i eliptyczną kwestią wydobywały się z ich ust kłęby pary. Z powodu swoich włosów Thea często grała postać Joanny d'Arc. Niebawem, choć jeszcze o tym nie wiedziała, przedstawienie

0 Dorze, *Histeryczka*, otworzy się i zamknie równie szybko jak małża, a ona dostanie po paru miesiącach tytułową rolę w odnoszącym lokalny sukces spektaklu dla dzieci *Piotruś Pan* I przez większą część roku pozostanie w jego obsadzie - w zielonej tunice, rajstopach i tyrolskim kapeluszu, opleciona linami będzie fruwać nad sceną.

Odkąd się poznali, Michael oglądał Theę w każdym jej przedstawieniu. Przynosił mokre, zawinięte w papier lilie i frezje z pobliskiej, koreańskiej kwiaciarni i czekał w narożniku garderoby, podczas gdy ona rozmawiała scenicznym slangiem z resztą aktorów albo siedziała przed stłuczonym lustrem z wacikiem jakiegoś kremu do demakijażu. Poza teatrem Thea w ogóle się nie malowała. Będąc z nim w łóżku, nigdy nie zostawiała na pościeli śladów makijażu, jak zdarzało się to jego poprzednim kobietom. Była w niej jakaś fizyczna czystość i gracia, cechy, które ludzie zwykli kojarzyć z aktorkami, tancerkami lub młodymi nauczycielkami szkół podstawowych.

- Pójdę chyba na spacer - rzucił, nie bardzo wiedząc, co dalej robić.

Ciało wprowadzone w ruch dąży do pozostania w ruchu - kipiło w nim jeszcze, czuł się jakiś niedokończony. Może pójdzie na hamburgera do całodobowej knajpki na rogu. Może po prostu się przespaceruje.

- Och, po co? Jest późno - powiedziała Thea. - I zimno.

Zawahał się, a potem zdał sobie sprawę, że Thea ma słuszność, wyjście z domu wcale by mu się nie przysłużyło. Był styczeń, co prawda beżśnieżny, ale paskudnie zimny. Przez Amsterdam Avenue jechała wolno zamiatarka, zostawiając za sobą mokrą, długą smugę, która natychmiast zamarzała. Jeszcze dziesięć lat temu stałaby tu na ulicy grupka nastoletnich chłopaków, popalająca wspólnie jednego jointa, nawet w taką pogodę, przegonił ich jednak walczący z narkomanią burmistrz i chłopcy zapewne siedzą teraz w domach i każdy pali sobie

jointa sam, w swojej sypialni, przy szeroko otwartym oknie, przez które wpada do wnętrza nocne powietrze. Michael wspominał lata młodości, dzieciństwo i było to jak myślenie o śmierci, bo tamta młoda osoba z falą czarnych włosów, z odradzającymi się bez końca orgazmami, zniknęła z całą pewnością. Ktoś ją uprowadził w nocy, najwyraźniej absolutnie bezgłośnie.

Prawda jest taka, że jeśli człowiek przywiązuje do tego wagę, to głos kończącego się dzieciństwa jest czymś potwornym. Jeśli należysz do tych ludzi o nadprzyrodzonych zdolnościach i rzeczywiście słyszysz ten głos, wiesz, że przypomina on dźwięk tłukącego się szkła lub ciała padającego na jakąś powierzchnię, i choć masz nadzieję, że tą powierzchnią będzie łagodne ciało matki albo ojca, które wyhamuje upadek, to okazuje się, że jest nią twardy, pałacy trakt reszty życia. Michael wiedział, że takie dźwięki rozlegały się teraz wszędzie wokół niego - dzieciństwo zniknęło, jakby wskutek aktu przemocy, zastępowała je trupa dziwacznych, autorytatywnych dorosłych. Świat był pełen tych nowych ludzi, którym pozwolono pić, głosować, prowadzić samochód, wykłócać się, znaczyć coś, a czasem, kiedy nie mieli szczęścia albo może raczej je mieli, płakać nad czymś, co się zdarzyło dawno temu.

W wieku czterdziestu jeden lat Michael Mellow pamiętał niemal wszystko, co mu się zdarzyło, zarówno przed, jak i po przemianie z chudego, bystrego chłopaczka z wystającymi żebkami i długimi, ciemnymi włosami, w przystojnego, nazbyt wysokiego, przygnębionego, otumanionego lekami przeciw depresji, niezdolnego do ejakulacji mężczyznę. Jego dorosła twarz nosiła na czole zmarszczki szczeniaka shar pei, a przyszczyżone, ciemne włosy były mocno przyprószone siwizną. W Dimension D-Net, choć uważano go za geniusza, szybko dostrzeżono, że nie przejawia szczególnych ambicji, co zastanawiało niektórych jego kolegów - nie chwyłali tej subtelności, że jeśli

przez całe życie jest się uważanym za złoto, czasem rzuca to na człowieka ciężar paraliżującej rozpacz.

Taka złocistość pokrywa człowieka albo wcześniej, albo wcale. Michael Mellow był inteligentny i zawsze wiedział, czego chce, jakby w sposób nadprzyrodzony potrafił świetnie zdać egzaminy, szybko się uczyć, wyciągać na randki seksowne dziewczyny i robić znakomite wrażenie na szefach. Kobieta, która w Dimension D-Net prowadziła z nim rozmowę kwalifikacyjną, z miejsca wypisała czerwonym pisakiem, w poprzek jego podania o pracę: „Steve, BIERZEMY GO”. I chociaż dzieciństwo Michaela dawno się skończyło, firma stała się nowym, pokrzepiającym rodzicem, pochlebcą, który się troszczy o wszystkie potrzeby. Każdego roku były premie. Były obiady w wyciszonych, wytwornych, modnych restauracjach, gdzie zachęcano gości do samodzielnego komponowania potraw ze składników pozornie ze sobą nieharmonizujących: różnych traw, nasion, mięs niewinnego ptactwa. Michaela hołubiono w firmie, bo był oryginałem i wolnomyślicielem, był sobą, podobnie jak dawno, dawno temu hołubili go czasem matka i ojciec, jeśli nie zajmowali się akurat hołubieniem siebie nawzajem.

- Połóż się spać, Michael - powiedziała Thea, pochylając się nad nim i całując go w policzek. - Jutro będziesz wykończony. Masz ciężki dzień przed sobą. Najpierw praca, potem lot. Jesteś spakowany?

- Jutro rano się spakuję.

- Kochanie, rano nie będziesz miał czasu.

Thei nie martwiła seksualna klęska i rozpacz Michaela, lecz to, czy zdąży się spakować. Czy to ma sens? Aby uniknąć dalszej dyskusji na ten temat, Michael wyszedł z łóżka i zaczął wrzucać rzeczy do małej, podręcznej skórzanej torby, którą dostał od Thei na ostatnie urodziny. Nie będzie go tylko przez tydzień, więc nie musi zabierać wiele. Michael Mellow szukał

czegoś na dnie szuflady i wyjął czarne kąpielówki Speedo, które ze złością cisnął do torby - wylądowały w niej jednak tak cicho, że Thea zdawała się niczego nie zauważyć.

Wiele lat temu, gdy był chłopcem, którym dziś już nie jest, kiedy sprowadził na parter siostry i brata, by po raz pierwszy obejrzelі książkę rodziców, obejrzelі i wkroczyli w jej świat, tak jak on wkroczył dzień wcześniej, Michael był zupełnie nieprzygotowany na to, że konsekwencje owego oglądania położą się cieniem na całym życiu. Tamtego listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku, po tym jak w czasie jednego posiedzenia książka *Jak dać rozkosz* została przez dzieciaki przeczytana, a następnie zatrzaśnięta z hukiem i wciśnięta z powrotem na półkę, między pasjonującą wegetariańską książkę kucharską i antologię golden retrieverów, czworo dzieci Mellowów błyskawicznie się rozeszło. Dopiero z biegiem czasu Michael dowiedział się, co każde z nich robiło później tamtego dnia.

On sam wyszedł z domu, bez płaszcza, i ruszył prosto do „lasu”, jak dzieci nazywały miejsce na skraju posesji, któremu brakowało najmniejszych atrybutów prawdziwego lasu: żadnej bujnej roślinności, żadnej ściółki, żadnych zwalonych, gnijących pni. Rosły tam tylko młode drzewka o słabych, splątanych korzeniach, a pod nimi leżała miękka, niegdyś pachnąca mierzwa z ziaren kakao, usypana swego czasu przez trzech pracowników sklepu ogrodniczego. Michael szedł i szedł przez ten tak zwany las, aż wreszcie wyszedł na drugą stronę, gdzie posiadłość Mellowów się kończyła, a zaczynała wąska droga dojazdowa do autostrady.

Nowy Jork 55 mil - wskazywał drogowskaz jaśniejącymi, mokrymi literami. Na tej autostradzie byli teraz jego rodzice, jechali do miasta - może już dojechali - gdzie mieli wygło-

sić wykład dla dwustu płacących za wstęp słuchaczy na temat swojej „pracy”, swojego ukochanego dziecka. Najwyraźniej seksu nigdy dosyć; trzeba nieustannie uzupełniać jego zapasy, trzeba wciąż go napełniać, jak napełnia się wodą wiadro w studni. Ludziom nie wystarczy po prostu uprawiać ze sobą seksu, muszą jeszcze oglądać zdjęcia pokazujące seks, muszą czytać na jego temat i słuchać opisów, w każdym rozdzierającym i rozweselającym szczególe.

Michael postanowił, że pójdzie na wykład rodziców, usiądzie w miękkim fotelu, a na koniec, gdy zaczną padać pytania z sali, podniesie rękę i wykrzyknie: „Jak wam się zdaje, jak ja się z tym czuję?!” Aż ścisnęło go w gardle, kiedy pomyślał, jak robi taką scenę, bo nigdy w życiu nikomu nie zrobił sceny. Zdał sobie sprawę, że nikomu przez głowę nie przeszło, jak się muszą czuć dzieci Roz i Paula Mellowów, jak to jest, kiedy rodzice pokazują swoje ciała, upodobania, najskrytsze wnętrza. Kiedy się patrzy na te subtelne rysunki pary nagich, splecionych ze sobą ludzi, można ich sobie wyobrazić wyłącznie jako parę ludzi bezdziejnych, leżących na jakimś nierealnym łóżku, tak prywatnych i odległych jak najdalsza z planet. Ale oni mieli dzieci. Michael chciał, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

Ruszył poboczem drogi dojazdowej i szedł, dopóki nie dotarł do wjazdu na autostradę; tam stanął i wyciągnął w górę kciuk. Mijał go długi ciąg potężnych, amerykańskich samochodów, aż w końcu pojawił się ciemnobordowy cadillac seville, który zwolnił i zatrzymał się kawałek dalej. Michael zobaczył z zamierającym sercem, że za kierownicą siedzi Elaine Gamble („Hej, Gamble'ów rodzinka to nie my, bo obrosłyby nas mchy...”), kobieta, która mieszkała niedaleko, na tej samej ulicy co oni, i której dwudziestotrzyletni syn Stu, zmobilizowany w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym, zaginał w czasie akcji w delcie Mekongu. Mógł się wywinąć od powołania, jak właściwie każdy, kto chciał, tak w każdym razie mówili ludzie.

Ale nie. Stu Gamble powiedział, że chce jechać. Był entuzjastą broni palnej, prenumeratorem magazynu „Broń” i właścicielem glocka, model 17. Więc pojechał, został pojmany przez Wietkong i najprawdopodobniej rozstrzelany, a jego matka sama była teraz bliska śmierci lub w każdym razie tego sobie życzyła.

Pani Gamble miała czarne włosy, zaczesane do góry, ułożone w coś na kształt rozlazłej bezy. Na przegubie wąskiej dłoni nosiła bransoletę z dwudziestoczyterokaratowego złota, z zatrzaskiem zapiętym na stałe, który można otworzyć specjalnym kluczykiem tylko wówczas, gdy wróci do domu zaginiony żołnierz, którego nazwisko jest wygrawerowane na bransolecie, w tym przypadku Stu Gamble. W palcach ręki z bransoletą pani Gamble trzymała papierosa; wytapicerowane ciemnobordowo wnętrze cadillaca cuchnęło wszystkimi papierosami wypalonymi przez nią od tamtego dnia, kiedy przed jej dom zajechała delegacja wojskowych w ogromnym, czarnym sedanie z zaciemnionymi szybami.

- Cześć, Michael - powiedziała. - Dokąd się wybierasz?

- Do Nowego Jorku - wymamrotał.

Ludzie mówili, że odkąd Stu został oficjalnie uznany przez armię za „zaginionego w akcji”, Elaine Gamble straciła rozum; zaczęła mocno pić i regularnie wydzwaniała późnymi wieczorami do nauczycieli z byłego liceum syna, przekonując ich, że powinni byli wystawiać mu lepsze oceny, że powinien zostać przyjęty do stowarzyszenia zasłużonych absolwentów i że prawdopodobnie nie żyje, a w życiu po życiu nie ma już szkoły.

- Mam prośbę - powiedziała Elaine Gamble. - Zawiozę cię do miasta, ale najpierw muszę zrobić zakupy w King Kullen. Będziesz taki dobry i wpadniesz tam na chwilkę, co?

Patrzył na nią przez moment, usiłując opanować złość, że pani Gamble go zwodzi i że jasno dała mu do zrozumienia, iż nie będzie to takie proste, jak mogło mu się początkowo

wydawać. „Och, niechże mnie pani zawiezie do miasta - miał ochotę wykrzyknąć. - Po prostu niech mnie pani tam zawiezie!" Pani Gamble była jednak osobą nieszczęśliwą, nie wolno było się do niej zwracać w sposób obcesowy, a poza tym Michael był dzieckiem, chłopcem, i nie miał żadnych praw przy tej kobiecie, więc musiał ulec. Lista zakupów, którą przed nim rozwinęła, okazała się wyjątkowo długa.

- Muszę kupić sok warzywny, pizzę na francuskim cieście, aha, jakieś mrożone warzywa, podgrzewam je sobie na obiad, kiedy nie czuję się na siłach, czyli praktycznie codziennie, tak więc, bądź uprzejmy, kukurydzę albo zieloną fasolkę i jeszcze sześciopak dietetycznej coli, pudło Larków bez filtra, ach, czekaj, tego ci nie sprzedadzą, może więc zamiast tego wiaderko lodów.

Pani Gamble skończyła wreszcie i skinęła głową, jakby miała wszystko to zapamiętać w tej jednej chwili. Nie wiedziała, myślał sobie Michael, wchodząc do sklepu i ściskając w dłoni dwudziestodolarówkę pani Gamble, że należał do osób, które rzeczywiście potrafią po jednym wysłuchaniu wszystko zapamiętać. Miał nadzwyczajną pamięć, która wynosiła go na czoło klasy we wszystkich przedmiotach i czyniła samo życie nieskończenie, czasem wbrew woli, niezapomnianym. W tej pamięci sos warzywny i zielona fasolka pani Gamble błyskawicznie ulokowały się obok nazw wszystkich rzek Europy i etapów osmozy jaja, i rysunków pewnej kobiety, która w każdym szczególe przypominała jego matkę, robiącej fellatio („od łacińskiego słowa *fellare*, co znaczy ssać", wyjaśniała książka) pewnemu mężczyźnie o błogim spojrzeniu, który łudząco przypominał jego gładko ogolonego ojca.

W supermarkecie zebrał wściekle wszystkie produkty i ogarniając ramionami pęk papierowych toreb, zaniósł je do samochodu pani Gamble. Spała, kiedy stanął przy drzwiach, z odchyloną głową opartą o siedzenie i dopiero teraz zauważył, że

pod parką miała żółtą koszulę nocną, a na nogach domowe pantofle, i uświadomił sobie, że gdyby nie natknęła się na niego po drodze, weszłaby do sklepu ubrana jak do łóżka.

W obliczu czegoś tak autentycznego myślenie o własnym cierpieniu, upokorzeniu zadanyh rękami rodziców, wydało mu się rozczulaniem nad sobą. Siedzieli w kompletnej ciszy. Nie padło już pytanie, czy pani Gamble zawiezie go do Nowego Jorku; wiedział, że go nie zawiezie. Na pewno zapomniała o jego prośbie, a on nie śmiał jej przypominać. Obszedłszy wszystkie półki w sklepie, wróciwszy z zakupami do samochodu tej wyścieńczonej życiem kobiety, wiedział, że nie pozostaje im nic innego, każdemu z osobna, jak wrócić do swoich domów - co też zrobili i co w pewnym sensie bardzo mu ulżyło.

Michael wszedł przez frontowe drzwi i zaraz zniknął w zasnutym panicznym strachem wnętrzu swojego pokoju, gdzie spędzi już większość czasu do zakończenia szkoły średniej cztery lata później. Tymczasem młodsza para rodzeństwa połączyła właśnie swoje siły w kuchni; Claudia z trollami w rękę, a Dashiell z piosenką chodzącą mu po głowie i pragnieniem, by usiąść wreszcie u siebie na pufie i próbować ją zaśpiewać. Na to jednak nie pozwalała mu mała siostra, która nadzwyczaj ożywiona koniecznie chciała się bawić.

- Wiem! Pobawimy się w konika - zaproponowała.

Czuła, że jest to jej niezbędne, bo chociaż już nie chciała mieć w przyszłości męża, choć wiedziała dokładnie, co mąż i żona mogą ze sobą robić i jak okropne to są rzeczy, to coś przecież musiała zrobić ze swoim puciołowatym, małym ciałem, żywym, ruchliwym, nie mogącym znaleźć sobie miejsca.

- Nie bawię się w żadnego konika - odpowiedział z drwiną Dashiell. - Niech tata się z tobą pobawi.

- Bawisz się, bawisz, Dash - nalegała Claudia. - Jesteś ode mnie większy.

Jakby miał nie zauważyć jej dziecięcego, rzuconego w de-

speracji pochlebstwa! Była jednak rozochociona, a poza tym nie mieli nic szczególnego do roboty, więc Dashiell ukląkł na kuchennej podłodze, białej imitacji ceglanych płytek, stanął na czworakach i pozwolił siostrze dotrzeć swego grzbietu.

- Wio, koniku, wio! - krzyknęła, a potem, jakby po namyśle, dodała: - Wio, Rudolfku! Wio, Kometku!

- Co?! - zapytał zdziwiony brat, wykręcając w jej kierunku głowę, ale Claudia klepnęła go dłonią i powiedziała, że konie nie mówią i że on ma tylko biegać.

Dashiell woził małą siostrę wokół kuchni, czując na kręgosłupie jej ciężar, ale nie wiedząc jeszcze, że nieraz w życiu będzie niezrozumianym niewolnikiem innych ludzi i że nie będzie potrafił im się przeciwstawić. Ruszył z energią, wydał z siebie coś w rodzaju odgłosu typowego dla konia, jakieś parsknięcie, które widział w komiksach, ale nie słyszał w naturze, bo nigdy nie widział z bliska prawdziwego konia. Bałby się jego drgającej skóry, wydatnych boków i potężnych, mętnych, nieprzeniknionych oczu. Tak naprawdę Dashiell nic jeszcze w życiu nie widział, oprócz tego, co dzisiaj zobaczył w książce. Raptem przyspieszył, niczym wierzchowiec ukąszony przez końską muchę, i zaczął galopować po kuchni, nie dbając o to, że może zrzucić z siebie małą pasażerkę, a nawet licząc w duchu, że mu się to uda.

- Hej, hola, hola! - wrzasnęła z góry Claudia, ale jej nie słuchał.

Ścisnęła więc mocniej brata, mocniej, niż wydawało się jej to możliwe, wgniatając się w niego kolanami, ze strachu i przyjemności. Jej dłonie wpiły się w jego włosy i w kołnierz rozciągliwej, niebieskiej koszuli, jej oczy zamknęły się gwałtownie, bo Claudia już wtedy potrafiła intuicyjnie wyczuć, że z zamkniętymi oczami zabawa w konika jest o wiele bardziej podniecająca i daje wrażenie, jakby nigdy się nie miała skończyć.

Holly w tym czasie siedziała u siebie pokoju. Chwilę wcześniej zeszła do kuchni w desperackich poszukiwaniach czegoś

do jedzenia i znalazła w spiżarni nieotwarte pudełko ciastek kremowych, które wydawały się jej w tym momencie prawdziwym darem Bożym. Zabrała na górę całe pudełko, zamknęła za sobą drzwi, włożyła do magnetofonu ośmiościeżkową taśmę, usiadła na łóżku i zaczęła systematycznie zajadać ciasteczka. Płynna lava macerowanej czekolady działała nad wyraz kojąco i Holly rozkręciła magnetofon jak najmocniej, bo wiedziała, że nic lepiej nie zagłuszy myśli niż muzyka. Zanim minęła trzecia po południu, Holly Mellow zdążyła skosztować sześć ciastek i parokrotnie przesłuchać taśmę Led Zeppelin, a teraz leżała na łóżku, objedzona i otępiała, aż w końcu zatelefonowała do Adama Seliga.

- Cześć, co robisz? - zapytała.

- Niic... - odpowiedział Adam Selig.

Bo właśnie w ten sposób powinien odpowiedzieć taki rozleniwiony i seksowny (w niedalekiej przyszłości) chłopak jak on, z cieniem meszkowatego zarostu nad wargą i kosmykami kasztanowych włosów, które opadały na kołnierz welurowej bluzy, zapinanej na zamek błyskawiczny z mosiężną zapinką.

- A co ty robisz? - zapytał Adam Selig, leżąc we własnym łóżku, oddalony od Holly raptem o dwieście pięćdziesiąt metrów, jeśli iść meandrami ocienionych ulic.

Łóżko, na którym leżał, było stare i wąskie, orzechowobrazowe. Nad nim wisały na ścianach fluorescencyjne plakaty przedstawiające tygrysy i kobiety.

- Nic - odpowiedziała Holly, zapadając się w łóżku.

Nie powiedziałyby, że oglądała tę książkę z rodzicami; w ogóle nie chciała o tym dzisiaj rozmawiać ani myśleć.

- Nudy, że z czachy dymi - dodała. - Kurewski weekend.

- Kurewski, panienko - powiedział Adam Selig, przytakując głową, jakby Holly go widziała. - Masz jutro lekcje z Hellingera?

- Uhm. Na trzeciej godzinie. A ty?

- Na piątej. Też wam dała to zadanie?

- Uhm.

Potem oboje parsknęli śmiechem, jak gdyby nigdy nic, a ich śmiech przykrył brzemię zadania domowego, bierność i bezradność w życiu każdego z nich. Dalej rozmowa toczyła się żywo, przetykana tylko krótkimi pauzami, a potem nastąpiło milczenie, oddechy, dialog między dwiema parami płuc, a w domu Seliga, w tle, jakaś kobieta wykrzykiwała coś w rodzaju: „zmywarka... widelce i noże... na dole! Powiedziałam na dole!”

- To co - powiedziała Holly - wpadniesz?

Dwanaście minut później Adam Selig wcisnął dzwonek na Swarthmore Circle. Ponieważ nikt nie otwierał, pchnął drzwi i wszedł do środka. W domu Holly Mellow nie było rodziców, w przeciwieństwie do jego domu, gdzie ubrana w szlafrok pani Adele Selig stała w tej chwili w kuchni, od strony Princeton Court, i usiłowała wydostać widelec zakleszczony w silniku zmywarki. Tu jednak droga była wolna, więc Adam ruszył schodami na górę, prosto do różowej świątyni, gdzie na dywanie leżały jeszcze jakieś elementy gry „Życie” i gdzie, to do prawdy nie do wiary, jasnówłosa, słodkoróżowa dziewczyna siedziała na łóżku i czekała właśnie na niego.

Przejsie od rozmowy telefonicznej do siedzenia na łóżku, do stykania się ciałami, było wyjątkowo linearne. Przecież wymiany uprzejmości dokonali już przez telefon, nie musieli więc specjalnie jej powtarzać, widząc się teraz osobiście. Zamiast tego kiwnęli tylko do siebie głowami przy akompaniamencie głośnych basów i Adam Selig przemknął na łóżko, ułożył się obok niej, a ona odwróciła do niego twarz. Jej pachnący czekoladą oddech, a potem jej język otrzymał w darze w sposób mało namiętny, charakterystyczny dla ludzi, dla których seks jest czymś nowym, ale sama obecność języka wystarczyła, by w chłopcu, który całą sobotę miał spędzić nad lekcjami, wywołać wzwód.

Nie myśląc wiele, Adam Selig przesunął rękę z bluzki na maseczkę stanika i pierś, a potem z zatrząsków w lewisach na majtki bikini, które, jak się okazało po odsłonięciu (rzeczywiście je widział!), zdobił sprany rysunek Strusia Pędziwiatra goniącego za kanarkiem Tweetym, wokół całych majtek, od podbrzusza aż po tyłek.

- Och... to, to cudowne - westchnął Adam Selig anielskim głosem; nawet nie wiedział, że taki posiada.

O piątą, kiedy Adam Selig został już odesłany do domu, a muzyka wyłączona, dzieci Mellowów spostrzegły, że brakuje im wzajemnego towarzystwa. Bez nawoływań, powoli, każde z osobna, zeszedli cicho do kuchni, gdzie starsze wstawiły wodę w garnku i przygotowały na obiad makaron z serem. Potem Holly odlała wodę z poskręcanych, ugotowanych pasm makaronu przez olbrzymi cedzak. Woda przeciekała do zlewu, wzbijając chmurę ciepłej pary, przed którą Holly najpierw się uchyliła, po czym w swojej młodości i jakimś pragnieniu oczyszczenia uświadomiła sobie, że para podziała jak maseczka kosmetyczna, i wystawiła twarz nad zlew, pozwalając się rozszerzać porom skóry.

Usiedli razem pod żółtawym światłem sufitowej lampy, w której kloszu widniały cienie paru zdechłych owadów, i żadne z nich ani słowem nie wspomniało książki. Zupełnie jakby o niej zapomnieli, tak głęboko przyjęli ją w swoich ciałach, w swojej rosnącej, reprodukującej się, oddychającej tkance. Dashiell otarł rękawem nos, a Holly go za to obsztorcowała. Claudia zaczęła płakać cienkim, zachrypłym głosikiem, a Michael powiedział, żeby lepiej jedli obiad, „bo jak nie...”

- Bo jak nie, to co? - zapytał Dashiell.

Starszy brat nie potrafił znaleźć odpowiedzi, która byłaby choć trochę szczerą.

- Bo nic - odpowiedział Michael i dzieciaki jadły dalej.

Teraz, w dniu, kiedy miał wyjechać z Nowego Jorku, by odwiedzić ojca na Florydzie, Michael Mellow siedział za lekowym biurkiem w Dimension D-Net i patrzył beznamiętnie na sieć krzyżujących się linii liczb i liter, wypełniających ekran monitora. Projekt, nad którym pracował, dotyczył pomocy dla głodującej Kenii; poprzedni wspierał najuboższe regiony Appalachów. Założyciele firmy DDN - Seth i Zachary Dibblerowie, czyli „bliźniacy”, jak na nich powszechnie mówiono, bo urodzili się splątani pępowinami w odstępie paru minut - dość przypadkowo stali się orędownikami wiary w dobre uczynki. Kilka lat wcześniej zbieg różnych okoliczności doprowadził ich do odkrycia, że aplikacja komputerowa zarządzająca łańcuchem dostaw, opracowana na potrzeby dystrybucji żyletek Lady Gillette, po pewnej modyfikacji może być wykorzystywana do spedycji żywności dla głodujących ludzi. Ponieważ głód panował w rozmaitych strefach świata, aplikację trzeba było nieustannie przeobrażać i tak jak nie było widać końca głodu, tak nie było widać końca pracy Michaela, wiceprezesa do spraw rozwoju biznesu.

Praca dla wielkiej korporacji tylko pozornie wydawała się bezduszna; przyjaciele Michaela często podkreślali, że ta praca wcale nie jest pozbawiona ducha. Niekiedy jednak trudno było mu zauważyć różnicę, bo również tutaj, jak w każdym biurowcu w Nowym Jorku, Chicago, Los Angeles czy dzielnicach finansowo-przemysłowych miast całego kraju, w holu głównym huczał wodospad, a z boku znajdowało się atrium, gdzie rosło bujne listowie, przekupione przez człowieka i utwierdzone w mylnym mniemaniu, że rośnie w lasach deszczowych. Każdego ranka, kiedy przybywał do budynku Strode i popychał obrotowe drzwi wejściowe, najpierw napotykał masywną strugę wody spadającej po wyszczerbionej skale, zaraz potem rozbrzmiewało tubalne „Witam!” uzbrojonego strażnika Mohammeda, a później wchodził do windy, która wiozła go

na piętro stanowczo za szybko, jakby jechał do nagłego wypadku, a nie do pracy w biurze. Kiedy wychodził z windy na korytarz, zawsze, choć to głupie, był pod wielkim wrażeniem, jakby widział to miejsce po raz pierwszy w życiu. DDN poszła na całość. Tu nie szczędzono grosza. Kolisty ściany wyklejone były japońską tapetą o szorstkiej, ziarnistej fakturze, jakby zrobionej z owsa. Oświetlenie wtopiono w sufity, a każdy pokój wyposażony był w indywidualny zestaw muzyczny Laarnen, by pracownik mógł słuchać takiej muzyki, jaka będzie go najbardziej inspirować. „Muzyka wspomaga twórcze myślenie”, pisali w firmowej broszurze bliźniacy i nikt tej tezie nie przeczył, ponieważ w zdecydowanej większości pracownicy DDN byli produktywni i zadowoleni, ich zarobki rosły, a ich potrzeba robienia czegoś dobrego była stale zaspokajana.

Michael szedł cicho po miękkim dywanie szerokim korytarzem. Po drodze przywitali go dwaj koledzy, jeden tylko przyjacielskim gestem, a drugi z jakąś niedorzeczną modulacją głosu. Trzy kobiety, które minął, pozdrowiły go różnymi wariantami powitania „Dzień dobry, Michael”; dwa pierwsze wypowiedziane były z wyraźnym ciepłem w głosie, a trzecie, które padło z ust Deb z działu sprzedaży, z niewytłumaczalną irytacją. Co jej zrobił? Co w ogóle mógł jej zrobić? Zanim doszedł do swojego pokoju, zdążył się uspokoić. Jego pokój to miejsce bez skazy; na ochrowym dywanie, w miejscach, gdzie nocą odkurzała go ekipa sprzątająca, której nigdy w życiu nie widział, widoczne były jeszcze zmechancone kłębuszki wełny. Michael wsunął płytę z muzyką Mahlera w pionową szparę szklanej obudowy stereo i na krótką chwilę przypomniał sobie, jak dawno temu, kiedy rozpadało się małżeństwo rodziców, ojciec przez całą noc słuchał u siebie właśnie Mahlera. Zastanowił się, czy ojciec wciąż go słucha. Być może dowie się tego dziś wieczorem, kiedy wyląduje na Florydzie, a ojciec zabierze go do swojego domu.

Michael wyczuł, że w progu majaczy czyjaś postać. Rufus Webb, menedżer produktu, dwudziestosześcioletni chłopak, wyraźnie podenerwowany, z workami pod oczami od niewyspania, z życiem osobistym jak wielki, pusty kontener. Rufus żył dla pracy. Słał do Michaela e-maile, gdy tylko się rozstawali, gdy na krótko się odrywali od biurowego życia; obaj zaczęli wówczas wymieniać między sobą potoki słów. Ostatnio Michael zauważył, że odkąd zaczęły się łózkowe problemy z Theą, nie przeszkadza mu obsesyjność kolegi ani to, że z wolna sam się w nią wciąga. „Nazywam się Webb, więc łapię cię w moją sieć”, powiedział mu Rufus; z pewnością mówił tak wcześniej wielu ludziom.

- Rzeczywiście wyjeżdżasz? - zapytał z nieskrywanym niepokojem Rufus.

- Tak.

- Kiedy dokładnie?

- Dzisiaj wieczorem. Przecież wiesz. Biorę tydzień wolnego. Mam mnóstwo niewykorzystanego urlopu.

- Ach. Racja. - Rufus przestąpił z nogi na nogę. - Mam nadzieję, że dam tu sobie ze wszystkim radę bez ciebie - powiedział posępnie.

- Oczywiście.

- Będę pisał, co się dzieje.

- Nie. Nie wysyłaj żadnych e-maili. Bardzo proszę, nie pisz - powiedział Michael. - Tym razem potrzebuję trochę czasu dla siebie, Rufus. Sprawy rodzinne. Rozumiesz.

Oczy Rufusa Webba błysnęły na moment. Nie rozumiał, nie potrafił zrozumieć, nie miał rodziny, ta kwestia była dla niego nie do pojęcia; urodził się chyba w jakiejś solarnej kapsule na planecie Zoron.

- Pamiętaj, że za dwa tygodnie wracają bliźniacy - syknął cicho, trochę złowieszczo, potem odwrócił się i wyszedł.

Bliźniacy! Michael poczuł suchość w ustach. Nazwiska

bliźniaków nikt nie lubił głośno wymawiać; jak bogobojni Żydzi, pomyślał Michael, którzy zamiast pisać „Bóg”, piszą najwyżej „B-g”, ponieważ pełne imię posiada tak wielką moc i budzi tak wielką trwogę, że nawet nie powinno się go pisać. Bliźniacy mieszkali na Maui, w jednym domu z drewna i szkła nieopodal jakiegoś wygasłego wulkanu. Ale nawet kiedy siedzieli u siebie w domu, niemal przywiązani do komputerów, zestawów słuchawkowych, bezprzewodowego dostępu do poczty elektronicznej, skąd bez ustanku nadzorowali pracę firmy w Nowym Jorku, można było odnieść wrażenie, że siedzą tutaj, w swoich gabinetach; do tego stopnia obecni byli w codziennym życiu firmy. Byli niskimi, lekko już łysiejącymi mężczyznami po trzydziestce, mało urodziwymi, nie kryjącymi prawdziwie koneserskiego zainteresowania marihuaną.

Nic w zachowaniu bliźniaków nie wskazywało, że należałoby się ich bać lub traktować ze szczególnym respektem, ale wszyscy pracownicy to robili. Nawet Michael. Nie dlatego, że byli bogatymi ludźmi, lecz dlatego, że byli bogatymi ludźmi, którzy umieli się poświęcić wyższemu celom. Właśnie dlatego budzili lęk i szacunek, był to bowiem model, do którego prędkiej czy później zaczynał dążyć każdy człowiek zatrudniony w DDN: być bogatym. Być bogatym i dobrym. Przypominało to Beatlesów. Przypominało idee, które, jak się zdawało, człowiek utracił raz na zawsze podczas tamtego szalonego, zachłannego snu lat osiemdziesiątych i początku dziewięćdziesiątych.

Michael także był częścią tego mechanizmu. Na starcie zarobił mnóstwo pieniędzy, ale prędko uwiądnął. Zamieszkał w Los Angeles z kobietą o nazwisku Alison Berman, która szybko mówiła, miała bzika na punkcie operacji giełdowych i dzień zaczynała od obrotu akcjami, a nie wyjścia do banku, gdzie miała etat finansisty. Zdarzało się, że kiedy Michael przychodził z pracy do domu, nawet nie odwracała od kom-

putera głowy, żeby się z nim przywitać. Kiedy siedziała przed monitorem, wydawało się, że jej powieki w ogóle nie mrugają. Siedziała przed nim przez cały wieczór, zjadając z kartonika chińskie „lo mein”, a kiedy na ekranie coś nagle przykuło jej uwagę, makaron zwisał jej posępnie z ust, nim w końcu go przegryzła i przełknęła. Dzięki Bogu ten związek się skończył; cały tamten okres się skończył i przez jakiś czas Michael był sam. I bez pracy.

Kiedy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym podjął pracę w DNN, mama przesłała mu artykuł ze „Współczesnej Psychologii”, dowodzący, że ludzie, którzy pracują dla szlachetnych celów, rzadziej cierpią na depresję. Na żółtej karteczce przyklepionej na okładce dopisała: „Dla Twojej informacji”. Najwyraźniej jednak Michael nie należał do tej grupy ludzi. Proxima co prawda działała, ale śladowo, a do tego doszły kłopoty z ejakulacją i Michael nie miał pojęcia, jak mógłby cokolwiek usprawnić.

Gwałtownie chwycił słuchawkę i wybrał numer do domu. Thea odebrała natychmiast i odezwała się zasnętym głosem, uświadomił więc sobie, że wyrwał ją ze snu. Była dziewiąta dwadzieścia trzy rano.

- Hej tam - powiedział. - Dzień dobry.

- Hej... - Ziewnęła szeroko, zakrywając szybko dłonią słuchawkę.

- Za późno, słyszałem - powiedział Michael. - Ty to masz życie. Absolutny luksus.

- Chciałabym - odpowiedziała Thea. - I tak muszę już wstawać.

Przypomnieli sobie nawzajem rozkład dnia: jej próbę przedstawienia o Dorze, jego lunch (japońskie potrawy na wynos) z szefem odpowiedzialnym za technologie, jej zajęcia dodatkowe i wreszcie, o osiemnastej, jego odlot.

- Miłej podróży, Michael - powiedziała.

- Dzięki. Chyba dobrze, że tam jadę. Może rzeczywiście uda mi się nakłonić ojca do zmiany zdania. Mama byłaby szczęśliwa.

- Tak... Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć. Niech ci nie będzie z tym źle - Thea powiedziała nagle. - Wiesz, wczoraj wieczorem i w ogóle. W łóżku. Mnie nie jest z tym źle, tak? - przypomniała mu, jakby miał już zapomnieć.

W drodze na lotnisko późnym popołudniem, kiedy siedział na tylnym siedzeniu w limuzynie, zostawiając za sobą agresywne wodospady i gęste, pnące się listowie miasta, mając przed sobą lotnisko JFK, a potem mieszkanie na Florydzie, Michael zdał sobie nagle sprawę, że zapomniał zapakować Proviwę.

O kurwa, o kurwa, kłął w duchu, pośpiesznie telefonując do Thei, ale ona oczywiście nie odbierała, bo była na próbie w teatrze. Zastanawiał się gorączkowo nad najlepszym wyjściem z sytuacji. Do kogo mógłby zadzwonić? Choćby do swojej apteki; farmaceuta mógłby się skontaktować z apteką ojca na Florydzie i na miejscu czekałaby na niego nowa recepta. Nie straciłby nawet dnia bez lekarstwa. Nie chciał jednak mieszać w to ojca, nie chciał, żeby Paul Mellow wiedział, że Michael zażywa Proviwę, żeby zapytał go wyrażającym współczucie głosem: „Powiedz, co się dzieje?”

Teraz myślał o tym, jak bardzo starał się wczoraj z Theą w łóżku; nawet myślenie o tym wydało mu się dręczące. Dzięki lekowi czuł się w miarę szczęśliwy, ale kompletnie nieukończony - a jak można się czuć szczęśliwym, skoro jest się nieukończonym? Jedno wykluczało drugie. Nawet w tej chwili jego mózg toczyła mała, seledynowa tabletką w kształcie diamentu, którą przełknął rano z kawą. Nawet teraz, gdyby usiadła obok niego w limuzynie najbardziej podniecająca kobieta świata, gdyby rozpięła mu rozporek i pochyliła głowę nad jego podbrzuszem, nie byłby w stanie skończyć. Tej pracy. Bo praca w DDN to jego dzienna zmiana, a to była jego nocna zmiana.

Więc nie. Nie! Może to, że zapomniał zapakować Provię, było znakiem, miało mu powiedzieć, by przestał wreszcie zadreć sobie mózg wirującymi bez końca izomerami. Natychmiast odstawi lek. Wiedział, że to zły pomysł, że będą skutki uboczne - senność, drżenia, pocenie się - ale mało go to obchodziło. Rozpierała go pionierska energia. Pojedzie na Florydę, przekona ojca, by przystał na prośbę matki, i niebawem będzie inny, wróci do Nowego Jorku, do swojego łóżka, do pachnącego, czekającego ciała Thei Herlihy, i skończy, co wcześniej zaczął.

Rozdział trzeci

Claudia Mellow wyjeżdżała z miasta białym, wypożyczonym samochodem - białym, bo niemal wszystkie wypożyczone samochody są białe, jakby w celu łatwiejszego rozpoznania, czym naprawdę są: czymś niepełnoprawnym, czymś zasadniczo nieprzystającym. Właśnie tak się czuła Claudia, jadąc autostradą Long Island, o pierwszej po południu, w jasny zimowy dzień, samochodem wypakowanym wypożyczonymi kamerami, kabłami i statywami. Nie było dużego ruchu, ponieważ ta autostrada to przede wszystkim droga dla osób dojeżdżających do pracy, a te siedziały już wygodnie w swoich biurach w miastach, a ich dzieci w dużych, kolorowo przystrojonych klasach szkół na przedmieściach.

Claudia rozkręciła maksymalnie ogrzewanie. Niebawem owiało ją niemiłe, pachnące parzonym plastikiem powietrze, ale fala ciepła ją odprężyła, przyniosła ulgę jej zeszywniałym za kierownicą mięśniom. Dla Claudii Mellow prowadzenie samochodu nie było czymś naturalnym; posiadała prawo jazdy, ale właściwie nigdy nie było powodu, by prowadziła. Wszystko jednak wróciło do niej zaskakująco łatwo: ospałość i bierność zmieszane z czujnością. Wracała do Wontauket, by zrobić film, choć wiedziała, że nie ma w tym żadnego interesu. Sprzęt przesłaniał czerwoną tapicerkę tylnego siedzenia i wypełniał cały wyłożony dywanikiem bagażnik; jego obecność w samochodzie dawała Claudii poczucie władzy, jak to zwykle bywa z posiadaniem solidnego sprzętu. Jeśli człowiek się

oplecie pnącymi winoroślami kabli i łączy, to wydaje mu się, że może mieć kontakt z całym światem.

Claudia chodziła na zajęcia filmowe - jak wiele osób w mieście. Dzisiaj studenci filmoznawstwa są wszędzie, nie tylko tutaj, również w mniejszych miastach, które się chełpią własnymi „akademiąmi” filmowymi. Takie szkoły powstawały jak grzyby po deszczu, gdzie tylko się udało zdobyć salę, gdzie można było wypożyczyć sprzęt i gdzie znalazła się garstka absolwentów szkół filmowych (teraz zajmowali się produkcją filmów promocyjnych, reklam albo filmów niezależnych, a niektórym udało się sprzedać jakiś scenariusz), którzy popołudniami i wieczorami mogliby prowadzić zajęcia. Studenci stanowili przemieszaną, różnorodną grupę, w wieku od ostatnich lat collegeu po pięćdziesiątkę z hakiem. Zajęcia odbywały się w weekendy, przez cztery tygodnie, osiem tygodni, jeden semestr lub nawet cały rok; czesne było tak wysokie, że studia zdawały się przyciągać tylko pewien szczególny typ ludzi, zabezpieczonych rodzinnymi funduszami, bez jasno wytyczonych celów w życiu.

Claudia miała trzydzieści cztery lata i wciąż oglądała tyle filmów, ile się dało, niekiedy seriami, włócząc się po multipleksie od sali do sali, wychodząc jednymi wahadłowymi drzwiami i znikając za następnymi. Była to prosta kontynuacja pasji, która zaczęła się w dzieciństwie codziennym oglądaniem filmu o szesnastej trzydzieści. Dla Claudii nigdy nie było istotne, czy przegapi początek, bo wiedziała, że i tak wychyci, o co chodzi w fabule. Fabuły nie były specjalnie skomplikowane ani różnorakie, najwyżej powierzchownie. W zasadzie wszystkie filmy zapewniają to samo; poczucie zanurzenia w płynnej, pokrywającej cię szczelnie warstwie ciemności i przymus patrzenia w ekran, bo wokół nie ma nic, co mogłoby odwrócić twoją uwagę.

Kiedy w Ameryce zaczęły powstawać wypożyczalnie wideo, Claudia zapisała się do wszystkich w swojej okolicy. Ponieważ

należała do zapominalskich, bez przerwy otrzymywała upomnienia z karą, ale w ogóle się tym nie przejmowała. Dla osoby, która potrzebuje nieustającej dawki filmów, by życie mogło się toczyć naprzód, kara pieniężna była ledwie słabym pacnięciem po rękach.

Claudia miała pieniądze, które rodzice odłożyli jej na koncie wiele lat temu, i wreszcie postanowiła je wydać; na czesne w szkole filmowej. Rodzice dali dzieciom pieniądze jeszcze przed rozwodem; posadzili je w bibliotece na rozmowę, która była jak złowróźbny zwiastun rozmowy na temat nadciągającego nieuchronnie rozwodu. „Chcieliśmy wam powiedzieć - zaczął ojciec - że każdemu zakładamy konto powiernicze z pewną sumą pieniędzy”.

Claudia nie miała pojęcia, o czym tato mówi ani co znaczy „konto powiernicze”, Holly jednak przytaknęła i zapytała chłodno: „Kiedy dostanę swoją część?” Parę lat później Holly obwieściła patetycznie rodzeństwu, że „to pieniądze za seks, pierdzielone, brudne pieniądze”, co nie przeszkodziło jej ich przyjąć; wszyscy je przyjęli. W ten sposób pieniądze z książki, która naciągnęła i rozciągnęła, i odmieniła całą rodzinę, powędrowały do nowojorskiego oddziału Akademii Filmowej Metro, gdzie Claudia zapisała się na jeden semestr. Trzydzieści tygodni zajęć z filmu na szesnastomilimetrowej taśmie kosztowały ją tysiące dolarów, nie licząc nawet wypożyczenia kamery Arriflex.

W ciągu minionych lat Claudia podejmowała mało interesujące prace; była wieczorową maszynistką w kancelarii prawnej, wyprowadzała psy na spacer, a ostatnio była asystentką znanej publicystki Marnie Lembad w agencji PR Kline Lembad - do dnia, kiedy zapomniała przekazać szefowej wiadomość telefoniczną od bardzo ważnego agenta, a Marnie Lembad wrzasnęła na nią w obecności wszystkich, że jest „głupią, tłu-
stą pizdą”.

- Nie jestem - odparowała Claudia, tyleż dzielnie, ile, niemądrze. - Sama pani jest pizdą.

Z korytarza, gdzie ludzie się zgromadzili i niedyskretnie podsłuchiwali rozmowę, dało się słyszeć niewyraźne, przytłumione jęknięcia.

- Wyjdź - powiedziała Marnie Lembad, machając długą, białą ręką. - Wynoś się!

Claudia wyszła. Kiedy mijała pracowników Kline Lembad (zbyt wystraszonych i oszołomionych jej odwagą, by mogli obdarzyć ją czymś więcej niż pełnymi sympatii uciekającymi spojrzeniami), Claudia czuła, że jest śmiertelnie przerażona tym, co zrobiła. Poszła więc prosto do domu, wrzuciła do odtwarzacza płytę DVD z *Ojcem chrzestnym*, wskoczyła do łóżka i oglądała film do końca bez chwili przerwy, a zaraz potem puściła *Ojca chrzestnego II*. Popłakiwała od czasu do czasu nad tym, że straciła pracę, że brakuje jej stałego miejsca we wszechświecie, a także nad tym, co usłyszała od szefowej. Bo wcale nie była głupia i wcale nie była pizdą. Najbardziej ją dotknęło trochę zasadne oskarżenie, że jest tłusta.

Mając metr sześćdziesiąt dwa wzrostu, Claudia Mellow wcale nie ważyła za dużo, miała jednak solidną posturę. Wyobrażała sobie, że jej ciało musi wyglądać jak wór na śmieci pełen liści. Niska, okrągła i wiotka, z bardzo krótkimi nogami, jakby była jednym z tych ulubionych piesków królowej Anglii. Jej piersi, jak na to małe, przycupnięte ciało, wydawały się duże. Zwiślały zbyt nisko, niczym wystające przednie zęby. Wystające cycki - tak o sobie myślała, a czasem się zastanawiała, czy nie jest obciążona jakimś defektem genetycznym, którego dotąd nikt nie zauważył, czymś niejasnym, nazywanym może „słabo skomponowanym chromosomem X”.

Ciało Claudii łamało każdy kanon estetyczny. Niskie, grube, z dużymi piersiami, dziwne, oto, jakie było. Pewne zadośćuczynienie dawało się dostrzec na twarzy, bo Claudia mia-

ła piękne, niebieskie oczy, jasną, nieskazitelną cerę i ciemne fale brązowych włosów. Gdyby ta głowa była na innym ciele, wszystko byłoby inne. Jednak mężczyźni, a wcześniej chłopcy, pojmowali kobiety jako rzecz w pełni złożoną, konglomerat intelektu, twarzy i ciała - w rezultacie zatem większość z nich trzymała się od niej z daleka. Z mężczyznami, z którymi się umawiała na randki, zawsze było coś nie tak. Clifford Zelman, starszy od niej o kilka lat, był ofiarą talidomidu - jedna z jego rąk zwięzała się ku dołowi; zwiotczała, krótka kończyzna. Poza tym Zelman potrafił być dla Claudii niemiły, pytając ją w łóżku, czy rozważyła już pomniejszenie biustu. Drugi z mężczyzn, Andy Meyers, został nieco wcześniej zwolniony spod kurateli psychiatrycznej, choć wydawał się najnormalniejszy w świecie, może był trochę zbyt melancholijny. Mawiał, że depresja rwała przez jego rodzinę jak rzeka; jego ojciec, siostra i on sam przeszli terapię elektrostrząsową przed ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia. W czasie studiów Claudia sypiała z kilkoma chłopakami, z których dwóch okazało się gejami - patrząc później z perspektywy czasu, Claudia doszła do wniosku, że obaj chcieli się nią posłużyć w próbie zweryfikowania własnej orientacji seksualnej. Owszem, orientacja została zweryfikowana.

Może Claudia Mellow nie potrafiła być kochanką, za to potrafiła być przyjaciółką, i to znakomitą przyjaciółką. Wielu ludzi na nią liczyło, wielu się jej zwierzało, i to w taki sposób, że większość z nich przyznawała potem: „Właściwie nie wiem, dlaczego ci to powiedziałem. Nigdy wcześniej nikomu tego nie mówiłem”. Oczywiście Claudia miała własne tajemnice, jednak w poczuciu jakiegoś głębokiego zawstydzenia niemal nigdy ich nie odsłaniała. Była to mało wyrazista, subtelna cecha, która - czego Claudia była pewna - odróżniła ją od wszystkich innych. To z kolei - o tym również była przekonana - można było zrozumieć, wracając do jej dzieciństwa, do chwili, kiedy ojciec, na rysunkach w książce, położył się na mamie.

Ludzie zawsze chcieli coś od niej usłyszeć o tamtym okresie, o tamtym osobliwym doświadczeniu, a ona zwykle miała ochotę powiedzieć co nieco. Po jakimś czasie ukuła sobie stałą odpowiedź, mniej więcej taką: „Cóż, to było dla nas trudne. Myślę, że długo się tego wstydziłam. Moje rodzeństwo też się tego wstydziło. Ale jakoś daliśmy sobie radę”. Potem próbowała zmienić temat, skierować tor rozmowy z powrotem na drugą osobę, co ta osoba z chęcią podchwytowała. Claudia czuła ulgę, gdy znowu mogła tylko słuchać.

Należała do dzieci, które nauczyciele lubią mieć blisko siebie. W zerówce, w czasach, kiedy nauczyciele używali jeszcze gąbek i kredy, chętnie się zgłaszała u swojej ukochanej pani Pernak do otrzepywania gąbek z kredowego pyłu. Claudia była z Mellowów, tych sławnych Mellowów, i większość nauczycieli szczerze żałowała Claudii, biednej, małej, śmiesznej kaczuszki - na co też jej przyszło; cieszyć się dzieciństwem pod wielkimi skrzydłami życia seksualnego rodziców.

To szkoła ją ocaliła przed życiem seksualnym rodziców i przed zgiełkiem, jaki się wokół niego podniósł. Tamtego wieczoru, kiedy ojciec usłyszał, że matka chce się z nim rozwieść, zabrał dzieci na szaloną jazdę samochodem. Claudia nie rozumiała wszystkiego dokładnie, lecz jakoś wyczuwała istotę tego, co się stało, siedziała więc z tyłu ich volvo z zamkniętymi oczami. Myśl o szkole, powtarzała sobie. Myśl o szkole. Jakby była to świątynia i azyl, miejsce cichej modlitwy. Jej rodzina rozpadała się w sposób, którego nie rozumiała, ale szkoła stała, specjalnie dla niej, dzień w dzień, a nauczyciele dbali o nią z czułą serdecznością.

W ten sposób, po latach, Claudia wybrała temat swojego studenckiego filmu. Miał nosić tytuł „Od zerówki do szóstej” i być dokumentem o nauczycielach, którzy uczyli ją w szkole podstawowej w Wontauket. Claudia chciała wiedzieć, co się z nimi dzieje i co myślą po tylu latach o uczniach, o uczeniu

w szkole i własnym życiu. Wyszukała ich w Internecie i nawiązała kontakt z tymi, których adresy zdołała ustalić - wszyscy zgodzili się wystąpić przed kamerą. Właściwie nikt nie wydawał się szczególnie zaskoczony tym, że Claudia zamierza przeprowadzić z nimi wywiad. Dwoje nauczycieli wciąż uczyło w szkole, troje przeszło na emeryturę, a dwoje innych, jak się dowiedziała, już zmarło. Dzisiaj ma kręcić zdjęcia z pierwszą osobą, panią Pernak. Była trochę zdenerwowana i podniecona, nie tylko dlatego, że nigdy wcześniej nie kręciła filmu i nie do końca wiedziała, co robić, ale również dlatego, że nie miała pojęcia, czego w ogóle oczekiwać.

Claudia skręciła z autostrady na Wontauket i wjechała prosto do centrum miasta. Zatoczyła jedno koło, drugie i bez żadnych emocji przejechała główną ulicą - nowy salon kosmetyczny, stary sklep papierniczy i ten sam spożywczy Brunckhorst, gdzie od lat w tych samych metalowych pojemnikach wystawiana jest sałatka makaronowa. Minęła wysypisko śmieci, na którym niegdyś buszował Dashiell i na którego obrzeżach bawiła się z nim w chowanego albo berka, jak szalona, pozostawiona sama z bratem na cały dzień, w czasach, kiedy rodzice nie bali się zaryzykować, by dzieci zniknęły im z oczu.

„Nie chce mi się wierzyć, że robisz film w Wontauket”, pisał do niej Dashiell tydzień wcześniej w e-mailu. Choć pochłonięty był pracą w sztabie wyborczym na Rhode Island, to w miarę regularnie korespondowali przez Internet. Zwykle Dashiell był miły dla Claudii i zawsze chwalił jej małe kroczki stawiane na drodze w wielki świat, ale kiedy napisała, że wybiera się do Wontauket nakręcić film w ramach swoich studiów, odpisał krótko:

„Nie mam pojęcia po co. Ja nigdy nie chciałbym tam wrócić”.

„Naprawdę? - napisała. - Nie pojechałbyś nawet zobaczyć, co się zmieniło?”

„Absolutnie nie - odpowiedział. - Niech się zmienia beze mnie. Ja już się pożegnałem z tym miejscem”.

Claudia też się z nim pożegnała, ale teraz niespodziewanie zapragnęła wrócić. Do szesnastej nie musiała się pojawiać w szkole, miała więc trochę czasu i jedynym sposobem na jego zabicie było rzucenie okiem na stary rodzinny dom. Nie spodziewała się, że ten zamiar wzbudzi w niej tyle nerwowości. Przełączyła tryb odtwarzacza na radio i szybko nastawiła je na jedną ze stacji grających smooth jazz, ze słodko przytulnymi presenterkami i ciągnącymi się gitarowymi riffami. Próbowwała dać się ukołysać cikliwej muzyce, a w tym samym czasie rozglądała się dookoła - zauważyła, że bar Skrzydełko i Nóżka, gdzie kupowali kurczaki z rożna na wynos, przetrwał lata jej nieobecności, a woń palonego tłuszczu wciąż się wydobywa przez oblatłe futerkiem brudu otwory wentylacyjne, że przetrwał też sklep z ciuchami Clothes Pony, do którego w siódmej klasie poszła z mamą kupić brzydką, pomarańczową sukienkę na występ szkolnej orkiestry. Grała na trzecim flecie, nie specjalnego.

Skreśliła w prawo i wjechała w dzielnicę z ulicami o uniwersyteckich nazwach, w której czekał na nią dom - oto Amherst Drive i Bryn Mawr Avenue, i Wellesley Lane, i Princeton Court, i w końcu Grinnell Way, która dziwiła mieszkańców Wontauket, bo nigdy nie słyszeli o takiej uczelni, a nie słyszeli, ponieważ Grinnell College znajdował się na końcu świata, w Iowa, w przeciwieństwie do skarbców wiedzy Wschodniego Wybrzeża, które miały tylko wzbudzać zazdrość. Drzewa w okolicy były ogromne i wszystko, co wówczas wydawało się kruche, młode i anemiczne, teraz się rozrosło i wypełniło, jakby jakieś dziecko pieczołowicie zamalowywało kartkę zieloną kredką, kreska po kresce.

Skreśliła na Swarthmore Court, zaparkowała po drugiej stronie ulicy, specjalnie naprzeciwko domu, wyłączyła radio i zga-

siła silnik. Więc jest, niemal nierozpoznawalny, choć nadal wywołuje jakieś uczucie onieśmienia i słabości. Cedrowe dachówki i szorstkie cegły zostały wybielone. Drzwi frontowe były teraz turkusowe, bardziej .wystawne, z geometrycznymi ozdobami tłoczonymi w licu drewna i dużą, mosiężną kołatką. Na skrzynce pocztowej przy ulicy można było przeczytać nazwisko Gupta, co w pierwszej chwili ją zaskoczyło, bo pamiętała, że dom kupiła rodzina o nazwisku Feng. Wydawało jej się dziwne, że Fengowie tak szybko odsprzedali dom. Roz Mellow zdecydowała się w końcu na sprzedaż, ponieważ jej małżeństwo od dawna nie istniało, a na studia wybierało się już najmłodsze dziecko. Państwo Fengowie nie robili wrażenia pary, która miałaby się rozwieść w najbliższym czasie albo przenieść w inne miejsce; oboje byli drobni, bardzo uprzejmi, a dla przypiecztowania interesu poczęstowali je zieloną herbatą z termosu i twardymi cukierkami.

W tamtym roku, tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym, Wontauket przeżywało szczyt napływu azjatyckich imigrantów. Przedmieścia będące do tej pory miejscem spotkań jasnowłosych dzieciaków na rowerkach z bananowymi siodłkami stały się oazą dla dzieci o ciemnych włosach, które w miarę upływu czasu jeździły na coraz bardziej wymyślnych pojazdach: rowerach górskich, deskorolkach, skuterkach elektrycznych, a w końcu na longboardach - kajakach lądowych, które pędzą poboczem podmiejskich ulic. Przez parę dobrych chwil Claudia siedziała w samochodzie, patrząc na dom i spokojną ulicę, które wiele lat temu były świadkami wlotu jej rodziców i skandalu, a w końcu upadku małżeństwa Mellowów, co odbywało się publicznie i każdy mógł się temu przypatrywać, i każdy mógł mieć na ten temat swoje zdanie. Ostatecznie jednak codzienność wyparła niezwykłość, a indywidualne i wspólne smutki rodziny Mellowów, zamieszkałych niegdyś na Swarthmore Circle 8, dawno już wchłonęła atmosfera i rozwiął czas.

Claudia miała ochotę wysłać teraz e-maila do Dashiella i powiedzieć mu, że jest w porządku, że może tu wrócić, że nie jest tak źle, jak się obawiał. Chciała napisać do każdego z rodzeństwa, znaleźć pretekst, który ściągnąłby ich tu wszystkich. Ale żadne by nie przyjechało. Holly to Holly - oderwana od reszty, popierniczona, niesfunkcjonująca, dla rodziny bezużyteczna z powodów, których Claudia nie potrafiła nazwać, nie uciekając się do paplaniny zawierającej tak ogólne sformułowania, jak „krzywda”, „nieprzystosowalność”, „złość”, a zwłaszcza przymiotnik „niezrozumiałość”. Michael z kolei był ogromnie zajęty. Myślała o nim teraz, gdy był na Florydzie u ojca i Elise. Wyobraziła sobie Paula Mellowa w szortach i sandałach - broda to mieszanka potarganej szarości i bieli, spojrzenie wciąż ciepłe i uważne, i bolesciwe. Trudno było sobie wyobrazić, by Michael czuł się przy nim swobodnie, bo Michael nigdy się nie czuł swobodnie; nie leżało to w jego zamkniętej naturze. Co on tam w ogóle robi? Pojechał na Florydę na tydzień, minęły dwa, a on wciąż tam siedzi.

- Wszystko w porządku - zapewnił siostrę, kiedy parę dni temu telefonowała na Florydę.

Czuła, że musi do niego zadzwonić, by usłyszeć głos Michaela i ocenić, jak brzmi jego ton. Uznała, że brzmi bardzo dziwnie.

- Jesteś pewny? - zapytała.

- Oczywiście, że jestem pewny. Dlaczego miałyby być inaczej? Ktoś coś o mnie mówi?

- Nie wpadaj w paranoję. Byłam tylko ciekawa, to wszystko. Myślałam, że jedziesz na tydzień.

- Tak. To znaczy taki był plan - odpowiedział. - Ale tydzień minął, ojciec nie zmienił zdania w sprawie książki i w sumie, pomyślałem, pal diabli, zostaną jeszcze. Dlaczego nie? Jest nawet przyjemnie. Mogę trochę odpocząć od roboty. Żaden problem. - Zostawienie pracy choćby na minutę było do

Michaela niepodobne; sprawa stawała się coraz dziwniejsza. - Thea powiedziała, że dobrze robię - ciągnął Michael. - Myślę, że mój przyjazd naprawdę wiele przyniesie. Dużo z ojcem rozmawiamy. Mama będzie zadowolona. - Potem szybko zakończył rozmowę.

Claudia zobaczyła, jak po drugiej stronie ulicy ktoś otwiera niebieską skrzynkę pocztową i coś do niej wkłada. Kobieta w puchowej kamizelce i z opaską z grubej wełny na głowie; zatrzymała się na moment, by spojrzeć w kierunku Claudii, a po chwili ruszyła w stronę samochodu. Elaine Gamble! Swe-go czasu piękna i szalona Elaine Gamble, której syn zaginął na wojnie w Wietnamie, dzisiaj emerytka o szarosrebrzystych włosach. Samotna, bez dzieci, po rozwodzie, wciąż mieszkała w tym samym domu, stojącym po przekątnej w stosunku do domu Mellowów/Fengów/Guptów. Teraz stała tutaj, przed nią, chudsza, lżejsza, o oczach nie płonących już tak jak kiedyś - jakby czas zatarł również ślad niekończących się rozmysłań o synu, poległym na potwornej wojnie.

Claudia otworzyła drzwi i wysiadła, żeby się przywitać.

- Claudia Mellow? To ty? - zapytała pani Gamble.

- Tak, to ja - odpowiedziała Claudia, próbując się uśmiechnąć.

Pani Gamble jednym, płynnym ruchem przygarnęła ją do siebie, po macierzyńsku, choć w przeszłości, kiedy Mellowowie mieszkali na Swarthmore Circle, nie odnosiły się do siebie tak ciepło. Wówczas pani Gamble była zbyt nieprzytomna, zbyt nieobecna. Teraz była jakby bardziej wygładzona, łagodniejsza, jakby na okrągło słuchała wyłącznie stacji jazzowych.

- Och, na miłość boską, co ty tutaj robisz? - zapytała. - O tej porze roku?

- Właściwie to kręcę film - wyjaśniła Claudia, najpierw z dumą, ale po chwili z pewnym zakłopotaniem.

Sprzęt piętrzący się na tylnym siedzeniu nissana zdawał się

ją zdradzać; statyw na trzech długich nogach, lampy, kamera Arriflex, magnetofon Nagra - wszystko to będzie się starała dzisiaj opanować, bez zespołu, bez żadnej pomocy. Mogła polegać tylko na sobie, sama tego chciała, ale kiedy przyszło jej się z tego tłumaczyć, nie potrafiła. Coś musiało ją tutaj z powrotem przyciągnąć - może jakiś silny wicher?

- Och, to wspaniałe - powiedziała pani Gamble. - O ile pamiętam, na naszej ulicy nigdy nie kręcono filmu. Ostatni raz pamiętam tu jakichś kamerzystów, no... wtedy... z twoim ojcem i mamą.

- O! Tak. Rzeczywiście.

Zaległa cisza. Claudia nie wiedziała, co powiedzieć. „Czy Stu wciąż jest poszukiwany w Indochinach?” albo „Znaleźli już jego zwłoki?” Claudia nie była dobra w kontaktach towarzyskich, choćby takich jak ten właśnie.

- Pracuję na pół etatu w bibliotece - wyręczyła ją pani Gamble. - Jest nas tam grupka pań z dawnych czasów, które mieszkały tu od zawsze. Pierwsza mogę sobie wybierać książki z ekspresowej półki, bestsellery wypożyczane tylko na tydzień, to duży plus, bo to same apetyczne powiastki. Cóż, a ty... Jesteś filmowcem?

- Nie - odpowiedziała gwałtownie Claudia. - Niezupełnie. To moja pierwsza filmowa próba.

Nagle zauważyła, że nadgarstek Elaine Gamble jest odsłonięty i nie ma już na nim starej, złotej bransoletki. Musiała ją przeciąć, siłą otworzyć. Claudia zamrugła i poczuła jakąś niewytłumaczalną konsternację, niezdarnie spróbowała się uśmiechnąć.

- Cóż, życzę ci szczęścia - powiedziała pani Gamble. - I pozdrów mamę. I tatę. I tego słodkiego braciszka, Michaela, pozdrów go ode mnie. Lubiłam go.

Odwróciła się, aby odejść, a Claudia zawołała za nią.

- Pani Gamble? - Kobieta się odwróciła. - Kim są państwo Guptowie?

- Słucham? - zdziwiła się pani Gamble.

- Państwo Guptowie. Ci, którzy mieszkają teraz w naszym domu.

- Niemal ich nie znam, to mąż i żona, mieszkają z dorosłymi dziećmi. Są Hindusami. Prowadzą indyjską restaurację w centrum miasta, Cafe Bombaj.

- Co się stało z Fengami? - zapytała Claudia.

Pani Gamble ściągnęła brwi.

-A... ci Chińczycy - przypomniała sobie po chwili. - Dawno się wyprowadzili. Wrócili do Chin, o ile dobrze wiem, a może przenieśli się tylko na Queens... Wstyd się przyznać, ale doprawdy nie pamiętam.

Po tych słowach odeszła, machając nieśmiało ręką na pożegnanie, wracając spiesźnie do domu. Claudia obejrzała się na dom państwa Guptów; w oknach było ciemno, a na podjeździe nie stał żaden samochód. Jak wyglądają pokoje? Miała ochotę wejść do środka i zobaczyć, jak tam teraz jest, co zostało rozebrane, co przestało istnieć. Może za parę tygodni, kiedy skończy zdjęcia, wróci i sprawdzi, czy uda się wejść do środka. Teraz jednak czas jechać do szkoły, na spotkanie z panią Pernak.

Szkoła była cudowna, jak sobie kiedyś uświadomiła, ponieważ nauczyciele, zwłaszcza pani Pernak, usiłowali ją ochronić przed jej własnymi rodzicami, tymi ekshibicjonistami i orędownikami pornografii, choć z całą pewnością co najmniej kilku z nich miało w domu *Jak dać rozkosz*. Dlaczego zdecydowaliście się zamieszkać na przedmieściach, zapytał kiedyś Paula i Roz dziennikarz w jednym z wywiadów, a oni odpowiedzieli, że chcieli zapewnić dzieciom życie w „otwartej przestrzeni”. Nie było dla nich ważne, że sąsiedzi mogą nie być tak nowoczesni jak ludzie w mieście. Tymczasem niecałe dwadzieścia minut jazdy od miasta, w mieście, której mieszkańcy żyli w mniejszym dostatku i byli mniej otwarci, w ty-

siąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku organizowano marsze z pochodniami przed biblioteką publiczną i żądano zakazania książki *Jak dać rozkosz* - choć gdyby ich uczestnicy wcześniej sprawdzili, to wiedzieliby, że biblioteka dawno już wycofała tę pozycję ze swoich zbiorów. Pokusa wieczornego marszu ze wzniesionymi wysoko płonącymi pochodniami, pokusa zawładnięcia uliczkami była jednak zbyt wielka dla gniewnych rodziców z małych przedmieść, którym marzyło się palenie czarownic i wiece pełne wzniosłych oracji, jakby ich stanowcza odpowiedź miała zagłuszyć głos dwojga ludzi uprawiających seks.

Nauczyciele Claudii okazali się ludźmi stojącymi ponad całym skandalem, plotkami, a nawet ponad seksem jako takim. Niektóre z młodszych nauczycielek nieświadomie zaczęły się ubierać bardziej jak dzieci, które uczyły, a mniej jak kobiety. Jeśli spojrzysz dzisiaj na zdjęcia klasowe z tamtych lat, zobaczysz się dwudziestosześcioletnie nauczycielki ubrane w szkockie tartany i czółenka bez obcasów, a nawet z końskim ogonem wiszącym luźno z prawej czy lewej strony głowy.

Claudia zaparkowała na prawie pustym parkingu przed Szkołą Podstawową im. Felice P. Bolander. Nikt nie pamiętał kobiety, której nazwisko było wryte na granitowej tablicy, przymocowanej do brązowej, ceglanej ściany budynku. Zmarła w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku, w erze lotów w kosmos i fabrycznie produkowanych galaretek deserowych. Claudia słyszała kiedyś, że Felice P. Bolander była szkolną bibliotekarką i każdego, kto tylko zechciał jej służyć, gorąco zachęcała do czytania swoich ulubionych książek dla dzieci; robiła to niestrudzenie, dopóki w wieku trzydziestu siedmiu nie pokonał jej rak. Nie było w tamtych czasach corocznych badań mammograficznych, które być może wykryłyby guza, zawieszono go w jej piersi niczym owoc w deserowej galaretkie.

Ktoś z kuratorium czuł ogromny sentyment do bladej ko-

biety, która ustawiała na stoliku w bibliotece takie książki jak *Jagody dla Sala* czy *Rocznik* i polerowała irchową ściereczką ich świecące okładki. Kiedy więc parę lat później kładziono kamień węgielny pod budowę nowej szkoły, nadano jej imię pani Bolander. Wkrótce ludzie, którzy osobiście znali Felice P. Bolander, zaczęli przechodzić na emeryturę, wyprowadzać się lub umierać, a nowy narybek dzieci nie widział w niej żywej osoby, lecz tylko nazwisko, a potem nawet nie nazwisko, ale jedynie słowo. Do której szkoły chodzisz? Do Bolanderki.

Z bagażnika i tylnego siedzenia Claudia wyciągnęła z wysiłkiem Arriflexa, Nagrę i po kolei całą resztę ekwipunku. Ręce jej drżały, gdy stawiała kamery na pokrytej dywanikiem podłodze bagażnika i związała spiralne przewody, by nie ciągnęły się po ziemi i nie wpadały pod kółka.

W budynku słychać było szuranie krzesel i odgłosy szeszczącego papieru. Z daleka dobiegało ją szczęknięcie sprzętu gimnastycznego, a może były to tace w stołówce. Claudia stanęła na środku holu, obciążona bagażem, zaskoczona brakiem ochrony w szkole, w dobie masakry w Columbine, aż w końcu ruszyła po prostu przed siebie - olbrzym w obcym, małym światku.

Raptem z sali audiowizualnej wyszedł mężczyzna i stanął, patrząc na nią przez krótką chwilę. Był niski, o kościstej twarzy, głowie okrągłej jak żarówka, tak, tak, to pan Corcoran, który zajmował się szkolnym studium audiowizualnym, wówczas, później i chyba już na wieki.

- Czym mogę służyć? - zapytał.

- Pan Corcoran? Chodziłam tu kiedyś do szkoły...? Jestem Claudia Mellow...? - odezwała się Claudia w formie pytań, czekając, aż żarówkowa głowa zajarzy, co się stało niemal natychmiast.

- Tak, Claudia, oczywiście. Często myśleliśmy o was, co też się z wami wszystkimi teraz dzieje - powiedział.

- Tak - odpowiedziała sztywno Claudia. - Ja też się zastanawiałam, co tutaj słyszeć.

- U mnie?

- Nie tylko u pana. U wszystkich moich nauczycieli. Od zerówki do szóstej klasy.

- Kręcisz film? - zapytał pan Corcoran. - Masz sprzęt pierwszej klasy. Musisz zobaczyć, co my tu teraz mamy.

Pan Corcoran skinął lekko w stronę sali audiowizualnej, a Claudia z uprzejmości pozwoliła się zaprosić do wnętrza, by obejrzeć wszystkie nowości, cały nowy sprzęt kupowany za pieniądze podatników od czasu jej dzieciństwa. Pomieszczenie zapełniały piętra metalowych rusztowań, na których wisały najwyższej klasy kamery wideo, przeglądarki do przezroczy, odtwarzacze DVD i monitory.

- Imponujące - powiedziała Claudia.

Pan Corcoran przytaknął.

- Powinniśmy wykorzystać to wszystko i nakręcić o was film. O dzieciakach, które ukończyły naszą szkołę, o tym, co robią teraz w życiu. - Zamilkł na chwilę. - Co ty robisz, Claudio?

W jednej chwili coś Claudię ścisnęło i skrzyknęło w środku; nie chciała rozmawiać o dorosłym życiu, o jego bezkształcie i rozczarowaniach. „Od zerówki do szóstej klasy”, to idealny zakres czasu; tam chciała pozostać.

- Och, ja siedziałam w więzieniu dla kobiet - usłyszała nagle własny głos.

Patrzył na nią tępo przez dłuższą chwilę, więc szybko przerwała jego męczarnię.

- Oczywiście żartuję - dodała.

- Ha, to dobre! Naprawdę. Dałem się nabrać - powiedział pan Corcoran.

Kierując się jakimś wewnętrznym kompasem, Claudia znalazła drogę do sali zerówki, gdzie czekała na nią pani Pernak, tak jak zapowiedziała podczas ich krótkiej, przyjaznej rozmowy.

wy telefonicznej - tyle że wydawała się jakaś inna, jakby była ciotką pani Pernak. Wciąż była osobą dużej postury, o szerokich ramionach, lecz włosy miała już krótkie i pokryte siwizną. Nosiła żakiet z wpiętą błyszczącą broszką w kształcie kota. W klasie nie było stołu dla nauczyciela - skończono z nimi już dawno temu, odstąpiono też od sokratycznej metody nauczania, nawet w wersji dla maluchów od zerówki do szóstej, podobnie jak usunięto ze ścian wizerunki wszelkich niepodważalnych autorytetów. Zresztą nauczycielka dzisiaj nie miała czasu, by siedzieć przy stole; przez wszystkie lekcje krążyła po klasie, kucała, klęczała, wiązała, naprawiała, suszyła, ocierała, ratowała, zmieniała, prosiła i błagała.

Pani Pernak się zmieniała, ale z drugiej strony pozostała taka sama. Nauczyciele zostają w miejscu, to uczeń ma iść w życiu naprzód, w trudzie zdobywać sukces, tworzyć nowy organizm przyjaciół i pracy oraz fundament swojej pewnej, jasnej pozycji; a jeśli będzie ci trzeba byle pociechy, to możesz odwiedzić starych nauczycieli, oni zawsze powiedzą: „Popatrz tylko, co za cudo z ciebie wyrosło”.

To była jednak Claudia Mellow, lat trzydzieści cztery, wielkie cudo z niej raczej nie wyrosło. Była niemal dokładnie taka jak w zerówce, wciąż niska i przysadzista, jakaś niedokończona pokraka, ale dla większości znajomych rozczulająco sympatyczna - zupełnie jakby nie była do końca wypieczona, jakby gdzieś w środku, gdzie sonduje się szpikulcem, czy ciasto jest gotowe, tkwił w niej jeszcze zakalec. Stała niezdecydowanie w wejściu do sali, ni to już w środku, ni to jeszcze na zewnątrz. Bez względu na to, co zrobiła ze swoim życiem, na kogo wyrosła i jak się przez ten czas zmieniała, wciąż była tą samą Claudią, niepewnym siebie, ale wrażliwym, najmłodszym dzieckiem rodziców, dla których dzieci były wielką odpowiedzialnością, a seks wielką rozkoszą. Nauczycielka poprosiła wreszcie, by Claudia weszła.

Jakiś czas potem siedziała przy kilku zestawionych ławkach szkolnych i trzymała kamerę drżącą, słabą ręką, zapomniawszy na samym początku zdjąć osłonę z obiektywu; błąd, który szybkoitko skorygowała cichym „uups!” i gestem ręki, jakby strzelała sobie w głowę z pistoletu.

- Spokojnie, spokojnie, mamy czas - mówiła pani Pernak.

- Tak. Dziękuję. Przepraszam.

Upuściła światłomierz, który odbił się od nogi krzesła i potoczył gdzieś dalej. Popędziła za nim i wróciła zaczerwieniona, mrużąc coś pod nosem, ale zdeterminowana w zamiarze. Po chwili wcisnęła przycisk i rozległ się furkoczący szum. Taśma poszła w ruch.

- Uhm... chciałabym zacząć od pytania, czego się pani nauczyła, ucząc przez tyle lat w tej szkole - zaczęła Claudia.

- Czego się nauczyłam, ucząc w szkole?

- Tak.

Doreen Pernak starała się jak najsumienniej odpowiedzieć na pytanie, podczas gdy Claudia działała jak jednoosobowa ekipa filmowa, obsługując całe osprzętowanie, trzymając na ramieniu kamerę, kontrolując palcem przełącznik mikrofonu, robiąc pauzy dla sprawdzenia światła i połączeń kablowych - jak zawsze niepewna i jak zawsze zdeterminowana. Wszystkie historie o tym, jak nauczyciele wspaniale kształtują młode umysły, nie były do końca prawdziwe. Niepewna siebie, skrupowana dziewczynka zmierza raczej ku temu, by ostatecznie stać się niepewną siebie, skrupowaną kobietą.

- Co najbardziej zapamiętała pani z tamtych lat? - zapytała Claudia.

- Pozwól, że się zastanowię - powiedziała nauczycielka. - Cóż, zapamiętałam wiele. To był, sądzę, szczęśliwy okres. Lata siedemdziesiąte. Wiesz. W ludziach było o wiele więcej nadziei niż dzisiaj, tak mi się wydaje. Nawet nie wiem dlaczego, przecież byliśmy jeszcze w Wietnamie, a gospodarka prze-

żywała kryzys. Ale dzieci wydawały mi się o wiele bardziej niewinne. Każde codzienne przyjsie tutaj było powrotem do niewinności.

W połowie kręcenia drzwi się nagle otworzyły i wpadły do środka dwie młode kobiety, obie ubrane w zimowe płaszcze, obie roześmiane.

- Hej, Doreen - rzuciła jedna z nich. - Wskakuj w płaszczyz, dziewczyno. Koniec pracy, idziemy się zabawić! - Dopiero wtedy zauważyły, że Doreen nie jest sama, i kobieta przyknęła sobie dłonią usta. - O Boże - jęknęła. - Nie wiedziałyśmy...

- Nic się nie stało. Wreszcie mam swoją oscarową rolę - powiedziała Doreen Pernak.

Panie zostały sobie przedstawione i po chwili nauczycielki, rześkie i wesołe na twarzy, ożywione, młodsze od Claudii, wyszły z sali, jeszcze raz przepraszając. Należały już do innej generacji nauczycieli, nowoczesnych, swobodnych, uzbrojonych w metodologię, o której nikomu się nie śniło, kiedy Claudia chodziła do szkoły.

- Jeśli w miarę szybko skończycie - dodała jeszcze ta pierwsza - to zapraszamy do nas. Oczywiście panią również.

Kiedy wyszły, Claudia Mellow zdjęła nieporadnie kamerę z ramienia, opuściła ją z głuchym pacnięciem na ławkę, a potem spojrzała na nauczycielkę z wyrazem niepokohamowanej ciekawości.

- Wie pani, chciałam też zapytać, jak pani pamięta mnie - powiedziała Claudia. - Właściwie nie dla filmu, ale tak dla siebie.

Mogła powiedzieć inaczej: „Pani Pernak, szkoła podstawowa była moją Arkadią, nigdy potem nie zaznałam takiego poczucia bezpieczeństwa, tyle komfortu i radości, ani na studiach, ani przy żadnym z mężczyzn, ani w pracy, ani nigdzie. Jestem zatrzaśnięta w ciele, którego nie trawię, wypożyczam niebywale drogi sprzęt i próbuję pokierować nim tak, jak swo-

im ciałem, chcę uruchomić je, rozwinąć i wypuścić w świat, ale to jest bardzo trudne i nic nie działa tak jak trzeba".

Doreen Pernak chrząknęła i poprawiła kocią broszkę.

- Pamiętam, że w domu było ci ciężko - zaczęła. - Z rodzicami i całym tym zamieszaniem. Pamiętam, że lubiłaś szkołę. I bardzo chciałaś sprawiać mi przyjemność. I udawało ci się.

Kobiety siedziały jeszcze chwilę w klasie, w spokoju, wspominając popołudnie sprzed dwudziestu ośmiu lat, kiedy były tu również obie, w tym samym miejscu, i otrzepywały gąbki do ścierania tablicy, wzniesając chmury białego, różowego i złotego pyłu i wiedząc, że choć nie były to chmury tajemnicy, to niewiele im do nich brakowało.

Kiedy niebo nabrało barw, które niegdyś, w dzieciństwie, zwiastowały porę kolacji i odrabiania lekcji, i powolny marsz do łóżka, Claudia Mellow wyszła z Bolanderki i jeszcze raz przejechała samochodem przez centrum miasta. Pani Pernak okazała się tak samo wyrozumiała i cierpliwa jak dawniej, a mimo wszystko było w niej coś nużącego, czego Claudia nie zauważała, gdy była mała. Być może dzieci pragną, by było coś nużącego w dorosłych, którzy się nimi opiekują, myślała Claudia; bo przecież jej rodzice, Bóg świadkiem, rzadko byli nudni. Byli nieskończenie interesujący, przynajmniej w oczach innych. Tymczasem Doreen Pernak nosiła na żakiecie broszkę w kształcie kota z zielonymi oczami, świecącymi na matowym tle czternastokaratowego złota, i można się domyślać, że taka broszka to typowy prezent dla nauczyciela od uczniów, na który składają się rodzice z całej klasy. Właśnie takie prezenty dyktują nauczycielowi gust. Mogło być gorzej; pani Pernak mogła się czuć zmuszona do noszenia kolczyków z rurek makaronu.

Claudia zamierzała już wracać do swojej kawalerki na piątym piętrze, w bloku bez windy na Siódmej Ulicy w East

Village, gdzie ogrzewanie dochodziło tylko sporadycznie, jakby podążało jakimś sobie tylko znanym rytmem. Mieszkała sama i tak się jej podobało, choć bywały chwile, kiedy trudno było wrócić do wyzębionego pokoju, jego zapachów, faktury ścian i stosów rozmaitych rzeczy. Była to właśnie jedna z takich chwil, więc na razie Claudia jeździła swoim białym samochodem po Wontauket, raz jeszcze okrążając miasteczko. Minęła lodziarnię Carvel, do której ojciec zabrał ich po tamtej sławnej jeździe samochodem, minęła bank, w którym w wieku siedmiu lat otworzyła swoje pierwsze w życiu konto, oszczędnościowe, i w którym kasjerka zwracała się do niej uprzejmie „proszę pani”, a potem znowu podjechała pod dom na Swarthmore Circle, pojmując wreszcie, że cały czas planowała wrócić tu w ciemności.

Tym razem zaparkowała przed samym frontem; zuchwale posunięcie na tak spokojnej ulicy. Teraz, po zmierzchu, w oknach paliły się światła. Zobaczywszy je, poczuła lekkie podniecenie - złociste pasma płynące z lampy w oknie na półpiętrze, nie w salonie, ale dalej, w głębi domu. Siedziała w samochodzie i patrzyła, słuchając usypiającego jazzu, i nagle, jakby lunatykując wstecz, w czas własnego dzieciństwa, odpięła pas i otworzyła drzwi. Cicha, taka cicha, taka nieśmiała. Długie lata niewidzialności w życiu skłoniły ją do myślenia, że może rzeczywiście jest niewidzialna, dosłownie - takie przekonanie pozwoliło jej zebrać siły, dźwignąć ciało z nissana i przemknąć przez trawnik jak myszka, pod domem, w którym kiedyś mieszkała. Podeszła pod frontowe okno, zmrużyła oczy i zajrzała do środka. Jakieś beżowe firanki przesłaniały widok za szybą. Blisko zobaczyła coś brązowego, chyba kanapę, z trudem rozpoznała jakiś cień, po chwili dwa cienie, poruszające się i zlewające w jedną sylwetkę, i znowu się rozdzielające niczym ameba. Stała i patrzyła na cienie, kiedy jeden nagle oderwał się i zniknął z pola widzenia. Potem usłyszała

jakiś odgłos, niedaleko, zdała sobie sprawę, że nie dobiega z domu, lecz z zewnątrz, więc odwróciła się w ciemności w kierunku trawnika i ku własnemu przerażeniu spostrzegła, że stoi twarzą w twarz z mężczyzną, Hindusem, w wieku około sześćdziesięciu lat. Pan Gupta!

- Co pani tu robi?! - zapytał zdenerwowany ściśniętym głosem.

Był niskim, korpulentnym, łysym mężczyzną, miał na sobie rozpiętą koszulę, i obejmował się ramionami z zimna.

- Ja tylko patrzę - bąknęła Claudia, po raz pierwszy zdając sobie sprawę, że właściwie nie ma tu nic do roboty, że ten człowiek ma prawo być wściekły i przestraszony. - Bardzo przepraszam - dodała.

- Mogę wezwać policję - powiedział pan Gupta bez przekonania.

- Kiedyś tu mieszkałam - rzuciła Claudia w nadziei, że to wszystko wyjaśni.

Dostrzegła na jego twarzy jakby lekkie wytchnienie. Przejechała ręką po łysinie.

- Naprawdę? - zapytał.

- Tak. Do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku. Wychowałam się w tym domu. - Wciąż wpatrywał się w nią mocnym wzrokiem, więc dodała jeszcze: - Drzwi do łazienki na parterze się nie domykały. Może wciąż się nie domykają. ..

Zauważyła u mężczyzny jakąś wyraźną zmianę. Tak, najwyraźniej drzwi wciąż się nie domykają, trzeba je dopchnąć.

- I teraz chce pani zobaczyć dom? - zapytał. - Tak późno wieczorem? Bez pytania? Bez telefonicznego uprzedzenia?

- Och, nie, byłam pewna, że nie będę mogła wejść do środka. Chciałam tylko zajrzeć przez okno, naprawdę szybkoitko.

Pan Gupta odwrócił się nagle i zaczął iść z powrotem do domu.

- Cóż, w takim razie zapraszam do środka - powiedział przez ramię. - Strasznie zimno.

Poszła za nim. Kiedy wchodziła po trzech stopniach na ganek, nogi same ją niosły, jakby wiedziały, na jaką wysokość się unieść. Betonowe stopnie były tu dużo niższe niż zwykle i tylko stary weteran mógł wiedzieć, jak po nich płynnie przejść, a Claudia przecież nim była. Schodziła i wchodziła tymi schodami tysiące, tysiące razy, nigdy przy tym nie myśląc: Czy idę po nich ostatni raz? W końcu jednak nastąpił ten ostatni raz, a zanim nastąpił, wyprowadziła się większość rodziny i wydarzyło się tak wiele, że Claudia przesiąkła tym domem i wszystkim, co ze sobą niósł, i miała teraz wielką ochotę to z siebie wyrzucić.

Weszła za panem Gupta przez drzwi na główny korytarz. Kiedyś ściany były tu z białej boazerii i wisiały na nich fotografie; teraz były ciemniejsze, w żółtawym odcieniu, który kazałby myśleć, że mieszkają tu jacyś dziadkowie. Przeszli do salonu, gdzie na podłodze leżał beżowy dywan i stała duża kanapa narożnikowa, której obie części były rozdzielone i ustawione przodem do siebie. Claudia zorientowała się wówczas, że ów niewyraźny cień zza okna to młody Hindus, mniej więcej w jej wieku, ubrany w dżinsy i bluzę z emblematem University of Pennsylvania, który, jeśli nie liczyć gęstej, kruczoczarnej czupryny, podobny był kubek w kubek do pana Gupty. Ojciec i syn - obaj niscy, intensywnie śniadzi, o trochę może dziwnym wyglądzie, z bulwiastymi nosami i wyłupiastymi oczami.

- To David - przedstawił go pan Gupta, a potem skinął na Claudię i powiedział: - Ta młoda pani mieszkała tu kiedyś. Pokażesz jej dom?

David spojrział na ojca pytającym wzrokiem, jakby próbował znaleźć i rozszyfrować w jego słowach jakiś podtekst, ale najwidoczniej nie było żadnego podtekstu, bo pan Gupta po prostu wyszedł z pokoju. Po chwili rozległ się gdzieś dwo-

nek telefonu i Claudia usłyszała, jak pan Gupta idzie szybko po schodach na piętro, a potem otwiera któreś drzwi. Gupta Młodszy patrzył przez chwilę na Claudię z wyraźnym poirytowaniem; wcale nie miał ochoty oprowadzać jej po domu, absolutnie.

- To nie problem - powiedziała Claudia. - Nie musisz, naprawdę. Nie chciałam tu nawet wchodzić.

- Ojciec prosił - odparł matowym głosem. - W porządku. Kiedy tu mieszkałaś?

Podawała mu lata, a on przytaknął tylko. Ani syn, ani ojciec nie mieli powodu, by jej nie wierzyć; natomiast nie mieściło się w ich głowach, po co ktoś chciałby oglądać ich dom bez jakiegoś prawnego interesu. Nie wyglądała na włamywaczkę, choć naturalnie, jak sama pomyślała, mogłaby w ten sposób robić jedynie wstępne rozpoznanie. Ale z tego, co zdążyła już dostrzec, nie było tu wiele do rozpoznawania - ani do kradzieży. Mebli była tylko niezbędna liczba, a wystrojowi wnętrza poświęcono powierzchowną uwagę. W tym domu człowiek mógł się czuć jak w wielkim, czystym pudle.

Przeszli przez kuchnię, również nieskazitelną, choć dębowy stół, który stał kiedyś pod okragłą, dużą lampą, zastąpiony został zwykłym, składanym, metalowym stolikiem i składanymi krzesłkami. David Gupta wyczuł chyba u Claudii zaskoczenie i dezaprobatę, które próbowała ukryć, ponieważ powiedział:

- Rodzice powoli meblują dom. Zaproponowałem kiedyś, że zawiozę ich do Ikei, ale mama nie chciała, żeby tu wyglądało jak w szwedzkim domu, cokolwiek przez to rozumie. Więcej o tym nie rozmawialiśmy, bo mama wyjechała do Karaczi opiekować się siostrą chorą na raka. Nie wiem, czy rodzice kiedykolwiek się tutaj urządzają.

- Daj spokój - powiedziała Claudia. - Bardzo tu przyjemnie. No nic, wpadłam tylko na minutę, będę uciekać. Naprawdę dziwnie się czuję.

- Nie, nie - zaproponował. - Możesz zobaczyć resztę.

Przeszli przez parter, zaglądając do biblioteki, w której zagłębione w ścianie regały, niegdyś zastawione książkami po suficie, teraz były niemal ich pozbawione. Nieliczne książki stały na przemian z jakąś ceramiką, a niektóre półki były całkiem puste, jakby rodzina dopiero się wprowadziła lub właśnie wprowadzała.

- Rodzice nie mają czasu na czytanie - wyjaśnił David, jakby przepraszającym tonem, może nawet trochę rozeźlonym. - Czytaliby, gdyby mogli.

Właśnie wtedy Claudia się zorientowała, że David nie mieszka w domu rodziców, a przebywa tu jedynie z wizytą. Wszystko, co tu widziała, należało do nich i było zapewne inne niż jego rzeczy. Zastanawiała się, gdzie w takim razie on mieszka, i na krótką chwilę jej myśli powędrowały do jego domu, jego życia, ale nie umiała dostrzec szczegółów, zresztą nie miała powodu, by próbować je sobie wyobrazić. Zaprosił ją na górę. Czy mogła odmówić? David Gupta poprowadził ją wzdłuż białej ściany, pod której farbą znajdowały się wyrysowane ołówkiem oznaczenia wzrostu małych Mellowów. Weszli do otwartej sypialni rodziców, ale zaraz się wycofali, bo pan Gupta siedział tam na łóżku i rozmawiał przez telefon. Przez ten krótki moment Claudia zdążyła jednak zauważyć, że łóżko państwa Gupta było wysokie i bardzo skromne i że tuż za nim, na niezadrapanej i niepodziurawionej ścianie, wisiała półka, na której stały jakieś bibeloty, między innymi kilka słoni indyjskich z jadeitu i brązu. Trudno, by czuła się zaskoczona; czego się spodziewała? Że po tylu latach zostanie tu jeszcze ślady po swoich rodzicach?

- Chodźmy na górę - powiedział David.

- Jasne - zgodziła się Claudia, idąc za nim na drugie piętro. - Och, piętro dzieciaków - usłyszała własny szept.

David zatrzymał się na chwilę na półpiętrze.

- Słucham?

- Tutaj mieszkaliśmy. To znaczy my, dzieci.

- My też tutaj nocujemy, kiedy przyjeżdżamy z siostrą do rodziców - odpowiedział.

Pokoje były teraz bardzo schludne; nie mieszkają tu już ani morskie małpki, ani gekony. Oto pokój Michaela, teraz przeznaczony dla gości, z rozkładanym łóżkiem, oto pokój Dashiella, wypełniony pudłami z napisem „Major Grey - sos korzenny”, i pokój Holly, w którym stał stepper i rower treningowy, a o ścianę opierały się narty. Hindusi na nartach, pomyślała Claudia i wyobraziła sobie, jak rodzina Guptów szusuje stromym stożkiem w tradycyjnych, harmonizujących ze sobą indyjskich strojach.

W końcu David wprowadził ją do jej własnego niegdyś pokoju, w którym, jak się okazało, nocował teraz właśnie on. Łóżko było niedbale zasłane, jakby pośpiesznie, a na stoliczku nocnym leżało parę książek i rozwiązana krzyżówka z dzisiejszej gazety. Przed łóżkiem stała otwarta walizka. Na ścianie wisiała jakaś marynistyczna rycina.

- To był mój pokój - powiedziała Claudia i zaraz usłyszała, jak żałośnie zabrzmiały jej słowa, i poczuła, jak robi się jej mdło i niedobrze.

Jakby znalazła tu raptem jakieś przywrócone wspomnienie, z rodzaju tych, jakie w talk-showach mają kobiety pod hipnozą czy ledwie pod okiem jakiegoś szarłatańskiego terapeuty, sympatycznego i opiekuńczego niczym mama - jakby w tym pokoju coś się stało, w przeciwieństwie do n i c nigdy się nie stało. W rzeczy samej, dobrze wiedziała, co się w tym pokoju stało, a co się nie stało. Nie należała do osób, które uprawiały w tym domu seks; wszyscy inni w rodzinie tak, ale ona nie. Choćby Holly i Adam Selig, po drugiej stronie korytarza, rznęli się, oddani sobie jak pieski. Gdyby stanąć wtedy przy drzwiach i przyłożyć do nich ucho, jak zrobiła to kiedyś

Claudia, to bez trudu można by usłyszeć powtarzające się cmoknięcia mokrych ust i głosy z samego wnętrza, głosy pożądania, podnoszone raz po raz, jakby w ciele człowieka znajdował się jakiś podżegacz podburzający dziką tłuszczę.

W tym swoim pokoiku, w tym żeńskim klasztorze, Claudia nie zaznała jednak z nikim intymnych chwil, jeśli nie liczyć trolli. Kładła się sama do łóżka, które kiedyś tu stało, łóżka z rattanowym wezgłowiem. Ściany były pokryte plakatami, na podłodze leżała wykładzina w kolorze płatków owsianych z purpurowymi smugami, którą sama wybierała. To było jej miejsce, jak najbardziej jej, i rzadko myślała o tym, że pewnego dnia będzie musiała je opuścić, że wykładzina zostanie zerwana i odsłoni zabrudzoną, drewnianą podłogę, że pewnego dnia będzie musiała porzucić klauzurę swojego pokoju i wyjść w świat, na który, jedyna z rodzeństwa, była tak katastrofalnie nieprzygotowana.

Stała tu teraz, w tym samym pokoju, i miała wrażenie, że za chwilę straci oddech. Czy to coś w niej? Czy po prostu niedostatek powietrza w pomieszczeniu?

- Chyba zaraz zemdleję - szepnęła.

- O! O, nie. Usiądź proszę. - David Gupta poprowadził ją do łóżka. - Schył się i włożył głowę między kolana. - Powiedział coś, co każdy wiedział, że trzeba w takiej chwili powiedzieć, a ona zrobiła, co kazał, czując, jak krew pulsuje jej pod skrońcami.

David Gupta uklęknął przed nią na niebieskim dzisiaj już dywanie. Widziała jego twarz, patrzące na nią z bliska oczy, otwarte szeroko, pełne zatroskania lub może poirytowania. Doprawdy, po co jej to było. Kim tu jest? Tylko natrętem, tą samą smutną dziewczyną, która nie należy już do tego miejsca - ani do żadnego innego.

- Pójdę już - wyszeptała i spróbowała wstać, ale David położył jej rękę na ramieniu.

- Nie, nie - powiedział. - Jeszcze za wcześnie.

- Nic mi nie jest - zapewniła go.

- Kiedy studiowałem medycynę w Heidelbergu - powiedział z uśmiechem - powtarzali nam w kółko, że najważniejsze jest nie pozwolić pacjentowi zbyt prędko wstać.

- Och, naprawdę?

- Absolutnie tak. Następną rzeczą, którą nam ciągle powtarzali, było to, aby po posiłku odczekać co najmniej godzinę, nim wejdiesz do wody popływać. - Jego twarz była tuż-tuż; co za niespodziewane zatopienie się w chwili bliskości. - Ta wizyta trochę cię przerosła - zauważył. - To się zdarza.

- Chyba tak. Czułam się zupełnie dobrze i raptem... trach!

- Już lepiej? - zapytał, a Claudia powoli podniosła głowę i spostrzegła, że rzeczywiście czuje się trochę lepiej.

Światło w pokoju wydawało się jej jaśniejsze, a podłoga już tak nie falowała. Pokój był tylko pokojem. Tak, mieszkała w nim kiedyś, ale nawet trudno się tego domyślić. Rozejrzała się dookoła świeżym spojrzeniem.

- Miałam mnóstwo trolli - powiedziała. - Były tu wszędzie. To znaczy takie lalki. Miałam ich setki. Istne zatrzęsienie.

- Te z dziwnymi włosami - podchwycił David Gupta. - Tak, widziałem takie lalki. Ja kolekcjonowałem samochody na resorkach. Ustawiałem je i przestawiałem bez końca. Powinienem być zostać parkingowym. W tym byłem naprawdę utalentowany.

Na chwilę wyobraziła ich sobie jako osoby podobne do siebie. Oboje wolno wchodzili w życie, oboje w domu rodziców. Właściwie nie było powodu, by myśleć, że David Gupta jest do niej podobny; jedynym powodem mógł być ten, że Claudia nagle zapragnęła, by byli do siebie podobni. To pragnienie zaskoczyło ją równie mocno jak zawroty głowy.

- To w końcu jaki masz zawód? - zapytała. - Nie jesteś chyba lekarzem, prawda?

Powiedział, że prowadzi doradztwo w dziedzinie praw własności intelektualnej. Pracuje w Filadelfii, gdzie mieszka, gdzie chodził do college'u i gdzie studiował prawo. Stąd jego bluza. Przyjechał do ojca na tydzień, żeby pomóc w prawnych formalnościach związanych z ich rodzinną restauracją. Spodziewa się, że w ciągu paru najbliższych tygodni jeszcze nieraz będzie musiał tu przyjechać.

- Ach, tak. - Claudia kiwnęła głową. - Ta indyjska restauracja w centrum miasta. Widziałam ją.

- Właściwie trochę też pakistańska. Ze strony mamy jestem Pakistańczykiem. Ale dla uproszczenia mówimy, że jesteśmy Hindusami.

- Uwielbiam indyjską kuchnię - powiedziała. - W mojej okolicy jest mnóstwo takich restauracji.

- East Village? Zawsze chciałem tam mieszkać. Masz szczęście.

- Niezupełnie - odpowiedziała. - Gdybyś widział moje mieszkanie...

Mówiąc to, miała na myśli co innego: gdybyś widział moje życie, jego parametry, jego granice, jak się wokół mnie zacieśnia. David zapytał ją o nią samą, a ona opowiedziała mu o zajęciach filmowych i filmie, który właśnie kręci.

- Daj mi swój adres e-mailowy - zaproponował nagle. - Może znowu będziemy tu w tym samym czasie, ja z powodu restauracji, a ty filmu. Mogłabyś wpaść do Café Bombaj. W końcu w życiu trzeba czasem coś zjeść, no nie?

Claudia, zaskoczona, trochę przestraszona, choć jednocześnie zrobiło się jej przyjemnie, próbowała rozebrać to zdanie na części składowe i odgadnąć, czy to powierzchowne słowa, czy wypowiedziane z litości, czy też pod wpływem chwili, bez namysłu, jak najbardziej szczerze. Wymieniła z nim adresy na małych karteluszkach - kieszenie, torebki i portfele wszystkich ludzi zapchane są takimi wymiętymi karteluszkami i jeśli nie

podejmuje się działania krótko po ich otrzymaniu, to adres staje się wyblakłym hieroglifem, kluczem do kogoś, kto niebawem zostanie zapomniany i zniknie raz na zawsze. Dzisiaj wymiana adresów e-mailowych stała się rutynowa, nawet między ludźmi, którzy wiedzą, że nigdy się ze sobą nie skontaktują. Niemniej Claudia zapisała na karteczce swój adres, a on zapisał swój i nastąpił niezręczny moment, kiedy się nimi wymieniali, a potem Claudia powoli wstała. David patrzył z napięciem, czy nie zemdleje nagle na środku jego pokoju.

Wyszli z powrotem na korytarz, gdzie z oddali, piętro niżej, dobiegał ich głos ojca Davida. Claudia pomyślała o panu Gupcie; siedzi w tym całkowicie odmienionym pokoju, na skraju łóżka, rozmawia przez telefon z żoną, która jest daleko, na innym kontynencie. Jego słowa były doskonale słyszane nawet tutaj, na drugim piętrze. Głos rodziców wędrował przez ściany, wędrował po piętrach, nie sposób było od niego uciec. Człowiek słyszy go zawsze, w jakimkolwiek miejscu na kuli ziemskiej się znajdzie.

Rozdział czwarty

Spróbuj kurczaka, jest z orzeszkami piniowymi - powiedział Paul Mellow do syna Michaela, gdy siedzieli przy oknie w restauracji, i natychmiast usłyszał ten niepożądany pomruk wielkopańskiego chichotu, który zagnieździł się głęboko w jego strunach głosowych z chwilą, gdy pierwsza żona wydała mu na świat mężczyznę, siedzącego teraz przed nim po drugiej stronie stołu, ich pierwszego syna.

Ten chichot nigdy go nie opuścił. Paul Mellow chciał być dobrym ojcem, a dobrzy ojcowie chcą być na luzie, więc powiedział po prostu: „Spróbuj kurczaka, jest z orzeszkami piniowymi” i jeszcze: „Zostaw sobie miejsce na ciasto dolce de leche”, chociaż żaden z nich nie czuł wcale głodu, bo było dopiero południe, styczniowego dnia w Naples na Florydzie, i niepełna cztery godziny wcześniej zjedli obfite, ciężkostrawne śniadanie złożone z jajek na maśle. Na nogach byli już od siódmej, wyszli pobiegać; dwaj mężczyźni na mokrej od rosy ścieżce, okalającej wyblakłe od słońca sosnowe domy osiedla Roześmiany Las - Michael spięty, rozbity i wychudzony, chciał być w ruchu, a ojciec grubszy, z siwą brodą, wciąż przystojny, choć już jakby uwiędły, ale za wszelką cenę próbujący nadrobić dystans. Po bieganiu wzięli natrysk w sąsiadujących kabinach pierwszorzędnej siłowni na osiedlu, wyciskając ze ściennych pojemników wonne, turkusowe mydło w żelu. Potem wypożyczyli małą motorówkę i wędkowali parę godzin, z rzadka łapiąc jakąś rybę, dla nich nie do rozpoznania, i puszczając ją zaraz wolno. Do

domu wrócili krótko przed południem. Elise, jak można się spodziewać, wciąż spała, z głową opartą na specjalnej poduszce, którą kupiła w telezakupach wychwalających jej niesłychane zalety. Poduszka była wypełniona japońskim, surowym, czerwonym ryżem, mającym zapewnić w nocy lepszy i głębszy sen. Najwyraźniej reklama mówiła prawdę, bo Elise spała i spała.

Ze względu na swoje pół etatu Elise miała inny rytm dnia niż Paul - pracowała trzy dni w tygodniu jako pracownik socjalny, podczas gdy Paul siedział cały czas w domu i pisał artykuły do „Nowoczesnego Seniora” lub do pisma Amerykańskiego Stowarzyszenia Rencistów i Emerytów. Od czasu do czasu przyjeżdżał do niego na krótki wywiad ktoś z Uniwersytetu Trzeciego Wieku, na którego zaproszenie Paul miał wkrótce wyjechać do Miami z cyklem wykładów zatytułowanych „Seks po siedemdziesiątce”. W ciągu dnia życie Paula krzyżowało się z życiem Elise przez niewiele godzin. Miało to, jak się okazuje, swoje dobre strony, zwłaszcza teraz, gdy jest z nimi Michael. Przyjechał na tydzień, który jednak przemienił się już w dwa tygodnie. Mając syna w domu, Paul niespodziewanie poczuł się szczęśliwy, nostalgiczny, odrodzony, jakby Michael dźwignął go w górę za szlufki i zmusił do zajęcia się sprawami, których nie robił już od bardzo, bardzo dawna.

Na Florydzie wszyscy są równi. Tu nie ma znaczenia, kim jesteś. Na początku odurzają cię olbrzymie, różnobarwne kwiaty, które zdają się mieć twarze, i klimat sauny, i ryby z grilla, i obfitość cytrusów i ubrań w pastelowych kolorach, i jowialność każdej napotkanej osoby, która jak ty uciekła od wielkomiejskiego zgiełku, mówiąc sobie wreszcie, że ma już go serdecznie dość. Po pewnym czasie tracisz jednak poczucie sensu tego wszystkiego, wieczorami zaczynasz marzyć o metrze, czynnych do świtu barach i czarnych ludziach, których tutaj zupełnie nie widać. Zaczynasz chcieć czegoś więcej dla siebie, ale wiesz, że to już niemożliwe.

Wcale nie w tym rzecz, że przestała już działać głowa; osiedle Roześmiany Las, ze swoim szerokim spektrum kursów i zajęć dla dorosłych, było miniaturą Szkoły Ateńskiej. „Szkoła neapolitańska”, zażartował raz Paul w rozmowie z sąsiadem, Bartem Domblerem, nawiązując do nazwy ich miasteczka, ale emerytowany anesteziolog zamrugał tylko i zapytał: „Słucham?”

Raz w tygodniu Paul i Elise chodzili do świetlicy w budynku C na zajęcia z poezji amerykańskiej. Czytali teraz wiersze Emily Dickinson, którą Elise uwielbiała i którą niekiedy recytowała sobie, gdy sądziła, że Paul jej nie słucha. Paul przypomniał sobie, że Roz również uwielbiała Emily Dickinson, ale nie słuchał, kiedy czytała na głos jej wiersz. Rozpraszało go samo patrzenie na żonę, wpatrywał się w nią poruszony widokiem Roz czytającej wiersze. Na samych słowach nie potrafił się skoncentrować.

Poza tym można było się zapisać na zajęcia jogi, na kurs gotowania po seczuańsku, jak również na kurs nauk politycznych (zawsze były wolne miejsca) prowadzony przez pewnego emerytowanego profesora z Haverford College, który mieszkał w budynku B i robił wrażenie, jakby nie wiedział, co ze sobą począć przez cały dzień. Paul, czując trochę litości wobec starszego pana, uczestniczył w jednych z zajęć jego kursu, podczas których profesor wręczył mu plik skserowanych tekstów Marksa i Engelsa, ułożonych w optymistycznie wysoką pryzmę.

W Roześmianym Lesie każdy, Paul był tego pewny, czuł tę dwojaką świadomość przegranej i rozgoryczenia. Niektórzy odczuwali ją przez cały czas. Niekiedy miał ochotę odwrócić się do któregoś z sąsiadów i powiedzieć: „Pan czuje to samo, prawda?” W istocie nie mógł o to zapytać nawet Elise, ponieważ to ona namawiała, by przeprowadzili się właśnie tutaj. Zanim zaczęła pracować z hiszpańskojęzycznymi rodzinami, które desperacko potrzebowały pomocy socjalnej lub dachu

nad głową, Elise lubiła malować. Jej dzieła nie były może najwyższego lotu, ale miały w sobie jakąś iskrę i poruszały, a ona sama bardzo lubiła to zajęcie. W Nowym Jorku nie miałyby szans, ale tutaj, w Naples, wzięła udział w zbiorowej wystawie, zorganizowanej w jakiejś jasnej i przestronnej galerii. Lokalna gazeta nie tylko opublikowała recenzję z wystawy, ale zamieściła też zdjęcia i wywiady z artystami. Elise udało się nawet sprzedać parę obrazów, i jeśli komuś kiedyś zdarzy się zagościć w jednym z mieszkań na osiedlu w Naples, to niewykluczone, że zobaczy wiszący nad kanapą obraz Elise, z cyklu „zagubiona dziewczyna”, łatwo rozpoznawalny po zgniłej zieleni i złocistościach, a także wyraźnej trudności z uchwyceniem symetrii oczu.

Sama Elise była jak najbardziej symetryczna, choć miała ten typ twarzy, który Paul po wielu miesiącach od ślubu zaczął widywać wszędzie. Po jakimś czasie doszedł do przekonania, że dzieje się tak dlatego, iż w collegeu Elise zrobiła sobie operację plastyczną nosa i miała nos jak mnóstwo ludzi. Wąski, z drobną wypukłością na czubku, przecięty u góry pasmem włosów, które, poddane trwałej ondulacji, opadały spletanymi loczkami na oczy - przypadkowo nadawał Elise wygląd pudelka. Kiedy ubierała się na wieczorne przyjęcie i malowała usta ulubioną, czekoladowobrązową szminką, mimowolnie przywodziła Paulowi na myśl właśnie pudelka tańczącego w cyrku. Co za potworność mieć takie myśli o kobiecie, którą się poślubiło! Ale kochał ją i pociągała go. Tyle że zaczęło jej brakować ikry - albo dopiero teraz uświadomił sobie, że zawsze taka była - choć i jemu brakowało już ikry: ma sześćdziesiąt osiem lat i wciąż pragnie, by miłość istniała w jasnym, strzelistym snopie światła, i wciąż żywi przekonanie, że jest to możliwe.

Michael również miał kłopot z miłością. Drugiego dnia wizyty, kiedy po kolacji usiedli z ojcem w salonie, a Elise zaczęła się krzątać gdzieś po mieszkaniu, Michael wyznał, że nie ukła-

da mu się dobrze w tych sprawach. Nie wchodził w szczegóły, powiedział tylko, że razem z Theą, swoją dziewczyną, potrzebują trochę czasu z dala od siebie, więc dobrze się złożyło, że mógł przyjechać na Florydę.

Paul widział, że jego syn drży, szybko się poci i ma nawyk potrząsania kolanem w czasie rozmowy. Co się z nim dzieje, do diabła? Gdyby Paul nie znał go dobrze, mógłby pomyśleć, że zaczął brać narkotyki. Ale oczywiście Michael nienawidził narkotyków, zawsze ich nienawidził, nie cierpiał ich organicznie; kiedy dawno temu, jeszcze jako nastolatek, widział rodziców palących w pokoju jointa, ostentacyjnie odganiał ręką dym i kaszlał, dając do zrozumienia, że palenie mu przeszkadza.

Zatem nie narkotyki. Po prostu kłopoty, miłosne kłopoty. Wczoraj w Hildale, kiedy grali w golfa do dziewięciu dołków, Michael powiedział Paulowi coś, co dało mu do myślenia. Otóż stwierdził, że ma kłopoty z Theą, ponieważ nie zależy jej, by czuł się jak najlepiej.

- Konkretnie co masz na myśli? - dopytywał się Paul. - Daj jakiś przykład.

- Nie mogę - odpowiedział Michael.

Żaden z nich nie był wytrawnym golfistą, ale dzień był piękny, a wietrzyk podnosił im delikatnie włoski na rękach, kiedy stali nieruchomo, szukając idealnej pozycji, przesuwając kij to trochę w przód, to trochę w tył, przygotowując uderzenie, które tak czy owak się nie uda, choćby nie wiadomo jak próbowali.

- Cóż, przykro mi, że ci się nie układa - powiedział Paul.

Nie spuszczał wzroku z piłki i nie patrzył na nieszczęśliwą twarz Michaela; czytał gdzieś, że najlepszym sposobem na udaną rozmowę między mężczyznami jest rozmawiać wtedy, kiedy są czymś zajęci, kiedy nie muszą mieć kontaktu wzrokowego i nie czują zagrożenia, przed którym wycofują się szybko do swoich nerek niczym świstaki.

Nagle rozległo się przenikliwe buczenie. Paul podniósł wzrok na syna, który powiedział: „Jedną sekundę, tato”, a potem sięgnął do kieszeni spodni i wyjął palmtopa.

- Cholera - powiedział chwilę później. - To się nigdy nie skończy.

-Thea?

- Nie. Praca. To kumpel, ma na imię Rufus, beze mnie nic nie potrafi zrobić. Kompletnie uzależniony, w pracy dostaje teraz bzika. Bliźniacy, bliźniacy. Tylko o tym mówi.

- Bliźniacy, hm? Przyjeżdżają do firmy?

- Taak... Jutro. Obiecałem mu, że wrócę do tego czasu, ale, rzecz jasna, nie wrócę. Jeszcze chwileczkę, tato, dobrze?

Michael wklepał szybko jakąś wiadomość i schował palmtopa do kieszeni. Urządzenie będzie buczeć przez całą resztę pobytu Michaela na Florydzie, podczas gry w golfa, podczas posiłków, podczas chwil spokojnej rozmowy, a Michael będzie wysyłał odpowiedzi. Jego syn nigdy się nie uwolni od pracy, od zmartwień, nigdy nie będzie umiał zwyczajnie odpocząć.

- Wybacz, że pytam prosto z mostu - powiedział Paul. - Ale to, co mówiłeś wcześniej o swojej dziewczynie, ten kłopot, to sprawy łóżkowe, czy mam rację?

- Nie. Tak. No, tak. Masz rację - odpowiedział Michael i zamachnął się kijem; uderzył piłeczkę źle, jakoś niemrawo, zatrzymała się gdzieś w połowie drogi od dołka. - Własnym uszom nie wierzę, że ci to mówię.

- Dlaczego? - odparł jego ojciec. - W końcu trochę się na tym znam, prawda?

- Uhm, fakt, przecież jesteś naszym bogiem seksu, tato. Zawsze o tym zapominam.

- Nie jestem waszym bogiem seksu, nie jestem niczym bogiem seksu. Nic z tych rzeczy - odpowiedział Paul. - Wasza mama się o to postarała.

- Żartowałem tylko.

Paul poczuł, że się rumieni, jakby niski, zażywny, sześćdziesięcioośmioletni mężczyzna, z siewającą brodą i dwuogniskowymi okularami na nosie, rzeczywiście miał w sobie taką energię seksualną, że mógłby jak dawniej zwałać kobiety z nóg w wielkim stylu. I prawdę mówiąc, sześćdziesięcioośmioletni mężczyzna mógł. On też by mógł, był o tym przekonany, jeśli tylko sprzyjałyby okoliczności. Bo również kobieta, ze swojej strony, sama musi w to włożyć trochę wysiłku. Przecież nie mógł o to prosić Elise, bo co miałaby jej powiedzieć: „Kochanie, mogłabyś na mnie spojrzeć z pożądaniem w tych pudełkowych oczach, a nie nabożeństwem?” „Mogłabyś przynieść całą siebie, drżąca, wystraszoną niczym szczeniak, na mój brzuch, i niżej, i dotykać mnie, i pieścić, i przypominać mi, dlaczego jesteśmy mężem i żoną?”

Podobnie Michael nie mógł powiedzieć Thei, kobiecie, którą jego ojciec widział ledwie dwa razy w życiu: „Mogłabyś na chwilę zapomnieć o sobie i zrobić coś dla mnie?”

Za sprawą problemów z kobietami ojca i syna połączyła teraz więź, byli ze sobą związani. Niebawem skończyli grę i odjechali samochodzikiem golfowym do klubowego budynku. „Zostań tu na zawsze”, miał ochotę powiedzieć Michaelowi Paul. Zostań, jak długo chcesz, żeby odpocząć od Thei, od stresu w DDN, od wielkomiejskiego życia, zostań tu, w naszym pokoju gościnnym o brzoskwińowych ścianach, w Naples na Florydzie, i zapomnij o aktorce z Nowego Jorku, która przyniesie ci tylko ból, nic więcej. Zostań ze mną, myślał, bo jestem twoim ojcem i jak może już zdążyłeś zauważyć, również nie jestem szczęśliwy.

W ubiegłym tygodniu jakimś cudem, jakby czytając w jego myślach, Michael rzeczywiście zapytał, czy mógłby zostać dłużej. Nie określił wyraźnie, jak długo, ale Paul nie pytał. Elise, słysząc tę wiadomość, była mniej szczęśliwa, ale ukryła przed Michaeliem swoje uczucia. Tylko raz, na osobności, szeptem

zapytała Paula: „Pytam z ciekawości, w żadnym razie nie chcę naciskać, ale może wiesz, kiedy Michael wyjeżdża?”

Paul fuknął cicho i powiedział: „Wyjedzie, kiedy będzie chciał. Jest moim synem i mam szczęście, że tak długo u mnie będzie”. Ale oczywiście Paul się martwił. Co to znaczy, że Michael nie chce wracać? Przecież jutro do biura ich firmy w Nowym Jorku przyjeżdżają bliźniacy; czy to nie miało być wielkie wydarzenie? Czy Michael nie mówił dawniej, że kiedy przyjeżdżają do firmy bliźniacy, wszyscy pracownicy muszą wokół nich biegać, muszą błyszczeć, pokazać ducha, pracę zespołową i wizję? Michaela zdawała się zupełnie nie obchodzić własna nieobecność w firmie, więc Paul o nic nie pytał. Cieszył się, że syn zostanie z nim dłużej, i wolał nic nie mówić, żeby przypadkiem nie zmienił zdania.

Z punktu widzenia Paula były to dwa wspaniałe tygodnie długich i nieskrępowanych rozmów na różne tematy, gier w golfa, porannego joggingu oraz męskich posiłków rujnujących arterie, podczas których Elise spała smacznie na poduszce z ryżowym wsadem. Paul miał nadzieję, że podjęta rozmowa teraz, w czasie lunchu w restauracji, będzie trwała. Nie chodziło o to, by lubił patrzeć na słabość Michaela - przeciwnie, bardzo go martwiło, że ambitny i inteligentny syn wydaje się taki zagubiony - wiedział jednak, że słaby syn czuje się bliższy ojcu.

- Więc Thea i ty... - zaczęła, kiedy kelner postawił przed nimi ogromne talerze z głównym daniem.

Za radą ojca Michael zamówił kurczaka. Była to pierś wielkości męskiego buta, okraszona reklamowanymi orzeszkami piniovymi i opleciona kaligraficznie „redukcją z czerwonej papryki”, cokolwiek miało to znaczyć - widać, że tutejsi szefowie kuchni mają hyzja na punkcie niespełnionych talentów twórczych. Kiedy kelner odszedł w głąb sali, Paul znowu delikatnie poruszył temat Thei, wiedząc, że tym samym porusza temat Elise.

Tematem były kobiety, ich kobiety. Jak to się dzieje, że jeden z nich ma kobietę, która kocha za mało, a drugi kobietę, która owszem kocha, lecz tylko w krótkich chwilach, kiedy nie śpi, ale wtedy on ma problem z tym, by kochać ją. Temat był więc jasny, dlaczego kobiety i mężczyźni nie łączą harmonia. O Boże, pomyślał Paul, dłubiąc od niechcenia w jedzeniu, usłyszawszy przed chwilą własne słowa. „Odezwałem się jak na jednym z tylu naszych osiedlowych kursów: Uprzejmie zapraszamy na wykład doktor Nancy Gould, którego temat brzmi «Komunikacja między kobietą i mężczyzną, czyli o niedoskonałości nauki», świetlica, budynek C, środa wieczór, między dziewiętnastą a dwudziestą pierwszą, po wykładzie zapraszamy na wino, sery i stymulującą dyskusję”.

- Tato, nie chcę teraz rozmawiać o Thei - powiedział Michael. - W ogóle już o tym nie chcę rozmawiać. Wiem, że dobrze się na tym znasz. Ale sam tym się zajmę po powrocie. Damy sobie z Theą radę.

- Zajmiesz się?

- Tak. Teraz wolałbym porozmawiać o książce.

Paul przymknął oczy.

- Och, proszę, daj spokój - powiedział, a jego głos w jednej sekundzie stał się matowy, niemal bezdźwięczny, jak zawsze, kiedy Michael, czy w ogóle ktokolwiek, podnosił kwestię książki.

- Jak mówiłem, wznowienie to niezły pomysł - ciągnął Michael. - Przyniesie dochód. Tego nigdy za wiele. Będzie zainteresowanie.

- Nie potrzebuję niczyjego zainteresowania - odpowiedział Paul.

- Może mama potrzebuje.

- To już nie moja sprawa, prawda, Michael? Jeśli twojej matce czegoś brakuje, teraz, w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat, to niech porozmawia ze swoim obecnym mężem, nie ze mną.

Paul natychmiast zauważył, jak odpowiedź uderzyła w dorosłego syna rozwiedzionych rodziców i przypomniała mu, że rodzice żywiący do siebie urazy są brzydki i groteskowi, że zarzeczają swoje minione życie, jakby nigdy nie istnieli i jakby nie istniał sam fakt, że z ich związku zrodziły się dzieci. Doprawdy, trzeba wielkiego talentu, żeby zarzeczbać w sobie byłą żonę. Paul potrafił to zrobić doskonale z drugą żoną, która pojawiła się krótko po Roz, a przed Elise, i która miała na imię, co za prawie zbieg okoliczności, Elisa. Byli małżeństwem przez niecały rok, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym, a teraz Elisa jest zapomniana na dobre, jakby nigdy nie istniała.

Elisa była pomyłką od samego początku, choć pociągał go jej śmiech, jej obcisły kostium baletnicy, i to jak spinała w kok błyszczące, ciemne włosy, próbując wyglądać jak baletnica Georgea Balanchinea. Tak naprawdę jednak była młodą, nieopierzoną eksperymentatorką w dziedzinie seksu, której przemyślenia dotyczące seksualności były jak najbardziej wtórne. Elisa napisała książkę pod tytułem *Więzi krwi: utrata dziewictwa a tożsamość kobiety*, na której potrzeby przeprowadziła wywiady z dziesiątkami dziewczic i dziesiątkami byłych dziewczic, pytając je o doświadczenia lub też ich brak. Książka nie znalazła wydawcy. Nikt nie lubił Elisy, nikt, ani dzieci, ani przyjaciele Paula, a mimo to Paul się upierał, że jest dla niego idealna, że jest dla niego tym kimś, że będzie tą, która pomoże pokonać zgrzyotę jego życia - którą była Roz.

Roz, ta pierwsza.

Roz, ta, która na zawsze pozostanie dla niego żoną. Kobiety, które pojawiły się później, były drugą żoną i trzecią żoną, ale nigdy po prostu żoną. Elisa i Elise były żonami, tymi, które przyszły później, którym brakowało wszystkiego tego, co się wydarzyło wcześniej, przed nimi.

- Nie chcę wydawać tej książki - powiedział sztywno do syna.

- Nie chcesz sprawić mamie przyjemności - odparł Michael; ostentacyjnie odsunął talerz. - Nie jestem głodny. Nie znoszę tego kurczaka.

- Nie bądź dzieckiem - rzucił Paul.

Była to absurdalna uwaga, bo jeśli Michael nie miał być dzieckiem tutaj, naprzeciw własnego ojca, to gdzie miał nim być? Dla kogoś z zewnątrz wyglądali po prostu jak dwaj mężczyźni w różnym momencie życia, jeden jeszcze pnący się pod górę, drugi zaczynający już pełne wstrząsów opadanie spirali w dół. Syn znał o ojcu całą prawdę, jak wizjoner albo psychoanalityk.

Paul nie chciał dać Rozjednego. Nawet myśl o tym, jak zwykł przygarniać ją do piersi, wywoływała w nim doznania trudne do zniesienia. Elisa, druga żona, została wymazana z pamięci, jego ciało było od niej wolne, ale Roz wciąż się w nie wczepiała niczym zjawa i musiał się przed nią bronić, nie mógł dopuścić, by została przy nim na wieczność. Dlatego nie zobaczy znowu w książce siebie razem z nią. Nigdy. Michael miał rację, nie sprawi jej tej przyjemności.

Jakiś cień padł teraz na ich rozjaśniony popołudniowym słońcem stół, Paul podniósł głowę i zobaczył tuż nad sobą Elise, wybudzoną ze stuletniej drzemki.

- Tu jesteście - odezwała się. - Szukałam was na polu golfowym, ale tam was nie było. Szkoda, że mi nie powiedzieliście, że tu będziecie. Uwielbiam tę knajpkę. O, widzę, Michael, że zamówiłeś kurczaka. Świetny, prawda?

Miała na sobie lniane zielonożółte rzeczy i gdyby ktoś nie wiedział, że jeszcze parę chwil temu spała w najlepsze, toby się nie domyślił. Pachniała świeżością i limonką, jakby woń, którą wybrała, miała pasować do ubioru. Jej twarzy nie znaczyła ani jedna senna zmarszczka; nawet teraz Elise była nienaganna, jak Paul i Michael nigdy nie byli i nigdy nie będą.

Nagle Paul zdał sobie sprawę, jak bardzo żałuje, że widzi ją

w tej chwili. Jego własna żona, jej pojawienie się, obecność, odebrały mu siły.

- Proszę, siadaj, zaraz znajdę jakieś krzesło - powiedział Paul, wstając, ale dwóch kelnerów, którzy nie mieli wiele do roboty, już się zajęło nowym gościem, podsuwając krzesło z wysokim oparciem, nakrywając do stołu i podsuwając menu.

- O czym rozmawialiście? - zapytała Elise, patrząc to na Paula, to na Michaela.

- Och, jak zawsze, o głównych podejrzanych - odpowiedział Paul. - Życiu, miłości, narodzinach i śmierci.

Ponieważ miał poczucie winy, że rozczarował go widok Elise, rozbudzonej, na nogach, rzeźkiej, Paul wyciągnął do niej rękę i ujął jej dłoń.

Na początku pierwszego małżeństwa Paul Mellow przechwalał się zawadiacko przed przyjaciółmi na przyjęciach, że jeśli mężczyzna chce dobrze poznać kobietę, którą zamierza poślubić, to powinien rozpocząć znajomość od relacji terapeuty-pacjent. Bo tak właśnie poznali się Roz i Paul Mellowie czterdzieści pięć lat wcześniej, w styczniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku, w Instytucie Psychoanalitycznym Avy Schussler, na Wschodniej Trzydziestej Szóstej Ulicy w Nowym Jorku. Instytut mieścił się w zaskakująco obskurnym budynku w środku kwartału. Wchodziło się wprost do pożółkłej poczekalni, w której stał rząd wyjątkowo brzydkich krzeseł. Siedzieli na nich pacjenci, w szeregu pod ścianą, głęboko obojętni wobec siebie niczym pasażerowie w wagonie metra. Początkowo jednym z tych pacjentów był także Paul, dwudziestotrzyletni, gładko ogolony, młody i bardzo chętny kandydat na psychoanalityka. Instytut przyjmował adeptów nie posiadających wykształcenia medycznego; Paul robił doktorat z psychologii na New York University i to wystarczało komisji kwalifikacyjnej,

choć, jak wszyscy kandydaci, musiał w ramach zajęć poddać się klasycznej psychoanalizie.

Eponimicznym dyrektorem Instytutu była kobieta w wieku osiemdziesięciu lat, której w przeszłości udało się poznać nie-samowitą, psychoanalityczną trójkę, była bowiem poddawana analizie przez Carla Rogersa, Melanie Klein i krótko przez samego Freuda. W każdym razie tak mówiono. U większości ludzi Ava Schussler budziła strach: miała włosy koloru lodowatej bieli, wspierała się na pokrzywionej, wystruganej z wiśni lasce, lecz była niezaprzeczenie utalentowanym psychoanalitykiem i pełni wdzięczności dawni pacjenci stali jej w prezencie rośliny w donicach, karmelki i bilety na *Oklahomę!* na Broadwayu.

„Melanie Klein zawsze była dla mnie kimś w rodzaju aprobującej matki”, mówiła pani Schussler na bankiecie po jakimś wykładzie, w czasie pogawędki z młodymi, przytakującymi jej analitykami siedzącymi obok, najlepiej na dywaniku lub rozłożonych wokół pufkach. Mówiła powoli, robiąc pauzy między zdaniami, westchnieniami lub długimi „hmm...”, jakby improwizowała. „Natomiast Freud, był... hmm... o ile pamiętam, widziałam w nim porywczego ojca. Czasem się spóźniałam na spotkanie, a kiedy wchodziłam do gabinetu na Berggasse *neunzehn*, jego gniew dosłownie wisiał w powietrzu, choć naturalnie Freud powstrzymywał wybuch, bo utrudniłby nam spotkanie. I myślę... - dodawała po chwili, chichocząc cicho - że jestem wieczną córeczką”. W rzeczywistości wydawało się, że pani Schussler nie może być niczyją córeczką, że może raczej być czyjąś władczą, irytującą, stale unikaną babką.

Pewnej nocy Paul miał sen, w którym stanął z Ava Schussler do pojedynku. Ona toczyła bitwę wiśniową laską, a on swoim penisem, oba narzędzia pobrzękiwały głośno, jakby były zrobione ze stali, a nie z drewna i włóknistego mięśnia. Dobrze wiedział, że powinien się jej wystrzegać, ale z drugiej strony fascynowało go, że mógł przebywać w jej obecności. Spędziwszy

na studiach tyle czasu na przypinaniu elektrod laboratoryjnym myszkom, a potem na pomaganiu jakiemuś profesorowi w przeprowadzaniu eksperymentów z pentotalem sodu na ochotnikach z zakładu karnego na Riker's Island, Paul czuł się wyczerpany i pragnął, by jego życie nabrało nowego kształtu. Psychoanaliza była modna, wciąż pozostawała wielkim szaleństwem na długiej liście amerykańskich szaleństw - takich jak fiszbinowy gorset, transcendentalizm Nowej Anglii, boogie-woogie, antykomunizm i tak dalej - zatem pomysł, by sameму się poddać psychoanalizie, a później podjąć się psychoanalizy innych ludzi, wydawał się Paulowi kuszący na całą resztę życia.

Przyszedł na świat w zwykłym, przyzwoitym szeregowcu na Queensie, z pary rodziców - hydraulika i gospodyni domowej - którzy byli uczciwymi, uprzejmymi i jak najbardziej prostymi ludźmi, którzy modlili się przed posiłkiem, prawie w ogóle nie czytali książek i nie zastanawiali się nad sobą zbyt głęboko. Niewątpliwie chcieli jak najlepiej, kiedy jednak był mały, nieraz powtarzali zarzucającemu ich pytaniami synowi: „Za dużo myślisz”. Tak. Tu zapewne tkwił cały problem; za dużo myślał! To miało sens, nawet jeśli mógł się poczuć dotknięty taką opinią, jakby umysł był po to tylko, by spoczywać beczynnym kawałkiem wątróbki w garnku. Latami uwaga rodziców chodziła mu po głowie, przypominał ją sobie, by nigdy nie zapomnieć, co jest jego podstawowym problemem i dlatego przez większość czasu czuje się samotny.

Jako chłopak rozumny przyciągał równie rozumne dziewczyny, pragnące siedzieć z nim bez końca przy fornirowanym stole w bibliotece i pracować pilnie nad zadaniem, które mieli wspólnie przygotować. Dziewczęta były zdecydowanie nieerotyczne, jak choćby Adele Flick z leciutkim zarostem pod nosem i owłosionymi rękami albo Susan Masterson, której rysy twarzy wydawały się jakby wepchnięte głęboko w oblicze

czyjąś mocną ręką. Były też takie, które absolutnie nie pozwalały się do siebie zbliżyć, jak choćby ciemnowłosa piękność Margaret Paymer, która w głowie rozwiązywała zadania z fizyki i która przez cztery lata pisała „poemat epicki o samotnych żeglarzach” - najwyraźniej wolała czekać na równie genialnego, jeszcze bezcielesnego mężczyznę, którego pewnego dnia poślubi.

Czasami Paul widywał grupki szybkich, łatwych, głodnych dziewcząt, przyczajonych na rogu ulicy, rozumiał, że nie są to dziewice, i do białej gorączki doprowadzał go fakt, że są łatwo dostępne, ale nie dla niego. Włosy miały upięte wysoko na głowie, piersi wypchnięte w górę i do przodu, za sprawą jakiegoś drucianego cudu, a ich ciała, wiedział to na pewno, były blade i gorące, i nieskończenie wygimnastykowane. Ale one nigdy by go nie chciały, bo był za przystojny, zbyt ostrożny, zbyt inteligentny, zbyt wrażliwy, w ogóle „zbyt”; więc został sam i czekał na dzień, w którym zdobędzie to, czego chce. Wiedział, że taki dzień nadejdzie; po prostu musiał w to wierzyć, bo w przeciwnym razie nie byłoby po co żyć. Leżał nocami w łóżku, fantazjował o seksownych dziewczętach i kobietach, o dużych ciętach i piersiach, o drobnych i nieśmiałych, lub starszych, z bardzo długim *resume* seksualnego doświadczenia. Najważniejszą wspólną zaletą kobiet-zjaw była ich wielka chęć, pragnienie, desperacja, by odbyć z nim stosunek, w efekcie czego nocami w sypialni Paula odbywał się festiwal masturbacji.

Później, w collegeu, a nawet jeszcze na studiach magisterskich, kobiety, które chętnie szły z nim do łóżka, były jednocześnie atrakcyjne i niegłupie. I chociaż seks z pewnością stał się czymś fascynującym, a w gruncie rzeczy przyniósł mu wielką ulgę po tych wszystkich latach, to żadna z kobiet nie wyrażała chęci, by wnikać w miłosny świat głębiej, by spróbować w łóżku czegoś, co trudno było mu skonkretyzować w wyobraźni, ale co bardzo pragnął urzeczywistnić. Nie, tym kobie-

tom zależało na zwykłym pieprzeniu, jakie znały z lektur. Na początku mogłeś je całować, dotykać piersi, ale potem oczekiwaliśmy już tylko, by przejść do sedna sprawy, jakby przeczytały podręcznik, w którym zostało to jasno wyłożone. Chciał czy nie, zawsze się pojawiało uczucie rozczarowania, bo Paul pragnął, żeby zwlekać, opóźniać, znaleźć w sobie śmiałość, użyć ust, zmienić pozycję, ociągać się przez cały akt miłosny, z poczuciem zaznawania przyjemności i odkrywania czegoś nowego. Kiedy pewnego razu próbował zostawić zapaloną lampę, Cynthia Brancato, studentka stomatologii na NYU, obrzuciła go tylko wściekłym spojrzeniem, pokazując rząd błyszczących, ostrych, idealnych zębów. Jak śmiał patrzeć na nią w czasie seksu! Ona pragnęła tylko cieni i przyćmionych barw, zarysu cielesnych fragmentów, podnoszących się czasem w ciemności, przyciągających uwagę.

Któregoś dnia, kiedy Paul studiował i pracował na pół etatu w laboratorium, podłączając drżącym myszkom elektrody, przyszło mu do głowy, że mógłby „myśleć za dużo” w celach zawodowych, pławiąc się po pas w rzece seksu i seksualności, w miejscu, w które nie pozwoliła mu wstąpić jeszcze żadna kobieta. Zostanie psychoanalitykiem i resztę dni spędzi na krześle, stosując tradycyjne reguły freudyizmu wobec potoku słów płynących z ust osób leżących na kozetce. Zawsze się rozczytywał w historiach choroby pacjentów Freuda, w historiach udreki tych ludzi, wystawionej na widok publiczny. Bo wszyscy przechodzili udrekę, choć zazwyczaj nie taką jak człowiek - wilk czy biedna Dora z jej jałowym pokastywaniem, lękami i dygotem. Jeśli będzie miał szczęście, to może pozna jakąś fascynującą kobietę, także studiującą psychoanalizę, która będzie chciała uprawiać z nim seks każdego rodzaju, w każdej pozycji, może przy zapalonym świetle, a z pewnością bez najmniejszego wstydu. Wspólnie zabrzmią jednym głosem, wspólnie znajdą przygodę i wspólnie podejmą tę samą misję.

„Tak, mam i tato, myślę za dużo - wyobraził sobie, jak mówi do rodziców - ale postanowiłem coś z tym zrobić". W tym obrazie był dużo starszy, miał na sobie garnitur i kieszonkę na zegarek z łańcuszkiem; miał życiowe doświadczenie i mógł wreszcie jakoś uzasadnić swoje oddanie się myśleniu. Właściwie prawda była taka, wyczuwał to w jakiś głęboki, bojaźliwy sposób, że nigdy za dużo nie myślał - za to myślał za dużo o sobie. Ale jako psychoanalityk wyszkolił swoje oczy, aby nie spoglądały w głąb pod powiekę, lecz skupiły się na tęsknotach, klęskach i ukrytych światach innych ludzi.

Kiedy zaczął kurs, rodzice wręczyli mu prezent: komplet książek pod tytułem *Wydanie podstawowe zbioru dzieł psychoanalitycznych Sigmunda Freuda*, w jasnobłękitnej oprawie, ze sztywnymi, nie rozciętymi jeszcze stronami. W pierwszym tomie ojciec wpisał dedykację: „Dla Syna, z którego jesteśmy bardziej dumni, niż mu się zdaje. Z oddaniem, matka i ojciec". Był poruszony do łez, kiedy któregoś wieczoru w salonie wręczyli mu książki. Skąd wiedzieli, co chciałby dostać i, w ogóle, gdzie je kupić?

Podczas pierwszych kilku miesięcy nauki w Instytucie Avy Schussler Paul Mellow chodził na cotygodniowe zajęcia, pisał rozprawy i poddawał się psychoanalizie u doktora Shermana Longa, którego niezachwiany, łagodny paternalizm był krzepiący dla wszystkich pacjentów płci męskiej, mających w życiu zbyt mało ojca - dla tych zagubionych, nieugiętych mężczyzn, konsultantów ubezpieczeniowych, radców z urzędów patentowych, hydraulików. Paul kładł głowę na ciemnopomarańczowej narzucie kozetki w gabinecie doktora Longa i mówił o ojcu z tak wielką goryczą, że zdołał wylać ją niemal całą i po paru latach pozostał w nim już tylko drobny, cieniutki skrawek żalu, który przywarł jakby na dłużej.

Prędzej czy później większość mężczyzn poddawanych psychoanalizie docierała do tego punktu. Paul uświadomił to so-

bie, porównując własne zapiski z zapiskami innych młodych kandydatów na psychoanalityków, wśród których byli, ku jego rozczarowaniu, wyłącznie mężczyźni. Raz w tygodniu chodzili całą grupą na śniadanie do kafeterii Murray Hill, na rogu Lexington i Trzydziestej Dziewiątej, gdzie wśród brzęku talerzy i filiżanek, wśród wykrzykiwanych zamówień na jajecznicę, rozprawiali o swoich psychoanalitykach, ojcach, marzeniach sennych i czynionych postępach. Choć szczegóły i miejsca zdarzenia były różne, to w doświadczeniu bycia synem istniała niewątpliwie jednorodność: ta mianowicie, że zawsze chce się więcej, niż się dostaje. Dotychczasowe życie nauczyło Paula, że to samo dotyczy doświadczenia bycia kochankiem. Dlaczego kobiety nie chciały zmniejszyć dystansu, dlaczego nie chciały wszystkiego zasmakować i spróbować? Dlaczego wahały się w chwili decydującego ruchu? Cztery razy w tygodniu Paul sumiennie opowiadał doktorowi Longowi o swoim braku satysfakcji w sypialni.

„Marie... tak, Marie...”, powiedział kiedyś Long z namysłem, gładząc brzegi wąsów, kiedy Paul wspomniał imię byłej dziewczyny. - Wybacz, Paul, czy to ta, która zaczęła się dławić, próbując cię zaspokoić oralnie, czy ta, której matka miała toczeń?”

Wydawało mu się, że rozmowy, które odbywał z psychoanalitykiem, nigdy nie sięgały dość głęboko - nie inaczej niż seks. Dużo później, kiedy doktor Long wypuścił go w świat, oznajmiając, że Paul jest „interesującym, choć cokolwiek skłóconym jeszcze z sobą, młodym człowiekiem, który ma zadatki na dobrego psychoanalityka”, Paul zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie pragnie więcej, niż można zdobyć. Niemal wszyscy aprobowali granice dialogu, ruchu połączonych ciał, bycia śmiertelnym. Zauważanie tego, gdziekolwiek się obrócił, było nawet przygnębiające, lecz mimo to Paul brnął swoją drogą, w spotkaniach z niedającymi mu satysfakcji kobietami, a od niedawna z dwójką pacjentów, których sam zaczął przyjmować.

Jednym z nich był przystojny, nastoletni homoseksualista o nazwisku Ricky Lukins, który wyglądał na trzydzieści pięć lat, a drugim trzydziestopięcioletnia bibliotekarka, panna Fowler, która wyglądała na lat sześćdziesiąt i która w najdrobniejszym szczególe opowiadała Paulowi, jak żyje w nieustannym, potwornym strachu, że któregoś dnia zmieni się system katalogowania książek. „Cała moja robota pójdzie na marne”, mówiła żałobnym tonem, jakby już doszło do tej tragedii.

Paul niepokoił się o trafność swoich interpretacji, bez przerwy chodził do superwizora, doktora Martyego Stengela, i pytał, czy są wystarczająco dobre, czy wystarczająco nowatorskie, czy też może jednak nietrafne. Uważał, że jego praca jest tyleż interesująca, ile zabójcza - jak każda praca. Życie wewnętrzne innych ludzi może wzbudzać szacunek, ale zdarzały się chwile podczas sesji, kiedy Paul z trudem się powstrzymywał, by nie wstać i nie wygarnąć komuś: „Co pan jej powiedział?! Wszystko pan zepsuł!”

Generalnie jednak bardzo się starał być uważnym, wnikliwym i konsekwentnym psychoanalitykiem i w tamtym pierwszym okresie pracy nie zdarzyło mu się ani razu przekroczyć ram roli terapeuty. W końcu jednak to się stało, och, jak najbardziej.

Któregoś zimowego dnia, w czasie silnej zawiei, Paul Mellow wszedł do Instytutu i zaczął właśnie odwijać z szyi długi szal pokryty zmrożonym śniegiem, naciągnięty aż na czerwony nos. Tego ranka miał się spotkać z nową pacjentką. Już od progu zobaczył w poczekalni ciepłą, młodą, promieniejącą, inteligentną twarz. Kobieta nazywała się Rosalyn Woodman („Roz, jeśli można”, powiedziała, kiedy wymienili uścisk dłoni). Chłonąc jej piękno, zaczął niemal krzyczeć do niej, by natychmiast weszła do gabinetu.

Paul Mellow był psychoanalitykiem Roz Woodman tylko przez siedem miesięcy. W tym czasie robił wszystko, by pozoz-

stać neutralny, by słuchać jej z „równomiernie napiętą uwagą”, jak sugerował Freud. Jednak w miarę jak jej słuchał, jak zerkał na jej podnoszącą się i opadającą przy każdym oddechu klatkę piersiową, w miarę jak poznawał całą moc jej przepięknej cery, sympatycznej natury, bezdyskusyjnej inteligencji, płaczącego wyrażanego pragnienia dojścia do czegoś w życiu, Paula coraz bardziej irytował obowiązek zachowania dystansu.

- Nigdy nie umiem się relaksować - mówiła. - Nigdy nie próbuję doświadczyć czegoś dla samego doświadczenia. Zawsze myślę o tym, jak odbiorą to ludzie i jakie mają wobec mnie odczucia. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale tak jest.

Paul gryzmolił pośpiesznie w notesie, próbując zapisywać jej słowa, zachować je dla siebie niczym łakocie, które potem, kiedy nikogo nie będzie w pobliżu, będzie mógł wyjąć i skosztować ze smakiem. Bo to, co mówiła Roz, zdawało się biec traktem równoległym do jego własnego nieszczęścia.

- Nie chcę się bać - mówiła dalej. - Nie chcę być nieustannie powstrzymywana, a zauważam, że cały czas się hamuję, a kiedy zdaję sobie z tego sprawę, jest już za późno. Sądzę, że to może mieć coś wspólnego z byciem kobietą. Jestem pewna, że pan nigdy nie doświadczył czegoś takiego, w najmniejszym nawet stopniu.

Paul delikatnie przygryzł język, by nie wyznać jej prawdy. Być cicho, nie odzywać się, nie narzucać się, nie wypełniać ciszy tylko dlatego, że na chwilę zapadała, to była jego praca. Naucz się pracować w ciszy, powiedział sobie. Niech ona mówi bądź milczy. Ty się wyłącz.

Paul siedział zatopiony w tej swojej ciszy, zachowując spokój, opanowanie, wsłuchując się w słowa Roz Woodman z taką uwagą, że aż mocno zaciskał zęby - jakby mógł mieć więcej. Roz tylko dzięki temu, że ona mówi. Wiedział, że przeciwprzeniesienia zdarzają się u terapeutów często, więc na początku próbował omówić problem z doktorem Stengelem, pomija-

jąc wiele szczegółów i sprowadzając swoje uczucia jedynie do potrzeby chronienia uroczej i wrażliwej pacjentki. „Po prostu chcę jej pomóc, ona się wydaje taka krucha - tłumaczył Stengelowi. - Miała niezwykajne, trudne dzieciństwo. Myślę, że właśnie jej przeszłość wywołuje we mnie takie ojcowskie, opiekuńcze uczucia przeciwprzeniesienia”.

Cały ten wywód był misternie skrojony po to, by ukryć oczywisty fakt, że Paul zakochał się w pacjentce. Nie tylko dlatego, że była piękna, choć niewątpliwie odgrywało to zasadniczą rolę. Ujęła go jej historia - emocjonalne zaniedbania, jakich doświadczyła, będąc dziewczynką, dorastanie na terenie szpitala psychiatrycznego, którym kierował jej ojciec, a również szokujący przypadek molestowania seksualnego w dziewiątym roku życia. Przede wszystkim jednak Paul był zaniepokojony i poruszony przejściami Roz jako osoby dorosłej - tym, że czuła się niespełniona w miłości, zupełnie jak on, że chciała czegoś więcej od ludzi, od świata, od seksu.

Jeszcze niedawno miała chłopaka, nazywał się Carl Mendelson, był studentem prawa, lubił się upijać i rznąć ją na tylnym siedzeniu swojego samochodu. Był wielki, beznamiętny, łatwo wpadał w gniew, ale choć nie zaznała z nim wielu przyjemnych chwil, była z nim przez okrągły rok. Kiedy ją posuwał, zamykała oczy. Potem popłakiwała, gdy wychodził od niej bez pocałunku ani czułego słowa pożegnania. Jezu Chryste, ona i ja jesteśmy tacy sami, myślał Paul. Jesteśmy tacy sami. Ileż udręki przynosiła mu świadomość, że kiedy wreszcie spotkał kogoś, kto wydaje się do niego podobny, ten ktoś jest nietykalny. Nigdy nie mógł jej powiedzieć tego, co by chciał: że traci rozum na jej widok, że jest fascynująca, że jest cudem. Że ma ochotę jej zasmakować. Zatopić głowę między jej ciężkie piersi, a potem zsunąć ją niżej, na podbrzusze, lizać ją i całować, i pozostać tam tak długo, jak będzie chciała, w blasku światła, w całym rozświetlonym i jaśniejącym świecie, wśród otaczających ich płomieni.

Miał wrażenie, że życie upodobało sobie unosić Roz Woodman, jak tornado unosi dom czy samochód, i ciskać ją o ziemię, gdzie mu się żywnie podoba. To było niesprawiedliwe; przepiękna dziewczyna o rudych włosach, która studiuje projektowanie mody i odznacza się niebanalną inteligencją, a którą jednocześnie pęta depresja, obecna tak namacalnie i nieprzerwanie jak dyżurny płomyk w kuchence gazowej. Paul podziwiał faliste włosy Roz, jej szeroką spódnicę, która układała się wokół niej półkolistie niczym wirujący fajerwerk, gdy Roz leżała na kozetce w jego gabinecie, pod tanią odbitką *Świata Krystyny Wyetha*, powieszoną tu kiedyś przez jakiegoś pozbawionego wyobraźni psychoanalityka. Nosiła gruby, czarny pasek ze skóry, który ścigał ją w pasie tak wąsko, że talia zdawała się błągać mężczyznę, by objął ją dłońmi i zetknął palce opuszkami na jej plecach. Podziwiał odważne skojarzenia, jakie czyniła w rozmowie, i załamanie głosu, kiedy zbierało się jej na płacz. Och, cóż za niezwykle połączenie wszystkiego, więc co robić?

Nic. Absolutnie nic. Był jak sparaliżowany. Jego los był przesądzony.

Żeby o niej nie myśleć, w weekendy Paul chodził na filmy gangsterskie i kiepskie komediowe musicale. Zanurzył się w lekturze fachowej literatury, by rozwikłać przyczyny wszechobecnej u drugiego pacjenta, Rickyego, potrzeby uwodzenia podejrzanych, starszych, eleganckich panów, handlarzy diamentów i bukmacherów wyższych sfer. Nic nie pomagało. W ciągu tygodnia, kiedy Paul widywał się z Roz, ogarniało go proste uczucie szczęścia, choć jednocześnie wiedział, że te uniesienia prowadzą donikąd. Ona pozostanie jego pacjentką, on jej psychoanalitykiem i Roz nigdy się dowie, jak wiele Paul wobec niej czuje. Mimo to uczucie szczęścia, którego doświadczał w jej obecności, w małym, gorącym gabinecie, przyćmiewało smutek biorący się z przeświadczenia, że nigdy nie będzie do niego należała.

Wtedy coś się stało. Kończył się tamten pierwszy lipiec i Paul miał iść na sierpniowy, obowiązkowy urlop - choć, prawdę mówiąc, wciąż jeszcze podlegał szkoleniu i właściwie nie zasługiwał na urlop, nie mówiąc już o tym, że wcale go nie chciał. Roz była w środku rozmowy. Jak zawsze mówiła swobodnie, bez przymilania się. Opowiadała coś o swojej współlokatorce, Vivian, która też chciała studiować projektowanie mody, choć rysunki jej krojów były po prostu potworne, „jakieś ciuchy dla niedojadających sekretarek”, powiedziała Roz, na co Paul się roześmiał.

- Cóż, niedojadające sekretarki też muszą coś na siebie włożyć, prawda? - odpowiedział trywialnie.

Wówczas ona się roześmiała, potem on, a potem zapadła długa, niezręczna cisza. W końcu przerwał ją Paul.

- Coś jeszcze chodzi po głowie?

- Nic - odpowiedziała.

- Nic? Naprawdę?

- No, może nie nic - powiedziała Roz. - Ale głupio o tym mówić. Nie wiem, czy mi się uda.

- Nie ma powodu do pośpiechu.

- Chodzi o to - zaczęła - że muszę wyznaczyć coś, czego od jakiegoś czasu jestem pewna. Coś, co mnie niepokoi. Nie, właściwie nie tyle niepokoi, bo to mnie nawet fascynuje, ale po prostu... zaprzęta mi głowę. Moja koleżanka, Vivian, mówi, że powinnam ci to powiedzieć, no, dobrze, niech będzie. Chodzi o to, że coś czuję do ciebie, to silne uczucia, jakby nie wiadomo skąd.

Paul odczekał ostrożnie krótką chwilę, a potem powiedział wspaniałomyślnie:

- Każdy coś czuje do swojego terapeuty. Podstawą każdej dobrej terapii jest przeniesienie. Lokujesz we mnie uczucia i myśli, które miałaś wobec różnych ludzi w przeszłości. To naturalne.

- Tak, wiem - odpowiedziała. - Ale to jest coś innego. Coś zupełnie innego. Nie sędzę, by było to tylko przeniesienie. To jest raczej prawdziwe. Myślę o tobie jako o osobie. Jako o mężczyźnie. I wyobrażam sobie ciebie jako kogoś, z kim... wiesz, mogłabym być. Kogoś, z kim bym się przespała. Kto byłby moim kochankiem.

Po tych słowach się rozpłakała. Po tym wyznaniu, po łzach, które za sobą pociągnęła, Paul miał ochotę rozpaść się z rozkoszy na kawałki lub zapłakać się nad nieszczęściem tego wszystkiego.

Kiedy jednak zdołał wreszcie przemówić, powiedział do niej coś zupełnie innego:

- Jak się z tym czujesz?

- Mówiłam już, okropnie głupio.

- Tak. Tak. Rzeczywiście mówiłaś.

Zegar wskazywał, że czas spotkania dawno minął. Na korytarzu za drzwiami czekała już panna Fowler i jej system katalogowania książek. Paul wstał, skinął grzecznie głową w kierunku Roz Woodman i odprowadził ją do drzwi z pokerową miną na twarzy, spięty od stóp do głów. Podczas sesji z panną Fowler ledwie mógł usiedzieć na krześle. Panna Fowler mówiła coś o swojej babce Lou i miseczce orzeszków brazylijskich, którą przed śmiercią trzymała u siebie na stole. Orzeszki miały kształt drewniaków. Sprawiały, że panna Fowler myślała wciąż o Holandii, kraju, w którym nigdy nie była i wątpi, by kiedykolwiek w życiu go odwiedziła.

- Nawet jeśli pojedę do Holandii, wciąż będę tylko sobą - mówiła z goryczą. - Wciąż będę starą panią, o której ludzie będą sobie przypominać raz w roku, przy okazji wysyłania kartek świątecznych na Boże Narodzenie.

Może zostać jej kochankiem, myślał Paul. Jest moim przeznaczeniem? Gwiazdy weszły wreszcie w odpowiednie konstelacje. Oboje czuli wobec siebie to samo. Co by się stało,

gdyby jej powiedział, że ją kocha? Może wstałaby i przytuliła się do niego, a jego oblałoby uczucie ulgi, na które czekał całe życie. Ona również by ją poczuła! Znikłby jej zimny jak lód ojciec psychiatra, znikłaby jej beзуyteczna matka, znikłby ten pedofil, Warren Keyes, który ją obmacywał, gdy była dziewczynką. Znikłaby przeszłość Paula, jego rodzice, bezbarwni, choć pełni dobrych intencji, znikłoby uczucie nieszczęścia. Znikłoby to wycofanie, z którym i on, i ona musieli sobie radzić przez całe życie. Ziuuut! I już. Oboje mogliby zacząć od początku.

- Nie rób tego - przestrzegął go w kafeterii Murray Hill przyjaciel, Bob Darling; obaj mężczyźni zjawili się pierwsi na cotygodniowym śniadaniu ich grupy. - Ava Schussler i ten jej giermek szybko cię zniszczą. Pożrą cię i wyplują w malutkich, nierozpoznawalnych drobinkach.

- Wiem, wiem - powiedział Paul i ukrył twarz w dłoniach.

- Z drugiej strony - ciągnął Darling z namysłem - dziewczynę chciałoby się schrupać jak polędwiczkę. Widziałem ją w poczekalni. Ruda... Założę się, że tam też jest ruda.

- Zamknij się, stara świnió - rzucił Paul i nagle się przeraził, że jeśli nie zadziała, to Bob Darling może go ubiec.

Wyobraził sobie, jak Darling czeka przed budynkiem na Roz, a kiedy ta się pojawia, podchodzi do niej, zaczyna rozmowę o pogodzie, może zaprasza na obiad.

Nie. Nie. Paul nie mógł do tego dopuścić. To on ją zaprosił na obiad; tak zrobi i już. W taki oto sposób, w środku następnego spotkania, kiedy Roz Woodman z widocznym wahaniem rozwodziła się nad swoimi „silnymi uczuciami” do niego, Paul nagle wszedł jej w słowo, w króciutkiej pauzie w monologu, i zapytał, czy nie uważa, że mogliby się wybrać dzisiaj wieczorem na obiad do restauracji U Pana Lo w Chinatown.

W pokoju zapadła cisza.

- Na obiad? - zapytała zmieszana. - Czy to dozwolone?

- Nie - odpowiedział. - To nie jest dozwolone.

Znowu cisza.

- Och - powiedziała po chwili. - W takim razie nie wiem. Naprawdę nie wiem.

- Rozumiem. Postąpiłem niestosownie. Porzuciłem rolę, która w tym gabinecie jest mi definitywnie przypisana. Przepraszam. Bardzo przepraszam.

- Nie musisz przepraszać. Słuchaj - dodała - muszę to prze-myśleć. To takie dziwne. Nie wiem, co robić.

- Ja też - odpowiedział. - Trochę tak, jakby ślepiec prowa-dził ślepcą.

Zaśmiali się dla rozluźnienia. Nie było sensu próbować wracać do ról pacjentki i psychoanalityka. Tym jednym zgubnym uderzeniem najwyraźniej wszystko się skończyło; tamto już nigdy nie wróci, Roz też wiedziała i oboje, w samotności, musieli sobie nad tym zapłakać. Usiadła na kozetce i odwróciła do niego oczy.

- Cóż... - powiedziała. - Pójdę już.

- Dobrze.

- Natomiast co do obiadu... Sama nie wiem. Może będę, ale niczego nie obiecuję.

Wyszła z pokoju, nie mówiąc nic więcej, a Paul Mellow siedział na krześle przez kilka następnych minut, czując, jak płoną mu policzki, i uświadamiając sobie powoli, że zrobił coś bardzo poważnego, nawet bardzo zatrważającego. Roz może zawiadomić przełożonych; miała do tego absolutne prawo. Przekroczył granicę, przeskoczył przez płot, zmienił kierunek swojego i jej życia.

Wieczorem siedział samotnie w zacisznym kącie restauracji U Pana Lo i żałował tego, co zrobił; sobie i pacjentce. Zerknął na zegarek. Roz na pewno nie przyjdzie, straci ją na zawsze, straci karierę zawodową, straci wszystko. Zresztą postanowił, że całą sprawę sam zgłosi przełożonym. Tak należało uczynić.

Kiedy jednak poczuł się dobrze z taką dalece etyczną decyzją, nagle u drzwi zadzwonił mały dzwoneczek i pojawiła się ona; szła pewnym krokiem prosto w jego kierunku. Teoria psychoanalizy ma wiele do powiedzenia na temat przygnębienia, jednak zadziwiająco mało na temat radości - a to była radość, Paul to wiedział doskonale, kiedy Roz Woodman zajęła miejsce naprzeciwko niego w wonnej sali. Kelnerka podała jej jednostronicowe, laminowane menu, ale Roz nie spojrzała na nie. Przez dłuższą chwilę Roz i Paul uśmiechali się do siebie głupio, potem pożartowali z dziwności kłopotliwego położenia, aż wreszcie zaczęli rozmawiać. Doprawdy, miał o czym opowiadać, bo przecież Roz nic o Paulu nie wiedziała.

Później, kiedy już zjedli zupę, glazurowaną kaczkę ze słonym kopczykiem doskonałego ryżu zapiekanego z krewetkami, pomarańczowy sorbet i kiedy wypili kilka filiżanek mocnej, czarnej herbaty, Paul odprowadził Roz do mieszkania na Upper West Side. Współlokatorki, jak zapewniła Roz, nie było w domu.

Przez moment stali twarzą w twarz w ciasnej sypialni, a potem pierwszy raz przytulili się do siebie. Twarze mieli blisko siebie; Paul wyczuł u niej zgęstniały, nieświeży oddech, jakby była zniecierpliwiona, bo przecież była, i raczej poruszył go ten oddech, niż odrzucił. Stali przez kilka sekund bez słowa, niczym bohaterowie filmu, którzy przeszli właśnie przez coś straszego.

- Wszystko dobrze? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała Roz w jego koszulę. - Chyba tego chcę.

- Chyba?

- Tak. To znaczy chcę.

- To musi być wzajemne - powiedział, jak gdyby usprawiedliwiając złamanie zasad, czyniąc je mniej niestosownym przez upewnienie się, że ona czuje dokładnie to samo co on.

- Wiem - odpowiedziała.

- Nie będę już mógł być twoim psychoanalitykiem - powiedział z żalem w głosie, a Roz Woodman nagle się roześmiała.

- Nic nie szkodzi - powiedziała. - Nie obraź się, ale nie byłeś dobrym psychoanalitykiem.

Zabolało, ale to była prawda - Roz była dziewczyną, która mówiła prawdę. Nie był najlepszym psychoanalitykiem; próbował, ale to się nie udawało. Byłoby tak nawet wtedy, gdyby się nie zakochał w Roz Woodman. Kiedy usłyszał wprost o swojej niedoskonałości, perspektywa zakończenia kariery zawodowej nie budziła już w nim takiej goryczy. Znajdzie coś innego; może wrócić do laboratorium i pracować z myszkami. Paul i Roz przytulają się, całują; rozbudzona z głębi zmysłowość aż zaiskrzyła między nimi. Usiadł na łóżku, a ona stanęła przed nim. Paul rozpiął jej bluzkę, pochylił głowę i złożył usta na jej piersi, w miejscu, do którego tak bardzo pragnął dotrzeć. Otoczył językiem jej sutek, poczuł, jak rośnie, jak twardnieje, i pomyślał, że zaraz zwariuje, jeśli nie zrobi czegoś ustami, dłońmi, penisem, całym sobą.

- Boże - szepnął. - Proszę, Roz, daj mi się zerznąć.

Te okropne słowa wypłynęły z jego ust jednym tchem, a ona odpowiedziała tak, tak, zrób to, zrób, co chcesz. Nie wstydzmy się siebie, to nie ma najmniejszego sensu. Wiemy już, czego od siebie chcemy, i musimy się tylko dowiedzieć, czy rzeczywiście możemy to od siebie otrzymać.

Połączyła ich zatem ugoda; dwojga spiskowców z szalonym planem. Roz położyła się na łóżku na wznak i najpierw jego usta powędrowały pomiędzy jej nogi, w to leśne miejsce, do którego tak lgną mężczyźni, jakby próbowali wrócić do lasu na jakiś rytuał, który doskonale wiedzą, jak poprowadzić. Ona szeptała, on pomrukiwał, cykali do siebie jak dwa pasikoniki. Wtedy jednym, płynnym ruchem rzucił się na nią całym ciałem, jak ktoś, kto rzuca się na opuszczaną w ziemię trumnę.

Jego raczkująca kariera zawodowa zakończyła się z hukiem parę dni później. Doniósł Bob Darling, ta żmija. Bob Darling, który domyślił się, co zaszło, zobaczywszy twarz pijanego ze szczęścia Paula. Ta szczęśliwa twarz dopiekła Bobowi i pchnęła go do gabinetu Avy Schussler, do którego Paul i tak miał zamiar się wybrać. Pani Schussler błyskawicznie zwołała posiedzenie trybunału, w którego skład weszła ona sama, Sherman Long, Marty Stengel i jakaś kobieta o ostrych rysach twarzy, też psychoanalitik, nazwiskiem Wanda Grink. W czasie posiedzenia, w poniedziałek rano w gabinecie pani Schussler, Paul siedział ze spuszczoną głową i wpatrywał się we własne ręce, choć wstyd, jaki odczuwał, wypierała jakaś głupkowata duma. Pokochać pacjentkę to oczywiste wykroczenie, taka była bezwzględna prawda, w tym wypadku jednak było to również coś nie do uniknięcia, ponieważ Roz Woodman była przepyszna niczym tort urodzinowy, czego niestety nie mógł tym ludziom głośno powiedzieć.

Kiedy się wpatrywał w kościstą twarz starej Avy Schussler, w twarze jej kolegów i koleżanki, przychodziła mu do głowy tylko jedna myśl, że żadna z tych osób nigdy nie będzie w stanie zrozumieć, czym jest miłość, czym jest seks, czym jest niczym nieskrępowane zaspokajanie namiętności. Nawet Sherman Long, który tak bardzo się starał być dobrym psychoanalitikiem i wesołym ojcem, miał zbyt obwisłe brzuszysko i zbyt duży pociąg do biesiad, by móc zrozumieć prawdziwe potrzeby seksualne i emocjonalne. Marty Stengel to w zasadzie stary osioł, każdy tak uważał, choć głośno tego nie mówił. Na temat Wandy Grink Paul nie miał wyrobionej opinii, ale gdyby się zastanowił, natychmiast mógłby wymyślić coś mało obiektywnego. Kaloryfer w pokoju trzaskał i piszczał cicho. Może ktoś wpadł tam do środka i nie mógł wyjść, może jakiś świeżo upieczony psychoanalitik, który wcześniej już stanął przed trybunałem w tym samym gabinecie, jak dzisiaj Paul?

- Kocham ją - wyjaśnił Paul zgromadzeniu, jakimś ściśnię-

tym, zamroczonym głosem. - Po prostu ją kocham. Wiem, że to wykroczenie. Wiem, że to stoi w sprzeczności z wszystkim, co mi tutaj wpajano. Ale to miłość. Na pewno. Prawdziwa. Co jeszcze mam powiedzieć?

- Pańska tak zwana miłość jest tu bez znaczenia - odparła chłodno pani Schussler.

Paul podniósł wzrok i spojrzał pani Schussler prosto w oczy, a potem zapytał nagle:

- Czy pani w ogóle go znała?

- Słucham?

- Freuda - dodał i ciągnął dalej, nie dając sobie przerwać: - w Wiedniu. Naprawdę był pani psychoanalitykiem? Czy też wpadła raz pani na niego przez przypadek, powiedzmy w sklepie mięsnym, kupując jagnięce kotlety, a cała reszta to tylko pani urojenia?

Mina, która zagościła na twarzy starej kobiety, była tak przejmująca, że Paul bał się, iż pani Schussler zaraz dostanie wylewu. Nie chciał być świadkiem tego, co mogło się wydarzyć, upadek na podłogę, wrzask, wzajemne obwinianie, więc wziął pod pachę swoje rzeczy i wyszedł z pokoju. Nie miał sił, by wrócić następnego dnia po komplet książek, które dostał w prezencie od mamy i taty, i choć zawsze myślał o tym z bólem, to nigdy się nie dowiedział, co się z nimi stało.

Paul i Roz długo udowadniali, że pluton egzekucyjny psychoanalityków tragicznie się pomylił. Ich związek miłosny przetrwał i przerodził się w małżeństwo. Wszystkich tych psychoanalityków, takich niegdyś ważnych, ferujących niepodważalne opinie, dzisiaj nie było już na świecie, a Paul i Roz wciąż żyli, niebawem ich ciała ozdobią strony niesławnej książki - splecione, jaśniejące, zwarte w kolejnej grze, na widoku wszystkich, by wszyscy mogli widzieć, zazdrościć i naśladować.

Pewnego wieczoru, w listopadzie siedemdziesiątego piątego roku, krótko po tym, jak książka zaczęła podbijać rynek, Roz i Paul wracali do domu po wykładzie w New School na Manhattanie. Paul, prowadząc samochód, wrócił myślami do tamtego spotkania starych, zrędliwych psychoanalityków i żałował, że już ich nie ma, bo zobaczyliby, do czego razem z Roz doszli. Żałował, że nie mogą zobaczyć jego ilustracji w książce, w łóżku z piękną żoną. Nie było wśród psychoanalityków takiego - Paul był tego więcej niż pewien - który nie pozazdrościłby zdobyczej przez niego wolności.

Być może jego dzieci widziały książkę. Miał nawet taką nadzieję, nie dlatego, by też miały być zazdrosne lub by książka miała je wystraszyć czy, broń Boże, stymulować, ale po prostu dlatego, żeby wiedziały. Ponieważ wiedzieć jest lepiej, niż nie wiedzieć: taka była mantra psychoanalizy i chociaż Paul dawno został ekskomunikowany, wciąż tę dewizę wyznawał.

W volvo obok niego, w drodze powrotnej z wykładu, siedziała Roz. W milczeniu jechali przez ulice miasta, potem przez tunel, pod ciągnącym się staccato jaskrawych lamp, i dalej, na autostradę w kierunku wschodnim; oboje wyczerpani, ziewający, Paul przygarbiony nad kierownicą, z oczami wbitymi w mrok. W bliskości, we wnętrzu zielonego volvo kombi, Paul wyczuwał w jej oddechu woń trawionego wina i ślad czosnku. Była to tylko obserwacja, nie wsparta najmniejszą oceną; zbyt długo byli ze sobą tak blisko fizycznie, by przypadkowa woń wina lub czosnku, lub czegoś innego mogła cokolwiek znaczyć. Roz zawsze pozostawała cudem, baśniową istotą, mityczną bestią, która kochała go i która wprawiała go w nieustanny zachwyt nad swoim pięknem, nad skupioną w niej jak w soczewce esencją kobiecości. Zaraz Roz zapadnie w drzemkę, jej perfumy owioną jego nozdrza, sprawią, że się rozszerzą i zacisną, jej włosy podwieje lekko jakiś elektryzujący powiew, który zdaje się szumieć wokół niej przez cały czas.

Około północy Paul zjechał z autostrady na Wontauket. Kiedy skręcił w Swarthmore Circle, ulicę przesklepioną łukami drzew, niedawno wyasfaltowaną, wzdłuż której ciągnęły się podmiejskie, ale przyzwoicie wyglądające domy, Paul odwrócił się do Roz.

- Hej tam, jesteśmy na miejscu - szepnął. - Na naszych starych śmieciach.

Weszli do domu po dłuższej chwili, męcząc się w ciemnościach przy otwieraniu zamka, co się przeciągało w nieskończoność, ale w końcu klamka się obróciła i stanęli w korytarzu, niczym zbłąkani piechurzy szukający na kompasie kierunku marszu. Panowała absolutna cisza. W salonie dzieci zostawiły zapaloną lampkę. Paul i Roz weszli na swoje czyściutkie piętro, gdzie szybko zdjęli płaszcze, rzucili torby i notatki do wykładu, a potem poszli wyżej, na drugie piętro.

Dzieci już spały, mała Claudia w swoim łóżeczku, a obok niej, na poduszce, spał jakiś upiorny, ciemnowłosy troll. W następnym pokoju spał Dashiell, na pufie w samym rogu. Puf był usiany sierścią chomika, ale Dashiellowi nigdy to nie przeszkadzało.

- Zostawić go na pufie? - zapytała Roz, patrząc na ich małego, zwiniętego w kulkę synka.

- Pewnie. Po co go budzić. Wygląda na wykończonego - odpowiedział Paul.

Potem odwiedzili pokoje nastolatków. Holly spała z włosami rozsypanymi na poduszce - jakby łóżko było wodą, na której ona unosi się sennie, co do pewnego stopnia było prawdą. Po drugiej stronie ściany spał Michael, z wół otwartymi ustami, jakby czymś się zadziwił, ale tak naprawdę spał tak z powodu przerośniętego trzeciego migdału; zawsze oddychał ustami, od małego, kiedy jednak dorośnie, będzie usta zamykał.

Wszystkie dzieci wyglądały dokładnie tak samo jak przed południem, zanim jeszcze przejrzały książkę. Rodzice jednak

nie mogli wiedzieć, że w ciągu dnia ich dzieci przeszły gwałtowną i szaloną przemianę. Kiedy późnym wieczorem Paul i Roz Mellowowie stanęli w progu domu, czwórka ich pociech była innymi dziećmi, choć długo nie będzie można tego po nich poznać, a nawet jeśli już, to jedynie bardzo subtelnie. Książka stała się odpowiedzialna za rozprowadzanie chemii w ich wnętrzu, za to rozciąganie i napinanie podwójnej helisy, niczym w zawiłych ćwiczeniach jogi. Zanim zapadł zmierzch, mali Mellowowie zrzucili z siebie tysiące starych komórek, nie nie wiedząc, że linieją, i zastąpili je komórkami nowymi, w niektórych przypadkach wulgarnymi: komórkami, których mitochondria mieściły w sobie ukryte komendy, wybiegające w treści dużo dalej niż „odrób lekcje” albo „nie dokuczaj słabszym w szkole”. Wkraczali na terytorium „ulegnij”, dotknij” i „nikomu nie mów”.

Tamtego dnia, w listopadzie tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku, książka *Jak dać rozkosz: podróż pewnej pary do spełnienia* w jednej chwili pobudziła zarówno obumarcie, jak i wzrost komórek, takie skrzyżowanie rzeźni i poródówki. W bardzo krótkim czasie czwórka małych Mellowów („dzieci”, jak myśleli jeszcze o nich rodzice, widząc je jako jedną, zbitą masę głów i łokci nie do rozróżnienia, pełną potrzeb i wybryków, ale jednak wzruszająco „ich” masę) raptem została w nadmiarze obciążona myślami o seksie i nieodznaczonych częściach ciała. W tym samym czasie, kiedy Roz i Paul Mellowowie jechali do Nowego Jorku autostradą Long Island - przyjeżdżając na miejsce z zapasem czasu, jadąc bez zapiętych pasów, bez poduszek powietrznych, nie myśląc o ryzyku wypadku samochodowego ani nawet o seksie (zwłaszcza o tym) - w tym samym czasie ich dzieci, takie jakie znali, zniknęły raz na zawsze.

Oczywiście rodzice o tym nie wiedzieli. Widzieli słodycz i łagodność w śnie swoich tak bardzo kochanych dzieci i ra-

dowali się tą chwilą cichej, rodzicielskiej kontemplacji, czując potężną siłę ciążenia ku tym małym ludziom, których udało im się stworzyć za sprawą czterech różnych aktów miłosnych. Zachwycali się tą myślą zawsze, przy każdej okazji, rok po roku, w sposób, o który nigdy by siebie nie podejrzewali.

Paul i Roz zachowywali się cicho, ze spokojem i wycuciem, byli zadowoleni z tego, jak minął dzień, z jakim powodzeniem spotkał się wykład, jak świetnie sprzedała się ich książka w recepcji przy sali wykładowej, a w związku z tym jak znakomicie rokowała sprzedaż na przyszłość, tutaj i na całym świecie, którego większość, jak się wydawało, chciała i potrzebowała lekcji, jakich ta książka miała udzielić. Cieszyła ich ożywna atmosfera podczas obiadu, który wydano na ich cześć po wykładzie, i cieszył spokojny i łatwy powrót do ogniska domowego, do dzieci. Wszystko idzie dobrze, myśleli, wszystko idzie bardzo dobrze, i właściwie, jak na razie, była to niepodważalna prawda.

- Chodźmy spać - powiedział Paul Mellow do żony i oboje zeszli po schodach.

Rozdział piąty

Dashiell znalazł guz w szyi podczas golenia. Najbardziej zdumiało go to, że nie zauważył go wcześniej, bo tego ranka, kiedy jego palce natknęły się na niego, gdy napinał przed lustrem podbródek i ciągnął w górę żyłkę, guz był już olbrzymi; potwór, który na dobre się w nim zadomowił. Natrafiwszy na guz, jego palce cofnęły się gwałtownie, jakby dotknęły czegoś gorącego, a potem, jakby przyciągane magnesem, wróciły do skóry, lekko drżąc, dotykając jej z czułością kochanka, choć rzecz, której dotykały, na czułość nie zasługiwała. Dotykał guz z każdej strony, sprawdzając jego obłóść, wydatną okrągłość, dyskretną, marmurową twardość, jakby była to niespodzianka ukryta w cieście we Francji, którą miało znaleźć jedno z bawiących się dzieci.

Dziecko, które miało najwięcej szczęścia, wydobywało niespodziankę i krzyczało: *Voilà, maman!* To, które nie miało tyle szczęścia, w Providence w stanie Rhode Island, znalazło guz i pomyślało: Kurwa jasna, ponieważ natychmiast poczuło, że staje w obliczu śmierci, która przybrała formę czegoś twardego, formę niespodzianki, o którą nikt nie prosi, usadowionej głęboko, w miękkim cieście ciała, czekającej, aż wreszcie ktoś ją odkryje.

Co myślał wcześniej, kiedy tyle razy stał i golił się przed tym samym lustrem, z tą tkwiącą w nim rzeczą? Że ma na szyi interesującą krągłość? Jak mógł na to nie zwrócić uwagi? Przypominało mu to trochę zachowanie małych dzieci, które

upuszczą coś na podłogę i z jakiegoś powodu nie potrafią tego dostrzec, mimo że leży to tuż pod ich nogami. Najwyraźniej Dashiell nie przestawał być małym dzieckiem, radośnie nie zauważając prawdy, wracając przy goleniu myślami do najmłodszych lat, do czasów, kiedy jego twarzyczka była czysta i pozbawiona porów, kiedy nie znaczyły jej czarne kropeczki zarostu, niczym wydruku z zepsutej drukarki. Golenie wprowadzało go w stan rapsodyczny, w którego trakcie pozwalał myślom kołatać się po głowie, jak zacumowany jacht obija się o pomost, a myśli te rzadko były racjonalne czy w ogóle z tego świata. Były odległe, z niczym niepowiązane, a już na pewno nie odnosiły się w żaden sposób do zagadnienia śmiertelności. Lubił się golić, był to jedyny moment w ciągu dnia, kiedy czuł, że można rozpocząć wszystko od nowa, że można jeszcze spróbować dojść do doskonałości, czego zabrakło mu wczoraj i przedwczoraj.

Dzisiaj jednak na pewno nie dojdzie do doskonałości, bo w jego szyi tkwił guz, solidny, z którym nie było rozmowy. Czuł, że coś jest bardzo nie w porządku, ręka trzymająca żyłkę drgnęła, poszła w górę i cięła go w szyję, a Dashiell krzyknął głośno i popłynęła krew. Zanim chwycił sztyft do tamowania krwi i zaczął nim gwałtownie nacierać skórę, krew zabarwiła już całą umywalkę.

Tom, który leżał w łóżku i hurtowo słał z laptopa e-maile do członków sztabu wyborczego, usłyszał wszystko i natychmiast pobiegł do łazienki.

- Jezu! - krzyknął. - Jezu, Dashiell, coś ty zrobił?

Łazienka cała spryskana krwią przypominała miejsce, w którym ktoś usiłował popełnić samobójstwo. Ale Tom Amlin należał do ludzi spokojnych, był dużo spokojniejszy od Dashiella, i szybko się zorientował, że doszło jedynie do wypadku przy goleniu, choć w dość epickim wymiarze.

Następnego dnia siedzieli w poczekalni ich wspólnego inter-

nisty, doktora Adama Foresta, człowieka o potężnej żuchwie, który nosił drobne, prostokątne szkła, miał równiutko przystrzyżone włosy i którego połowę pacjentów stanowili geje. W poczekalni lęki Dashiella wróciły z pełną mocą, ale ponieważ obok był Tom, nie miały szansy spienić się na powierzchni i wyrwać spod kontroli. W taki właśnie sposób, mając czternaście lat, Dashiell odkrył, że jest homoseksualistą: kiedy był w towarzystwie mężczyzn lub chłopców, panował nad lękami. Niezależnie od problemu, z jakim się spotykał, obecność płci męskiej zawsze mu pomagała: czy to chodziło o szkołę, seks, pieniądze, przygnębienie, pracę, przyszłość, politykę, rodziców - czy nawet tę, wyobrażaną tylko, paszczę otchłani.

Również teraz dostrzegł zbawienny wpływ mężczyzny, widział tę emanującą z niego, wąską, niosącą nadzieję, smugę światła. Kiedy na chwilę Dashiell musiał się rozstać z Tomem, aby poddać się badaniu, od razu odczuł tę stratę. Siedział w bokserkach na pokrytej papierem kozetce, doktor Forest dokonywał ważnych oględzin całej powierzchni jego ciała (czynność, która w innych okolicznościach byłaby może nawet podniecająca), a on mimowolnie czuł, że razem z nim przebywa w tym gabinecie śmierć, że siedzi sobie z boku, na jednym ze stołków niczym asystent lekarza. Doktor Forest dociekliwie poszukiwał innych zgrubień i guzków, a kiedy je znalazł - rozsiane tu i tam, w pachwinie, pod pachą, zagłębione pod skórą, pod grubym splotem włosów - podrapał z namysłem potężny podbródek, niczym zafrasowany Clark Kent, i powiedział:

- Dashiell, będę musiał zrobić biopsję.

- Co pan podejrzewa? - zapytał pacjent, już mniejszy, skurczony ze strachu.

Dashiell nie był nosicielem wirusa HIV, tego był pewien. Inna sprawa, że do dziś nie rozumiał, jak mu się udało uciec przed wirusem, bo w latach osiemdziesiątych, zanim jeszcze gruchnęły informacje o AIDS, wielokrotnie kochał się bez za-

bezpieczenia z mężczyznami, którzy mogli być potencjalnymi nosicielami. Jakimś cudem wynik testów, które zrobił sobie w ośrodka zdrowia dla homoseksualistów, był negatywny. Był wówczas pewny choroby tak bardzo, że kiedy nadszedł dzień odebrania wyników, schował do kieszeni całą garść świeżych, ładnie złożonych chusteczek. Nie do zniesienia była dla niego myśl, że ktoś obcy, zapewne jakiś wolontariusz, bo kto inny, najpierw przekazuje mu informację, która rujnuje życie, a zaraz potem popycha w jego kierunku pudełko z chusteczkami. Za nic nie chciałby chusteczek od kogoś obcego. Chciał tylko dobrej wiadomości, niczego poza tym. Wszystko oprócz niej - chusteczka, ramię, miętówka, nazwisko terapeuty, którego lwią część klienteli stanowią nosiciele HIV - byłoby groteskowe.

Dzisiaj jednak, wiele lat później, doktor Forest nie mówił nic z tych rzeczy; przygotowywał igłę do biopsji i łączył się przez interkom z pielęgniarką, by poprosić o przełożenie wizyty następnego pacjenta na inny termin.

- Czy mogę zawołać Toma? - zapytał Dashiell łamiącym się głosem

- Oczywiście - odpowiedział doktor Forest.

Trzej mężczyźni, dobrze zbudowani i umięśnieni, zajmowali niemal cały niewielki gabinet zabiegowy, a doktor Forest w każdym calu był jednym z nich, chociaż dodatkowo miał na sobie białe, poliestrowe okrycie odpowiednie dla swojej profesji. Tom trzymał Dashiella za rękę, gdy igła zanurzała się w jego szyję, w miejscu, w które w żadnym razie żadna igła nie powinna była się zanurzać. Dashiell przypomniał sobie, jak kiedyś na ulicy w Nowym Jorku dwóch czarnych nastolatków krzyczało w jego stronę „ciota”, co wkłada „chuja nie tam, gdzie jego miejsce”.

Był mężczyzną niskim - miał niecały metr siedemdziesiąt - silnym i smukłym jak łania. Być może nie wkładał go tam,

gdzie jego miejsce, ale na pewno tam, gdzie w miłosnym uniesieniu chuj gorąco pragnął, by było to jego miejsce. Zrobiłbyś to dla mnie? - zwykł myśleć Dashiell, idąc do łóżka z nowo poznanym mężczyzną, gdy bezsłowne manewry prowadziły do seksu; wydawało mu się, że jest w takim podejściu niewypowiedziane zaufanie, nawet między ludźmi, którzy ledwie wymienili parę pustych zdań przy barze. Niekiedy, wyczuwając pożądanie u drugiego mężczyzny, widząc, jak z wolna się ujawnia, choć mężczyzna usiłuje je ukryć, Dashiell myślał: Zrobię to dla ciebie.

Rzecz jasna, nikt nigdy nie robił niczego wyłącznie dla drugiej osoby; nie było w tym nic z postawy świętego, to było raczej radosne pieprzenie z otwartymi ustami - najpierw preambuła, pełna napięcia i wyczekiwania, zrodzona wbrew zdrowemu rozsądkowi, potem kwitnienie, cała głębia rozkwitania, rozprzestrzeniającej się po ciele echosondy, której fale rozchodzą się stożkowato, od środka na zewnątrz, aż w końcu opuszczają ciało i wchodzą w atmosferę.

A teraz igła w szyi - coś takiego nigdy nie przemieni kolca w przyjemność; bolało jak ukrzyżowanie, choć lekarz zrobił wcześniej zastrzyk z miejscowym znieczuleniem. Najpierw, gdy środek wchodził do środka, Dashiell poczuł pieczenie, a potem, kiedy igła próbowała zassać cokolwiek z mało hojnego guza, ogarnął go silny, ściskający ból. Płyn, który udało się pobrać strzykawką, był mętny i krwawy. Kiedy doktor Forest odwrócił się od Dashiella, by włożyć próbkę do woreczka i ją zapieczętować, jego usta były suche i ściągnięte w prostą linię.

Wiadomości, które nadeszły parę dni później, były złe, choć, jak podkreślał Tom, nie najgorsze. Tak, nowotwór, konkretnie choroba Hodgkina, zwykle leczona chemioterapią i naświetlaniem, co oznaczało, że przez jakiś czas Dashiell będzie miał mdłości. „Będziesz się czuł paskudnie - nie ukrywał przed nim doktor Forest w telefonicznej rozmowie. - Będzie ci się

wydawać, że to się nigdy nie skończy, ale to się skończy, obiecuję. To będzie jak czarna chmura, która się jednak podniesie. Choroba Hodgkina jest całkowicie uleczalna". Sprawę przejął onkolog i doktor Forest przestał się nią zajmować.

Leżąc wieczorem w łóżku, po usłyszeniu diagnozy, Dashiell zaczął oceniać sytuację.

- Całkowicie uleczalna - mruknął, leżąc na plecach.

- Tak. To dobra wiadomość - przypomniał mu Tom. - Jeśli w swojej pokręconej głowie uda ci się znaleźć jakieś inne znaczenie słów Foresta, to jesteś po prostu stuknięty.

- Rzeczywiście, przyszło mi do głowy inne znaczenie - przyznał Dashiell. - Ale chyba zachowam je dla siebie.

- Dziękuję - odpowiedział Tom.

Leżeli obok siebie, w podobnych, jasnoniebieskich piżamach, z rękami spuszczoneymi wzdłuż ciała, jak dwa żołnierzyki w pudełku z zabawkami.

- Co z kampanią? - zapytał po chwili Dashiell. - To cholernie zły moment na chorobę Hodgkina.

- Każdy moment byłby zły - odpowiedział Tom. - W kampanię jest zaangażowanych tyle ludzi, że na pewno damy sobie radę.

- Tak na marginesie, kto to jest ten Hodgkin? - zapytał Dashiell. - To znaczy kim był, że jego imieniem nazwano chorobę. Domyślam się, że pewnie jakimś naukowcem, ale Amerykaninem? Brytyjczykiem?

- Nie, nie, Dash, jesteś w błędzie - powiedział Tom. - Hodziny to mityczne stworki, małe, owłosione i potwornie uparte, w sumie podobne do guzków limfatycznych. Niestety, wypadły z *Władcy pierścieni*. Tolkien powiedział: „E tam... wszystko mi mieszają, wywalam je...”

Dashiell z ulgą zauważył, że wciąż mogą żartować, że ten jeden nagły wicher złych wiadomości nie zmiotł wszystkiego. Przewrócił się na bok, chciał znaleźć wygodną pozycję, ale

okazało się to trudne. Mimo to wiedział, że czuje się nadspodziewanie dobrze; było to nawet niepokojące, zważywszy na to, co kryło w sobie jego pozornie dobrze wyglądające ciało.

- Jeśli Wyman nie wygra wyborów - powiedział - będzie to w zasadzie moja wina.

- Uwielbiam taką próżność, wiesz? Słuchaj, jeśli Wyman nie wygra wyborów, to dlatego, że ludzie go nie lubią, a nie dlatego, że opinia publiczna nie usłyszała z jego ust twoich cudownych słów.

- Przemówienia Trish to gówno.

- Prawda.

Zaśmiali się na wspomnienie drugiej osoby piszącej Wymanowi przemówienia, dwudziestopięcioletniej dziewczyny o nieco końskiej urodzie, która zdobyła sobie miejsce w sztabie wyborczym kandydata do senatu Roberta Wymana, pisząc próbkę zwykłej agitki. Wyman jednak uwielbiał ten tekścik i wykorzystywał go w całym stanie, ze względu na umieszczoną tam frazę o „bezprzykładnie dobrej duszy odzianej w szaty skromności” - mającej zawierać kwintesencję tego, jak przeciętni obywatele kraju wspólnie stawili czoło terroryzmowi. Po zamachach na WTC Trish Leggett niezwykle trudno było znaleźć jeszcze jakieś przemawiające przykłady z życia, toteż przede wszystkim odwoływała się do wyobrażeń ogólnych, czego się nauczyła na kursie poetyki podczas krótkiego epizodu na warsztatach kreatywnego pisania w University of Iowa. Wśród autorów przemówień była żółtodziobem, ale stanowiła realne zagrożenie dla Dashiella, który od dobrych kilku lat pisał mowy polityczne, całkiem niezłe, pracując dla różnych kandydatów w wyborach: raz dla kandydata na radnego miasta, dwukrotnie dla kandydata na burmistrza, a teraz, co było najbardziej interesujące, dla potencjalnego senatora Stanów Zjednoczonych.

Właśnie w takim środowisku, sześć lat wcześniej, Dashiell

poznał Toma Amlina. Brali udział w nowojorskiej konwencji LCR, gejowskiego stowarzyszenia republikanów Log Cabin. Dashiell mieszkał w Bostonie, a Tom niedawno się przeprowadził z Los Angeles do Providence, gdzie miał pracować w biurze radnego Roberta Wymana, wkrótce potem okrzykniętego Kennedym republikanów, choć jedynie przez tych, którzy znali go osobiście, a i to głównie ze względu na nienormalnie wielkie zęby.

Konwencja odbywała się w budynku Helmsley Płaza; hol miał tam wielkość hangaru, a panoramiczna winda woziła do nieba i z powrotem tłumy rozweselonych republikańskich gejów. Niektórzy z członków LCR zachowywali się tak, jakby pierwszy raz w życiu jechali oszkloną windą; buczeli i klaskali za każdym razem, gdy kabina ruszała z pełną prędkością w górę. Wyglądają jak członkowie tajnego bractwa Shrinersów, myślał wtedy Dashiell.

Kiedy pierwszego dnia konwencji, podczas wieczorku zapoznawczego, otworzyły się szklane drzwi kabiny, do sali wlał się strumień rozmaitych aktywistów LCR, byli biznesmeni, pastelowe koszulki polo, trochę lesbijek, słowem pasmo ekstremy, które przecinało w pół amerykańską partię republikańską. Mówili niskimi, monotonnymi głosami, których jednostajny pomruk można usłyszeć w wagonie restauracyjnym lub porannym metrze; *łalf, lab, gaf, jap*, przerywane od czasu do czasu śmiechem, którym wybuchali bez skrępowania w każdym miejscu. Być może wielu z nich to nudziarze, ale Dashiell czuł, że ich ewentualne nudziarstwo trochę go fascynuje.

Przy wejściu do sali stał mały stolik zasypany plakietkami z nazwiskami gości. Dashiell znalazł swoją i przykleił ją sobie do marynarki. Stojący obok wysoki i chudy mężczyzna o srebrzystych włosach, ubrany w elegancki garnitur, zdawał się mieć poważny kłopot z odklejeniem plakietki od papieru. „Kurwa”, burknął pod nosem, a Dashiell zaferował pomoc.

„Bardzo proszę”, powiedział, rozdzielając zręcznie kawałki papieru i jednym ruchem przyklejając etykietę do piersi mężczyzny.

Zapamiętał przy tym uczucie, jakiego doznał na ułamek sekundy, kiedy jego dłoń przylgnęła do kłapy marynarki mężczyzny, tak blisko jego klatki piersiowej, blisko serca. Kiedy odjął rękę, przeczytał etykietkę: „Tom Amlin, LA, a właściwie Providence”.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i nic między nimi nie zaśzło, nie przeszedł żaden prąd, kompletnie nic, w każdym razie nic na to nie mogli poradzić. Dashiell był wówczas młody, miał trzydzieści lat, a już martwiło go, że może nie być jednym z najmłodszych uczestników konwencji. Byli tu młodzi faceci po dwudziestce, był nawet zaciąg studentów z Harvardu, choć dopiero ze studiów licencjackich, to jednak o jasno określonych, konserwatywnych poglądach i nie kryjących swojej orientacji. Harvardzkie siurki (jak nazwie ich później Tom), stały ciasnym kręgiem wokół dzbana z ponczem, drwiąc, chichocząc, pozwalając sobie na wszystko, niczym burżujska śmietanka z powieści *Znowu w Brideshead*.

W drugim końcu sali stała najmniej spodziewana w takim miejscu grupa: transwestyci - gromadka mężczyzn z makijażem, w tradycyjnych sukniach lub prostych spódniczkach z bluzką, tak bardzo oderwanych od reszty, bardziej feministycznych niż lesbijki w swoich biznesowych, obliczonych na sukces garniturach. Transwestyci, w kolorowych perukach, pachnący perfumami, traktowali imprezę jak wielką zabawę, sztukę performance. Jeden z nich, wysoki, ponad metr osiemdziesiąt, mający na sobie żółtą sukienkę w malutkie, niebieskie chabry, nosił szarfę z powpinanymi starymi odznakami GOP: „Reelekcja dla Nixona!”, „Głósuj na Goldwatera!” „Naprzód, Dole!” Dashiell pomyślał, że facet wygląda jak postrzelona drużynowa zastępu harcerek, i przez chwilę się czuł, jakby był

na Marsie i jakby musiał się napić z chłodnego, czystego, marsjańskiego strumyka.

Stojący przed Dashielle Tom Amlin miał około czterdziestu lat, ale wydawał się starszy od niego o całe życie. To jedno dziesięciolecie było tym, w którym człowiek udowadnia, kim naprawdę jest, i Amlin miał to już za sobą. Stali przy barze z drinkami w rękach, a Dashiell zapytał:

- Jak rozumieć twoją etykietkę? „LA, a właściwie Providence”?

- Niedawno się przeprowadziłem na wschód - wyjaśnił Tom. - Fajnie było mówić, że mieszkam w Los Angeles. To coś znaczyło. Kiedy mówię teraz, że mieszkam w Providence, dopada mnie kompleks niższości. Choć przeprowadzka wyszła mi na dobre. Poza tym to bardzo sympatyczne miasto, bardzo je lubię. Ty też byś polubił.

Opowiedział mu o radnym miasta, Robercie Wymanie, jakim jest wspaniałym człowiekiem, inteligentnym i bezpośrednim, pozbawionym, nierzadkiego w GOP, służalczego załgania, które zniechęca do republikanów mnóstwo niezdecydowanych wyborców, zwłaszcza kobiety z suburbiów. Z kolei Dashiell wyznał, że dorywczo pisze politykom przemówienia, że często ściągają go w ostatniej chwili, żeby poprawił czyjeś potworne wypowiedzi, że jeśli go potrzebują i dobrze płacą, to nie interesuje go, której partii oddaje usługi.

Tom Amlin przez dłuższą chwilę patrzył na niego zawieszony.

- Zatem jesteś najemnikiem - powiedział.

I chociaż Dashiell zapewnił, że nie, nie, skądże, nie w tym rzecz, Tom Amlin cierpliwie poprowadził go poprzez coś w rodzaju mocno streszczonego manifestu partii republikańskiej, długim, mentorskim, ale zadziwiająco mało nudnym wywodem, którego celem miało być uprzytomnienie Dashiellowi, jak wiele znaczy być republikaninem i jak niewiele znaczy być demokratą.

- Mały rząd centralny - powtarzał. - Mniejszy nawet niż teraz. Lokalna niezależność fiskalna. Wzrost gospodarczy. Dobrobyt. To jest litowanie się nad narodem. To jest opieka państwa nad obywatelami, nie jakieś popłuczyny upadłego planu karteriańskiego.

- Karteriańskiego? Nie rozumiem. Chyba kartezjańskiego? - zapytał Dashiell.

- Nie. To od Jimmiego Cartera.

Dashiell zamrugał.

- To jakiś fachowy termin?

- E... Sam go wymyśliłem - odparł Tom Amlin.

Wieczorem, po tym, jak Dashiell już się objadł u boku Toma wybornymi pieczonymi żeberkami, podanymi do wielkiego stołu, przy którym ramię w ramię siedziały partyjne gwiazdy GOP i nad którym unosił się nieustanny jazgotliwy gwar i walenie dłońmi w stół (siurki z Harvardu waliły najgłośniej, a po jakimś czasie zaczęły jeszcze wznosić pięści i groźnie pokrzykiwać, skąd tylko krok dzielił ich, myślał Dashiell, od brunatnych koszul i wysokich oficerek), i po tym, jak jeden z transwestytów głośno wezwał LCR, by zaaprobowało „skrajności”, i po paru nieoczekiwanie poruszających, bardzo osobistych, przemówieniach politycznych, ludzie w końcu się rozeszli do domów, a spora grupa osób dokończyła spotkanie w klubie Speed na Zachodniej Osiemnastej, który polecano na oficjalnym zaproszeniu.

Muzyka w klubie była słaba, za to dość głośna. Tom i Dashiell zdjęli marynarki i rozluźnili krawaty, i prowadzili rozmowę, wyrzaskując słowa, siłą rzeczy bardzo do siebie przybliżeni. Wreszcie, kiedy kontynuowanie tego antydialogu przestało mieć sens, Tom Amlin, mężczyzna dominujący, który w pewnym sensie przypominał Dashiellowi starszego brata, Michaela - też starszy, ciemnowłosy, z elit, dobrze wykształcony i cholernie inteligentny - wyprostował się na swoim baro-

wym krzesła, rozchylając lekko kolana, i przygarnął do siebie Dashiella. Żaden z nich nie był pijany; czasem to przeszkadza za pierwszym razem, kiedy się nie jest pijanym i trzeba stanąć twarzą w twarz z czystością własnego pożądanego.

W geście Toma było coś tak podniecającego, że równocześnie aż zniechęcającego. Tom objął Dashiella, kładąc mu na plecach dużą dłoń, a Dashiell pomyślał o tych samych, białych, klasycznych koszulach, które mieli na sobie, ustępstwie wobec męskiego konserwatyzmu i świeżości marki Brooks Brothers, i o poczuciu ładu, jakie ich teraz połączyło, jakby sami byli braćmi Brooks - jakąś kazirodczą, identyczną parą. W marzeniach GOP poczucie ładu miało jednak przychodzić w sposób naturalny, nie poprzez kontrolowanie czy rządzenie, ale dzięki pryncypiom, bez tego żenującego wypłakiwania się na czyimś ramieniu i preferencyjnego traktowania.

Tu w Ameryce każdy radzi sobie sam, ale już nie według praw dżungli, jak kiedyś. Teraz to jest wolny kraj i każdy może żyć, jak mu się podoba, żeby zarobić pieniądze, żeby do czegoś dojść. Człowiek jest wolny także tu, w barze Speed, i ma prawo przylgnąć do drugiego mężczyzny, którego poznał ledwie przed chwilą, i całować go otwartymi ustami. Może to dziwne, ale jeśli dobrze się nad tym zastanowić, to właśnie oznaczało być republikaninem.

Dzisiaj, sześć lat po nowojorskiej konwencji Log Cabin, po narodzinach nadzwyczajnej obopólnej miłości, Tom Amlin i Dashiell Mellow, śpiący teraz w jednym łóżku, wydawali się już bardzo do siebie podobni. Dashiell przestał wyglądać jak wiecznie młody, płowy jelonek, a Tom nie przypominał już mentora swojego dobrze rokującego studenta. Ich świeżość gdzieś się ulotniła. Dashiell się postarzał; za sprawą codzienności szarego życia, a ostatnio także za sprawą choroby. Kilka

tygodni chemioterapii i naświetlania wyssało z niego cały zapas sił i energii. Czuł się, jakby ktoś cisnął nim o ścianę. Na ustach miał owrzodzone rany, oczy mu się zapadły od odwodnienia, a włosy zaczęły wypadać, więc szybko poszedł do fryzjera i zdecydował się na fryzurę, której zawsze nie cierpiał, bo przypominała mu dręczycieli homoseksualistów.

Tom, którego srebrzyste włosy stały się już bielsze, wyglądał na człowieka zdrowego, ale zmęczonego życiem. Kiedyś uprawiał jogging - biegał codziennie koło bram Brown University, wzdłuż College Hill, a potem z powrotem pod górkę - jednak kampania Roberta Wymana i opieka nad Dashiellem zabierały mu tyle czasu, że jego ciało zaczęło tracić oznaki prężności.

Spali twarzą do siebie. Dashiell otworzył oczy i zobaczył, że jest dopiero siódma rano. Poczł, że znowu robi mu się niedobrze od lekarstw i zbiera na wymioty, więc spróbował stłumić niemiłe wrażenia, uciskając nasadę kciuka (jak uczyła go pielęgniarka w szpitalu Rhode Island, mająca w istocie własny interes w promowaniu akupresury). Zaczł wciskać palec w ciało i szukać punktu pobudzenia, który miał złagodzić nieprzyjemne pieczenie. Ku jego zdziwieniu, zdawało się to odnosić skutek. Mdłości z wolna ustąpiły, straciły zainteresowanie, by dalej za nim gonić. Dashiell poczuł się dumny, że udało mu się zwieść chorobę, kiedy nagle zadzwonił telefon, a identyfikator abonenta dzwoniącego wskazywał, że po drugiej stronie linii czeka matka.

Nie odbieraj, powiedziałyby Tom, gdyby się obudził w porę i mógł pośpieszyć z własną opinią. Bo odkąd Dashiell zachorował kilka tygodni temu, jego rodzina bez przerwy dawała o sobie znać. Ojciec i Michael dzwonili nieustannie, łącząc się jednocześnie z dwóch aparatów i przerywając sobie w rozmowie. Michael, przez całe życie do przesady poważny i roztropny tym razem brzmiał przesadnie nerwowo i mówił w wielkim pędzie.

- Hej, Dash, mógłbym przyjechać. Mogę zostawić tu ojca

i już - mówił Michael. - Właściwie czekaj, nie, możemy przyjechać razem z ojcem. Jak wolisz?

- Nic nie wolę, dzięki - odpowiadał Dashiell. - Wszystko jest w porządku. Mam Toma. - Zrobił małą pauzę. - A ty, Michael? U ciebie wszystko w porządku?

- Dlaczego pytasz?

- Nie wiem - powiedział Dashiell. - Wciąż jesteś na Florydzie i mówisz tak... szybko czy jakoś...

- Nic mi nie jest. Wszystko w porządku - uciął Michael.

Zatem u obu braci wszystko było w porządku.

Za to ojciec mówił jak zawsze; ciepłym głosem, z namysłem, trochę melancholijnie,

- Wiesz, że możesz na mnie liczyć - mówił Paul Mellow, a Dashiell poczuł ciarki na plecach, bo taki właśnie był jego ojciec: „Wiesz, że możesz na mnie liczyć”. I choć słowa te rzadko już się przekładały na coś rzeczywiście istotnego, to wciąż wydawały się dowodem czegoś w rodzaju wspólnego, ojcowsko-synowskiego snu o wzajemnej bliskości.

Również Claudia dzwoniła kilkakrotnie od czasu postawienia diagnozy i nieraz płakała w słuchawkę, a Dashiell czuł się zmuszony ją pocieszać, bo była najmłodsza i zawsze trochę nadwrażliwa. Jako jedyna z rodzeństwa nie rozpoczęła jeszcze kariery zawodowej, z nikim nie zamieszkała i nadal była sama. Choć podobno ostatnio Claudia wymienia prawdziwy deszcz e-maili z mężczyzną, którego poznała w ich domu w Wontauket (jakby nie było tylu innych miejsc!). Dashiell jej mówił, że to go cieszy, ale tak naprawdę nie wiedział, co o tym myśleć ani czy w ogóle coś o tym myśleć. Podobne odczucia miał w kwestii jej planów podbicia szkoły filmowej - dopóki jej plany się nie zmaterializowały, jakby jej nie wierzył, jakby swoje życie, lub opowieść o nim, Claudia wysysała z palca. Dashiell zawsze czuł impuls, aby bronić Claudii, ale nie litować się nad nią, bo zaraz by się domyśliła.

Niekiedy podczas tych rozmów telefonicznych cichutko po-

płakiwała, co Dashiella doprowadzało do szewskiej pasji, i mówił wtedy: „Weź się w garść. Claudia! Słuchaj, Claudia. Nic nie będzie, jasne? Naprawdę. Wszystko będzie w porządku”.

Kiedy przestawała płakać, przedstawiała nad podziw skonkretyzowane propozycje pomocy: „Może chcesz, żebym przyjechała i siedziała przy tobie, jak będziesz wymiotował czy coś... - mówiła. - Z przyjemnością to zrobię. Mam teraz na głowie tylko ten głupi film o moich nauczycielach, ale, uwierz, świat może trochę poczekać na jego premierę”.

Holly, którą Claudia o wszystkim zawiadomiła, zatelefonowała do Dashiella tylko raz ze swojej daleko wysuniętej placówki w Los Angeles. Mówiła, że strasznie jej przykro z powodu choroby, i dopytywała się, czy Dashiell coś wie na temat wpływu glutenu pszenicy na raka, „bo wiesz, niewykluczone, że to przez gluten”. Odpowiedział jej sucho, że nie, że o ile mu wiadomo, przyczyny jego choroby nie mają związku z odżywianiem. Holly powiedziała, że mimo wszystko wyśle mu książkę na ten temat, która oczywiście nigdy nie nadeszła i której i tak by nie przeczytał, więc nie miał czego żałować. Potem już nie dzwoniła i zapewne nie zadzwoni przez następnych parę miesięcy, a może lat, bo z Holly nigdy nic nie wiadomo. Kiedyś jej wszechobecny, ponuro-zadumany nastrój udzielał się wszystkim, ale potem jakby spżytkowała ten swój autorytet, wypaliła go w młodości, aż wreszcie wywędrowała w świat i straciła zainteresowanie rodziną.

Teraz to matka stała się osobą, z którą Dashiellowi najtrudniej było sobie poradzić. Jej telefony wyprowadzały go z równowagi. Chciała się z nim zobaczyć, chciała jechać z nim na kolejny zabieg, najchętniej rozdarłaby pewnie szaty tuż przed naświetlaniem i krzyknęła: „Nie! Weźcie mnie!” W jej obecności Dashiell zawsze czuł się skrępowany; kiedyś sobie uświadomił, że nie chce, by matka lepiej go poznała.

Podniósł słuchawkę dzwoniącego telefonu; tak trzeba zrobić, kiedy się jest synem.

- Cześć, mamó - powiedział.

- Dash, obudziłam cię?

- Nie.

- Wszystko dobrze?

- Mogłoby być lepiej.

- Mogę przyjechać? Nie będę was denerwowała. Nie zamieszkać nawet u ciebie i Toma. Zatrzymam się w hotelu Baltimore. Tam mają dobre ceny.

- Nie ma potrzeby, mamó, naprawdę - odpowiedział Dashiell. - Będę czuł, że muszę się tobą zająć, rozumiesz...

- Ależ skąd! - zachnęła się. - Wiesz, że nie musisz się mną zajmować.

- Wiem, że nie - odparł. - Ale będę miał takie poczucie. Taki już jestem. Zresztą, mamó, naprawdę mam wszystko, czego trzeba. Tom jest ze mną.

Nastąpiła chwila ciszy, bardzo głęboki oddech, Dashiell zdał sobie sprawę, że ostatnia uwaga ją dotknęła. Samodzielny i niezależny syn gejs to siła, z którą musiała się liczyć. Często niczego od ciebie nie potrzebował. Tak naprawdę Dashiell nigdy niczego od matki nie chciał. Jej nieustanna troska zawsze go krępowała. Pamiętał, że kiedy był mały, częste krwawienia z nosa kończyły się cotygodniowymi wizytami u doktora Enzelmana. Jeszcze dzisiaj przechodzą go ciarki po plecach na wspomnienie tamtych podróży i kazań matki dotyczących dłubania w nosie i mnóstwa złych rzeczy, które z tego dłubania mogą wynikać w jego życiu. Istotą jej argumentów wydawała się myśl, że nikt nie będzie go kochał. Ale przecież, czy dłubanie w nosie nie było w pewnym sensie jednym z wielu sposobów dotykania siebie, sprawiania sobie przyjemności? A czy w tym może być coś złego? Sama musiałaby przyznać, że nie: sprawianie sobie przyjemności jest więcej niż w porządku, jest wspianałe, jest potrzebne i każdy powinien to robić.

Wtedy jednak nie umiał jeszcze przeciwstawić się mamie; była postacią, której się nie atakuje, macierzyńską, obdarowującą, piękną, i wiedział, że jeśli ośmieli się ją skrytykować, to ojciec stanie w jej obronie. „Przecież mama tak bardzo się stara - powiedziała by tata. - Spójrz tylko na nią”. Musiałby z ojcem spojrzeć na Roz, dostrzec jej kruchość i szlachetność, jej niebieskie, zachodzące łzami oczy, i musiałby się wycofać. Mama dużo płakała, podobnie jak Claudia. Dlaczego kobiety tyle płaczą? Co powinno się wtedy robić? Nie sposób było odpowiednio zareagować i Dashiell wolał, żeby były bardziej jak on. Prywatne, wewnętrzne, zamknięte korporacje.

W życiu Dashiella naczelną zasadą zawsze pozostawała skrytość. Po tym, jak czwórka małych Mellowów pierwszy raz przejrzała *Jak dać rozkosz*, Dashiell nieraz do niej wracał. Był pewien, że reszta też to robi, choć nigdy nikogo nie widział z książką w ręku. Czasem, kiedy nikogo nie było w pobliżu, niezauważony wślizgiwał się do biblioteki. Zdejmował książkę z półki razem z paroma większymi książkami, najchętniej z albumem pełnym gołden retrieverów, na tyle dużym, by w jednej chwili mógł zakryć jego szerokimi okładkami *Jak dać rozkosz* - na wypadek, gdyby komuś zdarzyło się wejść do środka i zapytać: „Hej, Dash, co czytasz?”

W ciągu lat Dashiell dowiedział się z lektury bardzo wiele, ale później, kiedy był już dorosły, jedna rzecz, której się z niej dowiedział, wciąż nie dawała mu spokoju. Otóż jedyną wzmiankę o miłości homoseksualnej znalazł w krótkim podrozdziale dotyczącym seksu analnego (przeczytał go niejedyn raz); według rodziców, wśród otworów w ludzkim ciele istniała hierarchia, w której anus zajmował miejsce na samym dole, w sensie dosłownym i metaforycznym - był jak samolubny aktor epizodyczny, wykorzystywany od czasu do czasu dla urozmaicenia, ale generalnie niekochany.

„Chociaż geje z definicji szaleją na punkcie tego zdecydowanie pokrętnego sposobu na wyrażenie seksualnych pragnień, czujemy się ciutkę zdetonowani, kiedy peany na jego cześć słyszymy w naszym obozie. Jak wiemy, bez wątpienia można osiągnąć w ten sposób intensywne doznania seksualne. Niemniej nie opuszcza nas przekonanie, że mamy tu także do czynienia z elementem pewnego rodzaju sadomasochizmu. Po co zatem raz od święta iść tak daleko, skoro cała istota rzeczy znajduje się tuż obok? Jeśli jednak lubicie przygody i macie ochotę na wyprawy badawcze w stylu Lewisa i Clarka (czy może powinniśmy powiedzieć Louise i Clarka?), by sprawić sobie rozkosz w ten cokolwiek trudniejszy, a z pewnością mniej bezpieczny sposób, to pamiętajcie, by mieć pod ręką odpowiednie lubrykanty. Polecamy...”

(Jak dać rozkosz, s. 183)

„Geje”! „Ciutkę”! „W naszym obozie”! Ton tego fragmentu, całkowicie odmienny od reszty tekstu, był wyraźnie nieprzychylny i przemądrzały. „Nie boimy się ludzkiego ciała”, oświadczyła jego matka w wywiadzie telewizyjnym w siedemdziesiątym piątym roku, w nocnym programie Kena Londona *Nocny marek*, a słodko uprzejmy, młody redaktor, w marynarce o szerokich klapach i z fryzurą w stylu komiksowego księcia Valianta, przytaknął skwapliwie i powiedział: „Oczywiście”.

Jednak moje ludzkie ciało homo jest czymś, z czym nie potrafią sobie poradzić - Dashiell poczuł to, kiedy po raz pierwszy uchwycił sens tego fragmentu. Brakowało mu wszakże śmiałości, by podnieść temat w rozmowie lub otwarcie skrytykować rodziców. Miał czternaście lat, był dotknięty czymś więcej niż tylko chłopięcą złością i irytacją. Niedawno zatrzymał go w kafeterii Ham Kleeman, starszy brat Nicka, kolegi z klasy Dashiella.

- Jesteś kolegą Nicka, prawda? Byłeś u nas w domu.

Dashiell zdębiał, bo nikt nie słyszał jeszcze, żeby dwunastoklasista chciał rozmawiać z dziewięcioklasistą ani żeby znał krąg znajomych swojego młodszego brata. I co z tego, że był w domu Kleemanów; jaki starszy brat w ogóle by to zauważył? To raczej młodsi bracia zwracają uwagę na życie swoich starszych braci i podglądają każdy ich ruch, jakby chcieli wszystkiego się szybko nauczyć i podejrzeć wszystko, co tylko można. W jego przypadku podpatrywanie Michaela było jednak mało porywające, ponieważ w szkole średniej Michael ze swoimi kolegami należał do grona prymusów, którym nie brakowało żadnej zalety, lecz którzy byli niemiłosiernie nudni - istny Model ONZ, choć wcale się nie starali go naśladować. Stanowili zwartą paczkę chłopaków - półfinalistów ogólnokrajowej olimpiady nauk ścisłych lub oboistów wciągniętych w szkolne przedstawienie *Piotrusia i wilka* Prokofiewa - inteligentnych i ironicznych, ale mało seksownych, w tych swoich akrylowych sweterkach, z tym swoim sarkastycznym śmiechem „che, che, che”, smażonym jedzeniem i identycznym trądzikiem. Michael trochę od nich odstawał, był atrakcyjny, choć jego mały brat tego nie zauważał, działała w nim bowiem właściwa każdemu człowiekowi osłona chroniąca przed kazirodzłym pożądaniami.

Starszy brat Nicka, kolegi Dashiella, towarzyski i otwarty Ham, to jednak coś zupełnie innego. Znali go wszyscy; nosił przydomek Aktorek, bo grał główne role niemal w każdym spektaklu wystawianym w szkole podstawowej im. Felice P. Bolander, a później w gimnazjum na East Street i wreszcie w liceum. Ham zagrał raz nawet Hamleta na warsztatach teatralnych w Stockbridge w Massachusetts, ale generalnie większość ról, które otrzymywał, to były ciepłe i wesołe partie śpiewane. Znakomicie się czuł w musicalu *Musie Man*; według recenzji w „Głosie Wontauket”, Ham „fantastycznie odtworzył

postać profesora Harolda Hilla". Mniej więcej w podobnym tonie oceniono jego rolę Nathana Detroita i Króla Syjamu.

Gdy jednak Ham Kleeman podszedł do Dashiella w kafece i zapytał go, kiedy znowu przyjdzie do ich domu, jego osoba przybrała zupełnie inny wymiar; w jednej chwili wydał się Dashiellowi drapieżny i dominujący - bardzo interesujący. Dashiell postanowił więc w tym tygodniu trzymać się bliżej Nicka, mimo że chłopak przechodził akurat katorżniczą fazę gry w „Lochy i Smoki”. W piątkowe popołudnie trójka chłopców przebywała sama w domu Kleemanów i kiedy było jasne, że Nicka na dobre odurzył już szmerzący eter Ryce-rzy Ciemności, Krasnoludowych Obrońców, Mistrzów Wiedzy i Tancerzy Cieni, Dashiell wymknął się na poddasze, gdzie się znajdował azyl Hama. Na oknach wisiały ciemne, indyjskie zasłony, na ukośnych ścianach plakaty znanych sportowców, a na kanapie, w samym rogu posępnego pokoju, leżał Ham w osobie własnej, przygrywając sobie od niechcienia na harmonijce. Widok kolegi brata w ogóle go nie zdziwił.

- Chodź - powiedział i Dashiell podszedł do łóżka.

Miał trochę obrzmiałe wargi od grania, ze śladami pręgi po harmonijce, którą odrzucił na łóżko. Jego jasne włosy były miękkie i faliste. Ham spojrzał na Dashiella i powiedział:

- Zdejmij spodnie.

Wcale to Dashiella nie zaskoczyło; to raczej Ham wydał się zaskoczony, kiedy Dashiell ochoczo spełnił polecenie, odpiął pasek, spuścił dzinsy, a spod slipów wyłonił się duży, sprężysty penis, istne чудо jak na czternastolatka, jakkolwiek by na to patrzeć.

- Cie pierdole, popatrz, popatrz. Wielkie rzeczy podają w małych opakowaniach - powiedział Ham Kleeman, ucieszony własnym dowcipem.

Pochylił się gwałtownie do przodu, złapał za niego Dashiella delikatnie i przyciągnął do łóżka. Pociągnięcie wcale nie za-

bolało. Zupełnie jakby Dashiell od lat czekał, żeby jakiś starszy chłopak pociągnął go w ten sposób, żeby chwycił za niego całą dłońią, jakby wyrwał z ziemi marchew. Kiedy był mały, mama czytała mu bajkę *Nasionko marchewki*. „Nie wyrośnie, nie wyrośnie”, martwił się w książce chłopczyk z wielką głową, nie mogąc się doczekać, kiedy marchewka się wynurzy z ciemnej i nieczułej ziemi. Wreszcie, któregoś dnia, wyrosła.

Kiedy Dashiell pojął, że jego żyjący w separacji rodzice - którzy w sposób racjonalny zaakceptują wiadomość o orientacji seksualnej syna, kiedy Dashiell ujawni ją na studiach - odnieśli się w książce z wyraźnym lekceważeniem wobec homoseksualistów, w książce, którą uważali za podręcznik seksu dla każdego mężczyzny i każdej kobiety, delikatnie się od nich odsunął. Poirytowanie postawą matki przeistoczyło się wkrótce w coś gorszego: tajoną niechęć. Ojcu mniej się dostało. Trudno było się złościć na Paula, bo był powściągliwym i łagodnym człowiekiem, a poza tym z jakichś powodów Dashiell potrzebował z jego strony zainteresowania. Ale nie ulegał; trzymał się mocno, był wierny sobie, chował swoje tajemnice, i w końcu, po długim czasie, całkowicie się odwrócił od rodziców.

Odwróciwszy się, Dashiell zaczął się stawać od nich inny, również od innych ludzi, których znał. Zupełnie jakby musiał rzucić wszystko, by móc pożegnać się z dawnym, delikatnym, chłopięcym sobą, który był drugim od końca najmłodszym w rodzinie, prawie dzidziusiem, któremu chodziły wciąż po głowie nonsensowne piosenki. Coraz trudniej było go zrozumieć. Dashiell usunął się w cień. A w dziewięćdziesiątym trzecim roku, w porywie równie skrytym i głębokim jak tamta chwila na poddaszu, kiedy starszy chłopiec wciągnął go do łóżka, Dashiell Mellow zapisał się do Partii Republikańskiej.

Był zimny, niedzielny poranek w College Hill w Providence. Jedynymi przechodniami na ulicy byli studenci Brown University, którzy wyszli po papierosy lub na kawę, w nadziei, że pomogą im stanąć na nogi po całonocnej rozpuście w kampusie. Chodzili dwójkami lub trójkami, owinięci szalikami, z rękami schowanymi głęboko w kieszeniach. Śmiali się głośno; byli młodzi i nie wiedzieli jeszcze, że mogą się im przytrafić rzeczy, z którymi nie będą potrafili sobie poradzić. Dashiell, ubrany w gruby, puchowy płaszcz, z łysą głową wystającą z ciasnego golfu, wszedł do sklepu na Thayer Street, by zrobić zakupy do domu. Nie chciał budzić Toma, który spał zmęczony rolą nocnego pielęgniara. Dashiell trzy razy wymiotował, a Tom trzy razy wstawał z łóżka i był przy nim.

Dashiell skończył rozmowę, przekonawszy wreszcie mamę, że jej nie potrzebuje i że razem z Tomem świetnie daje sobie radę.

- Michael wciąż jest u waszego ojca na Florydzie - powiedziała mama pod koniec rozmowy, sądząc, że rodzinne wieści być może zainteresują Dashiella.

- Wiem. Dużo dzwonią. Dlaczego tak długo tam siedzi? - zapytał Dashiell. - Miał pojechać na tydzień. Teraz to, ile już, trzy tygodnie?

- Miał nakłonić ojca do zgody na wznowienie książki i wrócić do domu. Lepiej, żeby się pośpieszył. Wydawca musi wreszcie z tym ruszyć. - Zrobiła krótką pauzę. - Może ty szepnąłbyś mu słówko?

- Mamo! - Dashiell przemówił nagle ostrzejszym tonem. - Jestem chory. Zapomniałaś już? - Oczywiście, że nie zapomniała, ale jednocześnie pochłaniało ją pragnienie, by wznowić książkę. - Muszę wyjść do sklepu, mamó - powiedział.

- Dobrze - odpowiedziała, wycofując się, zraniona, raz jeszcze uświadamiając Dashiellowi, czym go denerwowała; tym połączeniem nadwrażliwości i zawziętości; czy można coś z tym zrobić?

W sklepie, w dziale z mrożonkami, gdzie ze szklanych zamrażarek wydobywały się opary szronu i gdzie wyciągnął dla siebie kilka opakowań zupy Tabatchnick, choćby ze względu na ich urokliwą nazwę, Dashiell stanął raptem twarzą w twarz z Trish Leggett.

- O Boże, Dashiell - powiedziała, przygarniając do piersi swoje produkty. - Och, to ty.

Nie widziała go, od kiedy zachorował lub odkąd zgolił się na łyso. Była dość ładną blondynką, z aksamitną opaską w włosach, ubraną w puchową kamizelę. Przyglądała się łysemu i blademu mężczyźnie z sympatią zaprawioną jakimś potwornym strachem, co było nie do zniesienia dla kogoś, kto jest obiektem takiego spojrzenia. Mógł tylko stać i dalej wyglądać na chorego, wyglądać bardzo źle, i czekać, co ona powie. Powie coś o „dobrej duszy odzianej w szaty skromności”? Powie coś o „filarach dobroci”? Potrafiła jednak powiedzieć tylko: „Och, to ty”.

- Tak, to ja - odezwał się w końcu Dashiell. - Wiem, Trish, wyglądam jak szmata.

- Nie, to tylko... bo miałeś takie ładne włosy - powiedziała, zanim zdążyła się ugryźć w język. - Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym straciła włosy... - Głos uwiązł jej w gardle, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że mówi komuś przykre rzeczy. - Przepraszam, nie chciałam... - Zapłatała się tragicznie.

- Nie ma sprawy - powiedział.

- Wiesz, teraz jest tyle niesamowitych lekarstw, prawda? Choćby te inhibitory proteazy? Mój kuzyn, Mitchell, bierze je na okrągło. Można z tym żyć pełnym życiem, naprawdę.

Spojrzał na nią zdziwiony, puszczając drzwi zamrażarki, które zamknęły się z cichym trzaskiem.

- Słucham?

- No, z AIDS - wyjaśniła.

- Trish, kto ci powiedział, że mam AIDS?

Trish zaczęła niezręcznie poprawiać zakupy, przekładając je sobie z jednej strony piersi na drugą.

- No, powiedzieli, że jesteś bardzo chory, w biurze tak powiedzieli, oczywiście, Tom kiedyś wpadł, właściwie to on powiedział, że jesteś chory, że moglibyśmy posłać ci pocztówki i tak dalej, mam nadzieję, że do ciebie doszły, i myślałam, no, jakoś doszłam do przekonania, że dopadło cię coś z tych ostatnich rzeczy, Boże, tak mi głupio, znaczy, Dashiell, nie jesteś chory na AIDS?

Minęło kilka sekund, zanim jej odpowiedział.

- Nie, to tylko najzwyklejszy Hodgkin - odpowiedział w końcu. - Nie ma nic wspólnego z pedalstwem. - Przemówił głosem dużo ostrzejszym i głośniejszym, niż zamierzał.

A więc w gwarным, tętniącym życiu biurze wyborczym Wymana, w centrum miasta, wszyscy myśleli, że on, Dashiell Mellow, choruje na AIDS, a do nieporozumienia doszło tylko i wyłącznie dlatego, że był gejem. Zapewne sam Robert Wyman myślał sobie, że Dashiell ma AIDS. Tom prawdopodobnie nie wyprowadzał ich z błędu, bo nie sądził, by ktoś mógł tak w ogóle pomyśleć. W dzisiejszych czasach używa się dyskretnych, stenograficznych określeń: Dashiell jest „chory”. Dashiell „jest leczony”. Dashiella „przez jakiś czas” nie będzie. W świecie republikańskiej polityki chory gej to najwyraźniej gej z AIDS, i chociaż nigdy o tym wcześniej nie wiedział, to teraz już wie.

- Nie chciałam cię dotknąć - Trish Leggett próbowała ratować sytuację i tak się tym przejęła, że się rozplakała.

Jezu Chryste, kolejna płacząca kobieta! Nie mógł znieść widoku jej szklistych oczu, nie mógł słuchać wibrowania, które załamywało jej głos. To przypominało mu matkę, co było niesprawiedliwe i co, wiedział o tym, czyniło go mizoginem, jakby wszystkie kobiety były takie same.

- Słuchaj, muszę już iść. - To było wszystko, co mógł jej teraz dać.

Odwrócił się i podszedł z rękami pełnymi zakupów do kasy, gdzie rzucił wszystko wściekle na taśmę. Kurwa, kurwa... Ludzie będą myśleli, co zechcą, nie sposób nad nimi zapanować, nie sposób sprawić, by widzieli cię takim, jak byś pragnął. To nie ode mnie zależy, powiedział sobie, zapłacił trzęsącą się ręką za zakupy i jak najszybciej wyszedł ze sklepu, by być jak najdalej od łkającej kobiety, która napisze jeszcze całe morze przemówień i niedługo może dostanie propozycję pracy w Białym Domu, podczas gdy on, Dashiell, będzie marniał w swoim domu, z łysą głową, mrożonymi zupami i ciałem nabitym ciemnością i niepewnością.

Rozdział szósty

Na początku każdego roku akademickiego, kiedy w dużej sali ze spadzistym sufitem, wypełnionej po brzegi studentami pierwszego roku, profesor Rosalyn Mellow zaczynała wykłady ze wstępu do seksualności człowieka, jej myśli mimowolnie wracały wspomnieniami do audytoriów, jakie przed laty gromadziły wykłady Mellowów. Był w tym wówczas jakiś dreszcz, jakiś nieuchwytny smaczek, jakby cała sala - dwustu pięćdziesięciu słuchaczy - myślała tylko o jednym; żeby się wyrwać w jakieś ustronne, przyciemnione miejsce i oddać masowej orgii. Pary siedziały blisko siebie, splecione ramionami, wsłuchane, włączały się do dyskusji, pragnęły znaleźć to coś.

Dzisiaj jednak świat jest inny i inne jest życie. W wieku sześćdziesięciu siedmiu lat Rosalyn Mellow miała, może napiętnowany przeszłością, ale wciąż zdecydowanie widoczny seksapil. Choć była już babcią, to ucząc o tajnikach ciała, w żadnym wypadku nie wyglądała babcino-komicznie. Jej własne ciało było krągłejsze, obfitsze, oczywiście bardziej opadłe niż za młodu, a jej włosy, które z upływem czasu straciły nieco blasku, barwiła teraz droga, ciemna farba, nadająca im wygląd polerowanych na wysoki połysk mebli kolonialnych. Roz wciąż wydawała dużo pieniędzy na ubrania, choć zimą, w srogim północnym klimacie, strojenie się było bezcelowe, bo nawet jeśli człowiek miał ochotę wyjść za próg, to zmuszony był owinać się po szyję jakimś wielkim, puchowym kokonem. A kiedy wracał do domu, kokon wytwarzał na powierzchni ubrań

takie pole elektrostatyczne, że tkaniny przywierały do ciała i drażniły je, a włosy schowane pod czapką albo eskimoskim kapturem sterczały na baczność, każdy wywinięty w inną stronę. Mimo to Roz starała się wyglądać jak najlepiej i z całą pewnością była jedną z bardziej atrakcyjnych członkiń grona pedagogicznego Skidmore College - starsza kobieta o pięknej, mlecznej cerze, ciemnorudych, uroczych włosach i szczodrym ciele, które przy dotknięciu zdawało się ogrzewać.

Niektórzy koledzy z wydziału psychologii najzwyczajniej w świecie jej pożądali, a fakt, że kiedyś, dwadzieścia osiem lat wcześniej, była współautorką międzynarodowego bestsellera, w którym erotyczne ilustracje przedstawiały ją z ówczesnym mężem w wielu pozycjach miłosnych, czynił ją jeszcze atrakcyjniejszą. Jednak po upływie lat - kiedy w końcu się zadomowiła w Skidmore, kiedy ułożyła sobie życie w tym uniwersyteckim miasteczku z jego letnim sezonem baletowym i tłumami ciągnącymi na wyścigi konne, uczestnicząc regularnie w zebraniach grona pedagogicznego, przynosząc pitę z humusem na zorganizowane naprędce pożegnanie odchodzącego szefa, a raz nawet zjeżdżając na łeb, na szyję ze studentami toboganem po oblodzonym zboczu - Roz Mellow, nawet jeśli z oporami, to zaczęła być akceptowana w środowisku: jako ktoś, kto może nie jest taki jak oni, ale jest przynajmniej jednym z nich. Gorycz w niej pozostała, bo nie miała ani doktoratu, ani nawet magisterki, a jedynie licencjat z Instytutu Technologii Mody, stary jak świat i nie mający nic wspólnego z pracą. Reszta harowała niewolniczo pół życia na tytuły doktorskie, a potem łapała desperacko wolne akademickie posady. Tak, tak, dobrze wiedzieli; to „praca w terenie”, nie w bibliotece zapewniła Roz Mellow tę łatwą pracę i przetarła jej później szlak do katedry; to jej pionierskość w dziedzinie seksu z lat siedemdziesiątych wyniosła ją ze zgiełku i pisków tamtej epoki i osadziła tutaj, w idyllicznym humanistycznym collegeu, trzydzieści minut

od Albany, jadąc na północ wzdłuż rzeki Hudson. Ich jeszcze nie było, a ona już jadła chleb z niejednego pieca. W końcu wszakże wszystko się wyrównało. I ona, i oni skończyli na wieczornych zakupach w tym samym sklepie Foodtown przy autostradzie nr 87, na sypaniu solą podjazdu przed domem każdej zimy, na wysiadaniu przy tym samym, prostokątnym stole podczas piątkowych zebrań, jak siedzą właśnie teraz, ziewając dyskretnie i odliczając po cichu minuty tego ostatniego w tygodniu wspólnego spotkania.

To, że Roz wcześniej od innych miała przetarcie w świecie, odgrywało istotniejszą rolę dla niej samej niż dla nich. Nie potrafiła zapomnieć o dawnym życiu, choć popadło ono w ruinę; właściwie sama je zrujnowała, wzięła szpilkę i je przekłuła. Lecz ono wciąż w niej siedziało, zwłaszcza w chwilach jak ta, kiedy jest tak bardzo podenerwowana i tak bardzo udręczona, że mogłaby paść twarzą na stół z głuchym dudnięciem, wydając ostatnie tchnienie. Problemy osobiste, które ostatnio ją męczyły, były ogromne i najbardziej chciałyby teraz po prostu wyjść na mroźne powietrze i zapalić papierosa. Na pewno poczułaby się lepiej. Wolałaby teraz być gdziekolwiek, byle nie tutaj.

Doktor Deanna Stegman, dziekan wydziału, mówiła dzisiaj o nowym Komputerowym Centrum Nauki otwartym na pierwszym piętrze wyremontowanej biblioteki i o tym, że cała kadra naukowa będzie zobowiązana uczestniczyć w wieczornym szkoleniu, aby umieć pomóc studentom w obsłudze programu, który ma być wykorzystywany do graficznego przedstawiania danych statystycznych.

- Mam na myśli wszystkich - podkreśliła znacząco Stegman.

Pociągnęła przy tym spojrzeniem przez cały pokój, starając się nie zatrzymywać na nikim wzroku, choć każdy doskonale rozumiał, że ostatnia uwaga odnosiła się do Roz Mellow. Oznaczała tyle: „Nie myśl, że to ciebie nie dotyczy, jeśli do

twoich obowiązków należy tylko wejść na katedrę i powiedzieć coś o *fellatio* lub *cunnilingus* bez mrugnięcia okiem albo nałożyć lubrykowanego Trojana z substancją plemnikobójczą na banana Chiquita. Dotyczy jak najbardziej. Jesteś jedną z nas. Już nie jesteś nikim specjalnym".

Simon Post podniósł rękę.

- Chciałbym powiedzieć, Deanno, że moim zdaniem to naprawdę znakomity pomysł. Niektórym tylko się wydaje, że komputer nie jest im obcy, tymczasem nasze siedmiolatki lepiej od nas wiedzą, jak pisać programy lub posługiwać się Linuksem.

- Mów za siebie, Post - odezwał się na to Donald Mosher, a wszyscy akademicy psychologowie i statystycy zaśmiali się lekko, choć nie było się z czego śmiać; byli raczej rozochoceni konsumpcją olbrzymiego pudełka słodkich pączków, które sekretarka dziekanatu, Celeste, postawiła na środku stołu.

W pudełku zostały już tylko dwa pączki, mocno odkształcone i tylko te bez nadzienia. Za to na stole leżało pełno okruszków, podobnie jak na grubych wąsiskach Donalda Moshera. Nawet Roz zjadła pączka z marmoladą, za sprawą jego aromatu oraz uwolnionej z wnętrza słodkości i pektyny zapominając na moment o dramacie Dashiella i złości na Paula.

Wreszcie wybiła szesnasta, pora, aby kończyć zebranie, które właściwie mogłoby się skończyć pół godziny wcześniej. Nauczyciele szybko znikali w holu. Roz wyszła z sali z jedyną swoją bliską przyjaciółką w Skidmore, pięćdziesięcioośmioletnią Constance Coffey, pochodzącą z południa kraju specjalistką od psychologii sądowej. Pod gabinetem Coffey często wystawała grupka trochę nawiedzonych studentów w punkowych ciuchach, jeszcze z czasów szkolnych, którzy chcieli pokazać jej eseje na temat współczesnej młodzieży i nihilizmu w kontekście tragedii w Columbine. „Ach, ta dzisiejsza młodzież - sarkała kiedyś Constance, podchmielona drinkiem

Proca Saratogi na jakimś bożonarodzeniowym przyjęciu - oni nawet nie mają prawa używać słowa «nihilizm», w przeciwieństwie do młodzieży lat sześćdziesiątych zupełnie sobie na to nie zasłużyli. Dzisiaj dzieciaki nie mają bladego pojęcia o historii, w ogóle mało wiedzą na jakikolwiek temat".

- Roz, jak się czuje Dashiell? - zapytała przyjaciółka po wyjściu na zewnątrz, gdzie owiał je zaraz dotkliwy ziąb.

- Och, sama nie wiem - odpowiedziała Roz. - Chyba jakoś sobie radzi, ale nie chce, żeby ktoś z nas do niego przyjechał. - Czuła, jakby zaraz miała się rozpłakać tylko dlatego, że o tym mówi, że wypowiada głośno słowa. - Zawsze taki był. Dobrze chociaż, że ze mną rozmawia, nie jak ten najstarszy, więc pewnie powinnam być wdzięczna. - Westchnęła i skuliła się pod zimnym powiewem wiatru.

- Na pewno cię potrzebuje - pocieszała ją Constance. - Bez względu na to, co mówi.

- Cóż, szczerze wątpię. Ale dziękuję, że mi to mówisz - odpowiedziała Roz, trochę rozdrażniona słowami Constance, która ani nie знаła Dasha, ani nie miała pojęcia, jak teraz wszystko wygląda w rodzinie Mellowów.

- Twój były mąż interesuje się chorobą Dashiella? - zapytała Constance.

Schodziły chodnikiem na parking; latarnie uliczne zabłyśły właśnie bladym fioletem, świecącym coraz silniej w zapadającym mroku.

- Tak - odpowiedziała Roz. - Tego nie można mu zarzucić. Constance zerknęła na nią.

- Wciąż masz do niego żal o książkę?

Roz przytaknęła.

- Nie chce jej wznowić. Na złość, Con, bo to ja go zostawiłam. Gdyby stało się odwrotnie, to miałyby w sobie trochę godności, tak mi się wydaje, aż trudno w to uwierzyć, prawda? Mówimy o czymś, co się stało z górą dwadzieścia lat temu!

Czy to się nigdy nie skończy? Będzie się wlokło za mną do grobu? Zresztą, przepraszam, czy nie ożenił się ponownie? Po co tak długo żywić urazę? Tym bardziej że oboje skorzystamy na wznowieniu książki. Czy nie pora wreszcie dorosnąć?

Constance pokiwała głową z sympatią i zrozumieniem.

- To było naprawdę coś, ta wasza książka. Nieomal dostałam przepukliny, kiedy z moim byłym mężem chcieliśmy wypróbować niektóre z pozycji. Zwłaszcza tę, którą wymyśliliście. .. Jak ona się nazywała? Ta, którą powinno się spróbować po dużej kłótni?

- „Elektryzujące przebaczenie”.

- Właśnie. To było to!

- Kiedy słyszę tę nazwę - rzuciła Roz - mam ochotę zapaść się pod ziemię.

- Daj spokój, to były lata siedemdziesiąte! - odparła Constance. - W każdym razie, no nie wiem, robiliśmy coś złe, no, coś nie tak, bo... rany, to dość ordynarne, ale on wciąż ze mnie wyskakiwał z takim głośnym mlaśnięciem! Jak korek z butelki. - Kobiety wybuchnęły śmiechem. - To, co zrobiliście, było ważne, Roz - ciągnęła Constance. - Ten rodzaj seksualnego otwarcia i czułości w tych sprawach... Dzisiaj nigdzie już nie ma czułości. No, może nie do końca mam rację. Czasem rozglądam się po kampusie i widzę, jak osiemnastoletnie dziewczyny i chłopcy pochylają się ku sobie jak młode drzewka. To czułość. Tu jeszcze nie ma zepsucia. Mam ochotę powiedzieć do nich: „Och, biedulki moje, kochajcie się teraz, jakby nie było jutra, bo niebawem poznacie, co to groteskowość i... i... drwina świata całego”. To niezbyt szczęśliwe słowo, ale wiesz, o co mi chodzi. Boże, Roz, dzisiaj wszystko jest takie tandetne! Wszystko odbywa się tak szybko. Niczego nie da się ukryć. Cała kultura jest tak kurewsko brzydka! - Wzięła ciężki oddech. - Wybacz tę wściekłą diatribę - dodała po chwili. - Miałam po południu półtoragodziny wykład. Coś mi się zda-

je, że jeszcze go nie skończyłam. Chciałam tylko powiedzieć, że wasza książka była ważna. Powinnaś namówić byłego męża do zmiany zdania.

Kobiety doszły do parkingu, gdzie na rzadko wolnych miejscach stały obok siebie ich spowite szronem samochody.

- Nie potrafię. Nie zgodzi się - powiedziała Roz. - Poprosiłam Michaela, starszego syna, żeby pojechał go przekonać, ale potem zachorował Dashiell i rozmowy oczywiście zeszyły na inny temat.

- Przynajmniej masz Jacka.

- Tak, przynajmniej mam Jacka. Jest w domu i gotuje na obiad jedną z tych swoich zup.

- Robi wyśmienite zupy. Pamiętam, jak zrobił zupę z curry. Kurczak po senegalsku. W pewnym sensie masz w życiu szczęście, Roz - powiedziała Constance. - Często tak o tobie myślałam, że Bóg nad tobą czuwa, Roz. I wciąż tak myślę.

- Niby jak czuwa?! - uniosła się raptem Roz. - Mój syn ma raka, Constance! Jest bardzo chory.

Constance się zaczerwieniła.

- Przepraszam, Roz, nie chciałam cię dotknąć. Myślałam o Jacku. To naprawdę dobry facet. - Wsunęła ręce głębiej do kieszeni i spuściła oczy.

- Och, Con, nie chciałam się unieść - powiedziała Roz. - Wiem, o co ci chodziło. Żyję po prostu w takim napięciu. Zupełnie się rozklejam. - Pod wpływem impulsu objęła ramieniem przyjaciółkę.

Constance Coffey była rozwódką, a życie trochę jej dało po głowie. Jej dawny mąż pracował na wydziale nauk politycznych, był bufonem, który podczas przyjęć najczęściej przynosił jej tylko wstyd, i kiedy odmówiono mu katedry, Constance poczuła przyjemną, osobistą satysfakcję. Samotna kobieta w collegeu w małym miasteczku, w głębi stanu Nowy Jork, nie ma jednak wielu okazji, by kogoś poznać. Zima jest długa i mroź-

na, a ty przez całą noc śpisz sama, nad ranem możesz popieścić delikatnie własne ciało, ale potem musisz wstać z łóżka i iść wygłosić wykład na temat typów osobowości mordercy do grupy dzikich, rozochoconych seksualnie studentów. Constance nosi w sobie nutę tragizmu, myślała Roz, choć może tak się jej tylko wydawało, bo po prostu nie potrafiła sobie wyobrazić życia bez dotykania się nawzajem. Nie chodziło wcale tylko o dotykanie seksualne; po prostu o jakieś dotykanie.

- Do widzenia - pożegnali się na parkingu.

Do widzenia, miłego weekendu, smacznego obiadu i zupy, spróbuj trochę odpocząć, może w przyszłym tygodniu pójdziemy na drinka do Parting Glass; wypijemy za nowy semestr, za porażkę prezydenta w następnych wyborach, wojennego podżegacza. Wsiadły do samochodów, równocześnie zatrzasnęły drzwi, wyjechały różnymi wyjazdami z parkingu i odjechały do swoich domów, jedna do ciemnego, a druga do rozświetlonego.

Roz zmieniła jednak zdanie i minęła dom. Przejechała przez całe miasto i jechała dalej, kierując się w rejony wiejskie, gdzie droga pięła się w górę zakrętami i mocno zwężała. Znała tę drogę doskonale. Odkąd przeprowadzili się z Jackiem do Saratoga Springs, jeździła nią wiele razy. Była to ta sama droga, którą w dzieciństwie pokonywała z rodzicami, choć wtedy nie była wyasfaltowana i brakowało jej odblaskowych znaków, ostrzegających przed jeleniem wbiegającym na szosę lub kolejnym ostrym zakrętem serpentyny. Było już ciemno, kiedy zajechała przed bramę tego, co dzisiaj się nazywało Centrum Jogi i Odnowy Biologicznej Arkadia. Roz Mellow zatrzymała się na parkingu, wyciągnęła paczkę papierosów i zapaliła.

W oddali widziała ogromną willę, główny budynek centrum. Opuściła okno, aby dym wychodził na zewnątrz, a kiedy wpadło do środka zimne powietrze, poczuła zapach jedzenia. Zbliżała się pora posiłku i kucharz w willi przygotowywał obiad - zapewne z wykorzystaniem prosa boliwijskiego, ko-

mosy ryżowej albo innych, równie dziwacznych ziaren, które tutejsi goście, płacący bająnskie sumy za tygodniowy pobyt, zdawali się wprost uwielbiać.

Kiedy Roz była małą dziewczynką, często po zachodzie słońca przechadzała się po tej posesji. Tu się bowiem urodziła, w tyśiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku, na terenie placówki, która nazywała się wówczas: Szpital dla Psychicznich Chorych Arkadia. Jej ojciec, Phillip Woodman, był tam dyrektorem, toteż Roz była przyzwyczajona do odgłosów ludzkiego nieszczęścia, które słyszała codziennie przed położeniem się spać. Leżała w łóżku na piętrze ich rodzinnego domu, usytuowanego sto metrów od budynku szpitala, i kiedy gasły światła, słyszała takie krzyki i płacze, jakby zarzynano zwierzęta. „Nie, nie, to nic z tych rzeczy - uspokajał ją ojciec, wchodząc do sypialni. - To nasi pacjenci; bardzo cierpią psychicznie, nikt ich nie dotyka nawet palcem”.

Każdego dnia o zmierzchu brama była zamykana na kłódkę przez starzejącego się szpitalnego dozorcę, a nocne krzyki odbijały się echem po okolicznych wzgórzach, strasząc mieszkańców i budząc sarny ze snu.

- Biją kogoś? - pytała ojca.
- Nie, nikogo nie biją - odpowiadał ojciec.
- Biczują kogoś?
- Nie, nikogo nie biczują.
- Policzkują?
- Nie, nikogo nie policzkują, Roz.
- Duszą za gardziel?
- Gdzie się nauczyłaś takiego słowa? - pytał ojciec.

I tak mijały dni, co wieczór przed położeniem się spać ten sam rytuał, i chociaż wielu pacjentów w ogóle nie zasypiało, wyjąc i płacząc przez całą noc, Roz potrafiła zasnąć i spać głębokim snem małego dziecka. Dla pacjentów to miejsce było szpitalem, więzieniem, ale dla niej to był dom.

W czasie Wielkiego Kryzysu i przez całą drugą wojnę światową w Arkadii pozostawała mała, elitarna grupka pacjentów, którzy dla doktora Woodmana stanowili jedyne źródło utrzymania. Przedstawiali sobą rzadki gatunek kobiet i mężczyzn, których rodziny wciąż posiadały jakieś tajemne, niewytłumaczalne rezerwy finansowe i wydawały się nietknięte przez złe czasy. Tu się zachował rdzeń niewzruszenie bogatej Ameryki: kuci na cztery nogi bankierzy, których stać było na utrzymanie nie zrównoważonych i zrządzających żon w szpitalnym zamknięciu tak długo jak trzeba, czasem nawet przez wieczność.

Po latach oglądania w oknach szpitala tych samych twarzy, patrzenia na przechadzające się po żwirowych ścieżkach te same postacie w miękkich szlafrokach Roz zaczęła odczuwać coś krzepiącego w fakcie, że tak niewiele w życiu się zmienia. Twarze w oknach były równie dobrze znajome jak twarze krewnych, oglądane rok w rok podczas świątecznych przyjęć. Był w tych oknach Harry Beeman, finansista, który wyskoczył z czternastego piętra biurowca Bankers' Equity, po drodze odbił się dwa razy o pasiaste markizy, a upadając, zdruzgotał sobie kilka żeber i złamał nogi. Teraz kuśtykał korytarzami Arkadii, trzymając przed sobą otwarte szpalty „Financial Timesa”, pomrukując coś nieustannie o obligacjach i oprocentowaniach, jakby wciąż miały dla niego jakieś znaczenie. Była też Mildred Veil, zarządzająca fundacją dobroczynną, z mleczną kataraktą na oczach i urojeniem, że jest Eleanor Roosevelt. Pielęgniarki na oddziale nie miały nic przeciwko temu, ponieważ Mildred zawsze śpieszyła im z pomocą i ciągle zgłaszała się na ochotnika do takich czy innych prac. Stan zdrowia zasadniczej grupy pacjentów nigdy się nie pogarszał, nigdy też się nie polepszał i nikt z nich nie pytał nigdy, kiedy wraca do domu. Dla tych ludzi świat pozostawał uparcie zamknięty na cztery spusty, nie było szpary, przez którą przenikałoby do środka światło z zewnątrz.

Ta sama prawda, w pewnym sensie, dotyczyła rodziny Woodmanów. Wydawało się, że żyją odizolowani od świata, w każdym razie od tego, który się objawiał w palisandrowym odbiorniku radiowym stojącym w salonie. Wojna, krótko po wybuchu, zabrała Pillipa Woodmana z domu na parę miesięcy, ale prędko go zwróciła, ponieważ w części jego szpitala zaplanowano zorganizować oddział dla żołnierzy dotkniętych wojenną traumą. Chociaż świat wokół Arkadii trząsał się i przeobrażał, mała Roz Woodman niemal w ogóle tego nie odczuwała.

Jej rodzina zajmowała duży dom po drugiej stronie rozległego trawnika, naprzeciw szpitalnego budynku. Matka i ojciec za sypialnię wzięli sobie pokój, którego okna wychodziły na szosę. Niekiedy, zwłaszcza w ciągu dnia, Roz prawie się udawało zapomnieć, że mieszka na terenie szpitala psychiatrycznego, i potrafiła sobie wtedy wyobrazić, że mieszka w normalnym domu, przy prawdziwej ulicy. Jednak nocą, kiedy się zaczynało wycie, natychmiast sobie przypominała.

Doktor Phillip Woodman cieszył się olbrzymim poważaniem wśród pielęgniarek i utrzymujących porządek pielęgniarzy. Przemierzał lśniące korytarze szpitala pewnym, długim krokiem, jakby kierował tą placówką od urodzenia. Nawet jego polecenia były przedmiotem pochwał. („Dot: Szpitalne koszule. Zwróciło moją uwagę, iż ciemne kolory koszul nocnych pacjentów mogą ujemnie wpływać na ich morale. Czy udałoby się znaleźć coś żywszego, może coś w kolorze brzoskwini lub błękitu nieba?”)

Natomiast rola matki Roz, jako żony dyrektora szpitala, była już dużo mniej wdzięczna. Przed Wielkim Kryzysem jej obowiązki sprowadzały się zasadniczo do wystawiania w środku kuchni i konferowania z niemy, czarnoskórym kucharzem na temat organizowanych w jej domu obiadów. Niezdecydowanym ruchem otwierała bladymi dłońmi szuflady, poka-

zywała palcem łyżki i noże i mówiła: „O, proszę, tu są łyżki. O, tu są noże”.

Rodzice Roz nie mieli jakiegóż wyznaczonego celu w życiu, kręcili się po olbrzymiej willi i nie mogli się doczekać, by jej pokoje zapełniły się wreszcie dziećmi. Do narodzin córki byli tak wymęczeni oglądaniem twarzy wyłącznie osób chorych umysłowo, że z wytęsknieniem oczekiwali zwykłego, zrozumiałego kwilenia niemowlęcia. Kiedy ginekolog oznajmił pani Woodman, że nie będzie mogła mieć więcej dzieci, jej mąż postanowił wprowadzić jedyną córkę w swoje życie - jak dotąd nigdy nikogo nie wprowadzał, nawet własnej żony.

Co parę miesięcy Phillip Woodman zabierał małą Roz na zawirowaną jak trąba powietrzna wyprawę po szpitalu; jadalnia, która wiecznie pachniała smażonymi fladrami; sala terapii zajęciowej, gdzie pacjenci o martwym spojrzeniu odciskali na miedzianych blaszkach wizerunki piesków i prezydentów; jeszcze solarium; jeszcze sala dla gości. Jak wicher przemykali obok drzwi, na których wisiały tabliczki z wytłoczonymi nazwiskami lekarzy, i obok drzwi z napisem „Uwaga: elektryczność w użyciu”. Te ostatnie zawsze były zamknięte, a Roz tak bardzo chciała zobaczyć, jak wygląda elektryczność „w użyciu”. Bardzo chciała też zobaczyć, gdzie mieszkają pacjenci, gdzie biorą natrysk, gdzie się przebierają i gdzie się kąpią. Jednak na oddziały, zagrodzone ciężkimi drzwiami ze szkłem zbrojonym drucianą siatką, obowiązywał surowy zakaz wstępu.

Roz wolno było podglądać szpitalne życie tylko z daleka, patrzeć, jak pacjenci drepczą wolniutko korytarzami w ciemnych koszulach nocnych i flanelowych szlafrokach. Raz na dłuższą chwilę nawiązała kontakt wzrokowy z pewnym byłym oficerem marynarki wojennej, którego twarz znaczył siny zarost, ale w końcu pielęgniarki wciągnęły ją do dyżurki, gdzie z radia płynął bigbandowy jazz i gdzie od trójki nadskakujących kobiet dostała garść landrynek.

Do szpitala mogła wchodzić tylko za pozwoleniem ojca, poza budynkiem natomiast mogła spacerować, kiedy się jej podobało. Gdy zaczynał się zachód słońca, a powietrze nabierało aromatu sosen, ziemi i steku z grzybami, wszystko dookoła pachniało letnim biwakiem. Któregoś dnia, przy tylnym wejściu do budynku, zobaczyła, jak zaopatrzeniowiec przywiózł do szpitala okrągłe pudła ze środkami dezynfekującymi. Kiedy wtaczali je po rampie do magazynu, spostrzegła ich nazwę: Szept Sosen i chociaż nazwa ta dotyczyła tylko jakiegoś zjełczałego płynu, który nad ranem będzie wcierany szmatą w podłogi i ściany, to wydawała się jej idealnym przydomkiem dla szpitala, wspaniałą nazwą na letni biwak.

„Szept sosen”, szeptała Roz, wchodząc w gąszcz zarośli ciągnących się po krańce ogrodzonej stalowym płótem posesji. Po płocie pięły się bujne winorośle, oplatając pręty niczym kot wijący się wokół ludzkiej nogi. Podobnie jak czasem pacjenci, tak i roślinność chciała się wydostać na zewnątrz; wszystko rosnęło jak szalone po najdalsze granice szpitalnych terenów. Na krańcach posiadłości można się było dopatrzeć najbardziej znamiennych znaków czasów, tam gdzie nikomu nie chciało się przycinać, strzyc ani wyrąbywać tego wielkiego nadmiaru dzikich chaszcy. Niekiedy na trawniku przesiadywali pacjenci na drewnianych, ogrodowych leżakach, chłonąc chłód słonecznego wieczoru, a czasem pielęgniarka zabierała któregoś z pacjentów na wolny, nadzorowany spacer, ale tylko ścieżkami biegnącymi najbliżej budynku - nigdy do lasu. Lasek należał do niej.

Kiedy Roz skończyła dziewięć lat, ojciec zaczął wprowadzać w życie program, który nazwał: „Podwieczorek w domu”. Pomysł polegał na zapraszaniu do ich prywatnego domu na popołudniową herbatę któregoś z najbardziej obiecujących pacjentów. Tym pacjentem był zwykle ktoś jako tako wyglądający, ktoś, po kim nie trzeba się spodziewać nagłych odruchów,

ktos bliski wyzdrowienia, komu potrzeba było ostatniej zachęty, by przejść na drugą stronę.

Pierwszą osobą zaproszoną na „podwieczorek w domu” była Grace Alenby, młoda matka, która przeszła załamanie nerwowe i bez wpadania w histerię nie potrafiła skończyć niczego, co zaczęła, nawet porannego ubierania się. W szpitalu jednak powoli, ale systematycznie wracała do zdrowia. Przyszła na herbatę w piątek, przed przyjazdem męża, który miał ją zabrać do domu. Roz siedziała na szczycie schodów i patrzyła. Zarówno pani Alenby, jak i matka Roz były tyleż urocze, ile niepewne siebie - jak sarna, której zdarzy się czasem zgubić w lesie trakt i wbiec na szpitalny trawnik, gdzie stanie zaskoczona, zdezorientowana i wystraszona. Kobiety nieśmiało wymieniały między sobą jakieś przepisy kulinarne, a Phillip Woodman siedział między nimi jak wielki dobrodziej.

„Trzeba zrobić jedno, musi pani...” - powtarzała wciąż pani Alenby, a kiedy mówiła, mrugała gwałtownie, jakby chciała pozbyć się pyłku, który jej wpadł do oka.

„Bierze pani jajko i ubija je pani bardzo mocno mątewką, a potem trzeba zrobić jedno, musi pani...”

W salonie unosiła się woń herbaty ulung, ulubionej herbaty doktora Woodmana. Lubił ją, ponieważ najbardziej przypominała mu smak tytoniu do fajki, którą namiętnie palił.

Przez rok Roz podsłuchiwała niejedną rozmowę podczas „podwieczorku w domu” i doszła do wniosku, że pacjentów chorych umysłowo można podzielić na dwie grupy: tych, którzy otwarcie pokazują swoją przypadłość, jak jasną i oczywistą postawę polityczną, i tych, którzy zmyślnie i usilnie próbują ją ukryć.

Warren Keyes należał do tej drugiej kategorii. Był żołnierzem, miał dwadzieścia dwa lata, przed wojną rozpoczął studia licencjackie na Harvardzie, w czasie wojny został odznaczony za powietrzne misje bojowe, a później, w dniu powrotu do

domu, próbował brzytwą popełnić samobójstwo. Teraz był już bliski opuszczenia Arkadii i powrotu na studia. W czasie obiadu rodzice Roz rozmawiali o chłopcu, który ma przyjść następnego dnia na „podwieczorek w domu”. „Jest bardzo młody - mówił jej ojciec - i nawet przystojny, w takim harwardzkim stylu”.

Warren Keyes w tym momencie zarejestrował się w głowie Roz, zaistniał tam, zanim nawet go poznała. Człowiek z Harvardu. To wynosiło go nawet nad ojca, który nieraz fantazjował o przywilejach, których on był we wczesnej młodości pozbawiony.

Nazajutrz o czwartej po południu Warren siedział w salonie, ściskając między palcami delikatne ucho filiżanki z herbatą. Przemaszerował tu przez trawnik z niską, grubą pielęgniarką, która siedziała teraz w przedpokoju i smętnie dziergała na drutach niczym madame du Farge. Roz rozumiała, że mężczyzna został zaproszony do domu w nagrodę za to, że szybko dochodzi do zdrowia, ale patrząc na niego uważnie ze szczytu schodów, nawet ona potrafiła dostrzec, że Warren Keyes wcale nie był zdrowy.

- Od przyszłego semestru Warren zamierza wrócić na Harvard - powiedział ojciec, a mama zagruchała coś w zachwyście. - Będziesz w budynku Leveretta, tak? - ciągnął ojciec.

- Nie, Adamsa - odpowiedział Warren. Mówił spokojnym głosem, choć talerzyk z filiżanką drżał lekko w jego dłoni.

Dalej konwersacja toczyła się ciężko, generalnie na temat Harvardu, sezonu w futbolu amerykańskim, pogody w Nowej Anglii, chwilami tylko, jakby na próbę, zahaczając o temat wojny, a konkretnie, ile odbył lotów bojowych. Godzinę później, pod koniec spotkania, Warren Keyes robił wrażenie potwornie wymęczonego. Roz pomyślała, że jak wróci do swojego szpitalnego łóżka, będzie w nim spał przez okrągłe trzydzieści sześć godzin, powoli odzyskując siły.

Łamiąc własne zasady, czemu jednak nikt się nie sprzeciwiał, doktor Woodman zaprosił Warrena Keyesa na „podwieczorek w domu” po raz drugi, a potem jeszcze trzeci. Przy czwartej wizycie Keyesowi nie towarzyszyła już pielęgniarka o marsowym spojrzeniu; przybiegł sam przez trawnik, w rozwianym płaszczu. Roz zajmowała akurat strategiczną pozycję na ganku, gdzie przed wymknięciem się do lasu odrabiała lekcje. Włosy miała byle jak związane gumką, a jej palce były umazane atramentem, ponieważ wciąż nie opanowała sztuki pisania wiecznym piórem. Warren Keyes wszedł na ganek i obrzucił ją długim, ciężkim spojrzeniem. Chociaż nie po raz pierwszy widział Warrena Keyesa, to on zobaczył ją właśnie po raz pierwszy.

- Jestem córką - przedstawiła się Roz, a on przytaknął. - Rodzice są w środku - dodała, wykręcając głowę w kierunku drzwi z moskitierą.

W głębi domu zasyczał czajniczek z herbatą.

- Lubisz herbatę? - zapytał Warren.

Pytanie, które często zadawali koledzy ojca, kiedy przychodzili z wizytą - takie pytanie sondażowe, mało interesujące, ale stawiane w dobrej intencji przez ludzi nie mających pojęcia, jak się odezwać do dzieci, na które jednak, co było irytujące, oczekiwali odpowiedzi.

- Może być - odpowiedziała.

- Twoja mama robi wyborną herbatę - powiedział Warren. - Chińską, wiesz?

Roz ześlizgnęła się z balustrady.

- Muszę iść - powiedziała.

Jego oczy otworzyły się szeroko.

- Dokąd?

Powiedziała, nie wiadomo dlaczego. Dokładnie powiedziała mu, dokąd chodzi każdego popołudnia; praktycznie wyrzuciła mu mapkę prowadzącą do skarbu, oznaczonego krzy-

zykiem. Jakiś czas potem siedziała w lesie i czytała *Szkarłatne godło odwagi*, gdy usłyszała trzask łamanych gałęzi. Spomiędzy drzew wyszedł Warren Keyes, przygarbiony, potykając się. W ręku miał znajomą płócienną serwetę z falbanką na brzegu. Przysiadł obok niej, ten przystojny, wyniszczony żołnierz i student Harvardu, i rozwinął serwetę, w której znajdowały się trzy złote krążki: maślane ciasteczka, które upiekła mama. Roz zjadła je w ciszy, a Warren się jej przyglądał.

- Powiedz, jak się tutaj mieszka? - zapytał Warren.

Roz wzruszyła ramionami. Chciała zadać mu to samo pytanie: Jak ci się tam mieszka, w szpitalu dla umysłowo chorych? Jak to jest być umysłowo chorym? Wiedziałaś, że jesteś umysłowo chory? Miałaś ochotę wyjść z własnego ciała? Rzeczywiście widziałeś jakieś dziwne rzeczy; kształty, zwierzęta, płomień liżący w nocy ściany pokoju? Nie mogła się zdobyć na to, by zapytać go o cokolwiek. Światło powoli wypływało ze skrawka jej lasku.

- Mogę cię o coś zapytać? - powiedział nagle Warren.

- Tak.

- Mógłbym cię może dotknąć?

Roz poważnie skinęła z przyzwoleniem, będąc przekonana, że chłopak ma na myśli jej rękę lub ramię. Że chce jej dotknąć, aby się przekonać czy jest prawdziwa, tak jak ona, parę lat wcześniej ukradkiem dotknęła zimnej twarzy Księżniczki La Vanilli, porcelanowej lalki jej kuzynki. Że chce jej dotknąć, by zobaczyć, jak to jest dotknąć kogoś, kto nie jest umysłowo chory - kogoś, kto ma normalne życie, mieszka z rodzicami w domu, w którego oknach nie ma krat.

Warren zbliżył się do niej, przesuając się po ściółce do miejsca, gdzie Roz siedziała z książką.

- Nie zrobię ci krzywdy - powiedział Warren.

- Wiem - odparła Roz.

Kiedy jego dłoń zsunęła się na jej bluzeczkę i spoczęła na

wzgórku jednej z jej nierozwiniętych jeszcze piersi, ledwie wystającym sutku, mała Roz była wstrząśnięta jak nigdy w życiu. Nie wiedziała, jak to zatrzymać, i w jednej chwili poczuła się wyrwana ze swojego królestwa i rzucona w jego świat.

- Czekaj - powiedziała.

Dłoń dalej swobodnie błądziła po jej ubraniu. Jakby jej nie usłyszał. Siedział naprzeciw niej, dotykał jej piersi, jej szyi, jej ramion i właściwie rzeczywiście nie robił jej krzywdy. Dlaczego więc była zła? Nie wiedziała, jak nazwać to, co on robi, tę przypadkową, niedbałą eksplorację. Przestraszyła ją twarz Warrena - pełen napięcia i dziwnej czci, jakby klęczał i zapalał świeczki. Usta miał bezwiednie otwarte, ale oczy bardzo skoncentrowane.

- Nie robię ci krzywdy - powtarzał. - Nie robię ci krzywdy.

Roz potrafiła tylko odpowiedzieć:

- Nie robisz mi krzywdy.

Zamknęła oczy, żeby nie widzieć jego twarzy. Zamknęła je, jakby chciała się osłonić przed silnym światłem słonecznym. Poczowała, że zaczyna jej się kręcić w głowie, ale pomyślała, że jeśli zemdleje, będzie jeszcze gorzej, bo kto wie, co wtedy może się zdarzyć. Zmusiła się, by zachować świadomość, i czuła każdy wykonany przez niego ruch, czuła jego palce, gdy wślizgnęły się pod bluzkę i zaczęły zmierzać w dół, i pełzły jak leniwe nóżki rozgwiadzy.

Napierał na nią, jakby był w transie, a Roz czuła się jak ściana, o którą inni mogą się ocierać; jak drapak dla kota, jak masywny głaz. Czuła olbrzymią dłoń pod podkoszulkiem, nie tam gdzie jej miejsce. Elastyczna gumka w jej majtkach naprężyła się odciągnięta jego kłykciami. Jeszcze nad ranem tego samego dnia wybierała te majtki z szuflady, gdzie leżały wśród innej bielizny wyprasowanej, bielutkiej lub kwiecistej, dotkniętej wyłącznie przez nią i przez Lenę, która zajmowała się praniem rzeczy państwa Woodmanów. Nie miał jej doty-

kać nikt inny, a tymczasem ręka Warrena utknęła w majtkach, niczym zwierzak, który wbiegł do namiotu.

Teraz jeden z jego palców wysunął się przed pozostałe i zaczął się w nią wciskać, wślizgiwać w jej ciało. Poczowała dreszcz bólu, a potem coś, co wcale nie było bólem, ale czymś zupełnie niespodziewanym. Wyprostowała się i zaczęła płakać. Jego palec wskazujący, który podtrzymywał wcześniej mamy filiżankę, który nosił może kiedyś pierścień Harvardu, który się kończył płaskim paznokciem, obcinanym w pokoju w szpitalu dla umysłowo chorych - jeśli pozwalali mu trzymać u siebie nożyczki do paznokci - wnikł w nią głęboko, jak coś, co wwierca się w ziemię, by sprawdzić, czy pod spodem nie ma ropy naftowej. Jak maszyna, szpikulec testujący wibracje lub wilgotność ziemi. Palec czuł to wszystko, ale Roz nie czuła nic.

Po jakimś czasie, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność, Warren Keyes wydał z siebie jakiś stłumiony odgłos, jakby beknięcie jagnięcia albo skrzyknięcie rozwieranych zawiasów, i wiedziała, że to koniec. Wtopiła się znowu w liście, jej ciało wróciło do siebie, małe, zwinne ciało łyżwiarki, a Warren Keyes odwrócił się od niej, wycierając sobie twarz i przód spodni serwetką jej mamy.

Drżącym głosem powiedział Roz, że lepiej będzie, jeśli wyjdą z lasku osobno i jeśli nikomu nie powie, co się stało.

- Zresztą nie ma o czym mówić - powiedział jakby od niechcienia. - Nie zrobiłem ci krzywdy.

Rzeczywiście, w żaden widoczny sposób nie zrobił jej krzywdy.

Roz ruszyła pierwsza, idąc wolno z książką w rękę, jak rozmarzona dziewczyna, która zakończyła właśnie popołudnie wspaniałej lektury, lecz kiedy wyszła na skraj lasku, gdzie zaczynał się trawnik, puściła się biegiem w kierunku światła domu. W środku poszła prosto do siebie, mówiąc, że źle się czuje, i nie zeszła na obiad. Mama przyłożyła jej do czoła zim-

ną rękę, ale Roz ją odtrąciła, dosyć dotykania na dzisiaj; nawet dobrze znajoma dłoń, tylko sprawdzająca temperaturę, to już za wiele dla Roz.

Mijały tygodnie, Roz obserwowała postępujące w sobie zmiany, jakby prowadziła wykres postępu tamtego posiniaczenia i patrzyła, jak przechodzi ono z czarnego w niebieski, potem w brązowy, w żółtawy, aż w końcu zostaje tylko maźnięcie, drobny ślad w pamięci. Nie potrafiła zrozumieć, czy Warren Keyes zaplanował sobie to, co się stało, czy też nie umiał nad sobą zapanować, skoro, jak wskazywałaby nazwa szpitala, w którym przebywał, był umyślowo chory. Powinna była poczuć wściekły gniew lub litość, jaką czułby zapewne jej ojciec. Pogubiła się, nic już nie wiedziała, a po jakimś czasie było za późno, by kogoś zapytać.

Upływ czasu odetnie jej to wspomnienie, zastąpią je inne wydarzenia. Roz wydorosłeje i pozna mężczyzn, którzy będą jej dotykać, gdy na to pozwoli, ale których dotknięcie będzie dla niej zbyt niedelikatne, nieporadne, pozbawione czaru. Będzie oczekiwała od nich czegoś więcej, będzie chciała wydusić z ich małowównego „ja” miłość i poszukiwanie czegoś nowego, ale spostrzeże, że nie będzie potrafiła tego dokonać, ponieważ ci mężczyźni będą przede wszystkim nieczuli i niewzruszeni.

W końcu Roz pozna Paula Mellowa i zacznie z nim rozmawiać o wielu sprawach, nie wyłączając wspomnień z dzieciństwa, w tym także, zupełnie niespodziewanie, o Warrenie Keyesie, który za sprawą dziwnego cudu, znanego jako swobodne skojarzenia, stanął jej nagle przed oczami jak upiorne widmo. Warrenie Keyesie, który wsunął w nią swój palec i pozostawił w niej dziwne poczucie braku zmysłowego doznania, za to ogromną potrzebę, by mieć tego więcej. W końcu pójdzie do łóżka z Paulem, a pewnego dnia zdecyduje się pozować z nim do rysunków mających ilustrować miłość, jakby

takie momenty można było uchwycić w nieruchomej pozie. Wiedziała, że ruch jest wszystkim, sposób, w jaki ciało się obraca, skręca lub przywiera, kiedy ktoś je pieści lub w nie wchodzi. Żaden obraz nigdy tego nie odda, nawet cała wielka książka z obrazkami.

Wtedy jeszcze o tym nie wiedziała; nie potrafiła sobie wyobrazić, że będzie osobą dorosłą albo matką - i to aż czworga dzieci. Wciąż była tylko dziewięcioletnią dziewczynką, dotkniętą przez mężczyznę wbrew swojej woli, w lasku szpitala dla umysłowo chorych, w górach stanu Nowy Jork. Niebawem Roz zapomni o tym dniu, a przynajmniej będzie się jej zdawało, że zapomniała, dopóki się nie zdecyduje na psychoanalizę u Paula Mellowa i nie przypomni sobie wszystkiego w szczegółach. To jednak miało nastąpić dużo później.

Wieczorem, tamtego dnia, kiedy Warren Keyes jej dotknął, Roz Woodman otworzyła okno i wysunęła głowę na zewnątrz. Ze szpitala po drugiej stronie trawnika dobiegały znajome wyścia i zawodzenia. Roz, nie myśląc, otworzyła buzię i przyłączyła się do chóru. Głos wydobywał się z jej gardła w sposób naturalny, wisiała więc w oknie i wyła z innymi niskim, spokojnym głosem, bez wysiłku, jakby była to naturalna cecha jej gatunku.

Zadzwoił telefon komórkowy Roz, który leżał obok niej na fotelu w samochodzie; dzwonił Jack, jej mąż, chciał wiedzieć, gdzie jest i dlaczego jeszcze nie wróciła do domu.

- Wybrałam się na przejażdżkę - powiedziała.

W górach połączenie było słabe, zakłócały je głośne trzaski.

- Właśnie słyszę. Wiem, gdzie jesteś. U siebie.

- Tak - odpowiedziała. - Jestem u siebie.

- Hm... nie smuć się za bardzo, dobrze? Wracaj do domu. Zupa czeka.

- Tak. Wrócę.

Wygasiła papierosa w popielniczce, jeszcze raz ogarnęła wzrokiem miejsce, w którym kiedyś mieszkała, a potem wycofała auto z parkingu i ruszyła w drogę powrotną do domu. Być chcianą, mieć kogoś, kto mówi „wracaj do domu”, jakby człowiek uciekał z domu, jakby był Lassie, jakby nic nie było w porządku, dopóki znowu nie przestąpi progu swojego domu - to było nadzieją każdego. Bała się, że któregoś dnia Jack tego nie powie, nie odczuje, że przestanie jej pożądać, ale zabraknie mu śmiałości, by jej o tym powiedzieć. Przy Paulu takich obaw nie miała. Bo była młodsza i piękna, i miała nad nim władzę, jakby był nią zahipnotyzowany, pogrążony w nieprzerwanym śnie, jakby nigdy nie miał wyjść z upojenia.

Wtedy, na początku, całym źródłem tej władzy i rozkoszy była jego nieopanowana potrzeba Roz. „Żabciu”, mówił do niej Paul. „Żabciu”, mówił do niej w łóżku, a czasem przez telefon. Oto czułość roku pięćdziesiątego ósmego, jakieś ówczesne słówko, które za każdym razem, kiedy je wypowiadał, dawało mu silne poczucie wolności - odciągało go bowiem od środowiska Avy Schussler, od kompanii jej psychoanalityków. Wcześniej „żabcia” była dla Paula Mellowa jednym z wielu określeń, jakimi się zwracano do małego dziecka. Teraz zawładnął tym słowem dla siebie i nadał jego znaczeniu nowe, erotyczne zabarwienie.

„Żabciu”, mówił do Roz w jej łóżku, na początku znajomości, kiedy spędzał u niej większość wieczorów. Chodziła wtedy na praktyki zawodowe dla średnio zaawansowanych, do pracowni projektanta mody, który mówił o sobie „Pierrot”, choć był Kanadyjczykiem, a nie Francuzem, do czego się nikomu nie przyznawał. Nim minie rok, Roz się zorientuje, że jeśli chodzi o modę, to brakuje jej większych uzdolnień, a nawet prawdziwej pasji, więc rzuci pracę i pozwoli, by utrzymywał ich Paul. Wkrótce potem, jak łatwo się domyślić, zaczęła rodzić dzieci i nigdy do pracy nie wróciła.

Paul w tym czasie, zmuszony opuścić placówkę pani Schussler, miał już inne zajęcie; znowu pracował w laboratorium, jednak tym razem nie z myszkami, lecz gołębiami, co, ku jego zaskoczeniu, było o wiele gorsze. Myszy, tłumaczył Roz, może budzą obrzydzenie, ale przynajmniej mają te swoje małe oczka, jakby krystaliczne, przypominające oczy alergika, i mają ciepłe, drżące futerko, pod którym kryje się zagadkowa łamigłówka delikatnego szkieleciku, a nawet dają pewne mgliste wrażenie zwierzątek domowych, zwierzątek, które są słodkie. Gołębie natomiast kojarzą mu się wyłącznie z czymś obrzydliwym i brudnym. Nie wywołują żadnych dobrych uczuć; mają idealnie okrągłe oczy, ciemne jak noc i pozbawione emocji. Gołębie w jego klatkach to kompletne nic, tylko spiczaste łby, stworzenia głupie i niechciane. Kiedy trzymał któregoś z nich w dłoniach, ptak trzepał rozpaczliwie skrzydłami, próbując uciec, dziobał i walczył, ale Paul sam przyznał, że czasem miał ochotę ukręcić mu łebek tylko dlatego, że mógłby to zrobić. Nigdy tego nie zrobił. Nieustannie za to przenosił ptaki z klatki do klatki, ustalał ich pory karmienia i robił obszernie notatki na temat modelu ich odżywiania oraz zachowań zalotnych. Kiedy wieczorem wchodził do mieszkania Roz na piątym piętrze, pachniał ptakami, nieraz miał we włosach zagubione gołębie piórka; Roz zawsze było żal Paula w takich chwilach, więc przygarniała go do siebie.

Współlokatorka Roz, Vivian, która także studiowała projektowanie mody, często w pokoju obok kroićła tkaniny. Dobrze słyszeli dźwięk nożyc tnących materiałów, usypiający, rytmiczny, niemal jak seks, i kiedy leżeli razem w małym łóżku, Roz czuła się cała równo wygładzona, jakby sama była ogromnym kawałkiem tkaniny.

Początkowo Paul nie pociągał jej seksualnie. Był bez wątpienia przystojny, ale miał za dużo włosów na głowie i na twarzy; wychodziły mu nawet spod rękawów. Był za to dobry i wyrozu-

miały; choć jeśli były to zalety psychoanalitka, to niekoniecznie kochanka, przynajmniej na początku. Mężczyźni, z którymi dotąd sypiała, byli gruboskórni i ponurzy, zwłaszcza jej ostatni chłopak, student prawa, Carl Mendelson. Zastanawiała się, dlaczego Paul Mellow nie ma tych cech. Początkowo nie wiedziała nawet jak na niego reagować, jak odtworzyć przy nim normalny model swojego zachowania seksualnego; wstępne podniecenie, zaraz za nim rozczarowanie, a potem smutne użalanie się nad samą sobą. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku Paul Mellow był silnym, ciemnowłosym mężczyzną, z dużą głową, dużymi dłońmi, dużymi stopami i dużym penisem - jakby wszystko, co wyrastało z korpusu jego ciała, rosło bez umiaru. Carl Mendelson obchodził się z nią mało delikatnie, przetaczał ją często po łóżku, a wszystkie doznania uchodziły z niej natychmiast, jakby ktoś wyjął raptem korek odpływowy. Dopiero w łóżku z Paulem, który będąc jej psychoanalitykiem, uwolnił ją od zahamowań, Roz mogła się w pełni odprężyć, nacieszyć seksem i poczuć wszystko w pełniejszym wymiarze.

Właściwie życie blisko mężczyzny okazało się fascynujące. Jakżeż to się różniło od dzieciństwa na terenie szpitala dla umysłowo chorych. Teraz wszystko się sprowadzało do poczucia bliskości. W taki właśnie sposób, powoli, przez pewien czas, zaczął się pojawiać pomysł na *Jak dać rozkosz*. Kiedy jest się tak blisko drugiego człowieka, próbuje się znaleźć sposoby na wyrażenie tej bliskości - werbalnie, używając rozmaitych słów, jak „kocham”, „uwielbiam”, „jeszcze nikt nigdy”, i za pomocą ciała, pozwalając się posiąść innej osobie lub inaczej, starając się posiąść drugą osobę, jakby to był znakomity sposób na to, żeby nigdy od ciebie nie odeszła.

Którejś nocy, kiedy kochała się z Paulem, Roz usłyszała własny, rozkazujący głos: „Zerżnij mnie!” i zdała sobie sprawę, że przecież Paul nie robi w tej chwili nic innego; to tak jakby słuchając muzyki, pomyśleć: Posłuchałabym muzyki - tak była

zatracona w akcie miłosnym, tak pobudzona, że potrzebna jej była fala nowego pobudzenia, dodatkowa warstwa czegoś, co już miała. Zrób coś więcej, myślisz, dalej, dalej, prędzej, szybciej! Jego ciało było ciemne, silne, jego włosy zdawały się układać w jakiś wzór, na piersi w wachlarz, a idąc ku dołowi, w kierunku krocza, zawężyły się w lejek.

Paul, rozpalony, rozkochany, cierpliwy, pokazywał jej, jak mogą układać ciała, by wchodził w nią z różnych kierunków; niektóre z tych pozycji wydawały się geometrycznie nie do wyobrażenia, dopóki człowiek ich nie wypróbował i nie doszedł do wniosku, że właściwie, po nabraniu wprawy, można je wykonać. Pewnego dnia przyszedł do domu z podniszczonym, owiniętym w zwykły papier egzemplarzem *Kamasutry* i obwieścił, że trzyma w rękach przyszłość zachodniego seksu.

- Na Wschodzie to rozumieją - mówił. - Zawsze to rozumieeli. O parę długości wyprzedzają mieszkańców amerykańskich przedmieść i ich misjonarskie pozycje.

- Nie jesteście z przedmieść - odpowiedziała Roz.

W zasadzie powinna była powiedzieć „jeszcze nie”, bo już niedługo również oni padną ofiarą gorączki zielonego złota wielkomijskich suburbiów. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku, w szpitalu Mount Sinai na Piątej Alei, Roz Mellow urodzi Holly, a dwa lata później Michaela; dom wyda im się czymś niezbędnym, a przecież domy stały na przedmieściach. W tym czasie Paul będzie już szefem laboratorium prowadzącego badania nad zachowaniami zwierząt i dzięki stałej pensji, jak i pewnej sumie pieniędzy przesłanej przez rodziców Roz, dokonają przedpłaty na kupno domu przy ulicy Swarthmore Circle w małym miasteczku Wontauket.

Tamtej nocy jednak, w grudniu pięćdziesiątego ósmego roku, Roz i Paul, kochankowie dopiero od niedawna, bezdzietni mieszkańcy wielkiego miasta, siedzieli na łóżku i czytali *Kamasutrę*.

- Istnieją cztery podstawowe rodzaje kontaktu - czytał głośno Paul.

- Cztery? Myślałam, że są ich dziesiątki.

- Nie. Cztery rodzaje kontaktu. Pozycji są dziesiątki - wyjaśnił. - To różnica. Słuchaj dalej. Dotyk. Przekłucie. Ocieranie. Uciskanie. Kiedy mężczyzna znajduje się przed kobietą lub z jej boku i dotyka jej ciała własnym, nazywa się to „kontaktem dotyku”. Kiedy jednak kobieta nachyla się nad mężczyznę i wręcz przesywa mężczyznę piersiami, nazywa się to „kontaktem przekłucia”.

- Przekłucia? Jak można coś przekłuć piersiami? - zapytała. - Chyba się ich nie ostrzy?

- Jak myślę, chodzi tu po prostu o to, żeby z ciałem partnera stykała się tylko jedna, drobniotka część. Ciała nie przylegają do siebie na całej-powierzchni. Mamy jeszcze „kontakt ocierania”, przy którym, generalnie rzecz biorąc, ciała się o siebie ocierają, i wreszcie „kontakt uciskania”, przy którym jedna osoba napiera na ciało drugiej, opartej o ścianę lub filar.

- Jak zrobiłeś to wczoraj w nocy - dodała Roz. - Kiedy wróciliśmy do domu z kolacji z homarami.

- Naprawdę? Nie pamiętam - powiedział Paul z uśmiechem. - Zaraz, czekaj, czekaj, rzeczywiście, wraca mi pamięć, widzę ścianę, wielką białą ścianę.

Zamilkli na chwilę, przypominając sobie wieczór w hiszpańskiej restauracji, gdzie serwowano syte i niedrogie potrawy z homarów. Roz nie potrafiła wydłubać mięsa, więc Paul wziął sprawy w swoje ręce, łamiąc grubą skorupę kleszczy, wsadzając w nie potem widelczyk i wrywając długi, stożkowaty kawałek różowego mięsa, pokrytego białą oparzeliną. Zanurzył go w małej miseczce z topionym masłem i nakarmił Roz. Kiedy wrócili do domu i kiedy odwrócił się do niej nagle ze stężoną twarzą, i pchnąwszy ją na ścianę, i napał na nią (niestety przełącznik światła dźgnął ją w plecy), i kiedy potem podciągał skraj

jej szarej spódniczki, to Roz myślała, że homar jest niewątpliwym afrodyzjakiem, chyba że jest nim topione masło.

- Poza podstawowymi mamy jeszcze inne kontakty - ciągnął Paul. - Posłuchaj, co tu piszą. „Kiedy mężczyznę i kobietę łączy wielka miłość i nie myślą o niczym, co byłoby dla nich nieprzyjemne lub bolesne, przytulają się do siebie tak, jakby mieli wniknąć w swoje ciała. Wówczas mężczyzna może trzymać kobietę na kolanach lub ona może siedzieć przed nim albo na łóżku. To kontakt znany jako «połączenie mleka i wody»”.

Najwyraźniej *Kamasutra* znała również podkategorie, takie jak kontakt ud, kontakt dżaghana (od pępka w dół, do ud), kontakt piersi, kontakt czoła. Nawet wcieranie szamponu partnerowi może być uznawane za „kontakt”, ponieważ wiąże się z czułym, niespiesznym dotykaniem ciała. Nie tylko pozycje były ważne. Książka wymieniała aż osiem rodzajów płaczu:

Głos Him

Głos grzmotu

Głos ukojenia

Głos łkania

Głos Phut

Głos Phat

Głos Sut

Głos Płat

Co znaczyły te nazwy? Były bardzo tajemnicze, niewymownie orientalne, fascynujące i przypominały Roz chwilę w łóżku z Paulem, kiedy się rozpłakała. Kochali się wtedy trzeci raz. Paul wszedł w nią, poruszał się powoli, nie śpiesząc się, jak zwykle wtedy, gdy zaczynał, a w miarę jak się poruszał, Roz po raz pierwszy w pełni sobie uświadomiła, co zrobiła: została kochanką swojego psychoanalityka i nic już tego nie zmieni. Rzucił dla niej wszystko, a dramatyczność tego gestu była tak

wielka, że zapomniała już się zastanowić, czy to błąd czy nie. Ale wówczas, w środku seksu, Roz spojrzała na jego twarz i zobaczyła zaciśnięte powieki, jak u noworodka, który właśnie przyszedł na świat, i nie mogła nie zauważyć upojenia, dumy, miłości, jakie z niego emanowały, i pomyślała sobie, że skoro on jest tak cholernie szczęśliwy, to ona również powinna być szczęśliwa.

Seks mógł ocalić Paula Mellowa, ale Roz wiedziała już, że nie ocali jej, że nigdy nie będzie dla niej tak ważny jak dla niego. Roz powinna odepchnąć od siebie takie myśli, bo tutaj, w łóżku, są ze sobą na dobre i na złe. Powinna, ale jak to miała zrobić?

Potem pamięta tylko, jak Paul przestał się w niej poruszać i zapytał z troską w głosie:

- Roz? Dlaczego płaczesz?

W następnych tygodniach dowiedzieli się o różnych rodzajach pocałunków: pocałunek prosty, pocałunek ukośny, pocałunek skręcony, pocałunek wyciśnięty. Usta Paula były delikatne, niemal kobiece, przynajmniej na tyle, na ile sobie wyobrażała dotknięcie kobiecych ust, ale tuż nad nimi czerniły się drobiny zarostu, które zawsze chciały rosnąć, choćby Paul bez przerwy je golił. W sześćdziesiątym siódmym roku Paul rzucił golenie raz na zawsze i po prostu wstąpił do klubu brodatych, jak to uczynili Jerry Garcia czy Paul Bunyan.

Kamasutrę wypełniały rozliczne detale, które wydawały się niezwykle pedantyczne i wyszukane i jakby kłóciły się z istotą doświadczenia miłości cielesnej - jednak dając choreografii zupełną wolność.

- Gdy koło miłości puści się w ruch - czytał na głos Paul - wszelki porządek przestaje istnieć.

Nie było już między nimi porządku. To dało się dostrzec w tamtej pierwszej chwili, kiedy się z nią spotkał w chińskiej restauracji i patrzył z tęsknym wyczekiwaniem, jak wchodzi

do środka, zadzwoniwszy dzwoneczkiem u drzwi, i niedługo potem, kiedy całował ją w jej przegrzanym pokoju. Dzięki *Kamasutrze* wypróbowali historyczny wariant uprawiania miłości, ułożyli się na łóżku w „pozycji szeroko otwartej”, Roz z opuszczoną głową i uniesioną dolną częścią ciała; Paul drżącą ręką nawilżał ją kremem. Potem przeszli przez „pozycję ziewającą”, „pozycję splotu”, „pozycję klaczy”, kierując się zaleceniami krok po kroku, niczym dzieci przyswajające sobie zasady nowej gry planszowej. Czasem, kiedy Paul spał, brała książkę do ręki, a kiedy się budził, mówiła od niechcienia, jakby robiąc mu łaskę: „Piszą jeszcze o jakiejś pozycji kraba. Moglibyśmy spróbować”.

Seks stał się aktywnością, którą Roz przestała uważać za coś zwykłego i oczywistego, za coś na stałe włączonego do ich życia, jak posiłki, które przygotowywała, filmy, na które chodzili do Waverly, czy pranie, które składali razem w różowoszarej, wibrującej przestrzeni pralni samoobsługowej na rogu Siódmej i Charlesa.

Zimą tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku *Kamasutra* zawiodła ich do Indii, dwa lata wcześniej, nim pojechali tam ze swoją świtą Beatlesi. Potem Paul lubił w gronie przyjaciół żartować, że z Roz zawsze wyprzedzali epokę. Od trzech lat mieszkali już w Wontauket. Dzieci, sześciolletnią Holly i czteroletniego Michaela, zostawili na ten tydzień u rodziców Paula na Queensie. Holly płakała, kiedy wychodzili z domu, trzymając ojca za nogę i powtarzając: „Tato, ale ja cię potrzebuję”. Michael natomiast rzucił chłodne spojrzenie znad jakiejś konstrukcji, którą składał z klocków na podłodze, i powiedział tylko: „Przywieźcie mi coś z Tadź Mahal”. Bo już wtedy nieobce mu były najbardziej znane miejsca świata.

Podczas pobytu w Indiach jeździli z innymi turystami do świątyń, pachnących ogrodów i na bazyry, lawirowali między zebrzącymi dziećmi i krowami, a nawet między całymi rodzi-

nami, stojącymi obozowiskiem na środku drogi. Czasem w nocy, jeśli było to możliwe, oddalali się od wycieczki. Urywali się szkolnej nauczycielce i jej emerytowanemu mężowi, dwóm zakonnicom z Akron i pięknej, starszej kobiecie o tragicznym obliczu, której nazwisko Roz wciąż pamięta, nie wiadomo dlaczego - pani Delgado. Siadali wtedy przy dwuosobowym stole w jakiejś restauracji i jedli ćapati dopiero co wyjęte z wrzącego oleju. Tylko w samotności mogli spokojnie szeptać do siebie słowa mające ich roznamiętnić, wprowadzić w zmysłowość, której się nauczyli z *Kamasutry*.

Do dziś Roz nie jest pewna, które z nich pierwsze wpadło na pomysł wydania książki. Wciąż lubi myśleć, że pomysł przyszedł im do głowy równocześnie, choć, jak rozumiała, nawet w wypadku równoczesnych orgazmów zawsze jest ten, kto pierwszy wysyta sondujące drgnięcie, zafalowanie czy zadygotanie, każące zareagować w jakiś sposób drugiej osobie, i jedna rzecz prowadzi do następnej, i wkrótce para nie pamięta, gdzie i kiedy to się zaczęło, ponieważ ważne było już tylko, dokąd ich zaprowadzi. Najprawdopodobniej jednak pomysł wyszedł od Paula, bo autentyczniej się nim emocjonował.

- Jeśli postanowimy to napisać - powiedziała Paul w latach siedemdziesiątych, kiedy siedzieli na brązowej kanapie w swojej domowej bibliotece w Wontauket, a ona trzymała stopy na jego kolanach - to będziemy musieli opisać własne doświadczenia. Wiesz, to, co razem robimy. Co robimy sobie nawzajem.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała Roz. - O to przecież chodzi, prawda? Nie o doznania jakiejś trzeciej osoby, jak robili to Masters i Johnson w swoich badaniach. Chodzi o nas.

- Stać cię na coś takiego?

- Oczywiście - odparła.

- Nie będzie cię obchodziło, co ludzie powiedzą?

- Nie. To znaczy tak. Będzie. Ale dam sobie z tym radę.

- Ilustracje powinny przedstawiać nas.

- O... tak, słusznie.

- Roz, mówię poważnie - powiedział Paul. - Powinny pokazywać nas. Jak się kochamy. Wszędzie. Bo dlaczego nie? Nie będzie cię to krępować?

- Tak. Oczywiście, że tak - odparła ze śmiechem, a on wyciągnął ją z biblioteki do łazienki i zatrzymał przed lustrem, a potem zamknął drzwi i podniósł jej bluzkę.

Nie miała na sobie biustonosza, to były w końcu lata siedemdziesiąte, i piersi bujały się niczym kule burzące w całej Ameryce.

- Spójrz - powiedział. - Spójrz na siebie. Wyglądasz seksownie. Te piersi są niesamowite.

- Nikt nie będzie chciał na nie patrzeć. Zaczynają już obwisać.

- Wcale nie - zaprzeczył. - Uwielbiam twoje piersi, po prostu je uwielbiam. Obie tak samo mocno, nie mam ulubionej. - Jakby dla potwierdzenia swoich słów, Paul pocałował jedną pierś, a potem drugą. - Ale nawet gdyby zaczęły być obwisłe, a powtarzam, że tak nie jest, to co z tego? Ilustracje powinny być bardzo ludzkie, żeby każda para mogła się z tym do jakiegoś stopnia identyfikować.

Następnego dnia, kiedy dzieci bezpiecznie przebywały poza domem, Paul ustawił w sypialni statyw, a na nim aparat fotograficzny z samowyzwalaczem, który tykał głośno przed każdym pstryknięciem, a oni leżeli na łóżku, układając się w różnych pozycjach. Fotografie wyszły okropnie, co wcale nie zaskoczyło Roz. Jej zdaniem miała podwójny podbródek i obwisłe piersi, a Paul przedstawiał tylko bezkształtny stóg ludzkich włosów w wydaniu Moneta. Zdjęcia zdawały się uwypuklać wszystko, co było kompletnie nieatrakcyjne, i zamazywać wszystko, co przyciąga spojrzenie. Ich ciała złączone w pozycji klasycznej, wyglądały groteskowo, ich twarze wykrzywiały ja-

kiś grymas bólu i odwagi, jakby akt, w którym uczestniczyli, był wyczerpujący i wymagał heroizmu, by wytrwać w nim do końca. Na serii następnych fotografii, na których ona była na górze, a on na dole, Roz wyglądała na śmiertelnie zawstydzoną, jakby została wystawiona na pokaz wbrew woli. Wznosiła się ponad nim, wysoko nad całą akcją, niczym kobieta wiezioną rykszą. Jeśli poniżej działo się coś ciekawego, to ona o tym nie wiedziała. Jej piersi bujały się ciężko i ospale jak wielkie wahadła; nawet krowa by się ich powstydziała.

- Musimy te zdjęcia zniszczyć - powiedziała do Paula, kiedy samodzielnie wywołali odbitki w zaimprovizowanej w łazience ciemni.

- Trudno mi to przechodzi przez gardło, ale muszę przyznać ci rację - odpowiedział Paul i spalili zdjęcia w kominku, jakby ich unicestwienie miało unicestwić całą prawdę o tym, jak Paul i Roz wyglądają podczas aktu płciowego.

Roz pomyślała jednak, że każda inna para na świecie wyglądałaby tak samo, gdyby niespodziewanie zrobić jej zdjęcia w czasie uprawiania seksu. Każda wyglądałaby do pewnego stopnia groteskowo - jakby to sama Dianę Arbus zjawiła się nagle w ich sypialni i wykonała serię fotografii. Roz pomyślała o zdjęciach starzejących się nudystów, zrobionych przez Arbus; ludzie prości i dumni, siedzieli na metalowych, składanych krzesłach, ludzie, których nie pokocha nikt poza innymi nudystami, którzy potrzebowali własnego stowarzyszenia, by móc pozostać sobą.

Akt miłosny, by uchwycić go w sposób najbardziej czuły, nie powinien być do końca realistyczny. Paul i Roz nie potrzebowali fotografa, lecz artysty, potrafiącego przedstawić istotę, zamazać rzeczy, które nie byłyby podniecające, piękne, nieodparte dla innych. To musimy być my sami, myślała Roz, a jednocześnie nie my. To będzie musiała być ulepszona wersja nas samych, taka, którą inni ludzie będą chcieli chętnie oglądać.

Napisali na maszynie konspekt książki i przesłali go agentowi literackiemu, który był bratem jednego z badaczy z laboratorium Paula. „Książka będzie ilustrowana rysunkami, ukazującymi nas w trakcie aktu miłosnego”, pisali. „Jeden z rysunków będzie przedstawiał nową pozycję seksualną, którą sami stworzyliśmy”. Po tych słowach nastąpił opis „Elektryzującego przebaczenia”, pozycji przypadkowo odkrytej pewnej nocy po zacieklej kłótni, której powodu żadne z nich już nie pamiętało.

„Elektryzujące przebaczenie» to pozycja dla dwojga ludzi, którzy chcą coś naprawić”, pisali dalej. „Czy z powodu gniewu czy stresu kochankowie znajdują się nieraz w sytuacji, po której odczuwają potrzebę przebaczenia i przypomnienia sobie w spokoju własnej miłości i siły seksualnego zespolenia. «Elektryzujące przebaczenie* daje taką możliwość”.

Pozycja sama w sobie była skomplikowana i w pierwszej fazie, zanim doprowadzała do powodzenia, wiązała się z uważnym manewrowaniem, gimnastyką i dyskomfortem; opisali to wszystko w szczegółach, podobnie jak inne pozycje, wiele zaczerpniętych z *Kamasutry* (po przeróbkach, by parom amerykańskim łatwiej było je zaakceptować).

Prawa do książki - noszącej już pełny tytuł *Jak dać rozkosz: podróż pewnej pary do spełnienia* - zostały sprzedane wydawnictwu za pięćdziesiąt tysięcy dolarów, co w tamtych czasach stanowiło ogromną sumę, i już niebawem Paul i Roz znaleźli się w jakiejś pracowni, pozując w łóżku przed zupełnie obcym sobie człowiekiem.

Wydawca prowadził długotrwałe poszukiwania odpowiedniego artysty. W końcu wybrano troje finalistów; japońskiego akwarelistę, który mieszkał w północnej Kalifornii i ilustrował drogie książki albumowe z motywami orientalnej erotyki; kobietę o twarzy pokerzysty, która od wielu lat opracowywała ilustracje do książek medycznych, rysując ciała zarówno zdrowe, jak i przeżarte nowotworami; i wreszcie świeżego absol-

wenta akademii sztuki Cooper Union, którego prace wydawały się szokująco realistyczne i który rok wcześniej ilustrował okładkę płyty Rolling Stonesów. Ludzie gotowi byli przysiąc, że rysunki na tej okładce to fotografia. Mick Jagger i jego kompania, leżący na leżakach na jakiejś karaibskiej plaży, byli bardzo przekonujący; ponurzy, pewni swego, seksualni.

Ostatecznie wybór padł na artystę od Rolling Stonesów, Johna Sunsteina, którego Paul i Roz poznali nieformalnie w sali konferencyjnej wydawnictwa. Był maj tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku. Nikt nie mówił o niczym innym niż o aferze Watergate. Ledwie parę tygodni wcześniej Haldeman i Ehrlichman podali się do dymisji. W pracowni wszakże panowała cisza i spokój, tutaj nie przenikały nagłówki gazet. John Sunstein okazał się młodym, nieśmiałym mężczyzną o wychudłej sylwetce (w duchu ówczesnej młodzieży), zapewne w ogóle się nie zmieniającej, cokolwiek by jadł i pił, z brzuchem będącym raczej wklęsłością pod starą, wyblakłą koszulą w pasy i džinsami, w które się najchętniej ubierał. Miał długie ciemnoblond włosy, rozdzielone na środku przedziałkiem. Na nogach potężne buty robocze, a na przegubie dłoni skórzaną, plecioną opaskę. Twarz miał szeroką, niezbyt ładną, ale zdecydowanie inteligentną. Zaraz na początku pokazał im swoje portfolio z rysunkami i malunkami, i Roz natychmiast zrozumiała, dlaczego wybrano właśnie Sunsteina: jego prace były niesamowicie staranne, delikatne i nadzwyczaj dbałe o każdy szczegół. Prawdę mówiąc, ta dbałość o szczegóły trochę ją zaniepokoiła; czy wychwycą jej ułomności, jej niedoskonałości, każdą zmarszczkę, każdą nieregularność?

- Proszę się nie martwić - powiedział ciepłym głosem Sunstein, choć nie wyrażała głośno obaw. - Na moich rysunkach będą państwo wyglądać znakomicie. Zresztą to nie będzie trudne. Naprawdę świetnie państwo wyglądają. Oboje.

Mimo to czuła się onieśmielona. Pierwszego dnia, kiedy

przekroczyli próg pracowni na Zachodniej Dwudziestej Dru-
giej, by pozować Sunsteinowi, Roz miała wrażenie, że łąda chwila
straci oddech, i musiała usiąść w chłodnej toalecie, z głową
między kolanami. Paul stał przy niej.

- To nic wielkiego - przekonywał. - Rozbierałaś się już prze-
cież przed innymi mężczyznami.

- Ale oni również byli nadzy - odpowiedziała Roz. - To
chyba oczywiste.

- Kiedy cię zobaczy, będzie całował ziemię wokół twoich
stóp.

- Śmieszne. Ziemia wokół moich stóp jest już obcałowana.

- Co?

- Ty to zrobiłeś.

Paul uśmiechnął się lekko.

- Och... Może i tak. Słuchaj, jak chcesz, to powiem Sun-
steinowi, żeby też się rozebrał. Prawdopodobnie nie prezentu-
je się najgorzej, młody, szczupły chłopaczek.

- Bardzo śmieszne - odpowiedziała. - Chyba umarłby ze
wstydu, gdyby zaczął zdejmować ubranie. Ja zresztą również.
Boże, musimy wyglądać naprawdę staro!

- Masz trzydzieści siedem lat. Jesteś w kwiecie wieku. Jesteś
piękna, Roz. Ja też, mam nadzieję, wyglądam jeszcze jako ta-
ko - powiedział Paul.

- Tak, ty wyglądasz zupełnie dobrze - przyznała Roz.

- Więc chodźmy. Zobaczymy, co się stanie.

Podał jej szlafrok i Roz włożyła go na siebie. Powoli wsta-
ła i pozwoliła mu się wyprowadzić z łazienki, z powrotem do
wielkiego, białego pokoju, gdzie czekało gotowe łóżko. Potem,
w samym środku słonecznego pokoju, zdjęła szlafrok, a John
Sunstein udawał, że zupełnie go to nie interesuje. W ogóle ro-
bił wrażenie, jakby nigdzie mu się nie śpieszyło. Z wieży ste-
reo płynęła spokojna muzyka, jakaś wokalistka śpiewała pieśń
o miłości do jednoroźca przy akompaniamencie średniowiecz-

nych instrumentów. John zaproponował Paulowi i Roz herbatę, ci jednak podziękowali, a potem, kiedy stanęli przed nim, nic na sobie nie mając, artysta zażartował, że rzeczywiście nie była dobrym pomysłem.

- Moja polisa ubezpieczeniowa nie obejmuje oparzeń gorącym płynem - powiedział i wszyscy się zaśmiali, choć Roz spostrzegła, że śmiech trzęsie zabawnie jej piersiami, więc natychmiast przestała się śmiać.

Pracownia znajdowała się daleko na zachodzie, nad rzeką Hudson, i kiedy pozowali w ciągu dnia, za odsłoniętym oknem widzieli czasem płynącą wolno rzeką barkę. Wkrótce pogodziła się z tym, że stoi naga, czy to przed barką za oknem, czy przed Johnem Sunsteinem. Nigdy dotąd nie zetknęła się z tak dyskretnym i nienarzucającym się mężczyzną. Od początku zachowywał się tak, jakby go nie było, właściwie prawie nie czuło się jego obecności, siedział cicho i rysował, nie czując potrzeby, by choć w niewielkim stopniu przyłączyć się do konwersacji, która w ogóle go nie obchodziła.

- Taki sam był pan z Rolling Stonesami? - zapytał Paul już pierwszego dnia, kiedy się sadowił przy Roz, kiedy ich ciała się dopasowywały, wklęsłości w wypukłości, niczym skrzętnie wymierzone elementy jakiejś misternie wykonanej stolarki meblowej. - Przesuń się troszkę niżej, dobrze? - powiedział do Roz, która się przesunęła, a potem czekali oboje na odpowiedź.

- Czyli jaki? - zapytał artysta.

- Spokojny. Jak kot - dodał Paul.

- Hm, właściwie raczej tak - odpowiedział Sunstein. - To oni bez przerwy coś mówili i ciągle czegoś chcieli.

- Czego? - zainteresowała się Roz.

- Soku pomarańczowego - odparł Sunstein. - Witamin. Pszczelego pyłku. Po jakimś czasie zdawali się mnie nie zauważać. Raz zauważył mnie Keith Richards, poprosił o papierosa, ale nie miałem, więc już się więcej do mnie nie odzywał.

- Właśnie o tym mówię - powiedział Paул. - Pan się wtapia w scenografię. To wielki talent.

- Nie myślałem o tym wcześniej w ten sposób - stwierdził John Sunstein i z wyraźną ulgą, że to koniec rozmowy, zniknął za sztalugą.

Była to prawdopodobnie ich najdłuższa wymiana zdań z Sunsteinem w ciągu następnych miesięcy. Wszystko szło lepiej, jeśli nie traktowali go do końca jako osoby żywej, a on to przyjmował ze zrozumieniem. W żadnym razie nie wydawał się zainteresowany kimkolwiek z nich obojga. Któregoś dnia, kiedy Mellowowie wychodzili z budynku, Roz zauważyła młodą kobietę czekającą na ulicy. Ubrana była w poncho, miała długie włosy i siedziała na motorynce. Kiedy chwilę później pojawił się John, usiadł za nią, objął ją rękami w pasie i odjechali razem. Był młody, choć nie tak bardzo, a mimo to jego kawalerstwo czyniło go nieskończenie młodszym od Paula i Roz.

Życie w parze postarza; to nieunikniony skutek uboczny. Człowiek łączy się w pary, aby żyć w miłości, aby trzymać samotność z dala od siebie, by kuć życie, a nie serię ciągnących się po sobie dni, przerywanych posiłkami, kinem i wyprawami do sklepu. Jednak nikt go wcześniej nie uprzedził, że to się kończy szybkim starzeniem i że kiedy spojrzy któregoś dnia na własną ślubną fotografię, będzie tyleż wzruszony, ile onie miały ze zdziwienia. Tak w każdym razie czuła się Roz, kiedy myślała czasem o sobie jako o Roz Woodman, a potem jako o Roz Mellow, i widziała granicę dzielącą jedno i drugie życie: ten skok młodzietkiej dziewczyny do głębokiego basenu, który ją przemienia w kogoś zupełnie innego, gdy wypływa na powierzchnię. Nikt jej wcześniej nie powiedział, że tak się stanie, że jej dziewczęcość ustąpi pod naporem kobiecości - przemożnej siły bycia żoną i bycia matką. Wybór, jaki miała, zawsze był niedoskonały. Człowiek często chce być sam, gdy decyduje się żyć z drugim człowiekiem. Kiedy się decyduje

żyć samemu, często odczuwa tę nieznośną potrzebę obecności drugiego ciała - niekoniecznie dla seksu, lecz choćby po to, by ktoś wymasował mu stopy, usiadł po drugiej stronie stołu, rozrzucił po pokoju swoje rzeczy, nawet jeśli wywołując złość, to przecież przypominając, że jest blisko.

Po tych wszystkich latach jej były mąż, Paul Mellow, niegdyś współnik, niegdyś taki łagodny, czuły, troskliwy i zwiariowany na jej punkcie, teraz bardzo się zmienił. Jego czarna broda była siwa i sucha jak stary krzew. Jego silne, muskularne ciało zwiotczało, jego bezgraniczna miłość do Roz nagle zakrzepła i jakby za sprawą magicznej sztuczki przemieniła się w coś diametralnie innego. Teraz się nią brzydził. Niczym biceps napiął swój gniew i nie dał zgody na wznowienie książki. Nie chodziło wcale o pieniądze, które początkowo byłyby niewielkie, ale później prawdopodobnie spore. Chodziło o to, aby na powrót wskoczyć w życie, znowu się znaleźć w centrum uwagi, poczuć smak bycia w świetle reflektorów, wygłaszać wykłady - nie tylko dla sali pełnej dobrze sytuowanych, skacowanych dziewiętnastolatków z wiecznie otwartą buzią, w markowych kurtkach. Roz już prawie zapomniała, ile radości dawał jej rozgłos - czasem lubiła go bardziej niż seks.

Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo tęskni za rozgłosem, dopóki pewnego dnia, minionej jesieni, nie zadzwoniła do niej młoda redaktorka, która się przedstawiła jako Jennifer Wing i oświadczyła, że jej wydawnictwo chętnie wznowiłoby książkę.

- Chciałam też, aby pani wiedziała, jak wiele ta książka znaczyła dla moich rodziców, a nawet, pewnie pani nie uwierzy, moich dziadków. Wywodzę się z postępowej, amerykańskiej rodziny o chińskich korzeniach - mówiła Jennifer. - Przodkowie wyjechali kiedyś z prowincji Hunan i nigdy już się za siebie nie oglądali. Co prawda mnie nie było na świecie, kiedy się ukazała państwa książka, ale bardzo, bardzo mi się podoba.

- Och, to miłe. Cieszę się... - odpowiedziała Roz niepewnym głosem.

- To będzie ogromne przedsięwzięcie wydawnicze, zamierzamy dodać nowe, aktualne rozdziały i zamieścić nowe ilustracje - relacjonowała Jennifer. - Mamy już na oku pewnego wspaniałego plastyka, kogoś bardzo młodego, jak wówczas, przyda książce powiewu młodości, wprowadzi ją w pokolenie nowych czytelników.

- Nie możemy wykorzystać starych ilustracji? - zapytała Roz.

- Niestety nie, przykro mi - odpowiedziała Jennifer.

Zapowiadało się znakomicie: wznowienie książki, eksplozja wielkiego zainteresowania, radość, komfort, przyjemność. Byłoby cudownie. Ale Paul powiedział „nie”. Nie, nie, nie ma mowy, nie! Nie chciał znowu przez to przechodzić. Wszystko się już zakończyło; Roz to zakończyła, a on nie chciał do tego wracać. Wiedziała, że właściwie powinna była dać temu spokój, że to już dzisiaj nie ma znaczenia, że dzisiaj powinna myśleć tylko o Dashiellu i o tym, żeby wyzdrowiał. I na tym rzeczywiście najbardziej jej zależało, jednak w jakiś dziwny sposób oba pragnienia połączyły się w jedno. Była złym człowiekiem, złą matką? Chciała tchnąć życie w Dashiella, ale również w siebie, bo podejrzewała, że bardzo jej tego trzeba, że bez książki, prędzej czy później, nie pozostanie jej nic.

Roz stanęła przed swoim domem w Saratodze. Popołudnie już dawno się przemieniło w wieczór. Drzwi nie były zamknięte na klucz; ludzie w tym mieście rzadko zamykają domy. Gdy weszła na korytarz, natychmiast wyczuła zapachy z kuchni, gdzie krzątał się Jack. Była to woń o niebo przyjemniejsza od zapachów, które napływały z pomieszczeń kuchennych w Centrum Jogi i Odnowy Biologicznej Arkadia. Zapachy z kuchni sprawiają, że wchodząc do domu, człowiek przyspiesza kroku,

że idzie raźniej, bardziej zdecydowanie i natychmiast bezwzględnie szuka źródeł tych woni - podobnie jak w przypadku seksu, kiedy daje się przyciągać źródłu podniecenia, jego niewytłumaczalnemu, pierwotnemu imperatywowi.

Roz poszła prosto do kuchni. Jack stał przy kuchence, mieszając coś, doglądając i dosypując jakieś przyprawy. Głowę miał pochyloną nisko nad palnikami i widziała teraz, jak cienkie są kosmyki jego włosów. Podczas gdy włosy Paula grubały z przypływem lat i stawały się bujniejsze, włosy Jacka coraz wyraźniej się przerzedzały. Za parę lat znikną niemal zupełnie.

- Bardzo mi potrzebna twoja zupa - powiedziała do męża.

- Już prawie gotowa. - Odwrócił się, by pocałować ją na powitanie.

- Potrzebna mi, myślę, dożylnie - powiedziała Roz. - Ciężko mi.

- Wiem - przytaknął Jack. - Masz wieści od Dashiella?

-Nie.

- Może chociaż od Paula? Michaela?

-Nie.

- Szkoda - westchnął. - Dobre wiadomości dobrze by ci zrobiły.

Zdjęła płaszcz i usiadła przy stole. Ich stary pies Ginger położył się pod jej nogami - zmęczony, ledwie się ruszający, będący na koniec życia podnóżkiem dla równie starych ludzi. Roz zatopiła stopę w gęstej, jasnej sierści Gingera i czekała, aż Jack postawi przed nią talerz z zupą i poda łyżkę. W pewnym sensie czuła się jak Constance Coffey, jej przyjaciółka, która w zimowe wieczory wracała sama do pustego domu i podkręcała termostat, a ciepło zaczynało buzować bardzo powoli, próbując dostosować temperaturę do potrzeb samotnego człowieka.

Roz Mellow potrzebowała czegoś innego, czegoś więcej niż zupa, czegoś więcej niż nawet sama miłość. Pomyślała, że chyba zaraz się rozpłaczę, i nagle, niespodziewanie, rozpłakała się głośno, podrywając psa, który zaciekawiony wystawił spod stołu łeb, i podrywając Jacka, który nakrył garnek przykrywką i podszedł do Roz. Dając mu się przygarnąć do siebie, Roz płakała cicho, a kiedy skończyła, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że przeszła wszystkie osiem rodzajów płaczu.

Rozdział siódmy

Arnie Nelson, reżyser *Histeryczki*, chudy mężczyzna o wilczym spojrzeniu, przez niemal całe swoje dorosłe życie obsesyjnie pasjonował się opisywanymi przez Freuda przypadkami. Możliwość reżyserowania sztuki opartej na życiu Dory, sławnej pacjentki Freuda, wyzwalała w nim tak głębokie pokłady energii, pełnej nerwu i ekscytacji, że teraz, kiedy siedział z aktorami w kręgu na pustej scenie, jedna z jego nóg drgała nieustannie, a palce lewej ręki wystukiwały na zakurzonej, czarnej podłodze jakieś rytmy, jakby grał na organach elektrycznych. Thea Herlihy miała grać Dorę, która w roku tysiąc dziewięćsetnym zaczęła się leczyć w Wiedniu u Freuda i której objawy wydawały się równie nieprzerwane i nieodzowne dla życia jak oddychanie. Nelson od kilku tygodni wprowadzał Theę w rolę, zarzucał ją skserowanymi artykułami naukowymi na temat Dory, by Thea wiedziała, jak utrzymywać sztywną, gorsetową postawę i jak zagrać ustawiczny, drażniący kaszel tej nieszczęsnej dziewczyny, który wywoływał wśród pasażerów tramwaju na wiedeńskiej Ringstrasse wściekłe spojrzenia.

Wieczorem w łóżku, w którym leżała sama, odkąd Michael pojechał z niekończącą się wizytą do ojca na Florydę, Thea ćwiczyła kaszel i charakterystyczne pojękiwania. Michaela nie było od miesiąca. W tym czasie wyszła na jaw choroba jego młodszego brata, co w jakiś zastanawiający dla niej, nowy sposób jeszcze bardziej przywiązało Michaela do ojca. Thea odkryła, że podczas jego nieobecności ma dużo więcej swo-

body - to stan, do którego była niegdyś przyzwyczajona i którego, jak zdała sobie raptem sprawę, bardzo jej brakowało. Odeszli już od pierwszych uniesień miłości - odchodzili powolnymi, cichymi stąpaniami. Nawet nie wie, jak to się stało. Kiedy Michael wyjechał, początkowo często o nim myślała, ale później coraz rzadziej. Zdarzały się jeszcze chwile, kiedy Thea myślała, że byłoby dobrze, gdyby już wrócił, gdyby byli już razem i gdyby mogła powtarzać przy nim swoje kwestie i zobaczyć, co powie o jej interpretacji postaci głównej bohaterki dramatu. Michael czytał wszystko o Freudzie, a w collegeu wnikliwie studiował opisywane przez niego przypadki. Thea, która studiowała przez rok w Amerykańskiej Akademii Sztuk Sceniczych, miała za sobą o wiele mniej lektur. Wiedziała, że brakuje jej wykształcenia, ale w gronie przyjaciół z teatru jakoś jej to nie przeszkadzało - dopiero teraz zaczęło przeszkadzać.

Histeryczka nie była jakąś wybitną sztuką, ale postać Dory z pewnością należała do wymagających - przestraszona i wewnętrznie spętana dziewczyna, jeszcze nastolatka, tak wstrząsana napadami kaszlu, duszności, tików i apopleksji, że jej doprowadzony do ostateczności ojciec prowadzi ją w końcu na spotkanie z Freudem. Ojciec nie mógł jednak przewidzieć, że podczas krótkiej, zawężonej psychoanalizy Dora opowie doktorowi wszystko o jego romansie z młodą, piękną kobietą, określaną później w raportach jako pani K., pielęgniarką, która opiekowała się chorym na syfisy ojcem Dory i którą dziewczyna uwielbiała. Kiedy ujawniła jeszcze, że pan K., mąż uwielbianej przez nią pani K., usiłował całować i pieścić Dorę, jakby miała się stać jego nagrodą pocieszenia, Freud natychmiast powiązał skomplikowany trójkąt relacji seksualnych z objawami dziewczyny. Pod wpływem szokujących, bolesnych i nieszczędzących jej niczego interpretacji dziewczyna raptownie przerwała terapię i nigdy już do Freuda nie wróciła.

Minęło czterdzieści lat i nieszczęśliwa dziewczynka stała się nieszczęśliwą, starą kobietą, a kiedy wybuchła druga wojna światowa, była pacjentka Freuda, podobnie jak on sam, stała się po prostu jednym z wielu udręczonych przedstawicieli narodu żydowskiego i jej cierpienia zniknęły w morzu innych cierpień.

Słuchając, jak Nelson opowiada o swojej ukochanej Dorze, Thea Herlihy wyczuła, że w zamyśle reżysera sztuka miała nieść pierwiastek tragedii. Miała opowiadać przede wszystkim o niespełnionym życiu kobiety. Aktorzy przytakiwali i mówili o Dorze w taki sposób, jakby czuli się od niej lepsi, jakby ani trochę nie była taka jak oni, jakby po mistrzowsku panowali nad własnymi pragnieniami i śmiertelnymi strachami.

- Dla mnie najbardziej interesujące jest to - mówił Nelson na spotkaniu z aktorami - że objawy Dory były charakterystyczne dla dziewiętnastego stulecia. Dzisiaj się nie spotykamy z neurastenią, bo wyrastała ona z tamtych czasów. Mówi się, że każda epoka ma takie objawy, na jakie zasługuje. Co teraz, na początku dwudziestego pierwszego wieku, doskwiera ludziom?

- Rozpacz - ktoś powiedział.

- Strach - dodał ktoś inny.

- Nierealistyczna, wysoka samoocena - rzuciła jakaś kobieta i wszyscy się zaśmiali.

- Może nieustanne zmęczenie? - zapytała Anne Freling, aktorka, która miała grać panią K.

- Właśnie, Anne, masz rację - zgodził się Nelson. - Nieustanne zmęczenie. Nikt nie jest pewny, czy rzeczywiście jest zmęczony, prawda? Nieustanne zmęczenie, nerwobóle, te niejasne przypadłości mogą być objawem potwornego przeciążenia, brania sobie na głowę zbyt wielu spraw, nieokiełznanej aktywności i wielkich ambicji. Wielozadaniowość; to przecież wytykają nam dzisiaj czasopisma dla kobiet.

Przed końcem próby Nelson zapowiedział, że chce, aby każdy w zespole przeczytał jak najwięcej o życiu postaci, w którą się wcieli w sztuce.

- Dora miała bardzo skomplikowane życie rodzinne - wyjaśnił. - Istnieje szeroka literatura na ten temat, więc proszę, Thea, to będzie twoje zadanie domowe. Chciałbym, żeby te postacie pochodziły z całkowicie innej epoki, ale jednocześnie były w pełni zrozumiałe dla współczesnej widowni. To sztuka o seksualności człowieka i wyparciach, jakich dokonuje. Ludzie, to są ponadczasowe tematy. Nie zapominajcie o tym.

Aktorzy zaczęli wychodzić w małych grupkach, a Thea znalazła się obok Anne Freling. Poczwała się trochę dziwnie, bo wszyscy trzymali się z dala od Anne; osobliwa sprawa, która w jakiś naturalny sposób zrodziła się już na pierwszej próbie. Była spośród nich jedyną znaną aktorką; przez dziesięć lat grała w serialu telewizyjnym opowiadającym o zaprzyżądzonej grupie dwudziestolatków, którzy, w co trudno uwierzyć, odziedziczyli mieszkanie na Park Avenue. Kiedy trzy lata temu *Classic 6* spadło z hukiem z anteny, kilku aktorów z sześciuosobowej serialowej obsady próbowało jeszcze podtrzymać w telewizji gasnące kariery, ale przypominało to rozniecanie płomieni wilgotną podpałką. Wszyscy jak jeden mąż należeli do tamtego niedorzecznie wielkiego, fantastycznego mieszkania i żadnego innego miejsca. Wkrótce, jeden po drugim, zaczęli się wykruszać z ciasnego i zwykle krótkotrwałego światka telewizyjnych sław.

Anne Freling potrafiła się z tym uporać. Zamiast się pojawiać w reklamach, by ugryźć kawałek soczystej pizzy lub przeżuć tabletkę calcium, jak robiło to dwoje innych aktorów z jej grupy, Anne poszła do teatru. Obsadzano ją w niedużych, ciekawych przedstawieniach, które traktowano poważnie i recenzowano w prasie. Anne Freling była typem samotnika, miała grubo ponad trzydzieści lat, była jasnowłosa, blada, trochę za

bardzo wychudzona, i zawsze miała przy sobie butelkę wody mineralnej Poland Spring - wszystko to robiło duże wrażenie na pozostałych aktorach, bo kojarzyło im się z sukcesem zawodowym.

Wychodząc z teatru, obok wiszących nisko reflektorów i opartych o ścianę dekoracji, Anne rzuciła wzrokiem w kierunku Thei i powiedziała „Kawa?“, co w pierwszej chwili Thea odebrała jako prośbę, by poszła jej kupić kubek kawy. Ale nie, to niemożliwe. Szybko zrozumiała.

- Jasne - odpowiedziała po krótkiej chwili, starając się ukryć zdziwienie.

Weszły do restauracji Chelsea Delight, gdzie Thea z nerwów zamówiła kawę i ryżowy pudding, co chyba rozbawiło Anne Freling.

- Jeszcze nie widziałam, by ktoś zamawiał ryżowy pudding - powiedziała Anne. - Nigdy. Po prostu nigdy.

- Akurat mam takie łaknienie.

- Nigdy też nie słyszałam, by ktoś mówił „mam łaknienie“.

- Cóż, jestem kobietą pełną niespodzianek - odparła Thea, podrażniona natychmiast dziwnością własnej uwagi, jakby nie były to jej słowa, lecz dialog jakiejś komedii salonowej.

- Pomyślałam, że może powinnyśmy się spotkać i przeciwzyć parę scen razem - zaproponowała Anne. - Na przykład scenę z piknikiem, kiedy Dora po raz pierwszy spotyka panią K. Wydaje mi się dość drętwa.

Thea próbowała okazać niewielkie zainteresowanie propozycją, ale kiedy w następnym tygodniu stanęła rano w progu mieszkania Anne, by wspólnie ćwiczyć role, przypomniała się jej jej pierwsza randka z Michaelem. Poszli wtedy do jakiejś wietnamskiej restauracji w centrum miasta, gdzie pili piwo, jedli pachnący czosnkiem makaron z głębokich miseczek i opowiadali o sobie we wszystkich szczegółach. Michael mówił o rodzicach, Boże, tych szalonych, opętanych seksem, choć kie-

dy poznała ich osobiście, okazali się zwykłymi, sympatycznymi, starszymi już ludźmi z suburbiów. Trudno było sobie wyobrazić, że stanowili niegdyś seksualną forpocztę, a jeszcze trudniej, że owocem ich związku jest właśnie Michael. Bo chociaż był atrakcyjnym mężczyzną, silnym i dobrym w łóżku, przynajmniej na początku, to nigdy nie zachowywał się spontanicznie i nie miał poczucia wolności. W zamian opowiedziała mu własne historie, bardziej przyziemne, o życiu w miasteczku Marblehead w Massachusetts i ojcu, który był tam weterynarzem. Potem poszli do jego mieszkania w wysokim wieżowcu na Amsterdam Avenue, gdzie uświadomiła sobie, że nie miała dotąd wśród znajomych nikogo, kto żyłby na takim poziomie - do tej pory znane jej były tylko ubogie mieszkanka aktorskiej braci, w których sama też przemieszkiwała, wszystkie te wspólnoty w enklawie dominikańskiej na Washington Heights, czy głębiej, w zakopconym brzuszysku Brooklynu, w dzielnicy Fort Greene albo Red Hook. To było coś absolutnie innego; czyściutka, ładna kawalerka Michaela z wielkimi, nieotwieranymi oknami, z których rozpościerał się widok na miasto i na rzekę, do tego onyksowe blaty w kuchni i lśniąca łazienka.

Był przystojny, inteligentny, trochę zagubiony i samotny, i już tamtej pierwszej nocy wiedziała, że będzie chciał ją osadzić w swoim życiu, bo takiej kobiety jak ona nie spotka w biurach firmy Dimensions D-Net. Wiedziała też, że sama bardzo chce, aby Michael osadził ją w swoim życiu. Po seksie, który tamtego pierwszego razu był miły i fascynujący, nawet jeśli nie spełniał standardów książki jego rodziców, Thea spała lepiej niż kiedykolwiek w życiu. Może to kwestia pościeli, która miała bodaj milion nitek na centymetrze kwadratowym, a może to Michael Mellow, który był jak leżący u jej boku potężny, przynoszący ukojenie kamień modlitewny. To było dawno, przed jego depresją, przed Proviva i przed problemami w łóżku.

Anne Freling również miała ładne mieszkanie, choć się

różniło od mieszkania Michaela. Znajdowało się w okolicach Gramercy Park, w starej kamienicy z odźwiernym, z kwiatową sztukaterią pod sufitem i kominkiem z różowego marmuru o drobnych żyłkach. Thei wcale nie ucieszyło to, czego się nagle dowiedziała o sobie - że przyciągają ją pieniądze i idąca z nimi w parze wystawność - ale kiedy szła przez foyer, a potem weszła po niskim stopniu do wykwintnego salonu (już samo słowo „wykwintny” trąciło bogactwem), czuła, że bezwolnie zmierza ku czemuś nieuniknionemu niczym lunatyk. Anne dorobiła się wszystkiego na *Classic 6*; w pokoju znajdowały się w różnych miejscach fotografie aktorów z tamtego serialu, uchwyconych w czasie pełnym nadziei, zanim jeszcze zniknęli z widoku i stali się znowu szarymi obywatelami.

Kobiety siedziały na białej, niskiej kanapie i odgrywały scenę pikniku. Anne miała rację; odejście od zimnego, gołego teatru, od aktorów i płaczących się wszędzie członków zespołu, nadawało odgrywanej scenie intymność. Teraz każdy werset dialogu niósł się po pokoju swobodnie i można było wychwycić każdą fałszywą nutę.

Dora i pani K. były bliskimi przyjaciółkami; Freud, zakończywszy psychoanalizę młodej, znerwicowanej pacjentki, zaczął pisać o biseksualizmie. Kobiety w tamtym czasie i miejscu, jak dowiedziała się Thea, chodziły w białe w muśliny i krochmaloną bawełnę, musiały siedzieć prosto, jakby połknęły kij od miotły, i zaplatać z tyłu włosy lub zaczesywać je tranem, żeby nie opadały na twarz. Nosiły buty, których sznurowadła przechodziły przez setkę oczek, oraz gorsety, które trzeba było rozpinać specjalnym haczykiem. Dotyczyło to wówczas wszystkich kobiet - nie tak jak dzisiaj, gdy doświadczenia jednej kobiety mogą się tak bardzo różnić od doświadczeń drugiej, że człowiek nigdy nie wie, z kim rozmawia.

Thei Herlihy nic nie łączyło z Anne Freling. Dawna aktorka telewizyjna wydawała się zawsze pewna siebie i trochę drażli-

wa. Regularnie chodziła do kręgarza w związku z utrzymującymi się bólami szyjnymi. Była po rozwodzie, była zamożna i miała mnóstwo czasu. Thea była młodsza, radośniejsza, nigdy jeszcze nie osiągnęła prawdziwego sukcesu, nigdy nie zarobiła dużych pieniędzy, i dopóki Michael nie wyjechał do Naples, od dobrych dwóch lat nie była sama.

Michaela wszakże nie było i Thea prawie mogła przed sobą udawać, że jej życie nie różni się zbyt od życia Anne Freling. Pod nieobecność Michaela bez trudu mogła się umówić na prywatną próbę teatralną w ciągu dnia, a nawet wieczorem, i nikomu nie musiała się z tego tłumaczyć. O ile na początku była zła na przeciągającą się wizytę Michaela u ojca, o tyle teraz zaczęła sobie zdawać sprawę, że ta złość była wymyślona, pochodziła z jakiegoś atawistycznego źródła, w którym kobiety od zawsze wzbudzają w sobie złość na mężczyzn z powodu ich bezmyślnych zachowań. Jak przez mgłę zobaczyła własną matkę stojącą w progu ich domu w Marblehead, czekającą w poczuciu słuszności na ojca, który spóźnił się do domu bitą godzinę. Choć usprawiedliwienia weterynarza wydawały się niepodważalne - a to klacz się ożrebiła, a to sznacuer wpadł pod samochód - matka zawsze się piekliła, czuła się dotknięta, uważała, że ma rację, i wyciągała w kierunku ojca miszkę zaroodporną z fasolką szparagową, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz? Widzisz?“, jakby już od samego spojrzenia na miszkę, ojciec miał poznać, że jest zimna jak lód.

Choć Michael wcale wiele od niej nie wymagał, to jednak coraz silniej docierało do Thei, że jego nieobecność przynosi ulgę. Seks stał się ostatnio trudny - czy tylko dlatego, że istniał konkretny problem między nimi, coś, z czym po prostu trzeba się uporać? Problem wracał za każdym razem, kiedy szli do łóżka, coraz cięższy i większy. Miała dwadzieścia osiem lat; za mało na problemy seksualne. Za każdym razem starała się doprowadzić Michaela do orgazmu, zawsze czując przy tym

jakieś wewnętrzne zniecierpliwienie i pragnienie, by sprawy wreszcie się potoczyły swoim torem. Wiedząc, jak trudno Michaelowi osiągnąć orgazm, Thea zdawała się go wymuszać: rzucała się gwałtownie na jego penisie i ciągnęła go, jakby był jakimś przedmiotem zaklinowanym w kratce odpływowej.

Jego niepowodzenie również ją przygnębiało, bo przecież nie chciała, żeby cierpiał. Musiała jednak przyznać, że gdyby to tylko od niej zależało, nie poszłaby z nim do łóżka, dopóki ten problem nie zniknąłby z ich życia raz na zawsze. Po co uprawiać seks, jeśli stanowi problem? Czyż w seksie nie chodzi przede wszystkim o wolność, zapomnienie i odprężenie? O to, by dwa ciała połączyły się ze sobą jako ciała i aby się nie zamartwiać neurotycznymi zapaściami psyche? Najwyraźniej nie. Najwyraźniej problemy przenikają również w sferę seksu i jeśli się kocha drugą osobę, jak Thea kochała Michaela, to tak czy owak trzeba sobie z nimi dać radę. Musisz się rzucać na penisie, dopóki ten <się nie wyrwie z kraty, dopóki mężczyzna, do którego jest przymocowany, nie będzie w stanie się zatracić w rozkoszy i dopóki oboje nie będziecie wreszcie mogli odechnąć z ulgą i zasnąć w spokoju.

Michael miał od niej lepsze serce, bo gdyby role się odwróciły, nigdy nie odczułby wobec niej zniecierpliwienia. Marzyła sobie, że kiedy wróci z Florydy, jego skóra będzie miała złocistą opaleniznę, będzie pachniał olejkiem kokosowym i natychmiast się zatopią w kipieli gorących namiętności, a on wytryśnie po dwóch sekundach i będą się potem raczyć ogromną porcją lodów, i będą żartować do późnej nocy, aż w końcu zasną. Seksualne problemy Michaela w jakiś tajemniczy sposób miałyby się same rozwiązać podczas jego nieobecności, jakby spędzenie czasu z ojcem mogło załatwić kłopoty w łóżku, nie wspominając o tych większych kłopotach.

Takich na przykład, że nie kochała go już tak mocno jak kiedyś.

Napisała do niego list, w którym próbowała poruszyć te sprawy w jak najmniej drażniący sposób. Odniosła się zarówno do „problemu”, jak i do własnego „nabierania dystansu”. List przypominał jej instrukcję obsługi jakiegoś urządzenia; bardzo techniczny, wyzbyty liryki. Nie mówił wiele, ale słał jakieś zawołane ostrzeżenie: „Jeśli uważasz, że między nami wszystko w porządku, to się mylisz”.

W odpowiedzi Michael zadzwonił z Florydy, ale nie wydawał się specjalnie nasrożony. „Wiem, o czym myślisz - powiedział. - Damy sobie radę”. Jakby urządzenie się po prostu zepsuło, potrzebowało wymiany jakiejś części, ale nie było to szczególnie pilne.

Coś się zmieniło, widzieli to oboje, coś z biegiem czasu się zwarzyło, coś, co działo się między nimi jeszcze przed jego wyjazdem. Może chodziło tylko o to, że wpadł w depresję i musiał zażywać Provirę. A może wpadł w depresję i musiał zażywać Provirę, bo dostrzegł jakąś subtelną zmianę w miłości, jaką do niego żywiła. Może to nawet wyczuwał, ale nie miał dość odwagi, by z nią o tym porozmawiać.

- Zagrajmy tę scenę jeszcze raz od początku - powiedziała Anne Freling, a Thea była wdzięczna, że może myśleć wyłącznie o Austrii końca dziewiętnastego wieku, zasadach freudyzmu, a przede wszystkim, że niespodziewanie zainteresowała swoją osobą Anne Freling. - Dora miała obsesję na punkcie pani K. - mówiła Anne. - Otaczała ją nabożną czcią. Podobnie jej ojciec. Nic dziwnego, że pani K., będąc tak przez nich uwielbiana i adorowana, w końcu zwariowała. Któż by nie zwariował? Boże, to to samo, co występować w telewizji. Ludzie cię uwielbiają, choć w ogóle cię nie znają. Budują sobie w głowie twój obraz, wiesz? Potem ten obraz zagnieżdża się w nich na stałe i nic nie może go zmienić.

Kiedy Anne mówiła, uśmiechała się z zaciśniętymi ustami, jakby chciała przy tym pokazać własną odwagę, że kiedyś

umiała się cieszyć sławą, w każdym razie w światku telewizyjnym, a potem umiała ją utracić.

Kiedy skończyły próbę, Anne zaproponowała Thei lunch i wyciągnęła z szuflady pęk rozmaitych ulotek z potrawami na wynos. Zdecydowały się na sałatkę nicejską. Anne osobiście zapłaciła chłopcu, który przywiózł jedzenie i który z przestraszeniem w oczach zniknął błyskawicznie na schodach. Anne rzeczywiście wzbudzała strach w każdym, kto z nią przebywał. Thea czuła, jakby trochę z jego nadmiaru przelewało się również na nią, i wcale nie było to nieprzyjemne.

Siedziały przy dużym, dębowym stole w salonie, jedząc lunch z okrągłych, aluminiowych pojemniczków i wypluwając raz po raz pestki oliwek. Anne podała butelki z wodą, którą, jak zauważyła Thea, sama pochłaniała w tak zawrotnym tempie, jakby od miesięcy mieszkała na pustyni. Po lunchu wróciły na kanapę, gdzie kontynuowały próbę. Thea poczuła jakiś przypływ energii, nawet lekkie podniecenie. Zaczęły żartować z Anne, sypiąc powiedzonkami o „biednej Dorze, która nie wie, co się wokół niej dzieje”, i o „tej seksbombie pani K.”

- Chwila, chwila - wtrąciła Anne. - Wiesz, Dora potrafiła manipulować ludźmi. To cała istota takiej choroby: pozwala chorej osiągnąć to, czego ona pragnie, a czego nie potrafi osiągnąć w żaden inny sposób.

- Nie wiedziałabym, jak manipulować ludźmi - powiedziała Thea z kamienną twarzą, a Anne roześmiała się z cichym parsknięciem.

- Akurat! Słyszałam coś zupełnie innego.

- Co? Gdzie mogłaś cokolwiek o mnie usłyszeć? - zdziwiła się Thea.

- Czytałam co nieco o tobie w „Miesięczniku Upadłego Teatru Eksperymentalnego”, byłaś na okładce.

Thea prawie pisenęła z zachwytu, zauroczona tym, że znana aktorka ma całe ukryte pokłady dobrego poczucia humoru.

- Tak, pamiętam tę okładkę - powiedziała Thea, czując, jak w niej podniecenie narasta. - To było moje zdjęcie ze spektaklu *Łysy sopran*.

- Doprawdy, z włosami bardziej ci do twarzy - powiedziała Anne Freling.

I wtedy, zanim nastąpiła pauza, której nie można było cofnąć, zanim nastąpił między nimi nowy ruch w zupełnie innym kierunku, Anne wyciągnęła rękę, położyła ją na włosach Thei i zanurzyła w nich palce, jakby chciała sprawdzić ich gęstość i grubość.

Kiedy Anne się zbliżyła i pocałowała Theę, Thea wyobraziła sobie ten widok z innej perspektywy, jakby rzeczywiście była to odgrywana scena, coś, co oglądają inni ludzie, coś, co nazajutrz będzie omawiane na spotkaniu w teatrze. „W moim przekonaniu obie były bardzo gorące”, ktoś powie, a ktoś inny doda: „Miałem ochotę zobaczyć, jak to robią, to znaczy jak naprawdę to robią, wiecie, rzeczy zdjęte i rzucone na kanapę”.

Tak, rzeczy będą zdjęte, będą leżeć w dwóch podobnych małych przyrmach, ale widowni tym razem nie będzie. Anne przyszła do niej na czworakach, jak kot z łagodnymi pazurkami, Thea została przez nią jakby przyszpilona i spojrzała w górę. Włosy Anne opadły na jej twarz i Thea natychmiast wyczuła rozmaite elementy kobiecej czystości: mydło, krem, zapach dłoni i szyi, które uwalniają się z całą mocą w chwilach stresu i gorąca.

Nawet szkoda, że brakuje wyimaginowanej widowni, myślała Thea, bo to jest tak bardzo... estetyczne. W tym tkwi istota rzeczy, gdy dwie piękne kobiety uprawiają miłość. Najpierw można umrzeć od tych delikatności, smukłych dłoni, ciał ukształtowanych przez jogę, subtelnych błysnięć cienkimi łańcuszkami ze złota lub perłowym lakierem na paznokciach u stóp. Seks między dwiema kobietami przywodził jej na myśl bardzo ekskluzywny klub - aby się do niego dostać, trzeba tak właśnie

wyglądać i szanować siebie, i drugą osobę, i czuć wielką ulgę, że nie wpuszczono tu nikogo innego.

Mimowolnie Thea pomyślała: Przepraszam, Michael, ale to nie dla ciebie.

A może było to coś w rodzaju: Przepraszam, Michael, nie jestem dla ciebie.

Tylko podskórnie czuła skruchę z powodu swojej niewierności, a zarazem jej akceptację, bo czyż takich uczuć miałyby nie przyćmić kocia lekkość Anne Freling i myśl, że jej dotyka? Zatracona w chwili Thea nie traciła jednak pewności, że Michael by ją zrozumiał. Prawdę mówiąc, musiał zrozumieć, bo nie będzie potrafiła już się wycofać, będzie chciała chodzić z Anne do łóżka, kiedy tylko się da. Kochanie się z drugą kobietą było odurzające, było wchłanianiem wszystkich jej powierzchniowych aromatów, dopóki nie dotarło się do tego, co jest w środku, mokrego wnętrza - niepokornego i żywego - dopóki się nie zobaczyło, ku własnemu zaskoczeniu, że się tego również pragnie.

Nic nie poradzisz na to, że w pewnej chwili uświadamiasz sobie nieobecność penisa, tej wielkiej błagi, zawsze pojawiającej się w odpowiednim momencie, ciągle dającej o sobie znać. Tej rzeczy, która w przypadku Michaela spisywała się niezbyt dobrze, więc trzeba się było zatrzymywać, dodawać otuchy, być miłą i uprzejmą. Ale teraz nie ma potrzeby być uprzejmą, ulegać instynktom macierzyńskim i pocieszać w swoich ramionach dużego, muskularnego, sfrustrowanego mężczyzny. Zupełnie jakby Anne nie dawała jej możliwości zatrzymania się i pożałowania lub zatrzymania i delikatnej zmiany tonu, który obie zdążyły już przybrać. Były nagie, zdawałoby się gładkie jak aksamit, o podobnym odcieniu cery, przypominającym kolor eleganckiej papeterii. Anne trzymała otwartą dłoń między udami Thei, a Thea, podniecona i rozkojarzona, pozostawała uległa, otwarta na Anne, na samą Anne, i wyda-

wała z siebie głosy, jakby westchnienia, ale bardziej natarczywe, i myślała, że tak wyglądałby niespodziewany kres jej życia - tyle że było dużo za wcześnie, by jej życie miało dobiec kresu. Poczwała, jak wchodzi w nią palec; kobiety przecież mają palce i tu włączyły się one do akcji. Przez chwilę pomyślała o tamtej zdumiewającej książce rodziców Michaela na temat seksu, którą oglądali na początku znajomości. Znajdowała się tam pewna szczególna ilustracja, na której, w pełnym przybliżeniu, ręka ojca spoczywała na matce - był to chyba najbardziej szokujący rysunek w książce, użyty bowiem w taki sposób palec przeniesiony został ze świata rzeczy użytku codziennego, mycia rąk, siekania warzyw, trzymania długopisu, grania na fortepianie i tak dalej, i dalej, w świat kontaktu i eksploracji, i oczywiście w świat rozkoszy.

Thea czuła, jak zaciska szczęki, jak zwierza palce u stóp, nie potrafiła się powstrzymać od tych znajomych odruchów; były w niej zakodowane. Anne, nieco później, zareagowała podobnie i Thea dostrzegła w tym zatrwającą możliwość wyobrażenia siebie, jak wygląda, kiedy przeżywa orgazm, zobaczenia tego, co widział Michael i co przed nim widzieli inni mężczyźni. A kiedy to zobaczyła, coś ją uniosło dalej, w przedziwny zachwyty i onieśmienie kobiecym ciałem - które przywiodło jej teraz na myśl zjawę zwiastującą śmierć, z jej gardłowym zawodzeniem, mokrym wnętrzem, zaciśniętymi ustami i palcami u stóp jak u mieszkańca drzew. Tak właśnie wyglądała; ale to zadziwiające, ujrzeć ten widok.

Orgazm, który dała jej Anne Freling, w niczym się jednak nie różnił od orgazmu z Michaeliem czy przystojnymi aktorami, z którymi wcześniej Thea przez parę lat chodziła do łóżka; najwyraźniej wszystkie orgazmy łączy pewna identyczność, niezależnie od tego, czy dają go mężczyźni, czy kobiety. Bez wątplenia oba doświadczenia różniło nasilenie głosu, decybele podniecenia, a potem dojście do siebie. Orgazm jest doświad-

czeniu podstawowym, powszechnym, i ten, który właśnie się miało, był dokładnie taki sam jak te, które w tym samym momencie mieli ludzie na całej kuli ziemskiej. W jakimś sensie nie różni się od śmierci, bo bez względu na to, jakie się wie dzie życie, ten wielki koniec jest zawsze taki sam. Uprawianie miłości z kobietą, podobnie jak samo życie, daje możliwość wzajemnej podniety, olśnienia i fascynacji, która nie wymaga godzenia różnic. Możesz być podobna, nie musisz stanowić dopełnienia. Nie ma owłosionych postawionych przeciw nieowłosionym, nie ma wyrazistego kontrastu przynoszącego oczarowanie. Nie musisz się troszczyć o drugą osobę, nie musisz próbować rozwiązywać jej problemów, choć możesz, jeśli zechcesz.

Thea podejrzewała, że Anne Freling nie trapią tak poważne kłopoty jak Michaela. Anne miała gładkie, wyniosłe czoło, niepoorane zmarszczkami zmartwień; jej potrzeby były zaspokajane gdzieś indziej, w gabinecie kręgarza, na zajęciach jogi prowadzonych w okrutnie nagrzanym sali, na warsztatach teatralnych z ponaddziesięcioletnią Senyą Orloff, legendarną nauczycielką aktorstwa, która nosiła na głowie staromodne zawoje.

Thea zastanawiała się, czy Anne kiedykolwiek będzie czegoś od niej potrzebowała, czy też to, co mogą wspólnie, sprowadzi się tylko do wzajemnego poznania, zaspokojenia namiętności i zachwyty nad cielesnością. Jeśli się pozwoli na coś więcej, może nastąpić silna, ciężąca bliskość, z rodzaju tych, które łączyły ją już z wieloma koleżankami. Z rodzaju tych, których mężczyzna nie rozumie. Mężczyźni działają, a kobiety rozmawiają, rozmawiają i rozmawiają. Myśl, że z Anne Freling można na okrągło rozmawiać - wyrzucając gorzkie żale, dzieląc się sekretami, a nawet popłakując - miała w sobie coś z kiepskiego zagranicznego filmu. Ale zaraz dotarło do Thei, że dzisiaj rozmawiały przecież zaskakująco niewiele.

- Muszę już iść - powiedziała w końcu Thea.

Żadnej z nich nie chciało się dłużej wylegiwać na białej kanapie, która stała się ich łóżkiem. Teraz będzie musiała nastąpić przemiana, trzeba będzie wstać, ubrać się, przyjąć do wiadomości seks i zobaczyć, jak będzie wyglądał teraz, jako myśl dryfująca w powietrzu.

- Dobrze - odpowiedziała Anne Freiling, z delikatnym uśmiechem na ustach, i zapytała Theę, czy czegoś potrzebuje.

- Na przykład czego?

- Nie wiem - odparła Anne. - Ręcznika. Czegoś do picia. Czegokolwiek.

- Nie. Niczego mi nie trzeba.

Ubrały się, z jakichś powodów odwrócone do siebie tyłem, potem pocałowały się w policzek, jak w Europie, jakby nie były niespodziewanymi kochankami, a potem Thea wyszła bez słowa, w pośpiechu, wprost na Irving Place, i przecięła Gramercy Park z jego ozdobnym, metalowym ogrodzeniem, z kopczykami drobnych liści wystających spod szronu, i z chmurą nian i małych dzieci w zimowych płaszczykach, obojętnych wobec miłości, seksu, wyboru kogoś dla siebie i wobec wszystkiego, co jeszcze je czekało w życiu.

W domu na automatycznej sekretarce miała wiadomość od Michaela. „Cześć, Thea - mówił. - Przysięgam na Boga, że jeszcze egzystuję. Wiesz, ojciec i ja, teraz Dash i jego choroba, chyba będzie lepiej, jeśli zostanę tu jeszcze co najmniej...”

Thea zniecierpliwiona wyłączyła sekretarkę, choć nagranie jeszcze się nie skończyło. Dotarł do niej jego sens; wiedziała, co Michael ma do zakomunikowania. To samo, co w poprzednich telefonach. Jest na Florydzie, zostanie tam jeszcze i na razie nie wraca do domu. Podniosła słuchawkę i wybrała numer do Anne, który pamiętała z listy kontaktowej aktorów występujących w ich sztuce.

- To ja - powiedziała, ciesząc się nową znajomością i tym, że zajmowała w tej chwili centralne miejsce w świadomości Anne Freling; na środku w pierwszym rzędzie, w miejscu przynoszącym radość, jak główna rola w przedstawieniu, nawet jeśli nikt nie kupował na nie biletów. - Chciałam ci powiedzieć, że nie musisz się z tym czuć dziwnie. Bo ja tak się nie czuję.

- Naprawdę?

- Tak.

- Hm, dobrze wiedzieć.

- Chciałabym wrócić - dodała Thea. - Mogę przyjść dzisiaj wieczorem? Mogłabym?

- Oczywiście - odparła Anne. - Mamy przecież trochę pracy, Nelson nas o to prosił, prawda? Musimy poczytać o chorobie Dory, o jej ojcu i o pani K., i w ogóle o życiu w Austrii na przełomie wieków. Więc lepiej bierzmy się do roboty.

Zaśmiały się serdecznie.

Rozdział ósmy

W ciągu następnych tygodni Claudia Mellow kilkakrotnie wracała do Wontauket filmować dawnych nauczycieli, a kiedy była tam za czwartym razem, przy wywiadzie towarzyszył jej David Gupta. Od czasu spotkania w domu na Swarthmore Circle, kiedy niemal zemdłała u jego stóp, regularnie wysyłali do siebie e-maile. Claudia powoli zaczynała wierzyć, raz słabiej, raz mocniej, że David Gupta z nią flirtuje. Jeśli jednak flirtuje, to z pewnością zapomniał, jaką Claudia jest osobą, z pewnością zastąpił w wyobraźni jej niedoskonałe, przysadziste, piersiaste „ja” kimś lepszym. Dla Claudii nie miało znaczenia, że David nie jest ustabilizowany ani specjalnie przystojny. Ona nie zapomniała, kim jest; wciąż miała przed oczami jego śniadą, zaciekawioną twarz blisko swojej, kiedy kłęcząc przed nią na dywanie, w pokoju, w którym sama niegdyś mieszkała.

Pierwszego e-maila wysłał do niej jeszcze tego dnia, kiedy się poznali, by zapytać, czy doszła do siebie po tej, jak to nazywał, „szatańskiej, rytualnej, odurzającej kłątwie przywracania pamięci”, a ona odpisała, że tak, jak najbardziej, po czym stwierdziła, że na tym zapewne ich znajomość się skończy. Trzy dni później w skrzynce odbiorczej czekała na nią kolejna wiadomość od Davida. „Zauważyłaś kiedyś, że podłoga w moim/twoim pokoju jest nierówna? Jak u van Gogha, *Pokój w Wontauket*”. Wymiana e-maili nabrała dynamiki, pisała do niego między zajęciami z filmu a godzinami spędzonymi

w montażowni, teraz zaś jechała do Wontauket na spotkanie z ostatnim z nauczycieli i tym razem David pójdzie z nią.

Nie Claudia wpadła na pomysł, aby David jej towarzyszył, kiedy jednak zaproponował, że pojedzie z nią i pomoże jej wyładować i przenieść ciężki ekwipunek, zgodziła się od razu. Dzisiejszy wywiad był umówiony daleko od szkoły. Claudia miała odwiedzić swojego nauczyciela z ostatniej klasy, wytwornego pana Eda Stanton, który wówczas, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku, jeździł srebrzystoniebieską corvetta i nosił syntetyczne koszule w sorbetowych kolorach, idealnie wpasowujące się w doliny i równiny jego potężnej klatki piersiowej. Miał również sumiaste, zakręcone wąsiska, a na zakończenie roku szkolnego wszystkie dzieci złożyły się i kupiły mu w prezencie zestaw do pielęgnacji wąsów. Był szczerze wzruszony, siedział na skraju biurka i bez końca obracał prezent w rękach. „Nigdy was nie zapomnę, chłopcy i dziewczęta” - powiedział w końcu, a niektóre z dziewcząt zaczęły płakać. „

Claudia pamiętała, że też była wśród tych płaczących, i wiedziała, że czas się nigdy nie zatrzymuje, nawet dla tak młodych i niezwykłych osób jak pan Stanton. Tamte dni były dla pana Stanton krótką, olśniewającą chwilą, był jak bożyszcze, ale wkrótce, może wcześniej, niż ktokolwiek by się spodziewał, będzie musiał odwieść do szafy obciste koszule, samochód wyda się co najwyżej śmieszny, jeśli nie niebezpieczny, a zestaw do pielęgnacji wąsów okaże się bezużyteczny, bo pan Stanton brutalnie pozbędzie się wąsów i obnaży wgłębienie pod nosem, równie nagie, równie słabe i delikatne jak u każdego innego.

Pan Stanton mieszkał w mniej zamożnej części miasta, gdzie domy stały ciasno jeden obok drugiego, wyzywająco do siebie podobne. Nieopodal znajdowało się wysypisko śmieci - siedlisko osławionych, choć nigdy nieudowodnionych toksyn,

często pikietowane przez zaniepokojone matki z pobliskich domów. Przez krótki, straszny moment Claudia pomyślała o chorobie Dashiella. Przemknęło jej przez głowę, że może przyczyną choroby jest niegdysiejsze wystawianie się Dashiella na działanie toksyn. Przed oczami stanął jej brat, mały, krępy, włóczący się po obrzeżach wysypiska, grzebiący w odpadach wyrzuconych przez innych ludzi.

Dzień wcześniej Dashiell zatelefonował do niej i powiedział, że ten cały Hodgkin zaczął się nagle opierać chemioterapii. Za parę dni był umówiony na pobranie komórek macierzystych do przeszczepu własnego, oczyszczonego szpiku kostnego. Wiadomość spadła na nią jak grom z jasnego nieba. Usłyszana przez telefon była o wiele bardziej bolesna, niż gdyby przeczytała ją w jego e-mailu. Claudia była wstrząśnięta, zdruzgotana, dostała palpacji i w czasie rozmowy z bratem musiała się położyć. „Och, Dash - powiedziała słabym głosem. - Pozwól mi tym razem przyjechać, dobrze? Proszę. Nie bądź taki. Przyjadę tylko ja, sama”.

Nie, powiedział, że nie; wciąż nie pozwoli ani Claudii, ani nikomu z rodziny przyjechać na Rhode Island. Przygotowywał się do transplantacji, przechodził mnóstwo badań, nudził się i denerwował w bezdusznych poczekalniach paru różnych szpitali. Jest z nim Tom, przypomniał Claudii - wcale nie jest sam.

Nie pojechała więc na Rhode Island, martwiła się o brata z daleka, próbując jednocześnie skoncentrować się choć trochę na swoim małym jednorodnym filmowym gnioście, w którym po tyłu tygodniach pracy wciąż brakowało spoistości. Był to raczej występ bezładnej masy gadających do kamery nauczycieli. Claudia nie wiedziała nawet, o co ich pytać, więc dawała im mówić. Podczas jednego z wywiadów nieustannie się włączał szkolny alarm przeciwpożarowy i pani Rook, jej nauczycielka z szóstej klasy, ciągle odwracała wzrok od kamery i bur-

czała, że „ktoś wreszcie powinien coś z tym zrobić”. Ale nikt nic nie zrobił, alarm co kilka chwil przerywał jej wypowiedzi, a Claudia miała już wszystkiego dość.

Tutaj, na szlaku zasnutym oparami z wysypiska Wontauket, stał mały, parterowy, niebieski, dom pana Stanton. Kiedy Claudia i David stanęli pod nim wypożyczonym samochodem, nauczyciel wyszedł na ganek i pomachał do nich lekko ręką.

- Ależ się zmienił - szepnęła Claudia na bezdechu, siedząc wciąż za kierownicą, z włączonym silnikiem, jakby mogła jeszcze zmienić decyzję i szybko odjechać.

- Zmienił się na gorsze, to masz na myśli, tak? - zapytał David, a ona odparła, że tak, zdecydowanie, zdecydowanie na gorsze.

Pan Stanton ostrzegł ją przez telefon, że przed kilku laty przeszedł wylew. Choć już wrócił do sił, to jego twarz wydawała się w połowie uradowana, a w połowie smutna, co bardzo uderzyło Claudię, bo uważała, że w taki sposób powinna się przedstawiać jej własna twarz, jeśliby się odważyła uczciwie pokazać ją światu. „W połowie szczęśliwa” odnosiłoby się do czasów, kiedy była sama, zadowolona i wolna od stresów. Ale w życiu Claudia była „w połowie smutna”, wałęsała się bez celu, spięta wchodziła w miejsca, których językiem nie potrafiła mówić, wpychana tam na siłę przez gardziel dorosłego życia, nadającą jej nowy kształt niczym szpryca do dekoracji tortu. To się działo za szybko, zbyt hałaśliwie, zbyt wymagające. Za każdym razem, kiedy doświadczała chwili prawdziwej zażyłości - kiedy przyjaciółka z czegoś jej się zwierzała: aborcji, początku nowego romansu albo jego gwałtownego zakończenia - Claudia czuła potem potrzebę ciszy i spokoju.

To samo czuła, kiedy pierwszy raz z kimś spała. Z ulgą patrzyła, jak mężczyzna wychodzi do domu. Czasami wracała potem do łóżka i oglądała film z Trącym i Hepburn; szybki

dialog kołł nerwy niczym tykający z daleka rytm. Teraz, mając trzydzieści cztery lata, Claudia czuła, że powinna wejść w głębsze relacje z innymi ludźmi, bo w przeciwnym razie zaczęła myśleć: Dlaczego ta kobieta zawsze jest sama? Dlaczego nie ma chłopaka? Dlaczego z niej taka głupia, tłusta pizda?

Kiedy poznała Davida Guptę, z powodu tej dziwacznej więzi wspólnego domu wcale nie poczuła, by spotkała bratnią duszę lub swoją drugą połowę. Właściwie nawet tam nie mieszkał, bo Guptowie kupili dom, kiedy David był już dorosły. Dom jego dzieciństwa stał gdzieś na przedmieściach Buffalo, z całkowicie innym bagażem wspomnień i skojarzeń. David miał w sobie jakąś moc, której do końca nie rozumiała, lecz która była bardzo pociągająca - jakby był jakimś człowieczym kompletem narzędzi, które doskonale wiedzą, co i w jakim czasie może być Claudii potrzebne: kiedy powinien być cicho, kiedy powinien się zaśmiać, a kiedy wyciągnąć do niej rękę z pomocą - jak teraz, gdy siedzieli w samochodzie przed domem pana Stanton. Nawet jej nie znał, a mimo to był przy niej.

Kiedy odbierała go dzisiaj spod domu, kolejnym wypożyczonym samochodem pełnym sprzętu filmowego, wymienili tylko zdawkowe, sztywne „cześć”, z obu stron jednak przyjęte z widoczną radością. David nie wiedział, czy Claudia nie jest przypadkiem znakomitym filmowcem, prawdziwym twórcą filmów autorskich. Być może towarzyszyć jej oznacza tyle, ile w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym znaczyło wozic sprzęt Francois Truffautowi po Francji i móc do końca życia powtarzać: „Pamiętasz film *Jules i Jimi* Nosiłem wtedy tę kamerę”. Ale David Gupta, co może dziwne, zdawał się nie mieć takich oczekiwań. Przyjechał aż z Filadelfii, żeby zatrzymać się na weekend u rodziców i zobaczyć się z Claudią, toteż z radością siedział teraz obok niej w samochodzie, zadowolony, że chociaż na krótko został wciągnięty w jej projekt filmowy,

z którym nie ma nic wspólnego i którego ukończenia być może nigdy zobaczy.

Mężczyźni jak David zdają się żyć jako koncentraty dobra na ziemi, albo przynajmniej postanowili sobie, że tak się będą prezentować. Zwykle tacy mężczyźni nie są szczególnie przystojni, myślała Claudia, za to stają się pogodni i życzliwi. W swetrze, wyprasowanych džinsach, adidasach i kurtce puchowej David wyglądał bardzo normalnie; jedyne, co się rzucało w oczy, to fakt, że był Pakistańczykiem. Jego ciemna skóra wydawała się delikatna, jakaś obłąskawiona.

Siedzieli trochę spięci w samochodzie, patrząc przez przednią szybę na starego nauczyciela Claudii, mężczyznę o wpółzapadłej twarzy, pana Chipsa lat siedemdziesiątych, z corvetta, kasetami grupy Who i wielką miłością do chłopców i dziewcząt, którzy otaczali go niczym swojego apostoła - a także z nieujawnionym jeszcze wówczas, ukrytym gdzieś w mózgu słabym punktem, który w przyszłości bez ostrzeżenia odetnie nagle dopływ krwi, „po czym pozostanie mu obwisła bezwładnie ręka i twarz niezdolna do wyrażenia uczuć, które teraz, gdy stoi na ganku i spogląda na swoją dawną uczennicę, swoją prymuskę, ściskają go za serce.

- Gotowa? - zapytał David Claudię, a ona odpowiedziała, że tak, i zaczęli rozładowywać sprzęt.

Mieszkanie było ciasne, ale starannie utrzymane; przypominało dużą kajutę mieszkalną na okręcie. Można było odnieść wrażenie, że jest aż za bardzo wysprzątane. Najwyraźniej porządek utrzymywała gospoia. Żadna żona nie dodawała temu miejscu uroku, pan Stanton był bowiem od dawna rozwiedziony; uderzająca nieobecność fotografii w ramach kazała się domyślać, że nie miał dzieci. Claudia usiadła na kanapie i zaproszona poczęstowała się herbatnikami leżącymi na talerzu. Ugryzła ciasteczko i rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu gniazdka potrzebnego do uruchomienia sprzętu.

- Dziwne - odezwał się pan Stanton. - Jeśli chodzi o gniazda elektryczne, mój dom jest... dużym wyzwaniem. Nawet tego wcześniej nie zauważyłem.

Wkrótce cała trójka myszkowała po pokoju, odsuwając krzesła, kanapy i stojące przy ścianach stoliki.

- O, jest - mruknął nauczyciel. - Ale zajęte. Jak w tym filmie, „Nie ma wolnych pokojów”...

W końcu ktoś wpadł na pomysł, żeby z małej łazienki, która sąsiadowała z salonem, poprowadzić przedłużacz. Pan Stanton pociągnął za sobą kabel, a Claudia i David usiedli w salonie i patrzyli, jak kabel wolno się rozwija, niczym wąż budzący się ze snu, napięty nad zielonym dywanem. Po chwili usłyszeli w łazience łomot, a sekundę później okrzyk:

- Cholera jasna!

Zerwali się i rzucili do łazienki, w której drzwiach leżał pan Stanton.

- Przepraszam najmocniej - wyjąkał. - Straciłem równowagę. To mi się zdarza.

Patrzyła, jak David wyciąga w kierunku pana Stantona obie ręce, podciąga go i stawia na nogi, a nauczyciel chwieje się trochę, gdy próbuje stanąć prosto, o własnych siłach.

- Nic się panu nie stało? - zapytał David Gupta.

- Och nie. Dziękuję bardzo.

- To dobrze. Nieźle się pan wyłożył.

David pomógł mu wyjść z łazienki i zaprowadził go do salonu.

- Ma pan kogoś, kto panu pomaga? Kto codziennie do pana przychodzi?

- Nie. Jest tylko pani, która sprząta.

- Wie pan, moi rodzice mieszkają na Swarthmore Circle - powiedział David. - Może mama zna kogoś, kto mógłby czasem do pana zajrzeć. Na pewno zna.

Claudia obserwowała, jak David mówi do pana Stantona,

zaskoczona, wręcz nieco zdezorientowana oferowaną pomocą i siłą, z jaką to robi. Dla odmiany poczuła się jak dawna, mała Claudia, ta z klasy pana Stanton, która siedziała i płakała, wiedząc, że przyszło się rozstać z ukochanym nauczycielem. Wtedy straciła go; każdego roku pojawiał się nowy nauczyciel, a potem gdzieś ginął, ale w tym jednym przedziale czasu, między wrześniem a czerwcem, ten akurat nauczyciel spadał z nieba i ratował dziecko, które tego potrzebowało. Claudia należała do takich dzieci. Przywykła do swojej roli, nie myślała nawet, by ją zarzucić, bo czuła się w niej doskonale i podejrzewała, że ta rola zawsze będzie do niej pasować.

Kiedy weszli do Café Bombaj, w środku panował tłok, ale kelnerzy, którzy poruszali się zwinnie między stołami, panowali nad sytuacją. Ojciec Davida, pan Gupta, dyskretnie krążył po sali, pilnując, by żadnemu z gości niczego nie zabrakło. Claudia nie zauważyła nikogo spośród dawnych mieszkańców Wontauket. Większość rodzin dawno się już wyprowadziła; na ich miejsce pojawili się ci nowi, pełni nadziei ludzie, gawędzący w piątkowy wieczór po pracy nad talerzami z jagnięcą kormą i rajtą.

- Musisz pomóc ojcu? - zapytała Davida, kiedy zaczęli jeść. Zauważyła na twarzy pana Gupty jakieś podenerwowanie, ale David zapewnił, że nie, że ojciec całkowicie nad wszystkim panuje.

- Na pewno woli, żebym odpoczął i dobrze się dzisiaj bawił - dodał. - Ciągłe się martwi, że za dużo pracuję i że trafił mnie jakaś cholera.

- Dlaczego tak myślisz?

David bawił się przez chwilę sztuccami.

- Rok temu musiałem pracować niemal na okrągło, przez krótki czas, ale w dużym stresie, i w końcu miałem napad

lękowy. Myślałem, że to zawał, byłem pewny, że umieram. Przyjaciel zawiózł mnie do ambulatorium w Filadelfii, zrobili mi EKG i powiedzieli, że serce jest w porządku, że to stres. - Wzruszył ramionami. - Co było oczywiście prawdą. Dziś jest dużo lepiej, ale wciąż mam skłonności, by dużo pracować i mało spać. Jakbym nie umiał się wyłączyć. Nie ma przy mnie nikogo, kto by mi to powiedział, więc zwykle zapominam.

- Ja zawsze wiem, jak się wyłączyć - powiedziała Claudia, wyobrażając sobie, jak siedzi przed ekranem i ogląda film, a cienie tańczą przed nią z jednym tylko zadaniem: oderwania jej od świata.

Kiedy zjedli składający się z wielu dań wegetariański obiad, opowiedzieli sobie parę szczegółów ze swojego życia i wymienili kilka spostrzeżeń ze spotkania z panem Stantonem. Mówili o tym, jak szybko płynie czas, co się dzieje z ludźmi, których się długo nie widzi, i o tym, ile jest w życiu niesprawiedliwości, przybierającej różne formy, by móc wpasować się w ciało na przykład takiego byłego nauczyciela, który musi ćwiczyć mięśnie ręki, ściskając gumową piłeczkę, i który przewraca się w łazience, próbując wcisnąć wtyczkę do gniazdka.

- Chciałam zrobić ten film, bo szkoła podstawowa to dla mnie czas, kiedy byłam szczęśliwa - powiedziała Claudia. - Wcale nie chciałam szukać całego tego tragizmu, ale, widać, sam się znalazł.

- Gdzie ten tragizm? U nauczycieli? Dlaczego?

- Bo zostali w tym samym miejscu, a my poszliśmy do przodu.

David potrząsnął głową.

- Wcale nie zostali w tym samym miejscu. Sądzę, że szkoła nie była dla nich wszystkim, jak była dla ciebie. Ich życie sięga dalej, mam nadzieję. Mają swoje tajemnice. Swoje romanse. Podróże. Rodziny. Nie chciałbym cię urazić, Claudio, film na pewno uda ci się znakomicie, ale powiedz, dlaczego uważasz,

że twoje życie jest bogatsze? Nawet nie bardzo wiem, co może znaczyć „iść do przodu”. Kto idzie do przodu? Wydaje mi się, że tragizm to pojęcie bardziej ogólne, niż sądzisz. Istnieje w życiu każdego z nas.

Miał rację, Claudia odwróciła głowę zawstydzona.

- Wiem. Rzeczywiście bardzo to uprościłam - powiedziała. - Przepraszam. Ale kiedy pan Stanton zaczął opowiadać o swojej ostatniej lekcji, o tym, jak nie wiedział, że to będzie jego ostatnia lekcja, bo nie wiedział, że w drodze do domu dopadnie go wylew, ogarnęło mnie uczucie, że nie powinnam była tutaj przyjeżdżać i kręcić filmu, ani z nim, ani z nikim innym.

- Czego się po nich spodziewałaś?

- Nie wiem. Anegdot o latach siedemdziesiątych. Ludzie chętnie wracają do tamtych czasów. Wydaje się, że to było tak dawno. Ten optymizm, to „Miłego dnia!” te ciuchy, które wszyscy nosili, to, jak wyglądali wtedy nasi rodzice, no, w każdym razie moi... - dodała.

- Dlaczego twoi?

David nie miał pojęcia, kim są jej rodzice, być może nigdy o nich nie słyszał.

- Napisali książkę - zaczęła, a kiedy wymieniła tytuł, David natychmiast wiedział, o co chodzi.

- Tak, tak, pamiętam tę książkę - powiedział, wrzucił sobie do ust resztkę warzywnego pierożka i zaczął przeżuwać z zacięciem. - Och, ciekawe, więc to twoi rodzice, hm? Musiałaś bardzo to przeżyć, co?

- Tak, chyba tak - odparła Claudia i nagle coś sprawiło, że pociągnęła ten temat. - Na początku byłam za mała, żeby zrozumieć, co to w ogóle było - powiedziała. - Ale moi bracia i siostra przeżyli szok. Dopiero później, kiedy podrosłam, zdałam sobie sprawę z tego, co się stało, i rozumiałam, że książkę, którą oglądałam w domu, oglądali też inni ludzie, że ta

w domu nie była jednym jedynym egzemplarzem, że było wiele innych, w przeróżnych językach, że miliony ludzi na całym świecie widziały obrazki, na których się pieprzą moi rodzice, i że w ogóle nie może z tego wynikać nic, ale to nic dobrego.

- Może nie dla ciebie. Innym jednak ta książka dużo dała - powiedział David. - Zawsze słyszę, że zmieniła życie seksualne wielu ludzi, otworzyła ich.

- Och, tak. Tak mówią - przyznała Claudia. - Ale jakoś nie widziałam, by seks zmienił czyjeś życie. W każdym razie nie osobiście.

- Rzeczywiście wymyślili tę nową pozycję?

Naraz wszystko się odwróciło; zadziwiająco łatwa i przyjemna pogawędka z obcą osobą zamieniła się dla Claudii w sztywną konwersację na temat, na który najchętniej by nie rozmawiała. W tej chwili z głośników w restauracji popłynęło niosące zawrodość jakiejś indyjskiej pieśniarki i gwałtowne, metaliczne uderzenia saggatów.

- Tak - powiedziała w końcu. - Pewnie zrodziła się z miszmaszu, jaki powstał w trakcie ich eksperymentów i lektur. Część pomysłów zapożyczycieli z *Kamasutry*, właściwie je ukradli, a część ze sztuki erotycznej starożytnych Chin. Ta pozycja miała ucieleśnić uczucie wzburzenia... hm, upustu złości, czy czegoś w tym rodzaju. Pamiętam, jak kiedyś w telewizji, to było chyba w programie Kena Londona *Nocny marek*, powiedzieli, że to pozycja, którą z najlepszym skutkiem można wykorzystać po chwilach kłótni. Cóż, w ich wypadku skutek był raczej mizerny. To oczywiste.

- Dlaczego oczywiste?

- Mama zostawiła ojca - wyjaśniła Claudia. - Dwa lata po ukazaniu się książki.

- Och, to musiał być dla was wstrząs.

- Dla mnie, owszem. Także dla ojca. Mama się w kimś zakochała, choć dotarło to do mnie dopiero po latach. To zna-

czy nikt mi wówczas nie powiedział. Mniejsza z tym, to długa historia.

- Chętnie jej posłucham.

- Tato oszalał - ciągnęła Claudia. - Bardzo kochał mamę, była dla niego ideałem. Ciągłe mama to, mama tamto, nie mieściło mu się w głowie, że mogłaby go zostawić. Tamtego wieczoru, kiedy mu wszystko powiedziała, wziął nas, dzieci, do samochodu i jeździł z nami w kółko po całym mieście. Przejeżdżaliśmy nawet tędy, wzdłuż sklepów na tej ulicy, gdzie dzisiaj stoi wasza restauracja. Jeździliśmy bez końca, a kiedy patrzyłam przez okno, widok przypominał mi scenografię taniego serialu, w którym jadący samochodem mijają wciąż to samo drzewo i tę samą krowę. Cała ta jazda była bardzo, bardzo dziwna.

- Na pewno się bałaś, prawda?

- O tak, bałam się. Siedziałam głęboko z tyłu naszego kombi. Mieliśmy taką rodzinną piosenkę i mój tato, nie wiem dlaczego, zaczął ją nagle śpiewać. Myślę, że to miało zabrzmieć ironicznie, bo, rzecz jasna, odtąd nie mieliśmy już być rodziną. Płakał bardzo. Pomyślałam wtedy, pamiętam to dobrze, że powinni wymyślić wycieraczki dla kierowców płaczących w czasie jazdy. Takie malutkie wycieraczki na taty wielkich okularach przeciwsłonecznych. Nic nam się wtedy nie stało. Skończyło się na lodach w Carvelu, nawet tata zjadł porcję. Potem wróciliśmy do domu. Tydzień później tata się wyprowadził. Mama została w domu, żeby dzieci mogły z nią dalej mieszkać. Ojca widywaliśmy w weekendy, ale był już innym człowiekiem; był jakiś taki rozżłoszczony, pewnie mocno przygnębiony. Moje rodzeństwo, jedno po drugim, rozpoczynało własne życie, aż wreszcie, kiedy jako ostatnia poszłam do collegeu, mama sprzedała dom. Dostała, czego chciała, ale tato nie. Nigdy nie doszedł do siebie po rozwodzie. - Claudia zamilkła na chwilę. - Dlaczego ci to mówię? Zwykle to ja słu-

cham wyznań innych. Nie mam pojęcia, po co ci to opowiedziałam. Przepraszam.

David przyglądał się jej z zainteresowaniem. Claudia pomyślała, że daje się zwieść jej twarzy, jej rysom, przyjemnym dla oka, jej włosom, które zawsze potrafiła świetnie ułożyć. Jeśli jednak staną obok siebie, natychmiast sobie przypomni, że jest przysadzista jak pękaty worek, i nawet nie będzie miał ochoty jej dotknąć. Wyobraziła sobie natomiast, jak ona dotyka Davida, jak kładzie dłoń na jego delikatnej, jasnej koszuli, odchyła jej poły, odsłaniając jego śniadą pierś. Męska klatka piersiowa zawsze się jej kojarzyła z dzielnością, przywodziła na myśl młodych wojowników.

David rozłamał pajdę indyjskiego chleba na kilka drobnych kawałków.

- Nic nie szkodzi. To naprawdę interesujące - odpowiedział. - Może to zbyt osobiste pytanie, ale chciałbym cię zapytać, czy wypróbowałaś ją kiedyś.

- Co takiego?

- Tę pozycję.

Spojrzała na niego w osłupieniu. Najwyraźniej w ogóle jej nie znał. Co on sobie myślał, że miała dziesiątki kochanków, z którymi się delectowała wolnością seksualną, tym że jest kobietą, człowiekiem, że żyje?

- Oczywiście, że nie - odparła. - Po co miałabym próbować?

- Nie wiem - powiedział David, a po chwili wzruszył ramionami i spróbował się uśmiechnąć. - Po prostu żeby zobaczyć, jak to jest.

Później, zostawiwszy samochód na szkolnym parkingu, usiedli na karuzeli na boisku jej szkoły podstawowej i puścili w lewniwy ruch wiszące tuż nad ziemią, zmrożone, stalowe koło.

Kiedyś jazda na tej karuzeli wywoływała dreszcz emocji; teraz ciężar dwojga dorosłych ludzi sprawiał, że bardziej przypominała nieudany start statku kosmicznego. Ale potrzebowali ruchu, jakiegoś poruszenia między sobą, by kontynuować rozmowę, nawet po długiej indyjskiej kolacji. Najpierw spacerowali po mieście, ale było tak opustoszałe, jakby wprowadzono godzinę policyjną. W Wontauket nigdy nie kwitło nocne życie, ani teraz, ani wtedy. Niemal wszystko, co się tu działo po zapadnięciu zmroku, działo się w domach mieszkańców.

- Marzniesz? - zapytał David, gdy obracali się wolno na skrzypiącej karuzeli.

- Troszkę - odpowiedziała. - Nie jest tak źle.

- W miasteczku, w którym dorastałem, zawsze było zimno. Mieszkaliśmy na północ od Buffalo, nosiliśmy takie wielkie, brzydkie, szaro-pomarańczowe eskimoskie kurtki z kapturami, przez całą jesień, zimą, a nawet na wiosnę. Ale czuliśmy się dumni w tym zimnie. Ciągłe nam powtarzano, jak gorąco jest w Pakistanie, gdzie mieszkali nasi kuzyni. Za każdym razem, kiedy marziliśmy i skarżyliśmy się na pogodę, ojciec mawiał: „Z waszego kuzyna Parthy leją się w tej chwili strumienie potu, naprawdę powinniście się uważać za szczęściarzy”. O kuzynie imieniem Partha słyszałem od małego. Urodził się miesiąc przede mną i zawsze wszystko robił doskonale. Szczególnie błyszczał w matematyce, w wieku szesnastu lat niemal udowodnił wielkie twierdzenie Fermata. Oczywiście, nic się nie dzieje jak powinno, bo dzisiaj Partha jest cieślą gdzieś przy pakistańskiej granicy, zamieszany w jakąś nieuczciwą działalność polityczną.

- W przeciwieństwie do ciebie?

- Uhm, że tak powiem, jestem bardzo uczciwy. Jestem najmniej nieuczciwym prawnikiem od praw autorskich na świecie.

Stalowa karuzela obracała się, a David opowiadał jej o swo-

jej pracy. Jego kancelaria prawna, mówił, zajmuje się właśnie sprawą autora pewnej mało znanej książki z lat pięćdziesiątych, na temat psychologicznych konsekwencji kolejności narodzin rodzeństwa. Jej autor pozwał innego naukowca, który niedawno opublikował bardzo podobną książką, zajmującą obecnie czołowe miejsca na listach bestsellerów.

- Naszym klientem jest pierwszy autor książki, Hubbard Elwell - tłumaczył David. - Ma osiemdziesiąt pięć lat i jest oburzony, że ktoś ukradł jego myśli. Myśl to jednak rzecz trudna do uchwycenia, ponieważ nie jest konkretem. Myśl nie jest rzeczą. Nie stanowi dowodu rzeczowego. Konkretem jest natomiast dzieło. Ale ten goguś, ten specjalista od motywacji, który nazywa się doktor Don Ardsley, nie uwierzysz, ale doktorat zrobił z takiego humbugu jak coaching życia, i który napisał sobie książkę i zarabia na niej masę forsy, no, więc ten facet wcale nie ukradł naszemu klientowi dzieła. Słowa to co innego. Jednak ukryty za nimi zamysł jest podobny do zamysłu Elwella. Myślę, że mamy w rękach mocne karty, ale decyzję podejmie sąd.

- Wierzysz w całą tę teorię kolejności urodzin? - zapytała Claudia.

- Właściwie tak, wierzę - odpowiedział David. - To znaczy, może jest w tym coś z astrologii, ale jak się wydaje, w wielu przypadkach się sprawdza. Choćby w mojej rodzinie, moje siostry i ja to klasyczny przykład. Jestem najmłodszy.

- Ja też - powiedziała Claudia.

- Hej, więc sama wiesz. Ilu was jest?

- Czoro.

- Opowiedz mi o wszystkich, ale w kolejności urodzeń. Postaram się wysunąć jakieś domysły. Kto był przed tobą?

- Dashiell - powiedziała krótko Claudia, a na dźwięk jego imienia natychmiast przypomniała sobie najnowszą wiadomość od brata. Wyobraziła sobie, jak Dashiell leży teraz w szpitalnej

izolatce, i coś musiało się pojawić na jej twarzy, bo David przekręcił lekko głowę.

- Coś się stało? - zapytał.

- Mój brat jest poważnie chory - odpowiedziała szybko; nie chciała o tym rozmawiać, zwłaszcza po informacji, którą otrzymała ledwie wczoraj, ale właściwie to już się stało, już rozmawia. - Ma chorobę Hodgkina - wyjaśniła. - Niby wszystko było w porządku, ale nagle się okazało, że musi mieć przeszczep szpiku.

- Tak mi przykro.

- Bardzo go kocham, naprawdę - powiedziała, czując, jak coś w niej zaczyna pałać. - Między nami są dwa lata różnicy. Powinieneś go zobaczyć, naprawdę świetnie wygląda, bardzo przystojny, chłopak jak z obrazka. Trochę niski, ale jest dobrze zbudowany, smukły, pełen wdzięku. Nigdy byś nie pomyślał, że jesteśmy spokrewnieni.

David spojrział na nią zdziwiony.

- Dlaczego tak mówisz? - zapytał. - Jesteś taka ładna.

- Och, może na twarzy - odparła z goryczą. - Na dobrej, starej twarzy.

- Niby jak, w przeciwieństwie do ciała?

- Właśnie - odpowiedziała, odwracając lekko głowę.

- Wcale nie sądzę, bym miał na myśli tylko twoją twarz. Mówiłem o tobie. Przecież nie można cię rozebrać na części składowe, nie możesz sobie zdjąć głowy i oddzielić jej od reszty ciała. Nie da się przecież ciebie... - Nagle się zaśmiał i odwrócił wzrok.

- Jaka? Co chciałeś powiedzieć - dopytywała się Claudia. - Powiedz.

- Z rozpędu zabrakło mi ogłady... - powiedział David. - Chciałem powiedzieć, że właściwie... da się ciebie rozebrać. O, Boże, zaraz się zastrzelę!

Rozmowę przerwał im teraz cichy, wspólny śmiech, który

odgonił myśli o biednym Dashiellu. Claudia poczuła skruczę, zobaczywszy w wyobraźni oddalające się od niej szpitalne łóżko, uciekające szybko, daleko poza jej zasięg. Nieraz czuła, że jej starsze rodzeństwo w najmłodszej siostrze widzi wiecznego dzidziusia, i była wystarczająco inteligentna, by zrozumieć, że to w życiu cenny skarb. Ukrywał jej wiek i czynił ją wręcz nieśmiertelną. Kiedy człowiekowi przybywało lat, zawsze był ktoś, kto miał ich więcej, kto był bardziej niedołączny i bliższy śmierci.

Pomyślała, że Dashiell umrze przed nią, i nie mogła znieść tej myśli. Łóżko szpitalne już mknęło ku niej z powrotem, a on wciąż na nim leżał, ale tym razem zobojętniały, ziemistoblady. Nigdy właściwie nie myślała o tym, że któreś z nich może umrzeć, bo rodzice byli tacy silni, a dzieci zawsze były tylko dziećmi; całe rodzeństwo niosło przez życie sztandar dzieciństwa. Ich nad wyraz seksualni rodzice nie dopuścili ich do pełnej dorosłości. Nie, więcej nawet. Rodzice Claudii byłby zapewne źli, słysząc coś takiego, ale trzeba powiedzieć, że nie dopuszczali ich także do uprawiania seksu. Seks stanowił wyłączne terytorium rodziców. Dzieci miały pewnie spróbować czegoś innego. Modelarstwo samolotowe? Brydż zawodowy? Może tai chi? O tak, tai chi - taka bezwolna płynność, takie żółwie tempo ruchu kończyn w powietrzu, to mogłoby zastąpić dzieciom frenetyczne tarcia i pchnięcia ku ekstazie, które były znakiem firmowym rodziców.

- Jeśli masz jeszcze ochotę słuchać - mówił dalej David Gupta - to powiem, że szczególnie trudno jest być właśnie najmłodszym. To dlatego, że ten poprzednio najmłodszy, czyli w twoim wypadku brat, który jest chory, po tym, jak przyszłaś na świat, mógł się poczuć odtracony; przecież zawsze on był dzidziusiem. Z czasem jednak zacznie sobie zdawać sprawę, że pojawił się ktoś nowy, z kogo można robić kozła ofiarnego. Dlatego będzie ci dawał odczuć, że jesteś za mała, by

stać się jego towarzyszem zabaw. Że się do tego nie nadajesz. Prawdopodobnie więc zamknęłaś się w końcu we własnym świecie. Ale dość, za dużo miałę jęzorem - skończył David. - Na pewno masz wielkie plany i pomysły, i to, co powiedziałem, raczej w ogóle ciebie nie dotyczy. Nie zwracaj uwagi na to, co mówię.

Claudia już widziała siebie w roli czwartego dziecka, najmłodszego, oglądającego po lekcjach filmy w bibliotece, ignorowanego przez innych, nigdy nie traktowanego poważnie. Jediną jej ostoją były trolle; siadywała pośrodku i układała je wokół siebie, jak jej się podobało. Lalki były nagie i czasami kładła jedną na drugą, żeby tylko zobaczyć, co się czuje, kiedy się na to patrzy. Ale nic nie czuła, ot, plastikowa para małżeńska, więc rozłączała lalki i odkładała z powrotem na ich miejsca w kręgu bez początku i końca, w którym nie było nikogo najmłodszego, najstarszego, wiedzącego najlepiej, najbrzydszego, najbardziej kochanego, będącego największym rozczarowaniem.

Kiedy szli z powrotem do samochodu, po gąbczastych, gumowych, czarnych panelach, którymi wyłożono szkolne boisko, David Gupta ujął Claudię Mellow pod rękę, zatrzymał ją i odwrócił ku sobie, a ona była zaskoczona, choć trochę niezszybczy, bo każdy by wiedział, że to preludium tego, co teraz musi nastąpić. Nawet jeśli się samemu tego wcześniej nie doświadczyło, to wiadomo, że tak to się właśnie robi. Jedna z osób wychodzi ze swojego pola nieśmiałości męznym krokiem naprzód i wkłada rękę pod ramię drugiej osoby lub może podnosi dłoń, by musnąć jej policzek.

Zatrzymali się na skraju placu, którego urządzenia do dziecięcych zabaw, ich ledwie zarysowane w mroku kształty, zdawały się układać w teatralne dekoracje - jeśli nie romansu, to przynajmniej czegoś pięknego, bo wszystko się tu srebrzyło, lśniły łańcuchy huśtawek, i było oderwane od dzieciństwa.

Dzieci tu nie ma, pomyślała Claudia, kiedy David Gupta zbliżył się do niej i pocałował ją z ufnością kogoś, kto doskonale wie, że nie zostanie odtracony. Na ten pocałunek zapracowali długotrwałą wymianą e-maili, wspólnym popołudniem u pana Stantona i kolacją w Café Bombaj. Zapracowali też na niego tutaj, na skrytym w wieczornej ciemności placu zabaw przy Szkole Podstawowej im. Felice P. Bolander.

Jego wargi są tak wilgotne, pomyślała Claudia i zaraz pożalowała, bo życzyła sobie w duchu, aby ten pocałunek różnił się od innych, by różnił się tak bardzo, że stopiłby w niej tę wieloletnią, seksualną zmarzlinę i zmieniłby opis, który głośiłby teraz: Dopóki nie poznałam mężczyzny, którego kocham, źle się czułam ze sobą jako istotą seksualną. Teraz kocham seks i kocham jego, a wszystko, co zdarzyło się wcześniej, było bałamuctwem, bo czekałam, aż moje życie się naprawdę zacznie.

Nie potrafiła tego powiedzieć głośno, więc stała tylko, jej twarz ruszała się nieznacznie przy jego twarzy, ich usta otwarte, złączone. Trochę dla niej za mokre, prawda, ale to nawet się jej podobało. Po chwili jego dłoń znalazła drogę do jej piersi i poczuła, jak napinają się jej plecy, bo teraz odkryje o niej całą prawdę. Zaraz pozna, co z nią jest nie tak. Będzie wiedział, że poszczególne fragmenty jej ciała nie pasują do siebie, że nie będzie miał z niej żadnego pożytku. Zaczęła już opłakiwać jego stratę, już zaczął ją boleć sposób, w jaki trzeba będzie przerwać ich znajomość, jego ciepły głos, który niebawem powie, że nie mogą tego dalej ciągnąć.

Wyobraziła sobie, jak jego dłoń zapada się w głębokiej alei między jej piersiami lub może ginie pod nimi. Kiedy dojrzewała fizycznie, robiła z przyjaciółkami „test ołówkowy”, żeby zobaczyć, czy powinny zacząć nosić biustonosz. Dziewczęta umieszczały pod piersią ołówek w pozycji horyzontalnej; jeśli nie spadał, biustonosz był już potrzebny i dziewczyna kupowała go w centrum handlowym w najbliższy weekend. Koleżanki

żartowały, że Claudia utrzymałaby pod swoimi piersiami cały piórnik, może z ostrzałką do ołówka, i może jeszcze zeszyt, a nawet cały tornister.

Istniało oczywiście mnóstwo mężczyzn, którzy uwielbiali tonąć w krajobrazie takich bujnych piersi i którzy słabli na samą myśl o tym, że mogliby posiadać choćby małe poletko tego krajobrazu. David nie robił wrażenia, by tracił w tej chwili siły lub odchodził od zmysłów, ale też nie cofał się ze wstrętem. Najwyraźniej podobało mu się to, czego dotykał, i na chwilę odchylił głowę, by spojrzeć na nią i uśmiechnąć się do niej, a jego ręka nie przestawała błędzić po obu piersiach, co zmusiło Claudię, by na chwilę zapomnieć o strachu, o swojej długiej, niekończącej się liście niedoskonałości. Jej ciało, jak uświadomiła sobie kiedyś w okresie dojrzewania, podobne było do jednego z jej trolli. Tak, właściwie sama była trollem, ciągnęło ją do tych zmiennych stworów, bo widziała w nich samą siebie: Jesteście moim ludem.

- Claudio, bardzo mi się podobasz - odezwał się David, jakby w odpowiedzi na pytanie, którego nigdy nie odważyłaby się mu zadać.

Nie, nie podobam ci się, miała ochotę odpowiedzieć, ale gdyby tak powiedziała, on zaprzeczyłby: „Ależ tak, podobasz mi się”, a jego głos byłby już bardzo stanowczy i do niego należałoby ostatnie słowo. Poprawił się przy niej, dotknął jej i znówu pocałował, a Claudia zdała sobie sprawę, że choć jest jej niewygodnie, to wydaje z siebie jakieś spontaniczne, gołębie, głębokie gruchanie, które zbijało ją z tropu, zwłaszcza że był to jedyny odgłos w mroku, jeśli nie liczyć odległego, wszechobecnego szumu na autostradzie.

Niedługo potem sama była już jednym z kierowców jadących autostradą, a kiedy się włączała swoim małym autem w pędzący strumień, niemal zapomnieć, gdzie jest pedał gazu, a gdzie hamulec, wytraciła prędkość, a dopiero po chwili

nagle przyśpieszyła jednym głośnym zrywem i wtoczyła się w nieprzerwany napór samochodów; może bez gracji, ale w miarę bezpiecznie. Po tym, jak się całowali, jak się żegnali, jak odwiozła go do domu na Swarthmore Circle, była tak roztrzęsiona, że nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Przez godzinę będzie musiała teraz siedzieć w samochodzie zapięta pasami, choć jej nogom przydałoby się trochę ruchu, tańca niezależnego od reszty ciała. Nabrała ochoty na pudełko twardych landrynek, by z całych sił zagryźć na nich zęby, poczuć, jak się opierają i jak niesamowicie kruszeją kamienie w jej głowie.

Miała wrażenie, jakby się całowała z Davidem Gupta przez długie godziny, może dni, jakby był to prawdziwy maraton całowania, podczas którego chcieliby z góry przewidzieć każdy drobiazg, jaki kiedykolwiek mógłby stanąć między nimi, i już teraz próbowali temu zaradzić. Nie słuchała muzyki, choć z odtwarzacza wychylał się półksiężyc srebrzystej płyty i wystarczało tylko pchnąć go palcem. Opuściła okno, wsłuchiwała się w jazgot pędzących aut i myślała o mokrych wargach, o ławicy mknących czerwonych świateł samochodowych, o mieście leżącym niecałe pięćdziesiąt pięć mil dalej, do którego zabierze go pewnego dnia.

Rozdział dziewiąty

Claudia zatelefonowała jeszcze raz.

- Cześć, to ja. Muszę ci coś powiedzieć. To nie wygląda dobrze.

Po tych słowach wydała z siebie jakiś okropny charkot, urwane chlipnięcie i Holly jak przez mgłę przypomniała sobie, że jej siostra często płakała w dzieciństwie, a reszta rodziny nauczyła się nie brać tych płaczów poważnie, lecz wkomponowywać je w klimat domu, podawanego posiłku, wakacji czy wspólnych spotkań.

Normalnie siostry rozmawiały ze sobą raz na rok; cała trójka rodzeństwa, jak i oboje rodzice, utrzymywali taki nieoficjalny, doroczny, rytualny kontakt z Holly, dbając, aby raz na jakiś czas się do niej odezwać, żeby nie mogła ich później oskarżać, że wyrzucili ją ze swojego życia. Prawdę mówiąc, Holly Leeming doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że jest dla nich jak kula u nogi, jest trudną siostrą i córką, która świadomie przeszła na sam skraj rodzinnej mapy, i chociaż czasami tego żałowała, to cóż, była teraz tu, bardzo daleko, w Topanga Canyon, gdzie powoli dochodziła do siebie po wszystkim, co złe, ale wciąż nie była jedną z nich.

- Co się stało? - zapytała Claudię. - Dashiell?

Holly dowiedziała się o chorobie brata kilka tygodni wcześniej i raz nawet do niego zadzwoniła. Popadła jednak w zbyt duże przygnębienie i zbyt trudno jej się wysłowić, by mogła sama zasięgać dalszych informacji, więc siostra dzwoniła z tym

do niej. W Los Angeles była dziesiąta rano, Holly siedziała ze swoim bobasem w pokoju dziecięcym, na puszystym, śliwkowym dywanie, tak odpornym na zabrudzenia, że plamy po rozlanym soczku czy miodzie zdawały się natychmiast ulatniać z jego nitek. Holly przycisnęła barkiem do ucha bezprzewodowy telefon i podała Buddyemu duże plastikowe lustro. Chłopiec skwapliwie wziął je do rączki i przez chwilę się w nim przeglądał z niewielkim zainteresowaniem, nie wykazując nawet najmniejszych oznak próżności - typowe dla małych dzieci, bo przecież nie dla żadnej innej grupy wiekowej na całej kuli ziemskiej.

- Jest gorzej. Dashiell musi mieć przeszczep szpiku.

- Przeszczep? Ode mnie? - powiedziała Holly. - Do cholery, Claudia... sama nie wiem, nie jestem pewna, czy się do takich rzeczy nadaję, ja...

- Uspokój się - przerwała jej Claudia. - Przecież nie powiedziałam, że od ciebie. Chcą wykorzystać jego własne komórki. Oczyszczą je i wsadzą z powrotem, czy jakoś tak. Tak się teraz robi.

- O... - jęknęła Holly z poczuciem winy, trochę nadąsana.

Oto kara za uciezkę z rodzinnego łona. Co prawda, to prawda, z jednej strony człowiek unika pułapek świąt i niekończących się, żałosnych melodramatów, w których dorosłe dzieci grają swoje obowiązkowe role, ale z drugiej pozbawia się podstawowej wiedzy o rodzinie i dopóki ktoś inny mu czegoś nie powie, sam nie wie nic. Krótko mówiąc, Holly była zawsze ostatnią osobą, która się dowiadywała, a kiedy się już dowiadywała, to zawsze ktoś zadbał, by boleśnie przekreślić w niej nóż.

Na przykład ktoś mógłby zadzwonić i powiedzieć: „Nie wiem, czy cię to zainteresuje, ale mamie odbiło i w centrum handlowym zaczęła z uzi strzelać do ludzi”.

Albo: „Aha, przy okazji, tato miał czołowe zderzenie, jest w śpiączce”.

Albo jak parę miesięcy temu zrobił to Michael: „A, wiesz, chcę wznowić książkę”.

To była wystarczająco zła wiadomość i Holly nie miała zamiaru dowiadywać się na ten temat nic więcej, ani o książce, ani o swadach, które na pewno odrodziły się między rodzicami. „Nie mieszaj mnie do tego - odpowiedziała Michaelowi. - Nawet nie wiem, po co z tym do mnie dzwonisz”.

Nie mogła wszakże powiedzieć Claudii czegoś takiego na temat choroby Dashieła. Prawdę mówiąc, gdy Claudia zadzwoniła z nowiną, Holly doznała wstrząsu, który zawsze towarzyszy czemuś, co rzeczywiście ma być uważane za nowinę, a w każdym razie za złą nowinę. Poza tym ludzkie uczucia, które powinny ją po prostu zalać, jakoś się nie pojawiały. Dashiell był od niej o wiele młodszy i właściwie nie znała go dobrze. Kiedy wreszcie dorósł na tyle, by zwrócić na siebie uwagę, Holly była już dojrzałą nastolatką i chciała tylko jednego: uciec jak najdalej od rodziny.

Wiedziała, że Dashiell jest gejem, a do tego, zdumiewające, republikaninem, czego w żadnym razie nie potrafiła ścierpieć ani zrozumieć. Do dzisiaj jakoś nikt nie mógł się zebrać i zatelefonować do niej z wiadomością, że stan Dashieła się pogorszył. To dlatego, tłumaczyła Claudia, że nie zdawali sobie sprawy z powagi sytuacji. Lekarze mówili, że w przypadku choroby Hodgkina rokowania są dobre, że organizm Dashieła zareagował na leki i naświetlania i że spodziewają się poprawy i powrotu Dashieła do zdrowia, a tymczasem jego stan się pogorszył. Był niskim, przystojnym mężczyzną o delikatnych rysach - chłopczykiem, takim widziała go za każdym razem, gdy o nim myślała. Sama myśl, by miał być bardzo, bardzo poważnie chory, wydawała się w ogóle nieprawdopodobna. Ale Dashiell rzeczywiście był chory.

- Przepraszam - powiedziała do Claudii.

- Przepraszasz?

- Tak, wyobraź sobie, że tak. To mój brat.

- Teoretycznie - powiedziała Claudia.

- Nie. Naprawdę - odparła Holly. - Nie zadzieraj ze mną, Claudia, dobrze?

- Pomyślałam tylko, że pewnie chciałybyś wiedzieć - powiedziała Claudia. - Zresztą sama też bardzo namacalnie czuję twoją... nieobecność, tak? Dlatego powiedziałam „teoretycznie”. Przecież w ciągu ostatnich tygodni zadzwoniłaś do niego tylko jeden raz, prawda? Powiedziałaś, że wyślesz mu jakąś książkę o leczeniu raka, czy coś w tym rodzaju, ale nawet tej książki nie wysłałaś. Liczą się intencje, tak? Otóż nie, Dashiell potrzebuje czegoś więcej niż intencji.

- Dobrze, dobrze - zgodziła się Holly.

Nastąpiło wstrzemięźliwe zawieszeni broni. Claudia ujawniła parę faktów: nad ranem Dashiell został przyjęty do szpitala Rhode Island, najpierw dali mu jakieś lekarstwa, a potem umieścili w izolacie. Nikomu nie pozwala na odwiedziny, bo jest z nim jego chłopak, Tom, a poza tym jest zbyt chory na wizyty, jeśli jednak Holly zechce napisać do niego pocztówkę, to będzie ładnie z jej strony.

- Przynajmniej będzie wiedział, że o nim myślisz - powiedziała. - Nawet jeśli nie myślisz.

Holly zauważyła, że po lusterku, w którym się przegląda Buddy, ciągną się pasma śliny. Najwyraźniej dzieciak, który od jakiegoś czasu zębkuje, wgryzał się w lusterko przez cały czas, gdy Holly rozmawiała. Potem przestał się interesować lustrem, przetupał kaczym chodem do siatki zabezpieczającej wyjście z pokoju i próbował oderwać od ściany przytrzymujące ją przylepce, by wyjść na korytarz, ku stromym, śmierciobójnym schodom.

- Oć, mama - zawołał do matki. - Oć!

- Claudia - powiedziała Holly do słuchawki - muszę kończyć.

- O, nie wątpię - odparła siostra.

- Wal się, dobra?

- Sama się wal. Dzwonię do ciebie ze złą, naprawdę złą wiadomością, a ciebie jak zwykle nie stać na to, żeby zachować się jak normalny człowiek.

- To niesprawiedliwe - mruknęła Holly, a potem dodała szczerym głosem: - Muszę się zająć Buddym.

To trochę udobruchało siostrę. Choć w czasie tych corocznych rozmów telefonicznych z Holly Claudia przybierała czasem surowy i podniesiony ton - trochę dlatego, żeby ukarać ją za to, że przestała być siostrą, a trochę za to, że rani rodziców - to w gruncie rzeczy mocno się nie gniewała.

- No, dobrze... - powiedziała w końcu Claudia. - To się nim zajmij, skoro musisz.

- Poczekaj.

Holly szukała pretekstu, żeby jeszcze zatrzymać siostrę przy telefonie, bo wymiana „wal się” nagle wydała się jej przesadna, niemiła i niepotrzebna. Claudia miała prawo się gniewać, Holly musi po prostu to przyjąć i przestać narzekać. Spróbowała powrotu do rozmowy, choćby na krótko.

- To... w ogóle co słychać? - zapytała. - Powinnam wiedzieć coś więcej?

- Wszyscy mają się dobrze. Czasem jest dziwnie, ale w sumie dobrze. Nie uwierzysz, ale Michael wciąż jest u ojca i Elise. Właściwie się tam wprowadził.

- Co? Dlaczego?

- Kto wie. Jakaś więź między mężczyznami. Czy coś. Mama i Jack też mają się nie najgorzej, choć mama świruje z tą książką, cholernie zależy jej na wznowieniu. Gdybyś ją widziała...

- Cóż, to największe wydarzenie w jej życiu - skwitowała Holly i dodała: - Ale nie w moim.

- W moim też nie - stwierdziła Claudia.

Dobrze. Pojednanie. Siostrzany moment po rzuconych sobie obelgach i przekleństwach. Coroczny telefon do Holly był niczym rodzinny raport, zawierający najbardziej pożądane i najnowsze wiadomości o sześciu osobach, które kiedyś mieszkały pod jednym dachem i które nigdy już razem nie zamieszkają. Nastąpiła chwila milczenia. Obie zdawały się rozważać, jak kontynuować rozmowę.

- Jak mały? - zapytała Claudia.

- Dobrze. Dobrze. Wspaniale.

- Wiosną wysłałam mu paczuszkę na urodziny. Trochę książek dla dzieci, takich, które sama lubiłam w dzieciństwie. *Dobranoc, księżycu*, chyba, i jeszcze jakieś inne. Doszły w ogóle?

- Tak, tak, doszły. Chciałam ci powiedzieć. Dziękuję.

Claudia, która sama nie miała dzieci, w żadnym razie nie mogła wiedzieć, że *Dobranoc, księżycu* to potworny banał, tak dzisiaj rozpowszechniony w domach młodych małżeństw, że równie dobrze można kupić komuś w prezencie książkę telefoniczną.

- Bardzo proszę. A Marcus, co u niego?

- W porządku. Zpracowany.

- Oć! - zawołał znowu berbec. - Mama, oć.

- To mój sufler - powiedziała Holly i Claudia się pożegnała. Będą ze sobą rozmawiać, kiedy znowu się wydarzy coś złego.

Tej nocy Holly nie mogła spać. Myślała o bracie; kiedy Marcus wrócił do domu i przez kilka minut bawił się z Buddym, usiadła przed komputerem i włączyła Internet. Chciała znaleźć jakieś informacje o chorobie Dashiella i rokowaniach. Na początku źle wpisywała jej nazwę „Hodgekin”, potem próbowała „Hotchkin”, a w końcu zauważyła, że wyszukiwarka automatycznie pyta ją uprzejmie, czy nie ma na myśli słów „Hodgkin i rokowania choroby”; Holly niemal realnie dosłyszała drwiący ton komputerowego pytania, natychmiastowe rozpoznanie, że nie chodziła do kolegu, nie zdobyła wykształcenia,

w przeciwieństwie do pozostałej trójki rodzeństwa. „Czy nie masz na myśli słów Hodgkin i rokowania choroby, ty ofermo, ty dupo, ty pokręcona narkomanko, ty ofiario losu, ty pusta pało, ty zupełne zero?”

- Co robisz? - zapytał Marcus, stając w drzwiach z dzieckiem na rękę.

Tłumaczenie: Co robisz, przecież wiesz, że czas, byś wzięła ode mnie dziecko?

- Nic - odpowiedziała i przełączyła monitor komputera w tryb uśpienia, i nie pamiętała już potem, żeby sprawdzić słowa „Hodgkin i rokowania choroby”.

W jej przekonaniu Dashiell na pewno miał dobre rokowania. Będzie żył długo, bo jest młody i silny, przeszczepy czynią cuda, w zasadzie odnawiają ludzi od podstaw. Holly nie miała na tyle katastroficznej wyobraźni, żeby przewidywać inny scenariusz; każdy inny byłby zresztą nie do zniesienia, nawet przy braku poczucia więzi, który separował ją od rodziny.

W nocy w łóżku okazało się jednak, że znowu nie może zasnąć. To się jej zdarzało od czasu do czasu i zwykle zapowiadało parotygodniowy okres bezsenności, kiedy sen stawał się dla niej Świętym Graalem, którego nie potrafi odszukać i na którego poszukiwaniu może strawić resztę życia.

Holly Leeming wydawało się niekiedy, że nie śpi od trzech dziesięcioleci. Jeszcze teraz się zdarza, że błąka się o trzeciej w nocy po swoim domu w Los Angeles, jakby jej pełne mleka piersi zbudziły ją z nagłością podwójnego alarmu przeciwdymnego i wyciągnęły raptownie z łóżka. Tak naprawdę Buddy nigdy nie jadł w środku nocy. Wciąż karmiła go piersią w ciągu dnia, co było bardzo nietypowe w środowisku kobiet z Los Angeles, które poznała podczas kursu dla młodych matek, kiedy Buddy miał zaledwie parę tygodni. Każde z dzieci szybko było tam odstawiane od piersi, ale nie dziecko Holly. Tamte kobiety wracały kolejno do swoich zajęć w pracowniach

plastycznych, w firmach dekoracji wnętrz lub do plotkowania z przyjaciółkami i ciągłych przejazdów autostradami. Holly natomiast stała w miejscu, zatrzymując chwilę, nie robiąc nic poza przebywanie z Buddym, którego obecność zapewniała tyle przyjemności. Była dumna, że tak długo piła jej mleko, jakby uczestniczyła w konkursie wytrzymałości, w którym jej syn, spośród tylu innych dzieci, okazał się najlepszy.

Teraz nie miała karmić dziecka. Stała rozbudzona w środku nocy i czuła, że musi coś zrobić z tą bezsennością, bo w przeciwnym razie zacznie myśleć o Dashiellu, rodzeństwie i rodzicach, o samotności, o śmierci, o tym, że wszechświat jest ogromniejszy, niż potrafimy to sobie wyobrazić, i o wiele bardziej przerażający, i że wiele więcej w nim przemocy. Holly Leeming przeszła do cichego pokoju Buddyego. Stanęła nad kołyską, patrząc na dziecko i bucząc pod nosem jakieś murmurando, udając, że nie jest świadoma tego, co robi, choć w gruncie rzeczy była świadoma aż nadto. Po prostu chciała, by mały dotrzymał jej towarzystwa.

Jej murmurando stało się głośniejsze, jednostajne, przybrało molową wersję melodii z programu *Barney* dla dzieci, która była przeróbką kołysanki *Stary człowiek*. I ta melodia dotarła do niego, wyciągnęła go ze snu, jakby z dna stawu. Buddy się poruszył i zamrugał, ale jeszcze się nie rozbudził. Jego duża, jasnowłosa, zabawnie odchylona główka jak zwykle była mokra od potu. Kiedy Holly delikatnie uniosła go z kołyski i przytuliła do siebie, usiadłszy na białym fotelu bujanym, Buddy z czarującym wdziękiem przeszedł ze stanu uśpienia w stan ssania piersi, jakby była to dla niego najbardziej naturalna rzecz na świecie - znaleźć się z maminy sutkiem w buzi, w środku nocy, w ogóle o to wcześniej nie prosząc, w dziewiętnastym miesiącu życia.

Siedziała, tuląc do siebie jego mokrą główkę, i najpierw dała mu opróżnić jedną pierś, a potem drugą, i myślała o tym, jak

trudno jej zasnąć, jakiego olbrzymiego wysiłku to wymaga, prawdziwej sztuki, i z jaką łatwością to przychodzi Marcusowi, co doprowadza ją do wściekłości. Dlaczego właśnie on bez trudu potrafił zapadać w nieświadomość? Kto umarł i właśnie jego uczynił królem snu?

Czasem w nocy szturchała lekko męża pod żebro, żeby się zbudził i żeby mogli odbyć nocną, małżeńską rozmowę, której potrzebowała raz na jakiś czas, nie dlatego, że były interesujące, lecz dlatego, że ją uspokajały. Tym razem to ona potrzebowała karmiącej piersi, to ona, otworzywszy oczy o trzeciej lub czwartej nad ranem - albo nawet ich nie zamknawszy - potrzebowała pociechy.

Z tego samego powodu Holly inicjowała czasem seks. Marcus oczywiście uwielbiał, kiedy w środku nocy budziły go delikatne usta żony pieszczące jego członek, i nigdy się nie domyślił, że w takich momentach Holly wykorzystywała go nie dla pożądania, lecz pocieszenia. Nawet najbardziej namiętny rytm jest po prostu rytmiczny, a zatem uspokajający. Holly doskonale wiedziała, że jednocześnie można być podnieconym i uspokojonym. Seks zapewniał jej oba te stany od piętnastego roku życia.

Biedny Adam Selig, postrzelony chłopak z Princeton Court w Wontauket, którego los już wtedy był przesądzony. W maju siedemdziesiątego siódmego roku, półtora roku po tym, kiedy pojawił się w domu Mellowów pierwszy raz, przekulał się w łóżku na Holly, zasmakował jej czekoladowego oddechu i wsunął rękę w jej majtki, Adam Selig poszedł w piątkowy wieczór do wesołego miasteczka, które każdego lata przyjeżdżało do Wontauket na weekend i rozstawiało się na wielkim parkingu przed sklepem JCPenny. Holly również tam była, ale wówczas nie rozmawiali już ze sobą. Właściwie nie doszło do dramatycznego zerwania, po prostu tak wyszło, jakoś równocześnie stracili zainteresowanie sobą. Holly była w grupie głupiutkich

koleżanek, z którymi włączyła się po centrum handlowym, a Adam Selig był z dwoma kolegami, z którymi w weekendy szalał na rowerach górskich po pobliskiej budowie. Tego wieczoru wybrał jednak ze swoimi kompanami inną przejażdżkę: Trabantem, lunaparkową atrakcją o dość niepewnym rodowodzie. Nazwa jakby niemiecka, a może francuska, w każdym razie brzmiała tajemniczo - była to jakaś daleka odmiana rozmaitych rollercoasterów, czy raczej Pajaka, z ośmioma długimi ramionami, na których dzieciaki wisiły nad dachem sklepu, skąd mogły ogarnąć wzrokiem całe swoje miasteczko, by uświadomić sobie po raz pierwszy w życiu, że Wontauket z pewnością nie jest metropolią.

Tamtego piątkowego wieczoru Trabant wyrwał się z upręży, wleciał wysoko w niebo, ponad ten parkingowy, prowizoryczny lunapark, i rzucił na ziemię szóstkę jadących nim osób, ku gwałtownej, pewnej śmierci. Przez długie miesiące lokalna prasa rozpisywała się na temat pozwów sądowych, żałoby w miasteczku, firmy rozrywkowej z Baltimore, którą tragedia doprowadziła do bankructwa, i oczywiście na temat słynnej „Szóstki z Trabanta”, której twarze na zawsze już będą tworzyć smutną galerię tych, co odeszli. Pozostaną obok siebie, jedna przy drugiej: trzech nastoletni chłopcy, szkolny woźny, lekko upośledzona dziewczynka o imieniu Candy i jej matka. Poza Adamem Seligiem i jego kolegami z toru rowerowego, Tonym Spee i Chrisem Canettim, nic tych osób nie łączyło - jedynie wspólna, trochę żałosna śmierć.

Przez te wszystkie lata Holly Leeming często myślała o Adamie Seligu. Zastanawiała się, jak to możliwe, że Adam, pierwszy chłopak, który jej dotknął i rozpałił ją z niemal przypadkowym, intuicyjnym talentem, zginął w taki sposób, a ona ocalała. Przez lata wlewała w swoje ciało narkotyki i jakimś przedziwnym zrzędzeniem losu wciąż żyła. Te lata ją wzmocniły, zahartowały tak, że była jak krokodyl, ale jednocześnie

odkryła ku swemu zdziwieniu, że jest w niej głęboki, niewzruszony spokój i że dzięki jakiemuś przypadkowemu splotowi genów Mellowów i Woodmanów jest zdolna trwać.

Latem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku, krótko po tragedii w lunaparku - choć nie z jej powodu, tego była pewna - Holly rozpoczęła drogę w dół. Najpierw nie mogła spać. Wstawała w nocy i włóczyła się bez celu po domu. Rodzice wtedy też często nie spali; hippisowskie nocne marki. Ojciec słuchał stereo w bibliotece przez gigantyczne słuchawki na uszach, wystukując bosą stopą rytm na stoliczku do kawy. Kiedy ją zauważył, zdejmował słuchawki i mówił: „Hej, dziecko, dlaczego nie śpisz?”

Jak nie tata, to mama nie spała, siedziała w środku nocy w kuchni przy telefonie i szeptała coś po cichu do słuchawki. Choć w książce rodzice byli fizycznie ze sobą połączeni na każdej ilustracji, to w domu tamtego lata, siedemdziesiątego siódmego roku, rzadko przebywali blisko siebie i wydawało się, że funkcjonują w najbardziej oddalonych od siebie zakamarkach.

Coś się działo. Coś się gotowało. Coś szło w okropnie złym kierunku, być może od zawsze, od samego początku, ale dopiero teraz, dzięki uderzającemu zmysłowi obserwacji, który może przynieść tylko dojrzewanie, Holly potrafiła dostrzec, lub przynajmniej wyczuć, że to coś przeraźliwie ważnego.

Jej matka nie kochała już ojca. Jej matka kochała kogoś innego.

Którejś nocy, było już po drugiej, Holly zastała mamę przygarbioną nad kuchennym stołem, z kablem telefonicznym owiniętym wokół ręki, wyglądającym jak kilka bransoletek, ze słuchawką przy uchu, do której mówiła coś cicho i gorączkowo, stłumionym, chrapliwym głosem. Holly słyszała tylko słowa: „... ale nie... ja chcę... nie sądzę... tak, tak, tak... wiem... wiem...” Wtedy Roz Mellow podniosła głowę i zobaczyła sto-

jącą w drzwiach córkę i wydawało się, że jest potwornie zaskoczona, jakby Holly ją zdemaskowała, jakby przyłapała ją na próbie ucieczki z więzienia. Roz Mellow, ważąc wzrokiem kolczasty drut na murze, powiedziała coś jeszcze do słuchawki i po chwili ją odłożyła.

- Kto to był? - zapytała Holly.

- Nikt. Znajomy.

- Uhm, jasne, i ja mam, kurwa, w to uwierzyć?

- Proszę, nie wyrażaj się - upomniała ją matka. - Wiem, że nie potrafisz tego zrozumieć, ale moje życie jest bardzo skomplikowane. Staram się być dobrą matką, prowadzić dom jak należy, żebyście wy, dzieci, miały normalne życie. Staram się, bardzo się staram. I nie wiem, Holly, jak długo tak jeszcze wytrzymam, po prostu nie wiem.

W tej chwili Holly się zorientowała, że za jej plecami stoi ojciec. Mąż i żona wymienili znaczące spojrzenia, a potem on bez słowa wycofał się do pokoju.

- Już dłużej nie zniosę tego gówna - powiedziała głośno Roz Mellow.

- Nie wyrażaj się, proszę - Holly przedrzeźniała matkę, ale natychmiast tego pożałowała, bo widziała, że mama jest roztrzęsiona.

Roz Mellow, której twarz z każdą chwilą traciła piękno, choć twarz jej córki zawarła już z pięknym długoterminowy pakt, wybuchła nagle płaczem. Płakała rzewnie nad kuchennym stołem, a wokół niej wszystko lśniło, szarki, blaty, urządzenia, nawet pięciobiegowy blender rzucał blask w tym dziwnym świetle w środku nocy, uświadamiając prawie dorosłemu dziecku, że jego mama cierpi.

- Och, mamo, nie płacz. Proszę, nie płacz, dobrze? - mówiła Holly i nagle zdała sobie sprawę, że nie może na to patrzeć.

To wszystko było jakieś pochranione, niezrozumiałe. Czy nie wystarczy, że rodzice zademonstrowali już swoje niepraw-

dopodobne wyuzdanie, swoją jedność? To teraz jeszcze muszą demonstrować, przynajmniej przed nią, w samym środku nocy, swoją odrębność? Ich małżeństwo zmierzało ku końcowi, tyle rozumiała; nie było już nic, co mogłoby je podtrzymać. Jeśli ojciec siada w nocy w bibliotece i zasłuchuje się w posępnym Mahlerze lub w ławo upadającej na duchu Billie Holiday, a matka w tym czasie nerwowo szepcze coś do kogoś przez telefon w kuchni, to znaczy, że nie ma już odwrotu. Nie ma takiego seksu na świecie, który mógłby odwrócić bieg wydarzeń. Złamane serca pozostaną złamane, nic już ich nie naprawi, a nawet jeśli ktoś spróbuje to zrobić, miejsce, w którym lutująca cyna pozostawiła po sobie srebrzysty ślad blizny, będzie zawsze widoczne. Słaby punkt, którego nie można podrażnić, dotknąć, rozjątrzyć, bo jeśli tak się stanie, to serce znów będzie złamane, dokładnie tak samo. Lecz tym razem to będzie już absolutny koniec, nie do naprawienia.

Roz Mellow nie mogła przestać płakać. Płakała i płakała bez końca. Drugiego dnia tego maratonu płaczu rodzice zabrali dzieci do biblioteki i powiedzieli im, że się rozwodzą. Michael i Holly byli w czasie rozmowy nieobecni wzrokiem i obojętni; dla nich obojga nie była to niespodzianka. Jednak młodsze rodzeństwo wyglądało tak, jakby trafił je piorun. Mama zapewniła, że żadne z dzieci nie będzie musiało opuszczać domu, ponieważ będzie z nimi mieszkała, a tato przeprowadzi się gdzieś blisko i będą mogli go odwiedzać, kiedy zechcą.

Nikt nie pytał: Dlaczego tak musi być?

Holly, siedemnastolatka, coraz częściej się wążęsała nocami. Noc była dla niej nie tyle częścią doby, ile raczej miejscem. Była miasteczkiem, jakąś egzotyczną wersją gównianych przedmieść, na których żyła. Poza tym nocą można było spotkać ludzi, których za dnia nigdy się nie widywało. To właśnie nocą poznała mężczyznę nazywanego przez wszystkich Hojo, ze względu na połączenie ciemnorudych włosów i zawsze tej sa-

mej, turkusowej kurtki. To Hojo był pierwszym, który został z nią na całą noc, dopóki słońce nie wyrzało nad sklepem Stride Rite, nad miejską biblioteką, nad noszącym swoje wieczne piętno TCPenny. Poznała go o pierwszej w nocy w grupie ludzi na stacji kolejowej.

Gdy tylko zapadał zmierzch, na ulicach zaczynały się pojawiać najdziwniejsze typy, niczym nocne zjawy. Niektórzy, jak Holly Mellow, pochodzili z zamożniejszej części miasta, ale większość mieszkała w szarych szeregowcach ciągnących się po obu stronach ulicy albo w długim parterowym budynku z miniaturowymi ogródkami, albo nawet w sąsiednich miasteczkach. Byli nastolatkami, niektórzy ledwie przekroczyli dwudziestkę, ale od czasu do czasu dopuszczali do grupy dorosłego, kogoś w rodzaju „głowy rodziny”, choć w zasadzie jego rola miała się sprowadzać do zapewnienia im samochodu i dobrej jakości narkotyków.

Po jakimś czasie Holly wyprowadziła się z domu na dobre, najpierw do czyjegoś mieszkania w Hoboken, potem mieszkała w rozmaitych miejscach. Przez cały następny rok wracała jednak do miasta, zatrzymując się u różnych nowo poznanych ludzi, którzy wywierali na nią destrukcyjny, nieodpowiedni, krótko mówiąc fatalny wpływ - byli jak horda, z której człowiek się wyrывa po to tylko, by zastąpić ją nową, równie złą.

W pewnym momencie życia Hojo musiał nosić jakieś prawdziwe imię, ale jeśli nawet tak było, to nikt tego imienia nie znał, bo Hojo należał do osób, które uwielbiają otaczać się mętными tajemnicami i przesiadywać godzinami w towarzystwie zgorzkniałych dziewczyn z lepszego domu, właśnie takich jak Holly Mellow, która odeszła od poprzedniego, kanapowego życia tak daleko, że nie pozostał po nim nawet ślad. Bardzo spodobał mu się pomysł, aby odejść jeszcze dalej razem z nią, zaprowadzić ją w ciemne zaułki, do rynsztoków, w teren, gdzie chętnie się zbierali ludzie, którzy mówili na siebie „Hojo”, nie

mieli pracy i których upływające dni nie przybierały żadnych kształtów. Więc poszła z nim i została na wiele miesięcy; stała się po prostu jeszcze jednym widmem, zagubioną dziewczyną w dżinsach i sportowej kurtce, która dawno temu miała żywy, łososiowy kolor, ale w końcu przybrała barwę szarego dymu.

W ciągu następnych lat Holly należała do tych ludzi, których nazwiska figurują na liście krótkoterminowych najemców mieszkań w blokach, gdzie nikt nie zna swoich sąsiadów i gdzie przez całą noc drzwi się otwierają i zatrząskują z hukiem. Nigdy nie udało się jej umeblować żadnego z tych mieszkań, bo kiedy zaczynała myśleć, że właściwie przydałby się jej materac z solidną ramą, zdecydowała się ruszać dalej. Szła do przyjaciół bez uprzedzenia.

Pewnego razu - miała wtedy około dwudziestu pięciu lat - znalazła się w centrum Nowego Jorku, a kiedy nadeszła noc, uświadomiła sobie, że nie ma dokąd pójść. Była mocno naćpana, padał deszcz, więc schowała się do ulicznej budki telefonicznej (w tamtych czasach, gdy na rogach nowojorskich ulic można było jeszcze zobaczyć takie budki) i zadzwoniła do informacji po numer telefonu do brata, Michaela. Skończył właśnie Princeton *summa cum laude* i dzielił z dwoma przyjaciółmi mieszkanie na narożniku Riverside Drive i Sto Drugiej. Była sobota wieczór i właściwie Holly mogła się spodziewać, że go nie zastanie, ale zastała. Niedługo potem stanęła w progu ciemnego mieszkania z przestronnym holem, a Michael wpuścił ją do środka.

Usiadła w salonie i zapłakała nad tym, jakie wszystko jest okropne, jak tragicznie spierdoliła swoje relacje z mężczyznami, jak seks wydawał się początkowo czymś obiecującym, a w końcu się okazał wielkim rozczarowaniem. Czyż się z nią nie zgodzi? Michael mówił niewiele. Wydawało się, że obecność Holly go przytłacza. Gdzieś z tyłu koledzy wchodzili, wychodzili, popijali piwo i robili plany na wieczór. W koń-

cu nadszedł czas na spanie. Michael oddał siostrze materac w swojej małej sypialni, a sam położył się obok na podłodze, owinięty zielonym kocem, który ich mama dawno temu niesamowicie ozdobiła szydełkiem. Kiedy Holly się rano obudziła, w głowie dudniło jej niemiłosiernie. Czuła na sobie coś ciężkiego, otworzyła oczy i zobaczyła twarz śpiącego głęboko brata. Przycisnął się do materaca, na którym spała, i położył na niej rękę. W czasie snu instynktownie się do niej przysunął, jak najbliżej, lecz nie na materacu. Ich twarze, choć znajdowały się na różnych poziomach, były od siebie oddalone ledwie o cale i Holly przyjrzała się bratu, dokładnie mu się przyjrzała. Zauważyła, że ma już zmarszczki na czole, że bez dwóch zdań jest dwudziestodwuletnim mężczyzną, że ma piękne usta i jest nadzwyczaj przystojny. Bardzo chciała coś dla niego zrobić, ale oczywiście niczego od niej nie potrzebował, dobrze sobie radził, skończył studia z *summa*, a to musiało znaczyć coś bardzo ważnego. Wszystkie drzwi staną teraz przed nim otworem, a kobiety będą mu wskakiwać do łóżka z łoskotem. Da sobie radę, w ogóle jej nie potrzebuje. Kiedyś byli blisko siebie, złączeni wśród rodzeństwa niedużą różnicą wieku, chociaż to ona zawsze była tą cierpiącą, a on to wiedział i aprobował; chyba nawet robiło to wtedy na nim wrażenie, jakby czymś godnym podziwu był fakt, że młoda i piękna dziewczyna czuje się nieszczęśliwa. Uwielbiał ją skrycie, a ona akceptowała to ze spokojem, zadowolona, że ma go obok siebie. Kiedy wyfrunęła z domu, w tych odurzających oparach gniewu wobec rodziców i uzalania się nad sobą samą, Michael jakoś się przyzwyczaił do jej nieobecności. Od czasu do czasu, jeszcze na początku, pytał ją: „Dlaczego musiałaś zniknąć?” Naturalnie nie miała odpowiedzi, ale oboje rozumieli, że tak prędkie opuszczenie rodziny leżało częściowo w jej naturze i że dla nikogo nie było to zaskoczeniem.

Po tamtej nocy spędzonej u Michaela na Riverside Drive Holly wróciła do swojego dryfującego bez celu życia i nie wi-

działała się z bratem przez ponad rok. Było jej wstyd, bo tyle napaplała przed Michaeliem i jego kolegami, z zaczerwionymi oczami, zasmarkanym nosem, naćpana. Dobrze, że poszła swoją drogą.

Holly ostrożnie uniosła i zdjęła z siebie rękę brata, a potem zsunęła się z materaca. „Myśl o mnie, Michael”, szepnęła mu do ucha, zanim wyszła, ale on się nie poruszył.

Mijały lata, a Holly wciąż wpływała do jakichś mieszkań, do życia innych ludzi, do różnych amerykańskich miast, by niebawem z nich wypłynąć. Mogła się utrzymywać na powierzchni dzięki pieniądзом, które zdążyła zarobić na handlowaniu marihuaną, i z dorywczo podejmowanej pracy. Cały czas czuła jednak, że przy życiu trzyma ją co innego, jakiś rzadki talent, to „coś”, co albo się ma, albo nie. Może to była cecha genetyczna... nikt tego nie rozumiał. W każdym razie coś, czym się różniła od innych w rodzinie, co trzymało ją od nich z daleka, ale jednocześnie pozwalało jej trwać. Motor. Instynkt. Miewała oczywiście złe okresy, a kiedy była młodsza, zbijały ją z nóg depresja, kokaina, nieprzerwany strumień marihuany. Ale nawet wtedy potrafiła dojść do siebie, wyjść na prostą. Holly nigdy nie upadła tak do końca, za to podróżowała, parła naprzód, zawsze ją gdzieś niosło, ciągle myślała, trzymała się życia, pamiętała, żeby jeść biało i pić konieczną ilość wody, płacić rachunki za prąd, raz w roku czyścić u dentysty zęby i włożyć płaszcz, gdy się zmieniała pogoda.

Miała w sobie wieczny niepokój, i gdy pewnego razu przeczytała artykuł w czasopiśmie, nabrała pewności, że cierpi na AADD - zespół zaburzeń uwagi w wersji dorosłej, choć nigdy tego u niej nie rozpoznano. „Zobacz, sami się doskonale leczymy”, powiedział jej jeden z kompanów, kiedy kruszyli kostkę kokainy w drobny miąż, skręcali jednodolarówki w wąskie rurki, a potem nachylali z szacunkiem głowy. „Sami leczymy nasze problemy emocjonalne”.

Kiedy Holly siedziała w kawalerce w Waterbury w stanie Connecticut albo w Holyoke w Massachusetts w jakimś pokoju z kosmatym dywanem, może nawet materacem, paląc skręta, patrząc na śpiący za oknem śnieg lub lejący deszcz, lub na smugi promieni słonecznych na szybie, zawsze dbała o to, by słuchać muzyki, bo jeśli człowiek ma siedzieć naćpany w pustym pokoju, z ręką tkwiącą bezwiednie w torebce z chipsami niczym wędka czekająca na branie, to potrzebna jest mu muzyka. Bez muzyki musiałyby stanąć oko w oko z tym, co zrobił ze swoim życiem, z tym, jak je doszczętnie skrewił, jak doprowadził do tego, że dopóki będzie je miał w swoich rękach, nic dobrego z tego nigdy nie wyjdzie.

Pewnego wieczoru, kiedy chodziła jeszcze do liceum, Holly i Hojo siedzieli obok siebie na zielonej, drewnianej ławce, na stacji kolejowej w Wontauket, i Hojo wypłakiwał się jej w rękaw, opowiadając o dzieciństwie w przytułku Św. Antoniego dla chłopców w Ronkonkomic. Zakonnice biły chłopców mopami i kazały im pić wyżętą z nich wodę. Historia była tak poruszająca, że Holly przytuliła się do niego mocniej, a później, jeszcze tego samego wieczoru, kiedy stali na stacji osłonięci rzędem billboardów, reklamujących *Chorus Line - Legendy kina* i rewię na lodzie, ukłękła przed nim i rozpięła mu spodnie. Cieszyła się, że może to dla niego zrobić. Tak bardzo był jej wdzięczny, wyrócił oczy do nieba, co ucieszyło Holly i wyzwoliło w niej falę dreszczy. W ciągu następnych kilku lat takie fale będą ją nieraz przenikać, ale Holly szybko zacznie sobie zdawać sprawę z coraz mniejszej siły ich oddziaływania. I żadne z jej doświadczeń - z Hojo czy innymi mężczyznami, którzy się potem pojawiali - ani trochę nie będzie przypominało słodkiej głębi seksu, jakiej zaznała w swojej sypialni z Adamem Seligiem. Tamto pierwsze, nieujarzmione podniecenie minęło bezpowrotnie, ale Holly chciała, aby ono wróciło. Jak mogła je odzyskać? Gdzie się podziało spełnienie? Gdzie ta

podróż, o której pisali jej rodzice? Holly Mellow wyglądała jej przez cały czas jak ktoś, kto gorączkowo okrąża kulę ziemską w poszukiwaniu kogoś, kto już nie żyje. Przyszło jej do głowy, że dała się wówczas zaskoczyć, że naiwnie uwierzyła, iż ta pierwsza intensywność będzie się wciąż powtarzać przez całe długie życie. Odrzuciła możliwość studiowania, normalnego życia, przedkładając nad nie wieczną pogoń za gwałtownie znikającą podniętą. Kiedy już raz człowiek puści się tą drogą, trudno mu zawrócić. Nawet gdyby chciał, ludzie zawsze będą go widzieć w pewnym świetle.

Przynajmniej w czasie drogi prawie nigdy nie była sama. Byli przy niej kochankowie, przyjaciele i przyjaciółki, jacyś ludzie. Jedną z jej towarzyszek tamtych dni była dziewczyna o nazwisku Joannę Mikulski, dilerka każdego narkotyku, jaki da się łyknąć; a czego się nie da łyknąć? Cały wachlarz możliwości: wiewy, kapsułki, susz, kostki, Joannę handlowała wszystkim. Kiedyś, jesienią, krótko po rozejściu się rodziców, Holly zatrzymała policja. Zabrali ją w środku nocy z muszli koncertowej parku Huntingtona do radiowozu, z krwią nasyconą metamfetaminą i THC, a ona z jakiegoś powodu poprosiła, żeby zawieźli ją do taty. Zgodzili się i przekazali ją przybitemu ojcu, który wziął ją w ramiona i który tamtej nocy, z długimi włosami i niegolonym zarostem, zdawał się nie być sobą, jakby niesforna córka mogła wypuścić powietrze z najsilniejszego i najbardziej seksownego ojca. Jednak później pomyślała, że to wcale nie z jej powodu ojciec był nieswój, lecz z powodu własnego, nędznego życia: z powodu żony, którą kochał, lecz która kochała już kogoś innego.

Wziął wtedy swoją córkę do mieszkania i przyjrzał się jej uważnie w świetle lampy w korytarzu. Jej źrenice były powiększone do rozmiaru oliwek. Była wrakiem. Potrzęsnał zrozpaczony głową i powiedział: „Moja dziewczynka... Spójrz tylko na siebie”. Zupełnie inaczej, niż kazał im zawsze patrzeć na

mamę, i Holly poczuła, że pali ją wstyd, bo stała się zakałą, klasycznym przykładem zdegenerowanej nastolatki. Kimś, kogo nikt nigdy nie chciałby mieć za swoje dziecko. „Spójrz tylko na siebie”, tak powiedział, ale bez miłości, bez zachwytu; była w tym jedynie nuta podszytego rezygnacją pogodzenia się z faktem, iż Holly sięgnęła dna.

I on, i Roz mieli niewielki wpływ na starszą córkę, bo jej pociąg do świata był zbyt silny, żeby mogli mu się przeciwstawić. Roz również ciągnęło do świata. Miała już dość małżeństwa, a może za wiele.

Kiedyś podobało im się, że są rodziną. Długo, naprawdę długo byli nawet bardzo udaną rodziną, wyjeżdżali wspólnie na wakacje, siadali razem do obiadu, a rodzice, nie, wcale nie byli źli, nawet po wydaniu książki; między wywiadami i wykładami chodzili do szkoły na przedstawienia swoich dzieci i wywiadówki. Starali się. Ale u starszej córki budzili zażenowanie, okres dojrzewania był dla niej naprawdę trudny, bycie osobą było trudne, a potem jeszcze ten rozwód. Pewnego dnia tamtego roku Roz Mellow zajechała swoim volvo do domu i zobaczyła, że nie ma Holly. Dziewczyna ruszyła w świat, najpierw z Hojo, a potem z Joannę Mikulski, która jeden kiel miałła koloru ziarna kukurydzy. Nieco później była z Dannym Jettem i dziewczynami, które poznała w mieście, a potem sama zamieszkała w mieście, w hiszpańskim Harlemie, gdzie pewien poznany na dyskotecce barman uparł się, by mówić do niej Rosalita. Z upływem lat Holly Mellow, piękna Holly Mellow, najcudniejsza w rodzinie i najbardziej wyniosła, po prostu odrzuciła status córki, uznając, że nie ma on już dla niej znaczenia. Odrzuciła status i odeszła od rodziców; a oni poniechali walki o nią, zgodzili się oddać ją światu, do którego, jak mówiła, należała.

Sęk w tym, że teraz, w wieku czterdziestu trzech lat, od dawna już do tego świata nie należy. Odeszła od niego, ale

jednocześnie było za późno, by wracać do rodziny; byli już inni, a poza tym sama okazałaby się hipokrytką najgorszego rodzaju, zresztą miała własną rodzinę. Nie było już domu na Swarthmore Circle, nie było małżeństwa, nawet dzieci w swojej nowej, dorosłej tożsamości nie były już rozpoznawalne - Dashiell, popierdolony republikanin, Michael, taki zamknięty, sztywny, nieszczęśliwy, i Claudia, jakaś niewyraźna, trochę artystka, nieudacznik.

Holly nie powinna się jednak odzywać. Jeszcze niedawno sama nie mogła wiele pokazać poza, aż trudno uwierzyć, urodą. Niosła ją przez całe życie jak mały skarb, który człowiek chowa w bucie i strzeże w podróży jak oka w głowie. Potem w wybuchu ostatniej fazy płodności miała dość szczęścia, by urodzić dziecko, które zmieniło wszystko w tej jednej, okupionej krwią sekundzie narodzin, przemieniając w coś nie do opisania to, co było rozwiązłym życiem, a nieco później posłusznym tkwieniem przy Marcusie Leemingu. Teraz miała w życiu cel.

Dziecko, które miało na imię Ross (imię bezbarwne, ale Marcus się uparł, bo to po jego nieżyjącym ojcu), ale na które wszyscy wołali Buddy, skończyło niedawno dziewiętnaście miesięcy. Przez ostatnie półtora roku oddawała mu wszystko, tak jak można wszystko oddać drugiej osobie, a wcześniej, przez prawie rok, oddawała się samej ciąży, zaczytując się w książkach wyjaśniających kwestie nudności, kwasu foliowego, testów genetycznych i porodu, wywołujących mdłości bólów, oksycyny, kostek lodu i ciągłego błagania o wytchnienie.

Marcus był lekarzem, choć nie takim, który w czasie ciąży mógłby się do czegoś przydać. Był chirurgiem ortopeda, a większą część jego pacjentów stanowili zawodowi gracze futbolu amerykańskiego i starszki ze złamanymi biodrami; jego gabinet pracował na pełnych obrotach. On sam był szczupłym, tyczkowatym mężczyzną z długimi włosami, które wiązał

w krótki koński ogon, chyba tylko po to, aby nie zapomnieć, że kiedyś, przed medycyną, przed stażem, przed praktyką zawodową, był odszczepieńcem. Dawno temu, kiedy jako nastolatek mieszkał w Oregonie, należał do kapeli rockowej, która często koncertowała w okolicach Portlandu. Nie byli źli, ale nic fenomenalnego, mówił do Holly, w każdym razie grupa wpłynęła na jego karierę zawodową - ponieważ każda amerykańska uczelnia medyczna, w której składał papiery, z miejsca odrzucała kandydaturę rockmana. Studiowanie medycyny za granicą było dla niego początkowo upokarzające, ale wkrótce okazało się wspaniałe, bo kiedy wrócił do Stanów na staż w szpitalu, był o wiele spokojniejszy od rodaków i psychicznie lepiej przygotowany do trudnej, szpitalnej codzienności. Holly nie była pewna, czy tylko spokojem emanował Marcus; jego spokój wydawał się podszyty jakąś pełną napięcia przeornością, zauważalną od samego początku.

Spotkali się w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku, na jakimś przyjęciu w Malibu trwającym do białego rana. Holly (w tamtym momencie swojego życia mieszkała na wzgórzach w Silverlake i sprzedawała marihuanę w mieszkaniu urządzonym w garażu, który wynajmowała w starym, kolonialnym domu z czerwonymi dachówkami) przybyła na przyjęcie z karawaną przyjaciół, z których tylko jedna osoba znała trochę gospodarza. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła Marcusa, siedziała na wyblakłym od słońca tarasie i patrzyła na ocean, rozważając popełnienie samobójstwa. Myśli samobójcze pojawiły się nagle, nieproszone, jak to się czasem zdarzało w jej życiu. Zwykle przychodziły w najbardziej beznadziejnych chwilach, w samochodzie z ludźmi, których nie znała, kiedy leżała naćpana pod kimś obcym w łóżku, albo na wielkiej imprezie wśród samych nieznajomych, jak choćby tutaj, w Malibu. Siedząc na tarasie domu na palach, Holly wyobraziła sobie, że sztorm zabiera cały ten dom; zobaczyła sie-

bie jako malutki punkcik podrywany przez wzburzoną wodę, a potem pomyślała o niewymownej uldze, jaką poczuje, kiedy zachłynie się wodą i zniknie pod nią po raz ostatni. Włosy owina się wokół jej głowy, w jej gardle znajdują może potem malutką rozgwiazdę. Nie, nikt nie będzie wiedział, kim jest.

Paliła papierosa, kiedy na taras wyszedł wysoki, kościsty mężczyzna z włosami związanymi w koński ogon. Nie było na zewnątrz nikogo innego, ponieważ noc należała do chłodnych jak na Malibu o tej porze roku i wszyscy woleli siedzieć w domu, gdzie w wielkim jak pokój kominku buzował ogień, a jakiś były muzyk rockowy wygrywał na gitarze przebój własnego autorstwa; „Posmakuj mnie!” - zaśpiewał i wszyscy przyłączyli się chórem. „Posmakuj... Jeśli ci nie zasmakuję... zwróć mnie...”

- Śpiewają, jakby im słoń na ucho nadepnął - powiedziała Koński Ogon, stając obok niej przy drewnianej balustradzie, a Holly przytaknęła. - Nie powinnaś palić - dodał.

- Tak? Kto to powiedział?

- Minister zdrowia.

- Powiedz mu, żeby się pofatygował osobiście - odparła Holly, myśląc: Co za palant!

W tamtym czasie uważała, że większość ludzi to palanty; dobrze było łatwo i szybko oceniać innych.

- Wiesz - powiedział - jestem lekarzem. Szkolili nas, by myśleć w taki sposób. To działa u mnie automatycznie, jak odruch, ale tak naprawdę jesteśmy strasznymi hipokrytami, nie ma grzechu, którego byśmy nie popełnili, ja i koledzy z praktyki.

Holly spojrzała na niego z większym zainteresowaniem; myśl o samobójstwie szybko się ulotniła, jak niedokończona książka, którą człowiek zamyka przed ułożeniem się do snu. Była zmęczona i samotna. Od świtu wkładała u siebie w mieszkaniu zarodki konopi indyjskich do woreczków foliowych, w to-

warzystwie mocno znerwicowanej byłej prostytutki o imieniu Rita, wyglądającej jak gwiazda filmów murzyńskich z lat siedemdziesiątych, która ledwie co wyzionęła ducha. Rita dopiero niedawno postanowiła wejść w handel marihuaną i lubiła opowiadać historie o swoich starych, dobrych czasach. Snuła niekończące się historie o klientach, strumieniach gotówki, chorobach wenerycznych, w tym szczególnie przejmującą o chlamydiozie, która zakończyła się spartaczoną operacją laparoskopową w darmowej przychodni w Venice Beach.

Tamtego wieczoru, w Malibu, w domu nad oceanem, pełnym zamożnych ludzi zawodzących przy niepodłączonej do prądu gitarze elektrycznej Fender Stratocaster, Holly znalazła pocieszenie u boku strzelistego chirurga ortopedy. Uświadomiła sobie, że dotychczas nie znała żadnego lekarza - w jej życiu roiło się od ludzi podobnych do niej, którzy nigdy nie chodzili do college'u, lecz którym nie brakowało naturalnego sprytu.

Lekarz. Posłała Końskiemu Ogonowi delikatny, ale szczery uśmiech.

- Jak się nazywasz? - zapytał, a kiedy mu powiedziała, nastąpiło to, co nastąpić musiało. - Mellow? Może to dość popularne nazwisko, ale łączy cię coś z tymi Mellowami od podręcznika seksuologicznego?

Musiała powiedzieć. Nienawidziła tej chwili za każdym razem, kiedy następowała.

- Uhm... - odpowiedziała. - To dzieło napisali moi starzy, *Zdrowe różnice: historyjka pewnej pary o tym, jak to robić i po cholere.*

Nastąpiła krótka pauza, a potem Koński Ogon uśmiechnął się.

- To zabawne - powiedział. - Zabawna jesteś.

Słuchała jego wspomnień: czym dla niego ta książka była, jak z niej korzystał, czego się nauczył i tak dalej, i dalej. Kiedy tak mówił, Holly odwróciła głowę, próbując znów osiągnąć

stan dyskomfortu i znużenia. Ludzie niemal nigdy tego nie zauważali; zazwyczaj byli tak pochłonięci nawałnicą własnej pamięci o tej książce, że się zatracali w opowiadaniu. Marcus Leeming nie stanowił wyjątku.

Później, kiedy impreza dobiegła końca, a goście ruszyli chwiejnym krokiem do samochodów, Holly, też niezbyt pewnie, poszła do samochodu Marcusa. Jej przyjaciele o nic nie pytali; ba, nie pamiętali nawet, że z nimi przyjechała. Na jej miejscu z tyłu sadowili już kogoś nowego, a za chwilę będą się tłuc wybrzeżem Pacyfiku do domu, w każdym razie do jakiegoś domu.

W mieszkaniu, które wynajmował, Marcus chciał pokazać Holly, czego się nauczył z książki jej rodziców. Chociaż był chudy jak patyk, to całkiem silny; jego ciało pokrywały jasne włoski. Początkowo nie czuła wiele, poza czymś w rodzaju irytującego i usypiającego pocierania. W końcu chyba jednak zrozumiał, że to - podobnie jak niemal wszystko, czego Holly doznała w ostatnich latach w łóżku z innymi - jest w jej oczach statyczne, zimne, i jeśli czegoś nie robi, nic z tego nie będzie. Przyniósł więc malutką fiolkę kokainy w formule farmakologicznej, szybko ją wciągnęli i sprawy poszły dużo lepiej. Pocieranie nabrało rytmu, usłyszała własny oddech, coraz głośniejszy, coraz szybszy, jakby uciekała długą drogą przed jakąś młodą kobietą, samą sobą. Kiedy parę tygodni później zobaczyła go w niebieskozielonej bluzie i takich samych spodniach przed wejściem na salę operacyjną, pomyślała, że maskująca nieprzezroczystość jego stroju jest wręcz doskonała. Bo kim pod nim był? Wciąż znała zaledwie ułamek jego przeszłości, ale tak naprawdę nie chciała nic o niej wiedzieć.

Było już za późno, aby interesować się przeszłością innych; miała własną przeszłość, która wystarczała jej aż nadto. Nigdy nie sądziła, że można wyjść za mąż za kogoś, kogo się właściwie nie zna i kto nie zna ciebie; teraz wiedziała, że nie tylko

można, ale że nawet sama to robi. Małżeństwo będzie oznaczać w jej życiu zmianę i każe wszystkim myśleć, że ona, Holly Mellow, kroczy tym samym szlakiem co większość ludzi. Małżeństwo zatrzyma pęd czasu, wprowadzi stałość. Będzie jeden dom, jeden człowiek przy niej. Wiedziała już, że seks nie jest tym, przy czym upierają się jej rodzice w książce. Z pewnością oni też już zmienili zdanie. Małżeństwo niosło w sobie ironię, ale ona przemawiała do Holly, ostro i zjadliwie.

Było to trochę tak, jakby w swoim niegdyś zaćpanym, pokręconym, cholernym „ja” przechowała myślenie o małżeństwie w stylu lat pięćdziesiątych: jeśli jesteś kobietą, która niczym się nie zajmuje - niczym ważnym - to możesz wyjść za lekarza. Jego nazwisko stanie się twoim nazwiskiem, i dzięki Bogu, bo raz na zawsze będziesz mogła zapomnieć o etykietce Mellowów. Nawet jego dyplom studiów medycznych (zdobyty na uniwersytecie St. Martinus na wyspie Curacao) będzie twój. Siebie możesz wymazać. Na dobre lub złe możesz zacierać własne kontury, aż w końcu znikną, jak nazwiska ludzi, których znałaś w narkomańskich czasach i których już nie potrafisz sobie przypomnieć.

Nie w tym rzecz, by Marcus Leeming do cna wyczyścił życiorys Holly Mellow, raczej w tym, by w jego obecności sama chciała to zrobić, bo zrozumiała, że inaczej to się nigdy nie uda. Właściwie Marcus z trudem tolerował jej próżniactwo, niechlujne podejście do życia, brak ambicji i bylejakość. W ciągu pierwszych tygodni opowiedziała mu o wszystkich błędach, jakich się w życiu dopuściła - lista brudów ciągnęła się długo, miała sprawdzić jego cierpliwość i to, ile potrafi znieść. Siedział na kanapie w swoim salonie i słuchał z fałszywie przyjaznym uśmiechem na twarzy.

Opowiedziała swojemu przyszłemu mężowi o roku dziewięćdziesiątym pierwszym, który po wyjściu z odwyku spędził w Minnesocie. Podobnie jak absolwenci college'ów, którzy

najlepsze lata spędzili w kampusie, tak Holly Mellow i paru jej znajomych z terapii, wynajęli wspólnie mieszkanie, o dwie mile od ośrodka odwykowego i zaczęli szukać pracy w lokalnych lodziarniach i księgarniach. Holly pracowała za ladą w barze Nie do Wiary, to Jogurt! Unosiła dźwignię maszyny, wyczuwała ciśnienie, słyszała lekko bulgoczący szmer, kiedy wijący się, zimny, kremowy wąż pełzył do styropianowego kubeczka. Jej ręce i ubranie wciąż śmierdziały współpleśniałym jogurtem. Za każdym razem, kiedy ona lub inny z pracowników skarżyli się na coś, dodawali: „Nie do wiary!” W tym małym, jasnym lokalu sarkazm był na porządku dziennym. Holly miała wówczas ponad trzydzieści lat i była najstarszym pracownikiem. Kierownik, który miał ledwie dwadzieścia trzy lata, nie potrafił zrozumieć, że Holly nie chce się piąć po szczeblach kariery zawodowej, choćby do stanowiska zastępcy kierownika, ale ona zapewniała, że naprawdę nie chce. Praca była zbyt nudna. Poza tym wciąż miała pieniądze z konta założonego przez rodziców, dzięki któremu tak długo mogła prowadzić swoje zawile życie, i wydawało się jej nawet, że powinna być rodzicom wdzięczna, ale nie była.

Przez wszystkie te lata, kiedy właściwie nie odzywała się do rodziców, nieustannie korzystała z ich pieniędzy - wyciągając je po cichutku z bankomatów w całych Stanach, wypisując czeki, płacąc za jedzenie, za działkę, za wódkę, za wynajem, za benzynę, za płytę, a później za CD, nie myśląc wiele o matce i ojcu, którzy sprawili, że mogła kupować te wszystkie rzeczy. O matce i ojcu, którzy sprawili, że mogła żyć.

Nawet teraz, mając czterdzieści trzy lata, pokonawszy już nałóg, Holly wściekała się jak dziecko na myśl o krzywdzie, której zaznała - a czasem o krzywdzie, którą zrobiła innym. Przed oczami stawała jej mama, zanosząca się w nocy płaczem nad kuchennym stołem. Ojciec, który chodzi bez celu po domu, gładząc brodę, zdetonowany i przygnębiony. Oboje rodzi-

ce, którzy robią to jak małpki i głoszą światu, że seks to przyjemność, doznanie inne od wszystkich - przekonanie, które podzielała zaledwie przez chwilę, gdy była nastolatką, lecz które potem tym trudniej było podtrzymać, im była starsza i im starsi byli mężczyźni, bo w łóżku każdy z nich tracił smak i stawał się w końcu rozdrażniony. Widziała swoich braci i matkę siostrzyczkę, wszystkich z szeroko otwartymi oczami, niewinnych jak dzieci malowane na kiczowatym obrazku, tyle że ich oczy są wielkie nie z zachwytu, ale z powodu tego, co zobaczyli.

Dobrze jest wyrwać się od rodziców na początku lub w środku życia; ona sama powodów miała dość. Przynieśli jej wstyd, zlekceważyli ją, upokorzyli, a życie czekało niczym wygodny, szybki samochód, którym można uciec. Wciąż się piekliła, nawet teraz, siedząc w białym bujanym fotelu, z dzieckiem na ręku. Mąż Holly Leeming wtargnął do jej życia, zyskał u niej dodatkowe punkty ze względu na koński ogon i dyplom lekarski, których połączenie robiło ogromne wrażenie, a jednocześnie działało uspokajająco. Ktoś, kto się mną opiekuje, myślała. Ktoś, kto miał trochę władzy, kto może dać jej stabilne życie, jakiego dotąd nie zaznała - od tamtego dnia, gdy siedziała w kręgu z rodzeństwem na różowym dywanie w swojej sypialni i grała z nimi w „Życie”. Zakręciła wtedy wolno swoim kołem fortuny i zatrzymało się ono na splątanych ratach, na małżeństwie, na rodzinie. Ku swojemu zdziwieniu, Holly Leeming wszystko to teraz miała. Przeszłość była cholernie przestarzała. Terazniejszość, choć brakowało jej tego nieomylnego smaku rzeczywistości, była jednak rzeczywista i należała do niej.

Teraz była zamożną żoną i mieszkała w dużym domu w Topanga Canyon - wciąż ładna, choć wyglądała na osobę, która swoje przeszła w życiu; skórę wokół jej oczu i ust znaczyły zmarszczki nałogowego palacza. Włosy pozostały jasne i gęste, a jej ciało było piegowate, opalone i zwinne jak zawsze.

Holly została matką po czterdziestce. Pielęgniarka w gabinecie położnika wręczyła jej broszurkę, na której okładce znajdowało się kilka siwowłosych kobiet tulących do siebie niemowlaki. Teraz ona tuliła do siebie własne dziecko, ciało do ciała, a brzask zaczynał barwić pierwszą smugą okno w dziecięcym pokoju. Buddy Leeming się budził, podnosił główkę znad piersi i patrzył na nią z zaciekawionym, jak ktoś, kto zbudził się raptem z narkotycznego odurzenia i pyta: „Kto ja jestem? Gdzie ja jestem?”

- Mama - powiedziała.

- Cześć, Buddy, mój chłopczyku - przywitała go. - Cześć, karaluszku.

Buddy wyciągnął rękę do poręczy fotela, przesuwał swoimi grubiutkimi palcami wzdłuż wygiętej białego drewna.

- Oć, mama - powiedział. - Oć na dół. Oć, mama. Oć.

Holly chciała siedzieć z nim tutaj, chciała skraść jeszcze jedną krótką, matczyną chwilę, zanim światło na dobre zaleje pokój, zanim Marcus się zbudzi w kwaśnym nastroju zapracowanego chirurga, a ona znowu wpadnie w małżeńskie życie suburbiów Los Angeles, jakby rzeczywiście właśnie tu było jej miejsce. Holly pomyślała o Dashiellu i jego chorobie, potem o rodzicach, kiedyś splecionych ze sobą, potem rozdzielonych na zawsze. Pomyślała o swoim bracie Michaelu, który zawsze spoglądał ku niej z taką tęsknotą - zawsze była świadoma tej tęsknoty, lecz konsekwentnie ją ignorowała, bo co mogła zrobić? Co mogła dla niego zrobić? Byli tak bardzo blisko siebie, on i ona, duet, a teraz są niczym. Właściwie nie wie nic o jego życiu: o studiach w Princeton, o zamkniętym i zorganizowanym świecie, który zamieszkuje, o kobiecie, którą kocha, i pieniądzach, które na coś wydaje. Pozwoliła mu odejść, jemu i wszystkim innym. Pomyślała o całej rodzinie Mellowów, najpierw jako o jednym dużym ciele, a potem zbieraniu rozbitych odłamków. Boże, życie jest okrutne i smutne. Czasem

się wydaje, że jest jak wirujący laserowy pokaz, na który się wybrałaś o północy. Jesteś tam, wszystko jest pokręcone, siedzisz na krzeselku, z odchyloną głową, z buzią lekko otwartą w zdziwieniu.

- Oć na dół - powtórzył Buddy, tym razem z naciskiem.

Holly Leeming nie chciała schodzić na dół, nie była jeszcze gotowa; nie wiedziała nawet, czy kiedykolwiek będzie gotowa. Ujęła główkę chłopca i przysunęła ją z powrotem do piersi. Jego oczka spojrzały na nią zdziwione, jakby pytał: „Co jest, kurwa?”

Holly była jednak zdecydowana, bez skrupułów wsunęła sutek z powrotem w jego usta i poczekała dłuższą chwilę, aż zassie. Wiedziała, że to zrobi, bo miał dobrą i łagodną naturę i nie lubił sprawiać kłopotów, a przebywanie tutaj razem z nią, w małym, ciepłym pokoju, było równie łatwe i przyjemne jak przebywanie tam, na dalekim świecie.

Rozdział dziesiąty

Tuż za półkolem szpitalnych pokoiw stały w półokręgu pielęgniarki, które zawiadywały wielką, zakrzywioną konsolą kontrolną. W środku tej halucynacji Dashiell Mellow wyobraził sobie, że znajduje się na statku kosmicznym, który się odrywa od Ziemi.

- Lecę w lepsze miejsce - powiedział oschle.

- Słucham? - zapytał pielęgniarz, łagodny grubas w żółtym kitlu i masce ochronnej, który przechodził akurat obok, sprawdzając leki i robiąc jakieś notatki.

- Lecę w lepsze miejsce - powtórzył Dashiell, choć sam już tracił pewność tego, co mówi.

O co mu właściwie chodzi? Usilnie próbował sobie przypomnieć, co powiedział, ale stwierdził, że nie potrafi.

- Och, nie. Wszystko będzie dobrze - powiedział pielęgniarz. - Tu mają znakomitą opiekę medyczną, proszę mi wierzyć. Sześć tygodni temu szwagrowi wszczepiono potrójny bypass i już normalnie pracuje.

Po tych słowach poklepał kołderkę dłonią w lateksowej rękawiczce i odszedł z cichym z szelestem szpitalnego obuwia.

Statek kosmiczny wzbił się nad Providence w stanie Rhode Island, unosząc ze sobą wszystkich pasażerów, zamkniętych w izolatkach, zbyt słabych i chorych, by spojrzeć przez okna w dół, na miasto, które za sobą zostawiają. Jednak Dashiellowi udało się usiąść i wyjrzeć na zewnątrz. Statek wzlatywał wysoko, a Dashiell widział dach domu, w którym mieszkał z To-

mem, widział bramę Brown University z kutego żelaza, widział park, a w nim pomnik Rogera Williama, twórcy osady Rhode Island, w trójgraniastym kapeluszu, w wysokich butach i długiej kamizelce. Roger Williams spojrział na statek kosmiczny i zobaczywszy, jak mknie coraz wyżej, w czarne, nocne niebo, zebrał wszystkie siły i pomachał mu ciężką ręką z brązu. Dashiell też chciał pomachać, ale własna ręka wydała mu się taka ciężka, jakby również była zrobiona z brązu, i nie był w stanie jej unieść. Odwrócił ciężką głowę na bok i zamknął oczy, oddał się podróży, nie wiedząc, jak długo potrwa.

Kiedy nadszedł ranek, obok jego łóżka siedział Tom. Także miał na sobie maskę ochronną i żółty kitel, choć Dashiell zauważył pod nim mankiety i kołnierz najlepszego garnituru Toma, który kosztował tyle pieniędzy, że podejmując decyzję o jego kupnie, musieli usiąść i dokładnie zaplanować wydatki na cały miesiąc. Cóż, na swoim stanowisku Tom musiał się dobrze prezentować i być świetnie ubrany. Od czasu nadejścia Bilia Clintona to demokraci mieli patent na modę, a republikanie zdecydowanie ustępowali im pola; na każdego smukłego liberała w eleganckim, włoskim garniturze przypadało trzech konserwatystów, którzy pstrzyli krajobraz poliestrowym kraciatym melanżem i tupecikami w złym guście. Coś trzeba było z tym zrobić. Tom uważał, że sytuację mogli uratować republikańscy geje, Dashiell przyznał mu rację i zgodził się na zakup. Zresztą Tom tak dobrze wyglądał w tym garniturze, że Dashiell nieraz czuł się dumny, idąc z nim ulicą, jakby chciał, żeby wszyscy wiedzieli: To jest mój chłopak. Patrzenie i płaczenie.

Jednak tego ranka, w skąpym, przyćmionym świetle szpitalnego oddziału, na którym nie istniało pożądanie seksualne i którego pacjenci mieli wkrótce otrzymać przeszczep własnego szpiku, w oczach Toma Amlina czaił się strach.

- Dashiell? Obudziłeś się? - Żółta łatka maski ochronnej zassała się lekko w otworze rozwartych ust.

- Tak. W tej chwili.

- Mówią, że jest bardzo dobrze, rozmawiałem z pielęgniarkami i lekarzami, doktorem Changiem i doktorem Balakianem.

- Naprawdę? Skąd wiedzą? - Dashiell zauważył z ulgą, że halucynacje minęły.

Nie przebywał już w kosmosie, nie znajdował się na pokładzie statku kosmicznego, nie krążyli wokół niego w stanie nieważkości salowi z tackami. Był na ziemi, cały i nietknięty, w każdym razie na tyle, na ile cały i nietknięty może być ktoś z zaawansowanym rakiem.

Komórki macierzyste z krwi obwodowej, pobrane bezpośrednio ze szpiku kostnego Dashiella, już niebawem, kiedy zakończy się nowy cykl chemioterapii, wrócą do niego w oczyszczonym stanie. Jego układ odpornościowy zostanie wtedy wyłączony, nastąpi gwałtowne zaćmienie, a on będzie całkowicie bezbronny wobec wszelkich zagrożeń: kichnięcia nieostrożnej pielęgniarki, wysyłającej ku niemu niewidoczną, pajęczą przędzę smarków, a potem dotykającej brzegu czasopisma, które Dashiell może wziąć do ręki; wyziewów z kratki wentylacyjnej pod oknem, gdzie chyba osadza się pleśń, co bardzo go niepokoi. O kratce jednak nie chciał nikomu mówić, bo miał dosyć narzekania na wszystko, a poza tym bał się, że będzie uważany za naprzykrzającego się pacjenta.

- Mówią, że organizm naprawdę dobrze wchłania nowy lek - powiedział Tom. - O to mi chodziło.

-A...

- Słuchaj, Dash. - Tom poprawił się na krześle i założył nogę na nogę; nawet jego lśniące czarne buty okrywały rozciągliwe, żółte papcie ochronne. - Muszę ruszyć w drogę. Kampania.

- Wiem.

- Tak, ale chodzi o to, że muszę jechać właściwie teraz. Na kilka dni, tu i tam, w różne miejsca. Będę wpadał i wyjeżdżał.

Nie mam wyboru. Notowania Wymana spadają i chcą, żebym się wziął do roboty. Dostaje po głowie, bo w wywiadach popierał interwencję w Iraku, choć akurat nie uważam, by miał prawo się za tym opowiadać, w każdym razie sprawy w Iraku idą marnie. Każdego dnia giną żołnierze. Słyszałeś już o tej matce?

- Jakiej matce?

- Mary Ann McCullough, chyba tak się nazywa. Pochodzi z Pawtucket, jej syn wyleciał ostatnio w powietrze w zamachu w Faludży. Matka jeździ za Wymanem, akurat za nim, jakby to on za wszystko odpowiadał, choć przecież tylko kandyduje. Uzbrojona w gigantyczne fotografie syna i trumny udrapowanej sztandarem, pojawia się wszędzie, gdzie Wyman ma spotkania wyborcze i gdzie robią mu zdjęcia. Jakieś zdjęcie syna z pierwszej klasy udało się jej dosłownie zamienić w billboard podpisany u dołu: „Mój syn zginął w niesłusznej wojnie”, czy coś w tym stylu. Ewidentnie poluje na Wymana, więc Krajowy Komitet Republikanów zlecił, by się bliżej temu przyjrzeć. Naprawdę, w takich sprawach trudno komukolwiek ufać, wszystko leci z rąk. Beze mnie to się rozpadnie.

Dashiell nie umiał sobie nawet wyobrazić, co odpowiedzieć. Poczul zawroty głowy i przez chwilę pomyślał, że chyba rzeczywiście znalazł się w kosmosie, a Tom razem z nim. Nie byli już braćmi w koszulkach Brooks Brothers, byli Neilem Armstrongiem i Buzzem Aldrinem, i mknęli przed siebie, by stanąć na Księżycu. Bo jak Tom może w ogóle mówić takie rzeczy, jak może opuszczać go właśnie teraz, kiedy jego ciało zostało pozbawione szpiku i komórek zwalczających infekcje i leżało bezbronnie w oczekiwaniu na nowy, zbawczy szpik, na nowe komórki, które mają nadejść i wszystko naprawić? Dashiell nie miał nawet sił ruszyć głową, ale obrócił oczy i wbił w Toma wściekły, miał nadzieję, wzrok. Najprawdopodobniej jednak wyglądał tylko jak zbity pies.

W tej samej chwili zauważył, że Tom również nie jest zadowolony i że wcale mu się ta perspektywa nie podoba.

- Wiem, że mnie za to nienawidzisz - powiedział Tom ze spokojem w głosie. - Bo kto tak robi, prawda? Ale nie dają mi wyboru, Dash. Dzwonią nawet z Krajowego Komitetu. Szefowie z centrali w zasadzie proponują mi coś takiego: albo jadę z Wymanem w trasę, żeby gasić w całym stanie pożary, a jeśli dobrze wykonam robotę, to prawdopodobnie czeka mnie awans, a my będziemy mogli opłacić wszystko, czego nie obejmuje jeszcze twoje ubezpieczenie, albo, to druga opcja, rezygnuję i na zawsze zamykam sobie drzwi do partii w Rhode Island, no i w całym kraju. Nie wiem, z czego będziemy wówczas płacić szpitalne rachunki.

- Tobie by tego nie zrobili - powiedział Dashiell.

- Wolałbym tego nie sprawdzać.

Obaj siedzieli i spoglądali na wenflon w klatce piersiowej Dashiella, w który niestrudzenie skapywały cyklofosfamid, melfalan i etoposyd. Rozwój choroby był czymś, o czym nawet nie potrafili myśleć. Jeśli Dashiell nie będzie w stanie pracować, wszystko spadnie na głowę Toma, nieuznawanego współmałżonka. Niemniej wiedli wspólne życie. Byli ludźmi, którzy darzyli się miłością i których wciąż podniecał widok partnera wychodzącego rano spod prysznic. Ludźmi, którzy umieli dać sobie szczęście zwykłym żartem, rozmową do świtu o polityce lub rozciągnięciem się w poprzek łóżka w poczuciu cudownej, beztrudnej wolności, która przynależała ludziom zdrowym.

Boże, nie ma już tej wolności, myślał Dashiell, bo łóżko było dziś dla niego miejscem, gdzie się leży w bezruchu, gdzie można tylko podnieść głowę lub spuścić nogi. Łóżka w szpitalu były zautomatyzowane. Miały gruby podkład, który się wyczuwało pod prześcieradłem. Jakże się różniły od łóżka w domu, na którym Dashiell lubił położyć się po przekątnej, całkowicie

nagi, z erekcją, i czekać, aż do pokoju wejdzie Tom, i zrobić mu niespodziankę. Tom skakał na niego jak dziecko do wody i od razu czuli tę symetrię, to wspaniałe ocieranie się fragmentów ciała, które jeszcze dzisiaj przypominało Dashiellowi skautowskie obozy i próby rozpalenia ognia przez pocieranie dwóch patyków. W łóżku mógł się poczuć jak chłopiec, jak skaut. W łóżku Tom Amlin pozbywał się wreszcie swojego biurokratycznego stylu, swojej władzy, wpływu, dogmatyczności i stawał się po prostu słodkim, seksownym chłopakiem. Mieli tam wszystko, czego im było trzeba, małe świece, muzykę i pojemniczki czegoś o waniliowym zapachu, co nazywało się „Masełkiem miłości”, który Tom kupił dla żartu, lecz który zaskakująco szybko opróżnili - i oczywiście mieli siebie, silnych i pełnych życia.

Dashiell opuścił tamto łóżko, zamienił je na inne, bardzo inne, na łóżko, które zapewniało niekończące się skapywanie trucizny i nie dawało żadnej gwarancji, że przyniesie coś dobrego. Czasami przeszczep zabijał, zanim człowiek zdążył zobaczyć, czy zadziałał.

- No dobra - powiedział Dashiell do mężczyzny w żółtej tkaninie, którego ciało kryło się przed spojrzeniami pod szpitalną burką, jakby karane za nie wiadomo jaki grzech.

Ale Tom jeszcze nie skończył.

- W tej sytuacji - ciągnął - zadzwoniłem do twojej mamy.

Gdyby Dashiell mógł wyrwać z siebie wszystkie rurki w proście, natychmiast by to zrobił, ale wiadomość tylko jeszcze bardziej przykuła go do łóżka.

- Nie - powiedział. - Dlaczego to zrobiłeś?

- Ktoś musi z tobą zostać, dopóki jesteś w szpitalu, ktoś musi być twoim rzecznikiem.

- W takim razie poproś Claudię. Sama proponowała.

Tom zdecydowanie pokręcił głową.

- Nie. To nie jest dobry pomysł. Z tego, co mi o niej opowiadałeś i co sam zdążyłem zauważyć, nie sądzę, żeby Claudia

potrafiła podołać takiemu zadaniu. Natomiast twoja mama naprawdę, naprawdę chce się tobą zająć, sam dobrze wiesz. Przyjeżdża pojutrze.

W środę wieczorem, kiedy korytarzem oddziału transplantologii szpitala Rhode Island rozwożono dla pacjentów filety z dorsza na kolację, Tom Amlin stał w ogrodzie jednej z najmniejszych nadmorskich posiadłości w Newport i popijał szampana ze smukłego kieliszka. Po posiadłości niósł się jednostajny gwar potężnych sponsorów, a wraz z nim przyjemne poczucie, że jest się blisko jądra władzy, a w każdym razie władzy, którą zamierzało się przejąć. W tym samym czasie na szpitalnym oddziale panowała ogłuszająca cisza, przerywana najwyżej lekkim stuknięciem widelca o tekturowy talerzyk lub czymś słabym chlipnięciem. Dashiell podniósł wyżej głowę i przez szybkę w drzwiach spróbował spojrzeć w okno po drugiej stronie korytarza, ale nic nie dojrzał.

Właśnie w taki senny, wieczorny nastrój panujący na oddziale wpadła mama cała w żółtym kolorze. Dashiell podniósł wzrok, by spojrzeć, jak wolnym krokiem podchodzi do łóżka, i powiedział:

- Mamo.

Trzeba jej oddać, że się nie popłakała, nie powiedziała nic głośno ani raptownie. Stała po prostu, ubrana jak na wizytę, wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń swoją, w rękawiczce.

- Dashiell - powiedziała - naprawdę się cieszę, że pozwoliłeś mi przyjechać.

Już nie oponował; nie był to właściwy czas, no i w tym stanie niewiele mógłby wskórać. Jej obecność została mu narzucona, w podobny sposób jak obecność guzków raka, i w obu przypadkach nie miał prawa głosu. Ale zauważył, że nie czuje się przy niej zirytowany. Może zmiękł, może stał się senty-

mentalny. W każdym razie uznał jej postawę za jak najbardziej odpowiednią, a może nawet, niebawem to się okaże, za bardzo pomocną. Brak najmniejszego wahania ze strony matki zrobił na nim duże wrażenie.

- Czujesz się już kompletnie zgniły? - zapytała mama.

- Jeszcze nie - odpowiedział.

W ciągu następnych dni, kiedy krąg po kręgu zstępował w głąb piekieł, Roz Mellow szła razem z nim, może nie jak Beatrycze przy Dantem, raczej jak zwykły kumpel. Zstępowała do piekieł, ale robiła to pod osłoną jakiegoś magicznego, szklanego klosza, wolna od bólu, jaki ją zewsząd otaczał, nie tylko po to, by ratować siebie, lecz aby zachować więcej sił dla niego. Miała wiele do zrobienia: trzeba było wzywać pielęgniarki, powtarzać im z coraz większym naciskiem, a w końcu z irytacją, że Dashiell ma nudności i w tej chwili potrzebuje leków przeciwwymiotnych, trzeba było szukać i wzywać lekarzy, a specjalistom od żywienia tłumaczyć, co Dashiell może jeść, a czego nie przełknie. Dashiell spostrzegł, że cała intensywność matki, jej gorączkowość, jej dramatyczność, które tyle razy u niej obserwował, są teraz wykorzystywane w dobrym celu. Pomyślał też, że matka z pewnością chciałaby przejąć jego ból, odebrać mu go i zaaplikować sobie. Czyż nie to właśnie robią matki? Nie zastanawiał się nad tym, kiedy był chłopcem. Był zajęty głównie sobą, jak to dziecko, ale nie dlatego, by uważał siebie za świetnego i wspaniałego, jak bezsprzecznie myślał o sobie Michael i chyba również Holly, dawno temu, kiedy była jeszcze piękną, butną dziewczyną. Dawno temu, kiedy miała jeszcze nad młodszym rodzeństwem władzę. Właściwie Dashiell myślał o sobie zupełnie inaczej, myślał, że jest przestępcą. Przez całe dzieciństwo często mu się śniło, że ściga go policja, że ujmuje go i odwozi do więzienia. W jednym, najlepiej zapamiętanym śnie rodzice wchodzą do jego pokoju tuż przed obiadem i mówią:

„Synu, policja jest na twoim tropie. Będą tu za godzinę”.

„Co takiego zrobiłem?”

„Sam dobrze wiesz, co zrobiłeś. Teraz nie ma czasu tego roztrząsać. Proszę, zapakowaliśmy ci trochę jedzenia, coś do ubrania i parę groszy. Weź to i rusz w drogę, zanim się tu zjawią. Kieruj się na autostradę, a potem już przed siebie”.

„Ale przecież ja jestem dzieckiem”.

„Tak, wiemy - mówi matka i zaczyna płakać. - Nigdy już nie zobaczymy, jak rośniesz, bo nigdy, przenigdy nie możesz tu wrócić, bo natychmiast cię znajdą”.

„Wolimy, żebyś się cieszył wolnością - powiedział ojciec - niż marniał w więzieniu. Ruszaj w drogę i uważaj na siebie”.

Przytulają go potem mocno do siebie, po chwili uwalniają i wciskają mu w rękę kij z uwiązany na końcu tobołkiem. Dashiell kładzie go sobie na ramieniu i wychodzi z domu. Jest wczesny wieczór, wokół we wszystkich domach przebywają rodziny, dzieci, i Dashiell myśli sobie: Dlaczego ja muszę odejść, a oni mogą zostać? Co takiego zrobiłem? Co to za potworna zbrodnia? Nie potrafi sobie przypomnieć i odchodzi, łzy leją się po jego twarzy, rodzice machają do niego na pożegnanie zza moskitiery w drzwiach; już nigdy ich nie zobaczy.

Wówczas, jakby próbując przenieść sny na jawę, Dashiell zaczął kraść drobne rzeczy. Kiedy miał dwanaście lat, w sklepie muzycznym w centrum miasteczka ukradł kasety magnetofonowe z nagraniami Velvet Underground i składankę największych przebojów Doorsów; wsunął je błyskawicznie pod wiatrówkę i modląc się w duchu, by nie miały w sobie metalowego paska zabezpieczającego, który uruchomiłby alarm, wyszedł na ulicę. Kiedy przekraczał próg sklepu, poczuł gwałtowną falę strachu i napięcia, tak silną, że niemal sama zabrzmiała w jego uszach jak alarm, i już chciał się puścić biegiem. Nie, spokojnie, spokojnie, powtarzał sobie jednak. Nie ma alarmu, jest cisza, nic ci nie grozi.

Nikt go nigdy nie przyłapał, chociaż raz Holly, która akurat zawitała na krótko w domu, weszła do jego pokoju w chwili, gdy słuchał kradzionej kasy, i był pewny, że siostra wie. Była jakaś wesołość na jej twarzy, choć nigdy nic mu na ten temat nie powiedziała, a sam nie odważył się zapytać. Nigdy się nie dowie, ile wtedy Holly wiedziała, a teraz, jako dorosły człowiek, poczuł, że chciałby wiedzieć. Lecz może to tylko potrzeba, by znowu się poczuć młodym, znowu się znaleźć pod wpływem silnej i niepohamowanej siostry - skarłałej pewnego dnia do rozmiarów, które i dziś są dla niego szokujące.

Bez jakiejś szczególnej przyczyny Dashiell w końcu wyrósł z pragnień, by wchodzić w posiadanie rzeczy, które do niego nie należą. Rodzice dawali mu przyzwyczajenie kieszonkowe, a on lubił wykładać dumnie gotówkę na ladę, kupując sobie kasetę czy inne drobiazgi. Kiedy jednak skończył czternaście lat i zaczął się zabawiać z Hamem Kleemanem, wieczną gwiazdą wiejskich komedii i musicali, Dashiell zrozumiał, że nie załatwił jeszcze spraw ze swoim poczuciem winy, czy też ono nie załatwiło jeszcze sprawy z nim.

Któregoś późnego wieczoru, gdy było już ciemno, Dashiell spóźnił się na kolację. Wracał od Kleemanów. Kiedy wszedł do domu i spojrzał w oczy swojej rozwiedzionej mamy, ona już wiedziała - a on wiedział, że ona wie.

- Gdzie byłeś? - zapytała.

- Musiałem wyjść - odparł, pożyczając odpowiedź, po którą często sięgała Holly.

- Uhm, dobrze... - odpowiedziała po chwili Roz niepewnym głosem. - Idź się umyć.

Mył się i mył. Stał nad umywalką w małej toalecie na parterze, przy jej pachnącym koszyczku pełnym goździków i wysuszonych skórek mandarynek, obok jej nigdy niepranych ręczniczków do rąk, i myślał o tym, co robił niedawno w pokoju Hama na poddaszu, za drzwiami zamkniętymi na klucz.

Najpierw Ham włączył płytę z *Pippinem* i przyśpiewywał sobie po cichu do jednej z piosenek musicalu.

- „Wszystko swoją porę ma...” - zaczął śpiewać swoim mutocyjnym barytonem, wyciągając ręce i ściągając Dashiellowi koszulę przez głowę. - „Wszystko ma swój czas...” - ciągnął, rozpinając niecierpliwymi palcami guziki w rozporku. - „Daj mi tylko znak, a rytm ukołysze nas...”

W tym momencie Dashiell mu przerwał.

- Jeśli będziesz dalej śpiewał, to cię zastrzelę.

Ham tylko się roześmiał i zmienił płytę, włączając coś, co był pewien, że Dashiellowi się spodoba: monotonny rytm basów chłopięcego rocka, z całą swoją posepnością i akompaniamentem organów elektrycznych.

- Proszę bardzo - powiedział Ham, gdy rozległa się muzyka. - Lepiej?

- O wiele. Dziękuję.

Potem zaczęli się trochę mocować na łóżku, co szybko się przemieniło, jakżeby inaczej, w seks. Ham sprawnie używał rąk i wszystkiego innego również - po tym, jak przez cały rok po collegeu bezskutecznie usiłował zostać aktorem, dostał się na medycynę i dzisiaj zapewne jest endokrynologiem gdzieś w New Jersey. Bez zbędnych wstępów wziął do ust penisa Dashiella; byli jeszcze chłopcami i nie wiedzieli wiele o pocałunkach, pieszczotach i przytuleniach. Nie mieli książki, z której mogliby się czegoś dowiedzieć. Dashiell, niezmiennie zdumiony wracał do tego, że w *Rozkoszach*, przy wszystkich tych osobliwych propozycjach, nie pada ani jedno słowo zaadresowane do pary mężczyzn. Ani jedno słowo.

- Ani jedno słowo - wypalił teraz do matki.

- Słucham, kochanie? Co mówiłeś?

Pochyliła się nad łóżkiem i Dashiell zdał sobie naraz sprawę, że mama siedzi tu od wielu godzin, może nawet cały dzień, bo światło w pokoju jest inne i krzątanka w szpitalu jest inna,

a nawet inne są te jej drobne odpryski, które trafiły tutaj, na oddział, gdzie odizolowani pacjenci z każdym dniem stają się coraz mniej żywotni. Wózki z posiłkami wciąż się przetaczały korytarzem, ale tutaj nikt już nie mógł jeść. Wkrótce będą tu otrzymywać niezbędne odżywki wyłącznie przez plastikowe rurki, a dorsz, kurczak i lody staną się elementami topografii jakiegoś innego pejzażu.

- Dlaczego - zapytał - nie napisaliście w książce nic o mężczyznach?

- O mężczyznach? Przecież bardzo dużo pisaliśmy o mężczyznach.

- O parze mężczyzn - dopytywał wytrwale.

- Och, znowu to samo. Rozmawialiśmy już przecież o tym. - Roz westchnęła. - Wiesz, broniłam się wówczas przed tym, ale widzę, że miałaś rację. To był nasz błąd. Pisaliśmy o własnych doświadczeniach, a nie byliśmy homoseksualistami, mężczyznami. Cała reszta była nam obojętna, Dash. Myśleliśmy tylko o sobie w łóżku. Nie potrafiliśmy sobie wyobrazić doświadczeń innych ludzi. Bardzo mi przykro, przepraszam.

Choć dotarli do niego jak przez mgłę, to przeprosiny zdumiały Dashiella.

- O... Och, dobrze...

- Dobrze? - zapytała.

- Tak - odparł. - W porządku.

Potem przez jakiś czas nie wolno jej było przychodzić do syna ani nawet przebywać w jego pobliżu, ciało Dashiella zaczęło bowiem gwałtownie tracić odporność i wydawało się, że byle co może go zabić, nawet przeprosiny.

Mama wróciła po dwóch dniach - ale równie dobrze mogło to być dwadzieścia albo trzydzieści dni, może nawet minęło całe życie, a Dashiell był już jakąś postacią z przyszłości i przypominał w łóżku Ripa Vana Winklea z długą brodą. Wraz z mamą pojawiło się parę innych osób, które postanowiły odwie-

dzic Dashiella. Najpierw Tom, prosto z podróży, który na krótko wpadł do domu. Znowu był obok, w szpitalnym kitlu, i Dashiell widział łzy w jego oczach. Muszę wyglądać jak kupa łąjna, pomyślał, a Tom powiedział:

- Wcale tak nie wyglądasz.

I Dashiell uświadomił sobie, że po raz któryś mówi coś głośno i nawet o tym nie wie.

Tom przyszedł i poszedł, zapewniając, że kocha, a po chwili wrócił z ukrytym za maską ochronną i szpitalnym fartuchem kandydatem do senatu Stanów Zjednoczonych Robertem Wymanem. Kilka pielęgniarek stało dumnie w półkołu przy łóżku, ale Dashiell zauważył nagły brak mamy - jakby nie chciała być obecna podczas wizyty wpływowego polityka republikanów, bo mogłaby go opluć czy co?

- Jak leci, chłopie? - zapytał Wyman.

Chłopie. Nie, chyba nie zapomniał imienia Dashiella. Znał je przecież, Dashiell pisał dla niego przemówienia, to słowa Dashiella płynęły strumieniem z ust Wymana. Chłopie, tak mężczyzna zwraca się do drugiego mężczyzny w chwilach napięcia, kiedy trudno mu znaleźć słowa, kiedy okazanie czułości mogłoby być wstydlive, kiedy przysłuchują się inni ludzie i nie sposób się wyrazić z elokwencją odpowiedniej miary, zatem najprościej jest zredukować świat do najbardziej oczywistych elementów. Dwóch facetów w pokoju: Jak leci, chłopie?

Ku własnemu zdziwieniu, Dashiell znalazł dość sił, by oprzytomnieć, podnieść się trochę na łóżku i wyciągnąć dłoń, którą Wyman uściśnął mocno. Ten człowiek był mistrzem w ścisaniu dłoni; Dashiell od razu poczuł nieprzystawalność własnej dłoni, słabej, wątej, zimnej; dłoni człowieka chorego, ściśniętej przez ubraną w rękawiczkę dłoń człowieka żywego i serdecznego, który będzie królem, i choć Dashiell zapewne tylko to sobie wyobrażał, to poczuł, jak moc tego człowieka przenika z dłoni w dłoń i wstępuje w niego przez skórę. Tak w każdym

razie pomyślał i miał ochotę komuś o tym powiedzieć, ale zaraz sobie uświadomił, że osoba w żółtym fartuchu, która stoi przy jego łóżku, to nie Robert Wyman, tylko Trish Leggett, autorka emfatycznych przemówień, która pod nieobecność Dashiella pisała Wymanowi teksty w gorączkowym uniesieniu, w swoim jednopokojowym mieszkaniu na Benefit Street, z którego widać stare latarnie uliczne i bruk z kocimi łbami.

- Dashiell? To ja, Trish - powiedziała i pochyliła się nad nim tak nisko, że przez jej maskę wyczuł woń mydła Neutrogena.

Zawsze robiła wrażenie kogoś, kto właśnie wyszedł spod prysznicza.

- Cześć - przywitał się. - Wyman już poszedł?

- Co? O tak, poszedł kilka godzin temu - powiedziała. - Miał przemówienie w schronisku dla maltretowanych kobiet w Kingston.

- Uścisnął mi rękę - powiedział Dashiell. - Była w niej prawdziwa siła.

Trish zamilkła na chwilę.

- Tak - powiedziała w końcu. - Ma dużo siły, wiem, co masz na myśli. Rzeczywiście, czasami można to wyczuć. - Przez moment bawiła się rąbkiem szpitalnego koca na łóżku, a potem powiedziała: - Dashiell, wiem, że to ciężka droga.

- Co?

- Droga, którą musisz przejść. Ale idź wytrwale. Bo na jej końcu jest wiejski domek, a w jego oknach palą się światła i ktoś tam na ciebie czeka.

Dashiell zamrugał. Miała maskę, więc trudno było mu nawet zgadywać, co może mieć na myśli; do jej oczu zdawały się napływać łzy, zupełnie jak wtedy, gdy wpadł na nią w sklepie, gdy myślała, że ma AIDS. Potem przyszło mu do głowy, że wypowiedziała słowa, które miały wlać w niego wiarę, dodać mu otuchy i nadziei. Gadka do chorego! Jasne! Właśnie w tej chwili buduje zdania, sięga po słowa i dokonuje w głowie ich

redakcji. Jeszcze tego nie wiedział, ale w przyszłości Trish Leggett wykorzysta te słowa w przemówieniu, które prezydent Bush wygłosi w jakiejś bazie marynarki wojennej. Będzie ono dotyczyło sytuacji w Iraku i nadziei, która nie może wygasnąć nawet w obliczu wielkich cierpień. Tymczasem jednak była to po prostu najnowsza kombinacja słów, jakie przysły jej do głowy.

Dashiell zastanowił się nad tym, co powiedziała. Kim właściwie oni byli? Ci ludzie, którzy niby na niego czekali?

- Nie znam żadnych farmerów - powiedział.
- Słucham?
- W tym wiejskim domku.
- To była metafora - odparła niezrażona Trish.
- Wiem. Ale po co? Na co?

Wydawało się, że nie chce mu odpowiedzieć, bo wycofała się powolutku i bez słowa zaczęła się kierować do wyjścia. Ale on musiał wiedzieć. Czy w jej zamyśle ten farmer, może też jego żona, mieli uosabiać śmierć? Czy też mieli go ocalić, wpuścić pod swój dach, poczęstować ciepłym rosołem i położyć w łóżku pod puchową pierzyną? Musiał to wiedzieć. Koniecznie musiał to wiedzieć, bo czuł jakieś wewnętrzne przekonanie, że Trish zna odpowiedzi na te pytania.

- Trish, wróć - powiedział, ale jego głos był ledwie szeptem.

Była noc, goście dawno już wyszli, został sam. Z daleka słyszał pielęgniarki chodzące po korytarzu, ktoś w pokoju obok płakał, gdzieś indziej ktoś kaszłał, ktoś miał torsje; Dashiell potrafił rozszcześcić te głosy jeden od drugiego, tak by całe ludzkie cierpienie tutaj, na tym oddziale, nie wyło jednym zbiorowym spazmem.

Wtedy, zbierając w sobie wszystkie siły, z zastrzykiem dodatkowej energii, jaki przeniknął do niego z dłoni Roberta Wymana, Dashiell usiadł na łóżku i wolno spuścił nogi. Wenflon, przez który sączyły się w niego leki, połączony był z torebką

wiszącą na stojaku, a on sam opleciony był rozmaitymi rurkami, wykwitającymi z piersi, więc zamiast odłączyć je wszystkie, chwycił stojak, użył go jako kuli i wspierając się na chybottliwym metalowym pręcie, zrobił kilka kroków po ciemnym, lśniącym linoleum. Poczłł ból w klatce piersiowej. Na sobie miał tylko bldozieloną, szpitalną koszulę nocną, mimo to, chwiejąc się, szedł dalej. Na korytarzu minął stanowisko pielęgniarek; trzy kobiety skupione w kręgu niczym gracze drużyny futbolowej nawet nie spojrzyły w jego stronę, pochłonięte czymś, co leżało między nimi, a co się okazało pudełkiem czekoladek przyniesionych w prezencie przez rodzinę kłóregoś z pacjentów.

- O, tu jest napisane, że to pralinka - usłyszał jedną z pielęgniarek. - A tu czekolada orzechowa.

Pchnął drzwi, wyszedł z oddziału transplantologii i znalazł się w holu, gdzie światło było ostrzejsze i gdzie zobaczył rząd wind. Jedna z nich podjechała natychmiast. Dashiell zjechał na dół i wyszedł z kabiny prosto do holu głównego, opustoszałego o tej porze. Sklepik był zamknięty, ale widział przyciśniętą do szyby w witrynie gromadę połyskujących zwierzątek wypchanych sztucznym tworzywem i gazetki z krzyżówkami, z których żadna nie uratowała tu jeszcze niczyjego życia. Wszedł na gumową matę leżącą przed wyjściem; fotokomórka wychwyciła go i otworzyła drzwi.

W ten sposób znalazł się na zewnątrz, na mroźnym, zimowym powietrzu w Providence w Rhode Island, a daleko przed sobą dostrzegł nikonącą w ciemnościach sylwetkę Trish Leggett, która chodnikiem wzdłuż parkingu zmierzała do swojego samochodu.

- Trish, zaczekaj! - krzyknął, popychając stojak.

Boże, ależ wiatr; zimny powiew wpadł mu pod łopoczącą koszulę i przemknął po nim na górę. Trish go nie słyszała, więc musiał iść dalej przed siebie, w aksamitnych bamboszach na

nogach, mijając neon ambulatorium, sznur karetek pogotowia, grupę młodych lekarzy, których stetoskopy bujały się w marszu z jednej strony na drugą, roześmianych i żartujących jak studenci pierwszego roku. Nawet jeśli go zauważyli, nie dali tego po sobie poznać, i tak Dashiell szedł dalej, aż za teren szpitala, na miejski bulwar. Musiała już być dziesiąta, może później, drzewa były olbrzymie, zupełnie ciemne, a z wiatrem musiał się po prostu oswoić, jak właściwie ze wszystkim w życiu: na przykład z seksem, bo początkowo wydaje się naturalne, że nie można go uprawiać z nikim innym poza sobą samym. Ale trzeba się wyrwać z tej samotności, z tego uścisku ręki, którą sam się trzymasz w ciemności, tak znacząco słabej ręki, która w niczym nie przypomina ręki Roberta Wymana, jest tylko ręką chłopca, niczym więcej, owiniętą wokół czegoś, co właśnie się okazuje twoje, co nie należy do nikogo innego.

Seks daje radość, tak pisali jego rodzice w książce, i ujeżdżali na sobie, ile dusza zapagnie, z tą niezachwianą pewnością siebie dwójki heteroseksualistów. Seks nie musi być wstydlivy, nie trzeba go uprawiać w ciemności, w wygłuszonych pokojach, ukradkowo. Jednak seks przeznaczony był tylko dla kobiet i mężczyzn; nie dla dwóch kobiet i nie dla dwóch mężczyzn - Dashiell dowiedział się tego w chwili, kiedy w listopadzie tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku otworzył książkę i zaczął się przypatrywać po kolei wszystkim ilustracjom. Bez wątpienia nie było tam obrazka, który mógłby przedstawiać jego, bo on nigdy nie robiłby takich rzeczy z kobietą, nigdy, przenigdy, i skądś wiedział o tym już wtedy. Ale nie miał jeszcze innej możliwości, nie potrafił tych obrazków przemienić w wyobraźni tak, aby mu odpowiadały, więc zamknął się w sobie, w gniewie, w swoim życiu pełnym sekretów, pełnym kaset z naklejoną ceną, wciskanych pod kurtkę, pełnym tęsknot i pragnień tego, czego nie mógł mieć, i pełnym zdeterminowania, by jednak to zdobyć.

Teraz, drepcząc poboczem drogi w Providence, z wenflo-
nem w klatce piersiowej, wspierając się na metalowym stoja-
ku, Dashiell myślał o tamtym dniu, kiedy pierwszy raz wszedł
do sali pełnej republikańskich gejów, wzburzonych płacziwą
lewicą, ekspansywnym rządem, który mógł wejść, gdzie mu
się żywnie podobało, wdrzeć się na cudzą własność, niczym
robactwo wążące na czyjś trawnik przed domem. Był homo-
seksualistą i nie chciał, żeby rząd mieszał się do jego życia;
chciał mieć spokój, chciał sam na siebie zarabiać i sam wydawać
swoje pieniądze, chciał sam podejmować decyzje i pieprzyć się
z kimś, kogo sam sobie wybierze w stanie upojnej radości.

Jednak to, co usłyszał teraz od Toma - co słyszał w wiado-
mościach każdego wieczoru, zanim jeszcze poszedł do szpita-
la - przyprawiłoby o zimny dreszcz nawet kogoś, kto całe ży-
cie był wiernym członkiem republikanów. Wojna w Iraku była
ciągnącym się w nieskończoność, jednym wielkim bałaganem;
zdawało się, że nie ma w niej żadnego planu. Biały Dom był
bezradny, ale rozsierdzony - zupełnie jak Dashiell przez całe
dzieciństwo. Wojował, kipiał z wściekłości, wolał, by wiele rze-
czy nigdy się nie stało. Żołnierze ginęli w helikopterach, w kon-
wojach, na patrolach przed bankiem lub szkołą, na targu z wa-
rzywami albo zapalając papierosa przed wjazdem do kwatery.
Umierali mężczyźni i chłopcy, jak ten nieszczęsny syn Mary
Ann McCullough, którego śmierć przemieniła matkę w dzia-
łaczkę pacyfistyczną, ganiającą za Robertem Wymanem po
małym stanie Rhode Island.

Ludzie z Waszyngtonu wyciągnęli więc z szuflad zakurzone
mapy z wyblakłymi, niebieskimi morzami i żółtawymi kon-
tynentami. Mapy tak piekielnie stare, że pewnie były na nich
takie nazwy, jak Persja czy Konstantynopol. Musieli się uczyć
szybciej, szybciej, a świat musiał się szybko dowiedzieć,
czego się nauczyli. Dashiell wiedział, że nie może tym ludziom
ufać, w każdym razie nie w tym konkretnym przedsięwzięciu.

Może im zaufać w kwestii swojej książeczki oszczędnościowej, zasobności portfela, napływu gotówki, ale nigdy nie pozwoliłby im się wysłać w świat, którego przez własną arogancję nie potrafili zrozumieć. Raptem cały kraj upaprał się w sposób dla Dashiella niepojęty. Straciliśmy nasze szczególne miejsce, myślał. Straciliśmy nasz perfekcjonizm, który z jednej strony pozwalał nam być chłopcami, a z drugiej mężczyznami; straciliśmy świetlistą męskość, która lśniła wszędzie, do której czasem się żywiło urazę, ale którą się tolerowało i raczej częściej niż rzadziej kochało. Straciliśmy to i to już nigdy do nas nie wróci. Nie mamy tej pozycji co dawniej, naszego prywatnego stolika w kawiarni, naszego wyrazistego, indywidualnego charakteru.

Dashiell znał słynne opowieści o republikanach, którzy w krytycznych momentach przechodzili na drugą stronę. Te metamorfozy przeszły do legendy; nagłe przemiany napuszonych typów, którzy przez długie lata pracowali na szkodę lewicy, a teraz, w godzinie zero, ronią smutne łzy i błagają o przebaczenie. Nie będzie jednym z nich, nie, nigdy. Nie zmieni stron tylko dlatego, że po własnej stronie zobaczył trochę szkarady. Zobaczył ją i nigdy już nie będzie mógł zatrzeć jej w pamięci, podobnie jak książki rodziców. Kłuta go, ale musiał się nauczyć z tym żyć - z tym, czym był i w kogo się przez te wszystkie lata przemienił. Nie mógł wygodnie przejść na drugą stronę w chwili, gdy wystarczyło zadać pchnięcie. Był republikaninem, był jednym z nich, ale potrafił też głośno ich krytykować. Potrafił ich krytykować, gdy byli prostacy, gdy zdradzali swoją tępotę, i mógłby ich krytykować do końca życia, nigdy nie zamykając ust.

Był już zmęczony, ale nie przestawał iść tą drogą naprzód. „Bo na jej końcu jest wiejski domek, a w jego oknach palą się światła i ktoś tam na ciebie czeka”, mówiła w szpitalu Trish Leggett. Już jej nie było, już zniknęła w ciemności i nie mógł

jej odszukać, ale raptem dostrzegł coś w oddali i zorientował się, że to jest światło.

Oczywiście, pomyślał, dźwignął z ziemi metalowy stojak i zarzucił go sobie na ramię, tak jak zrobił to z tobołkiem na kiju w swoim dziecięcym śnie. I niebawem dotarł do wiejskiego domku. Jego dach był kryty strzechą, a w oknach były wstawione ołowiane witrażyki. Rozumiem, to znowu halucynacje, pomyślał Dashiell. Miałem je już wcześniej, ale te są inne. To była długa halucynacja z narracją, co przydarza się ludziom, gdy ich układ odpornościowy zostaje wyłączony, gdy wysoko gorączkują, gdy lekarstwa wlewają się w nich jak woda gasząca płomień pożaru.

Wiedział już, że o to chodzi. Tak naprawdę wciąż leży w szpitalnym łóżku, porusza słabo nogami pod dodatkowym kocem, którym pielęgniarki okryły go, gdy zaczął dygotać na całym ciele. Ale wiedział też, że to niczego nie zmienia, bo oto doszedł już pod sam domek, stojący przed nim w całej wyrazistości.

Sięgnął do klamki i zorientował się, że drzwi nie są zamknięte na klucz. W środku zobaczył prostą, ale piękną izbę z drewnianym stołem, krzesłami i paleniskiem, w którym huczał ogień. Na środku izby czekał na niego ktoś, kto nie był farmerem ani żoną farmera, nie był śmiercią ani życiem, choć był chyba jednym i drugim, myśl ta była jednak zbyt skomplikowana, by w obecnym stanie mógł ją zrozumieć. Podczas nawrotu halucynacji temperatura jego ciała, kontrolowana bez przerwy przez pielęgniarki, przez doktorów Changa i Balakiana, przekraczała czterdzieści stopni Celsjusza. Już przygotowano dla niego specjalny koc wypełniany lodem, który w miarę szybko zbije temperaturę do bezpiecznego poziomu. Dashiell Mellow pomyślnie przejdzie przeszczep, nastąpi remisja choroby, na którą wszyscy liczyli z nadzieją. Teraz jeszcze o tym nie wiedział. Teraz był jeszcze w wiejskim domku, w którym ktoś na niego czekał. Wszedł do środka i dał się przytulić matce.

Rozdział jedenasty

Po powrocie z Providence Roz Mellow zobaczyła, że mąż wysprzątał pod jej nieobecność wszystkie garderoby w domu, trochę, by zrobić jej przyjemność i niespodziankę, a trochę, by zrobić coś z własnymi nerwami. Zatopił się w garderobiane wnętrza, skąd powygarniał całą martwą materię ich małżeństwa, a także tego poprzedniego małżeństwa. Zanim Roz wszystko obejrzała, Jack zdążył jeszcze włożyć świeże baterie R-20 do latarek, które postawił na sztorc na półkach w głębi garderoby służącej za pralnię, a przed główną garderobą w korytarzu ułożył na podłodze rzędy starych, zapomnianych butów, jakby miały tu czekać na nogę, która od wielu lat nie chce się do nich przyznać i zapewne już nigdy się nie przyzna. Poczucie panującego ładu, nawet jeśli nie był to ład specjalnie użyteczny, podziałało na Roz kojąco, na co Jack zapewne miał nadzieję.

Roz sama pojechała do Providence zająć się Dashielle; nie było sensu, żeby Jack jechał razem z nią, tak mu powiedziała. Nie byłby dla Dashiella pomocą, nie byłby pomocą również dla niej. Po pierwszym dniu wizyty u syna, zobaczywszy, jak go przemieniono, jak z rozmysłem obrócono go w kogoś jeszcze bardziej chorego, niż rzeczywiście był, w głębi duszy zapragnęła być zupełnie sama w pokoju hotelu Baltimore i patrzeć na powtórki wiadomości CNN, zając menu hotelowe: azjatycką sałatkę z kurczaka w chrupiącej panierce i orzechy kotewki z puszki. Wiedziała, że gdyby straciła Dasha, ona również by umarła, ale nie chciała o tym

rozmawiać z Jackiem, bo mówienie na ten temat byłoby po-
twornie melodramatyczne, byłoby próbą zwrócenia na siebie
uwagi. Więc każdego wieczoru wracała do hotelu, wsuwała
kartę magnetyczną w poziomy czytnik w drzwiach, czekała
na zielone światło kontrolki i już była we wnętrzu pokoju, tak
przyjemnie sama.

Teraz jest po wszystkim. Dashiell wyzdrowieje. Roz wróci-
ła do Saratogi, do domu, w którym się znajduje cała armia pięt-
nych i przestronnych garderób. Jack stał obok z rękami w kie-
szeniach, patrząc, jak Roz dokonuje inspekcji.

- Nie mogę uwierzyć, że się do tego zabrałeś - powiedzia-
ła. - To chyba najgorsza robota w domu. Jak mam ci dzięko-
wać?

- Och, czy musisz?

Wiedziała, że w oczach niektórych jej przyjaciółek z collegeu
Jack jest postacią trochę zabawną; mąż w domu. Jego jedno-
stajna, spokojna obecność służyła jako przeciwwaga dla dyna-
mizmu i emocjonalności Roz. Teraz była już z nim - w domu
czystych garderób i tymczasowego spokoju. Na szczęście nie
będzie to miejsce bólu i cierpienia, bo choroba Hodgkina, pod
naporem własnych, zdrowych komórek Dashiella, została ze-
pchnięta w remisję. Dash sam się ocalił.

W czasie trzyipółgodzinnej jazdy do domu - autostradą
nr 90, potem nr 95, tymi martwymi pasmami z huczącymi
po nich osiemnastokółowcami - Roz przepajało uczucie bez-
miernej ulgi. Weszła do domu, a tu czekał Jack, i te garderoby,
z obietnicą nowego początku, nowej okazji, by wydarzyło się
coś dobrego. Na półki położył nawet nowy, połyskujący pa-
pier. Jezus, nowy papier na półkach. Jaki mężczyzna wpadłby
na coś takiego? Constance Coffey, jej przyjaciółka, nie myliła
się ani trochę, Roz miała szczęście, wielkie szczęście.

Kiedy po raz pierwszy Roz usłyszała słowo pantoflarz, musiała sprawdzić w słowniku, co ono znaczy. To było jeszcze w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym, kiedy wyszła za Paula i ktoś z ich znajomych wytknął mu, że jest pantoflarzem, na co Paul wybuchnął salwą śmiechu. „Trudno bardziej się nie zgodzić”, powiedział, a wieczorem Roz dyskretnie zajrzała do słownika.

„Mąż we wszystkim ulegający żonie”, głosiła definicja, która w pierwszej chwili zaskoczyła Roz, bo jak mąż może we wszystkim ulegać żonie? Miała wówczas dwadzieścia pięć lat i lubiła miejsce, jakie zajmowała w życiu Paula. Kiedy się z nią kochał, często miała wrażenie, że chce ją całą wychłęptać, wchłonąć ją do ostatniego kawałeczka. To bywało męczące, ale częściej dawało poczucie własnej wartości, a nawet przynosiło ulgę.

Kiedy Roz i Paul zaczęli pozować do ilustracji mających towarzyszyć tekstowi *Jak dać rozkosz*, byli ze sobą prawie od piętnastu lat i Roz zdążyła się przyzwyczać do nieustającej admiracji męża. Chociaż czasem zauważała, że trochę ją irytuje, to po prostu przyjęła, że tak jest, i wiele na ten temat nie myślała. Ale już pierwszego dnia pracy nad ilustracjami zdała sobie sprawę, że wielkie zaabsorbowanie Paula jej osobą zostanie teraz wyraźnie unaocznione przed artystą. Ogarnął ją nagle wstyd; nie wstydziła się tylko siebie, ale również Paula. Jednak w ciągu dziewięciu miesięcy, podczas których Roz i Paul pozowali Johnowi Sunsteinowi, ten siedział tylko za sztalugą, pracował wytrwale i nie komentował dynamiki zachowań między małżonkami, której niewątpliwie był świadkiem. Roz wkrótce spostrzegła, że może się przy nim nawet odprężyć. Oczywiście chciała, aby w pewnym sensie również Sunstein ją podziwiał, choć on ze swej strony oferował co najwyżej jakiś neutralny, ogólnikowy komplement; zupełnie inaczej niż Paul, niż to, jak nieustannie zalewał ją całym sobą. Roz kochała męża, wciąż

ją podniecał, kiedyś jednak przeczytała w jakiejś książce myśl, której nie potrafiła zapomnieć: „Kobiety uprawiają seks, by mogły rozmawiać. Mężczyźni rozmawiają, by móc uprawiać seks”. Tak, chciała rozmawiać więcej niż on, tak, on bardziej chciał dotykać jej ciało, niż rozmawiać. Zdawała sobie sprawę, że Paul jest trochę natrętny i niespokojny, i nieraz podchodzi do seksu z nią z zainteresowaniem, jakie mężczyźni przejawiają czasem wobec win, sprzętu stereo lub samochodów. Jak smakuje, brzmi, jeździ? Co jest najlepsze i jak to najlepiej wypróbować?

Pewnego dnia weszła do białej pracowni Sunsteina kilka minut przed Paulem, który szukał miejsca do zaparkowania. Kiedy zaczęła zdejmować z siebie rzeczy, z łazienki wyszedł nagle specjalista od dezynsekcji dźwigający rozpylacz z trucizną, a John Sunstein wskoczył szybko między mężczyznę i Roz.

- Zupełnie o nim zapomniałem - powiedział. - Przepraszam. Mamy w budynku mały problem z karaluchami.

Roz błyskawicznie wślizgnęła się w szlafrok, ale jej nagość zdawała się w ogóle nie dziwić specjalisty. Kiedy się odwróciła do wyjścia, Roz i John zobaczyli wyszyty na plecach jego kombinezonu napis: „Rozgnieciemy je!” co wywołało u nich salwę śmiechu. Siedzieli obok siebie i śmiali się, a kiedy Paul się pokazał w pokoju, żadne z nich nie potrafiło mu wyjaśnić, z czego się śmieją. „Musiałbyś to zobaczyć”, powiedzieli tylko. Przez cały dzień Roz myślała o tym, jaki rycerski okazał się John Sunstein, jakby rozumiał, że pokazanie nagiego ciała nie jest czymś, co przychodzi jej łatwo, ale z drugiej strony nie jest też czymś, nad czym trzeba by rozdzierać szaty.

Po dziewięciu miesiącach pracy, kiedy artystyczne ilustracje były gotowe, Roz i Paul przynieśli Johnowi w prezencie butelkę bardzo dobrego szampana i nie kryjąc emocji, podziękowali mu za pięknie wykonane rysunki.

- Pierwszego dnia byłam potwornie zawstydzona - mówiła Roz, gdy stali we troje blisko siebie i pili szampana ze zwykłych kubków do kawy, które Sunstein szybko musiał wycisnąć w malutkiej kuchni. - Wydawało mi się, że nie mam prawa nikomu się tak pokazywać - ciągnęła. - Ale ty mi tego prawa udzieliłeś. Mnie i Paulowi. Więc dziękuję.

Podnieśli kubki, a Sunstein jakoś niezadarnie, delikatnie ich uściiskał. To był koniec. Wykonali swoją pracę.

W ciągu następnych paru lat Roz i Paul widzieli się z Johnem Sunsteinem tylko kilka razy, najpierw wspólnie z wydawcą i szefem grafiki, by omówić opracowanie graficzne książki i podjąć decyzje dotyczące włączenia lub nie poszczególnych rysunków do książki. Potem, kiedy *Jak dać rozkosz* ukazało się w księgarniach i zaraz podbiło rynek, Sunstein od czasu do czasu uczestniczył w wywiadach przeprowadzanych z autorami. Czasami, gdy w gazecie pojawiał się artykuł na temat Mellowów, w niewielkiej kolumnie obok przedstawiano sylwetkę autora ilustracji. Roz zawsze się cieszyła, gdy mogła jeszcze raz spojrzeć na tę nieśmiałą twarz, bolesciwy uśmiech i nierówny przedziałek w długich włosach. Jednak w miarę upływu czasu Sunstein usuwał się w cień, a oni wychodzili na pierwszy plan. W jednym z wywiadów prasowych powiedział, że wraca do projektowania okładek płytowych; zainteresowanie wyraziła grupa Kinks, a jego agent prowadzi negocjacje z Jefferson Starship.

- Zatem żadnych więcej nagości? - zapytał dziennikarz.

- Mam taką nadzieję - odpowiedział ze śmiechem Sunstein.

Potem kontakt się urwał, nie było powodu do spotkań, a nieprzerwane powodzenie książki przenosiło Roz i Paula w różne strony, zawsze razem, mających niewiele czasu na wyobrażenie sobie, jak może wyglądać świat poza tym seksualnym krajobrazem, który stworzyli. Tymczasem dzieci w domu w Wontauket, zaprzątnięte tylko lekcjami i sobą nawzajem, rosły i rosły, i rosły.

W początkach lata tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku, kiedy jakiś kolorowy magazyn zamówił dodatkowe ilustracje do artykułu na pierwszą stronę, Roz i Paul wrócili do studia. Tym razem Sunstein przyjął ich w nowym miejscu, gdzie pracował i mieszkał, w samym śródmieściu. Niedaleko rysowały się wysokie, czteroletnie wieże World Trade Center. Kilka miesięcy wcześniej sfotografowano tam Roz i Paula na platformie widokowej; wiatr rozwiewał im włosy, a Paul obejmował Roz ramionami. „Kto na górze?” - głosił podpis pod zdjęciem.

Kiedy tym razem przyjechali pozować, Sunstein wydał im się inny, jeszcze bardziej onieśmielony niż wcześniej. Wyglądał też starzej, tak pomyślała Roz, bo ściał włosy, które sięgały mu teraz najwyżej do podbródka. Spojrzenie miał wciąż lekko nieobecne. Sunstein wzbogacił się na książce w ciągu tych dwóch lat, choć nie tak jak Mellowowie. Roz zastanawiała się, na co wydaje pieniądze, bo na pewno nie na ubrania. Zastanawiała się także, czy ciągle mieszka sam, i nagle uświadomiła sobie, że podczas tylu miesięcy pozwania niemal w ogóle nie udało im się go poznać. Nigdy o nic go nie pytali, a John sam się nie odzywał. Taki był jeden ze skutków ubocznych nieustających, przepracowanych w pocie czoła teatralnych scenek przedstawiających seks; bo na nic innego sobie nie pozwalali. Świat poza granicami łóżka nie istniał.

Dzisiaj czekało na nich łóżko Sunsteina. Inne niż to, na którym wcześniej pozwali.

- Pościel jest świeża, rano zmieniałem - powiedział John Sunstein. - Ale i tak dorysuję potem stare łóżko. To posłuży mi tylko jako dubler.

- Czy ja też mogłabym prosić o dublerkę? - zapytała Roz.

- Wielkie dzięki - odpowiedział tymczasem Paul i zaczął rozpinąć obcisłą, niebieską koszulę.

Po każdym rozpiętym guziku strzelały spod koszuli kępki

włosów na piersiach. Dzisiaj miał na sobie zwykłe slipki w paski i patrząc na niego krytycznym wzrokiem, Roz poczuła, że sukces uczynił go już nasyconym, że wygląda na kogoś, kogo wywiady i sale pełne ludzi po prostu znieprawiły.

- Proszę - powiedziała do Sunsteina. - Mówię poważnie. Nie mógłbyś narysować tych ilustracji na podstawie starych szkiców? Nie umiałbyś sobie wyobrazić, jak wyglądamy?

- Tak, umiałbym sobie wyobrazić. Ale nie sądzę, bym umiał to narysować. To dwie różne rzeczy.

- O... - powiedziała tylko, nie bardzo rozumiejąc różnicę.

- Roz, o co chodzi? - wtrącił się Paul. - Przecież to John. Czy to dlatego, że jesteś teraz sławna? O to chodzi? Czujesz się inaczej?

- Nie wiem - odparła.

Paul delikatnie położył ręce na jej ramionach i lekko je pomasaował. Roz powoli się rozebrała, zdjęta strachem jak wówczas, kiedy pozowali pierwszy raz, tyle że wówczas czuła też pewnego rodzaju podniecenie czymś nowym, a teraz czuła już tylko wstyd. Leżała z Paulem na łóżku, a w nowym odcieniu białego światła, subtelnie różniącego się od światła w starej pracowni, inne wydawało się także to, co robili. Może to ona była inna? Paul zamknął dłoń na jej piersi, a Roz patrzyła beznamyślnie na ten widok: Martwa natura z dłonią i piersią.

Czego chciałam? - zastanawiała się. Dawno temu chciała Paula, to wszystko. Zdobyła go i zatrzymała dla siebie. Wspañale było wiedzieć, że nie będzie musiała wieść drętwego, lekko ogłupiającego życia, jakie wiedli jej rodzice. Odpowiedzią na życie jej rodziców było małżeństwo z Paulem, tak jak wszystkie małżeństwa są odpowiedzią na te, które już były, tyle że z poprawionymi błędami, które potem znowu trzeba poprawiać i znowu, i tak bez końca.

Teraz, pozując w łóżku z mężem, zamknęła oczy - jak dziecko, któremu się wydaje, że jeśli zamknie oczy, to nikt go nie

widzi. Paul znalazł pierś Roz i objął ją, dopasowując się do jej kształtów, które zmieniły się nieco w ciągu tych dwóch lat. Linie zatraciły ostrość, tkanki się poprzemieszczały, uformowane, twarde babki z piasku ustąpiły przed czymś galaretowatym, choć nie było to jeszcze widoczne dla ludzkiego oka, jedynie dla ludzkiej ręki. Ręki męża.

- Dobrze - powiedziała Roz. - W porządku. Zatem do dzieła. Nie będę robić z igły widły.

- Już ty wiesz, co zrobić, jak zrobić dobrze mężczyźnie - zaśmiał się Paul.

Później, kiedy skończyli i Paul wycofał się do kuchni, żeby zadzwonić w sprawie wykładu, który mieli wygłosić następnego dnia w Bostonie, Roz i John Sunstein zostali w pokoju sami. Stali obok siebie. Roz była już ubrana. Włożyła jedwabną bluzkę w spódnice, zapięła już zamek błyskawiczny w kozakach i zaczęła się rozglądać za lustrem, by uczesać włosy.

- Tam - powiedział John, wskazując łazienkę.

Wyjęła z torebki szczotkę do włosów i dopiero kiedy się znalazła w małej łazience, zauważyła, że John Sunstein wszedł za nią. Odwróciła się do niego zdziwiona, unosząc odruchowo szczotkę, a on zbliżył się do niej płynnym ruchem i powiedział:

- Kocham cię. Wiesz o tym, prawda?

- Słucham? - odpowiedziała szybko i głupio.

- Kocham cię - powtórzył osowiałym głosem, jakby kara za wypowiedzenie tych słów było wypowiedzenie ich natychmiast po raz drugi.

Ona patrzyła na niego z otwartą buzią, całkowicie bezbronna wobec słów, które zdawały się brzmieć jak obcy język, jakby powiedział do niej: *Gxovkamm tsasie* i jakby musiała mieć jeszcze chwilę na przetłumaczenie.

- Nie - powiedziała w końcu bezwolnie. - Nie kochasz mnie. Nawet mnie nie znasz.

Widziała jego twarz tak skoncentrowaną, tak pełną uczuć, że musiała odwrócić wzrok, i zaraz usłyszała, jak powtarza uparcie:

- Tak, kocham cię.

Oczywiście, że ją kochał. Przez cały czas ich pozowania był blisko, widział, jak się Roz zachowuje, co ją podnieca, co zawstydza i co zdumiewa. Był tu przez cały czas, patrzył na nią, poznawał ją.

- To prawda - ciągnął. - Kocham cię. Musiałem ci to powiedzieć.

- Od kiedy? - zapytała szeptem. - Od kiedy? - Jakby dopytywała się o jakichś dwoje innych ludzi, jakby byli obcy, a ona tylko pytała z ciekawości.

- Nie wiem - odpowiedział. - Od zawsze. Pracowałem, rysując cię, patrząc na ciebie, czując się naprawdę szczęśliwy. Musiałem to powiedzieć. Wiem, że nie odwzajemniasz mojego uczucia, ale musiałem to w końcu powiedzieć. Więcej nie będę cię niepokoił.

Była jak urządzenie uruchamiane zachwytem innych; już czuła, jak coś się w niej włączyło, już słyszała to jednostajne buczenie. Och, znowu to uczucie, pomyślała, kiedy mocniej jej przywarło do żołądka. Nie było to tylko podniecenie, ba, to w ogóle nie było podniecenie. Było w tym coś jeszcze, ale przecież nie mogło to mieć nic wspólnego z miłością, prawda? Bo jakże byłoby to możliwe? To tylko „John Sunstein” czy też tylko „artysta”, czy też nawet tylko „człowiek za sztalugą”. „Nie zwracaj uwagi na człowieka za sztalugą”. I nie zwracała na niego uwagi, w ogóle, przez lata, od ich pierwszego spotkania aż do teraz, do tej chwili, choć oczywiście podobał się jej fizycznie, ponieważ był młody i niezniszczony.

Oto stoi przed nią teraz John Sunstein, wyszedł z cienia i trzyma dłoń na jej policzku. Wzięła tę dłoń w rękę i przesuwała ją sobie do warg. Powoli, nie myśląc, pocałowała po kolei

palce i każdy z nich wzięła do ust. Co robisz? - pytała siebie i miała tylko jedną odpowiedź: Nie mam pojęcia, nie pytaj.

Przytuliła ją do siebie jednym ruchem, szczotka do włosów wysunęła się z jej ręki i spadła z trzaskiem na kafelki. Czuła, jakby w tej małej, srebrzystej łazience, z lustrem rejestrującym każde zachowanie, zobaczyła, jak wymownie John nie jest jej mężem. Jego twarz wciąż była taka młoda; miał trzydzieści lat, a ona czterdzieści jeden. Oto twarz, która nie mogła się dłużej ukrywać za sztalugą i szkicownikiem. Stał przed nią, na linii jej wzroku, tak jak ona stała przed nim przez ostatnie lata.

John pchnął ją delikatnie w głąb małego pomieszczenia, ona oparła się o chropowatą szybę natrysku, wstrząsając kabiną. Położyła dłoń na jego piersi i teraz ona stała się tą, która pragnie i żąda, choć jeszcze moment wcześniej nie chciała niczego. Jesteśmy tacy prości, myślała, takie ludzkie zwierzęta, nie, nie jesteśmy zwierzętami, jesteśmy rozwiniętymi w toku ewolucji samochodami wyścigowymi i przyśpieszamy od zera do setki w jednej chwili, nie dbając o niebezpieczeństwo. Ruszamy do akcji, gdy tylko ktoś posieje w naszych głowach myśl - raptem wydaje nam się, że to nasza myśl, i bierzemy za nią odpowiedzialność.

Paul w głębi pracowni podniósł głos i dobrze słyszeli, że wciąż rozmawia przez telefon. Ponieważ nie używał jeszcze opadającej kadencji zamykającej rozmowę, John Sunstein skorzystał ze sposobności, by pocałować Roz Mellow. Był to namiętny i głęboki pocałunek, ale nie bezwstydnym, jakby chciał ją przekonać, że nie chodzi mu tylko o seks, że nigdy nie będzie patrzył na nią wyłącznie jak na partnerkę do łóżka; tak, taką partnerką również będzie i oboje potrafili sobie wyobrazić, co się stanie, jeśli ten obecny stan wielkiego napięcia między nimi uda się przenieść do łóżka; ale nie, nie będzie taki jak Paul, nie będzie wciąż powtarzał: „Och, spójrz na siebie”. Albo: „Roz, spróbujmy teraz tak”. John wszystko widział i dobrze wiedział,

jak Roz wygląda w czasie orgazmu, w czasie odpoczynku, w łóżkach. Znał to i Roz nie musiałaby mu niczego udowadniać. Chciał, żeby to właśnie w tej chwili wiedziała.

Jego ciało było smuklejsze i mniej owłosione niż ciało Paula, pod wieloma względami inne. John nie zrzucił z siebie jeszcze młodości, mimo że podciął włosy. Dżinsy wisiały nisko na biodrach, był jędrny i smukły. Roz wiedziała, że również ona różni się od kobiet, z którymi dotąd przebywał John. Była starsza, wiele już osiągnęła, była matką, była kobietą odpowiedzialną, na której można polegać, i wiedziała, z jaką ulgą John może to przyjąć. Najszczęśliwszy był właśnie w jej towarzystwie, gdy siedział bez słowa i rysował tę leżącą na łóżku kobietę, w rozmaitych pozycjach - owszem, odsłaniających jej piękno, ale również jej energię, ciepło, a niekiedy smutek. Ten młody, zwykle milczący człowiek, był w niej zakochany.

Paul wciąż rozmawiał przez telefon.

- Tak, tak, tu już skończyliśmy. - Roz słyszała jego głos. - Wkrótce wyjeżdżamy... - Potem krótki śmiech, prosty, odruchowy.

- John - szepnęła mu w kark; pachniał owocami i Roz pomyślała, że myje włosy takim samym szamponem, jakiego używają jej córki, mającym wywołać wspomnienie sadu odwiedzanego w dzieciństwie lub śnie. - Nie wiem, co robię - powiedziała. - I nie wiem, co dalej robić.

- Ja wiem - odpowiedział. - Wymyślimy coś.

Stali przez kilka sekund w milczeniu.

- No i? Wymyśliłeś już coś? - zapytała.

- Jeszcze nie - odparł, a potem cofnął się pół kroku i spojrział jej w twarz. - Och, właściwie powinienem ci coś powiedzieć - powiedział. - Właściwie nikt na mnie nie mówi John, to znaczy mówią, ale w kontaktach służbowych. Mam na imię Jack.

Tak oto teraz, dwadzieścia sześć lat później, buty Jacka stały na podłodze w wysprzątanej garderobie. Jego stopy już się w te buty nie mieściły; u większości ludzi z wiekiem wszystko staje się ciut większe. Wciąż był smukły, wciąż wyglądał na młodszego, niż był w rzeczywistości, wydawał się nienaruszony, pozostał sobą, choć stracił już chłopięce włosy i to całkowicie odmieniło jego oblicze. Jego wysokie buty w garderobie to oznaka paradności tamtej dawnej, młodej osoby, ale Jack nie potrafił ich wyrzucić, więc stały obok butów Roz, obok starych drewniaków Scholla i obok wypłowiałych trampek z kostką, należących niegdyś do kogoś z jej dzieciaków.

W ciągu pierwszych dwóch tygodni od tamtego dnia, w lecie siedemdziesiątego siódmego roku, kiedy Jack ją pocałował, Roz kilka razy jeździła do niego do miasta - początkowo w transie, któremu towarzyszyło drzenie i dreszcze. Od razu poszli do łóżka, kochali się bez przeszkód, bardzo tkliwie. Lubiła jego smak, słodkość jego czystej skóry, jego pocałunki. Kładł na niej dłonie, między jej piersi głowę, a palec trzymał na łechtaczce, jakby mieszał w garnuszku. Wpadała w upojenie, a potem w jakiś niesamowity spokój. Wiedział, kiedy jej nie dotykać, kiedy jej nie zauważać. Poszła z nim do Pearl Paints, gdzie kupował nowe pędzle, puszki z utrwalaczem i metry płótna. Sklep pachniał nim tak mocno, że samo wejście do wnętrza było erotyczne. Rozmawiali ze sobą szybko, wymieniając opowieści na temat jej przeszłości i małżeństwa oraz na temat jego przeszłości i różnych związków z kobietami. Jack był Żydem, synem rabina z Plainfield w New Jersey. Po długich namowach pokazał swoje zdjęcia z bar micwy. Włosy miał długie jak dziewczyna, na zębach metalowy aparat; za nim stali matka i ojciec, trzymający dłonie na ramionach syna, ponaglający go, by ruszył w świat, w przyszłość, w męskość, a w końcu w romans z dużo starszą od siebie męzatką.

Każdego dnia tamtych pierwszych tygodni, kiedy przyjeź-

działa się zobaczyć z Jackiem, Roz nie była pewna, jak długo to potrwa. Nie mieli żadnych planów, a ona ostrzegała Jacka: „Od prawie dwudziestu lat jestem żoną. Wciąż nią jestem. Mam czworo dzieci”.

Jakby fakt, że człowiek zakorzenił się tak głęboko w życiu, miał znaczyć, że nigdy już nie uda się wyrwać go z ziemi. Jack nie próbował jej do niczego przekonywać, słuchał i aprobował to, co mówi, dodając tylko, że chciałby z nią być, chciałby się z nią ożenić, i wystarczy, jeśli Roz powie słowo. Mogła zaufać jego żarliwości. W przeciwieństwie do Paula, Jack nie wylewał się na nią całym sobą. Była Jackowi wdzięczna za jego spokój.

Noce z Pauliem w domu budziły w niej strach, ale wytrzymywała. Któregoś wieczoru w bibliotece Paul pokazał Roz reklamę jakiejś płyty w czasopiśmie. Na okładce znajdowała się charakterystycznie stylizowana ilustracja.

- Nie wygląda ci znajomo? - zapytał Paul.

- To pewnie Jack - odpowiedziała.

- Kto?

- John. John. Znaczą Sunstein.

- Od kiedy John jest Jackiem?

Wbrew sobie Roz się zająknęła, a jej twarz oblał rumieniec.

- Powiedział mi kiedyś, że tak się zwracają do niego przyjaciele - wyjaśniła i pomyślała: Bardziej już nie mogłam się zdradzić, prawda? Już w bardziej oczywisty sposób nie mogłam tego okazać, prawda?

Mimo nadmiernej intensywności jej słów Paul nic nie odpowiedział. Natomiast któregoś popołudnia w następnym tygodniu, kiedy powiedziała mu, że jedzie do miasta spotkać się z Vivian, przyjaciółką ze studiów, która pisuje teraz artykuły na temat mody do „Vogue'a”, Paul pojechał za nią. Roz wzięła ich nowy samochód, czerwone volvo kombi, które niedawno kupili, a on stary. Biuro Vivian mieściło się w budynku Condé Nast, na rogu Madison i Czterdziestej Czwartej Ulicy, ale Roz

pojechała wprost do centrum i na Greenwich Street znalazła miejsce do zaparkowania. Jak się potem od niego dowiedziała, Paul zaparkował na drugiego, przy stojących samochodach, z dala od jej pola widzenia, uważając, by nie stracić jej z oczu, i patrzył, jak Roz stoi przed wejściem do pracowni artysty, jak wciska jeden z metalowych przycisków w domofonie, a potem czeka. Nie minęła sekunda i weszła do budynku, a drzwi automatycznie się za nią zamknęły. Paul stał dalej na ulicy, zlany gorącym potem. Uderzył pięścią w otwartą dłoń, z całych sił, aż zapiekła z bólu, i zamachał nią parę razy w powietrzu. Stał tak na ulicy przez dwadzieścia minut, w końcu podszedł do drzwi i wcisnął przycisk, którego nie tak dawno używała jego żona.

- Tak? - głos Jacka, koniec szpiclowania.

- To ja, Paul.

- Kto?

- Mellow. Paul Mellow.

Długa, znacząca, o Boże, pauza. Potem domofon zahuczał, drzwi kliknęły cicho, otworzyły się i Paul powłókł się ciężkim krokiem po szerokich, zapadających się drewnianych schodach, z wałącym dziko sercem zdradzonego męża. Kiedy dotarł do wejścia pracowni, Jack Sunstein stał już przy schodach, bez koszuli, a tuż za nim stała Roz w szlafroku. Nie miała czasu, żeby się ubrać. Była cała zdrętwiała i zdesperowana, jej skóra była zaróżowiona, pokryta plamkami; wiedziała o tym nawet bez spoglądania w lustro. Jeszcze nie chciała Paulowi mówić, ale oto sam się zjawił. Czy powiedziałaaby kiedyś, gdyby nie przyszedł? Romans wygasłby? Tego nigdy się nie dowiedziała, bo Paul przyszedł, stał przed nimi, z zawadiacką miną i bliski załamania.

- Co robisz? - zapytał.

- Przepraszam. Przepraszam.

- No dobrze - powiedział. - Wszystko jasne. Pięknie. W porządku. W takim razie możesz już wracać do domu, tak?

Przytaknęła, bez słowa, rzuciła Jackowi spojrzenie i poszła się ubrać. Jechali z Paulem do domu osobnymi samochodami i tylko cud chyba sprawił, że żadne z nich się nie rozbiło. Przez większą część podróży Roz czuła się, jakby traciła oddech, i żeby zachować spokój, musiała stale coś do siebie mówić. Kiedy dojechali do domu, odizolowali dzieci od całej sprawy i zamknęli się w sypialni. Jego pytania były nieubłagane, bolesne, uzasadnione.

- Od jak dawna? - grzmiał. - Przez cały czas? Przez cały czas, odkąd dla niego pozowaliśmy? Już wtedy się z nim pieprzyłaś?

- Nie, nie, oczywiście, że nie - odpowiadała. - To coś nowego. To coś bardzo, bardzo nowego.

„Tak bardzo nowego - mogłaby dodać - że wciąż nie wiem, co robię, że improwizuję nawet teraz, gdy rozmawiamy”. Jak często, naciskał ją, kiedy, jak, dlaczego? Dlaczego?! Nie potrafiła odpowiedzieć, więc próbował sam wyjaśnić.

- Potrzeba ci tego, musiałaś się po prostu wyrwać ze swoich trybów i nie chcesz, żebym się tym przejmował, tak? To tylko kryzys wieku średniego?

Paul rozpaczał, był nienasycony, zachłanny. Siedzieli na swoim mosiężnym łóżku, z góry dobiegał ich dudniący podkład basowy, charkot muzyki i trzaśnięcia drzwiami. Dzieci urzędowały w najlepsze, bez chwili spoczynku, obojętne na dramat, jaki się rozgrywał pod nimi na piętrze rodziców, a może wcale nie obojętne. Podczas całej rozmowy Roz oddychała ciężko i patrzyła tylko na ręce.

- Zakochałam się - powiedziała w końcu mężowi, próbując, jak zabrzmiały te nowe, szokujące słowa, i odczuła drobny, dumny, zawstydzający dreszcz, słysząc je i uświadamiając sobie, że to prawda.

To dotknęło Paula do głębi; złapał się kurczowo za serce, wcisnął dłoń w rozpiętą koszulę, głęboko, w kępki swoich wło-

sów na klatce piersiowej, po napoleońsku, walcząc o zachowanie godności, o pokazanie pełnego opanowania.

- O nie - powiedział w końcu słabym głosem. - Och nie...

- Wiem. Wiem. Przepraszam.

- Nie możesz się z nim po prostu różnić? Aż ci się znudzi? - Łkał. - To nie będzie jeszcze koniec świata. Będę mógł z tym żyć. Przejdziemy przez to i tyle. W końcu każdy jakoś wyjdzie na swoje.

Roz była wstrząśnięta, widząc go w takiej rozpacz.

- Ja nie miałam zamiaru... - zaczęła tłumaczyć i w tym samym momencie, czego można się było spodziewać, wybuchnęła szlochem. - Ja nie chciałam... - mówiła, spuszczać głowę. - Nie chciałam tego, Paul. Nie prosiłam o to. To się po prostu stało, jak dzieje się wiele rzeczy. Nie było z mojej strony żadnej... premedytacji. Nie było nic, jeśli chcesz znać prawdę.

- Więc skończ z tym - powiedział. - Niech to będzie tylko drobiazg, romansik, miłośćka, flirt, jak zwał, tak zwał, ale już skończ! Wróć do mnie.

Roz potrząsnęła głową.

- Nie mogę. Już się zaczęło. To już się nie skończy. Kocham go.

- Cóż to znaczy? Że mnie już nie kochasz?

Roz zamknęła oczy.

- Oczywiście, że cię kocham - powiedziała ostrożnie. - To się nie kończy tak nagle. Ale inaczej.

- Od jak dawna inaczej?

Pomyślała o Paulu, jak leży na niej, potem pod nią, jak naprowadza jej ręce, dopasowuje ich ciała, patrzy na nią nienasyconym wzrokiem, który, jak zawsze myślała, bardzo lubiła, bo przecież nigdy nie powiedziała, że nie lubi. Pomyślała o wszystkich konfiguracjach, jakie tworzyły ich zespolone ciała, dwojga ludzi powtarzających skomplikowane układy jakichś ramion semafora. Ich ciała się łączyły i rozłączały, skóra przy-

wierała do skóry z młaśnięciami, przemyślną wilgotnością, pocieraniem i delikatnym wyczuwaniem powierzchni, i odrywanie się od niego w takim momencie - po tym, ile razem zrobili, po tym, jak pozwoliła mu siebie dotknąć i przeniknąć, jak zuchwale odwzajemniała się tym samym, jak tyle się na nią przez lata napatrzył - było czymś nienormalnym, było zbrodnią.

- Wychodzę - powiedział Paul ze stęsząłą twarzą; jego wąsy, broda były mokre od łez, ale już nie płakał. - Zabieram dzieci.

Wziął kluczyki do samochodu i ruszył do drzwi.

- Co chcesz zrobić?! - Roz rzuciła się za nim. - Co im powiesz? Paul, nie im nie mów. Nie jestem na to przygotowana!

- Hm, cóż, ja też nie byłem przygotowany! - krzyknął do niej przez ramię, ale się nie zatrzymał.

Paul stanął przed schodami, prowadzącymi na piętro dzieci. Roz wciąż wykrzykiwała do niego prośby, z kolei Paul krzyczał już do dzieci.

- Dzieciaki! Złazić na dół! Jedziemy na lody do Carvela.

Dzieci zaczęły schodzić, pojedynczo i niechętnie.

- Paul, nie wychodźcie, proszę - błagała Roz.

Spojrzał na nią wzrokiem, jakiego jeszcze u niego nie widziała, bo też zrobił wszystko, by było to spojrzenie inne od tych, którymi dotychczas ją obdarzał. Nienawiść połączona z utratą zainteresowania. Mówił coś do dzieci i zaganiał je na parter, na korytarz, do wyjścia. Tylko Michael zatrzymał się na moment w korytarzu i spojrzał w górę na mamę, ale Paul pociągnął go za sobą, prosto do samochodu.

Nie było ich ponad godzinę. Najpierw Roz siedziała na schodach w korytarzu z głową w rękach i zakładała, że będzie tak siedziała do ich powrotu. Ale po jakimś czasie przypomniała sobie, że może zatelefonować do Jacka - poczuła, jak serce zabiło jej gwałtownie. Roz Mellow podniosła się ze swojej grzędy na schodach i poszła zadzwonić do kochanka.

Małżeństwo Mellowów przetrwało jeszcze tydzień, dławiąc się i umierając powoli. Co wieczór Roz rozmawiała z Jackiem, raz zauważyła to Holly; w tym samym czasie do kuchni wszedł Paul - Roz znalazła się w potwornym centrum rodzinnego nieszczęścia. Coś trzeba było z tym zrobić, i to szybko. Następnego dnia, w środę wieczór, Roz i Paul posadzili przed sobą czwórkę dzieci i powiedzieli im prawdę. Michael udawał, że nic to go nie obchodzi; Holly było wyraźnie wstrząśnięta, jej oczy zwilgotniały i zaczerwieniły się. W ostatnich miesiącach wiele czasu spędzała na stacji kolejowej. Roz i Paul jechali tam czasami nocą, żeby zobaczyć córkę, bo tylko tak mogli się do niej zbliżyć i sprawdzić, co robi ich niepokorne dziecko, jak sprawdzali kiedyś, gdy była mała i leżała wieczorem w łóżeczku, dawno temu, gdy wracali z miasta, szli na piętro i patrzyli, co robią dzieci, przechodząc od pokoju do pokoju. Co ważniejsze, tak naprawdę delektowali się rozkoszą ich posiadania, swoim skarbem.

Dwoje najmłodszych nie mogło usiedzieć na brązowej kanapie. Dashiell wciąż się podnosił, jakby parzył go pod spodem aksamit tapicerki.

- Dzieci, musicie wiedzieć, że tata i ja nie jesteśmy ze sobą szczęśliwi - zaczęła Roz.

Paul nie powiedział ani słowa. Nie miał nic do dodania; przedstawienie należało do Roz, pozwolił jej mówić. Był odrętwiały, czuł się pokonany, zwiesił głowę. Starsze dzieci siedziały nieruchomo, z posępnymi minami. Dashiell chyba coś nucił pod nosem. Czy w ogóle słuchał? Tylko Claudia, jak się здаwało, rozumiała, o czym mówi matka.

- Co? - zapytała po chwili. - Rozwodzicie się? Och, nie. Nie możecie. Naprawdę nie. Rodzice Ariel Spitzer się rozwiedli i ona mówi, że to straszne!

Tylko Claudia nie jest zmanierowana, uświadomiła sobie wtedy Roz. W przeciwieństwie do pozostałych dzieci, ona jedyna potrafiła wyrazić wstrząs, jakiego doznała, i szczery żal.

Dwa dni później Mellowowie się rozstali, o czym gazety szeroko się rozpisywały i wracały do tego bez sensu jeszcze przez parę miesięcy, i o czym z zajęciem rozprawiali wszyscy, którzy ich znali. Paul wyprowadził się z domu, wynajął coś małego nad wodą, w pobliskim Marburne, na tyle blisko, by w weekendy widywać się z dziećmi. W ciągu następnego roku Roz stopniowo pozwałała, by Jack odwiedzał ją raz w tygodniu w Wontauket. Nie chciała, aby z nią zamieszkał, aby udawał ojca. Nie był ojcem jej dzieci; jednego już mają. Trzymała Jacka z dala od dzieci, dla własnego komfortu. Nie będzie przy dzieciach obiektem pożądania. Będzie przy nich wyłącznie matką.

Dzieci wiedziały jednak o kochanku mamy i coraz głębiej się zaszywały we własnym życiu. Wiedziały, a ona wiedziała, że wiedzą, i nikt już nigdy nic nie powiedział; poza Paulem, któremu czasem, z rozpacz i gniewu, że stracił nagle żonę, wyrwało się przed młodszymi dziećmi parę niestosownych słów pod adresem mamy.

Roz dowiedziała się później, że w czasie jednego z hamburgerowych obiadów w jego wynajmowanym mieszkaniu (ociekający tłuszczem hamburger to jego sztandarowy posiłek, jedyny, jaki potrafił przyrządzić) Paul nazwał ją „zwykłą dziwką”, a zaraz potem wybuchnął płaczem i powiedział szybko Dashiellowi i Claudii: „Cofam te słowa. To nieprawda. Nie wiem, dlaczego tak powiedziałem. Wasza matka jest cudowną kobietą”. Z upływem czasu przywykł do separacji, choć definitywnie zakończyła ona ich karierę jako pary. Zakończyła ich pasmo sukcesów, trwające blisko dwa lata, kiedy byli powszechnie znani jako „ci Mellowowie”. To był koniec, koniec, i ona to sprawiła, Roz. Paul nigdy nie potrafił zrozumieć dlaczego i w ciągu następnych lat, choć dwukrotnie jeszcze się żenił, nie odgadł, czego mu brakowało, a co miał w sobie ten cichy, nie mówiący artysta - i nie umiał tego zaaprobować. Myśląc o tym czasem, Paul Mellow kręcił głową z niedowierzaniem.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku, kiedy Claudia Mellow skończyła liceum i dostała się do Hampshire College, eksperymentalnej szkoły w Massachusetts, przyjmującej uczniów takich jak ona: trochę ekscentrycznych, introwertycznych, a nawet zagubionych, Roz wystawiła dom na sprzedaż i w krótkim czasie dobiła targu z chińską parą o nazwisku Feng. Nastął smutny okres trudnej roboty; przyjechała Holly, by pomóc matce zdemontować przeszłość, i obie coś ze sobą zabrały, jedna do swojego wieloosobowego pokoju, a druga do wynajętej kawalerki. Wszyscy też przejrzeni książki w bibliotece, bo Paul powiedział, że żadnej nie chce. Ku zaskoczeniu Roz, dzieci zdradziły sentyment do tytułów, o które nigdy by ich nie podejrzewała. Na przykład Michael koniecznie chciał zabrać *Dietę dla małej planety*, choć był istnym mięsożercą, a z kolei Dashiell poprosił o wielką antologię golden retrieverów.

Kiedy wreszcie Roz przeniosła się na stałe do Jacka, większość swoich rzeczy umieściła w wynajętym pomieszczeniu magazynowym. Dwa lat później, gdy Skidmore College zaproponował jej serię próbnych wykładów z perspektywą objęcia katedry, zabrała rzeczy z magazynu i na nowo połączyła się z życiem, które przez długi czas było gdzieś daleko, zapakowane w pudłach. To wcześniejsze życie w dużej części wypełnia teraz garderoby ich domu w Saratoga Springs, ale zupełnie już się przemieszało z życiem, które wiedzie z Jackiem. W garderobach tłoczyło się więc życie jedno i drugie: jego wysokie buciska, jej buty, poncho przeciwdeszczowe jej córki, latarka syna z letniego biwaku, parasol byłego męża, coś, czego pochodzenia nikt nie potrafił wyjaśnić, i jeszcze coś, i jeszcze coś, wiele rzeczy, które mogłyby należeć równie dobrze do każdego życia. Ponieważ prawda jest taka, że człowiek może spędzić życie na wiele sposobów: chociaż zmieniają się postacie, pokoje i przedmioty, to doskonale wie, co znaczy zawrzeć

małżeństwo, jeśli jedno ma już za sobą. Oznacza to tyle, co być obok, być w pobliżu, tak samo jak być w rodzinie znaczy być wśród innych. Człowiek się posuwa z wysiłkiem naprzód, po drodze mija rzeczy, które odchodzą w przeszłość, lecz niekiedy je rozpoznaje i budzi się nagle pamięć.

Roz uklękła przed garderobą w korytarzu. Oto czerwone, plastikowe pudełko na drugie śniadanie z ery kenozoicznej. Natychmiast sobie przypomniała, że należało kiedyś do Dashiella. Na wieczku napisany był tytuł popularnego serialu *Człowiek od sześciu milionów dolarów*, a pod nim lichego rysunek srożej twarzy jego bohatera, patrzącego groźnie spode łba Lee Majorsa. Jakże dumny był kiedyś Dashiell z tego pudełka, myślała i miała przed oczami syna, jak idzie z nim do Bolanderki i wraca do domu, zaciskając palce wokół uchwytu. Nie można było nawet porównać tamtego chłopczyka z dzisiejszym mężczyzną leżącym w szpitalnym łóżku - prawie nie można było, bo linia, którą zatacza każde dziecko, wolna jest od załamania i zakrętów. To jedna, długa, zakrzywiona linia, która przywiodła je stamtąd tutaj. Wtedy znasz dziecko najlepiej. I znasz je nadal. Dzieci nawet nie muszą wiele ci mówić o swoim życiu, mogą je utrzymywać w tajemnicy, bo to już nie jest twoja sprawa, ale mimo wszystko, w jakiś sposób, wciąż dobrze je znasz.

Zostawiła Dashiella z Tomem, w jego mieszkaniu w Providence, zostawiła go, by trwał, by regularnie odwiedzały go pielęgniarki, by przeszczep wykonywał w jego wnętrzu swoją robotę, by układ odpornościowy rósł w siłę, zostawiła go niczym pisklę dinozaura gramolące się niezdarnie ze skorupki jaja. Wyjdzie z tego, wszystko będzie z nim w porządku, zapewnią lekarze, a więc z nią również będzie wszystko w porządku. No dobrze, nie będzie wznowienia książki. Michael nic nie wskórał u Paula; ani nikt inny. Książka umarła. Roz będzie musiała się z tym pogodzić raz na zawsze

„Pieprzyć książkę”, zwykła mówić Holly. Słusznie, ma rację: Pieprzyć książkę.

Roz zamknęła na chwilę oczy, a potem podniosła gwałtownie powieki, chcąc jeszcze raz przeżyć niespodziankę, którą sprawił jej Jack, przesiewając pod jej nieobecność wszystkie rzeczy i czyniąc wśród nich ład. Chciała się też bliżej przyjrzeć rzeczom, które przez tyle lat wokół siebie nagromadzili albo które jakimś zrządzeniem losu same się wokół nich nagromadziły. Zdawało się, że Roz Mellow patrzy na czas, który się rozciągnął do tak wielkich rozmiarów, że zdołał wypełnić każdą garderobę, pokój, korytarz w tym domu.

Rozdział dwunasty

Ojciec i syn wyszli do miasta. Wyszli, bo Dashiell ma już przeszczep za sobą i będzie zdrowy, bo to ostatni dzień Michaela na Florydzie, bo musieli spróbować potężnego drinka Błękitna Floryda, najeść się smażonych frykasów z plastikowych koszyczków, wrzucić się do łez, odetchnąć z ulgą, porozmawiać, porozmawiać i porozmawiać, od czasu do czasu akcentując swoje męskie sprawy, jak to czynią zwykle ojcowie i synowie, jakby oceniali nawzajem swoje samochody.

Michael wyjedzie następnego dnia rano po pięćdziesięcioczworodniowym, jak się okazało, pobycie w Naples. Do ostatniej godziny wybrał przysługujący mu w pracy urlop i każdy dzień wolny; zadzwonił nawet do DDN i poprosił o więcej wolnego, a przełożeni się zgodzili, bo nie mogli sobie pozwolić na utratę tak zdolnego pracownika. Woleli więc, żeby robił teraz wszystko, co ma przynieść mu radość. Mimo to przez pięćdziesiąt cztery dni menedżer produktu Rufus Webb z gorączkową regularnością słał do Michaela e-maile, a Michael przez długi czas natychmiast mu odpisywał. „WYŁĄDOWALI BLIŹNIACY”, pisał Rufus w dniu, w którym właściciele pojawili się w firmie (zawsze pisał wielkimi literami, jakby chciał przekazać własne wrażenie na temat powagi sytuacji), „JESTEM TRUPEM”, na co Michael odpisał, małymi literami, spokojnie: „Nie jesteś. Odpręż się”.

Odpręż się. Nowy pomysł. Po pierwszych, straszliwych objawach odstawienia Provivy - napadach lękowych, zawrotach

głowy przy każdym powstaniu, potach, które budziły go ze snu w pokoju dla gości, po dziwnych dźwiękach, *zhzhzhzh*, które odzywały się za każdym razem, gdy zwracał głowę w lewo lub w prawo - jego organizm zaczął się odtruwać i uspokajać. Któregoś poranka, jakieś dwa tygodnie po przyjeździe, uświadomił sobie, że lek na dobre zniknął z jego organizmu. Będzie teraz zdany tylko na siebie. Żadnych środków przeciwdepresyjnych, znikąd pomocy. Żadnej siatki bezpieczeństwa. Tylko on, zupełnie sam, na Florydzie. Bycie samemu, gdy nikt na człowieka nie spogląda, nie chroni go, przypomina trochę leżenie nago na mokrych liściach. Nie jest nieprzyjemne, ale bardzo, bardzo dziwne. Poczuj liście, rozkazał sobie. Przetocz się po nich.

Któregoś wieczoru zatelefonował do Thei, krótko przed północą, bo wiedział, że lubi kłaść się późno. Chciał jej powiedzieć o analogii do mokrych liści i że ją kocha. Telefon dzwonił i dzwonił, aż w końcu odezwała się automatyczna sekretarka. Usłyszał własny, okropny głos, nosowy, metaliczny, i szybko odłożył słuchawkę, nie nagrawszy żadnej wiadomości. Wpadło mu do głowy, aby zadzwonić wieczorem następnego dnia, po to tylko, żeby sprawdzić, czy Thea będzie w domu, ale doszedł do wniosku, że nie chce wiedzieć. Przypomniał sobie ojca, płaczącego jak bóbr w domu w Wontauket, kiedy Roz powiedziała, że go zostawia. Nie ma nic gorszego od cierpiącego mężczyzny. To coś o wiele gorszego od cierpiącej kobiety, choćby dlatego, że to coś o wiele głośniejszego. „Odpręż się”, mówił Rufusowi Webbowi i chyba była to idea, którą po raz pierwszy w swoim czterdziestojednoletnim życiu Michael potrafił wreszcie zrozumieć. Nie wyleczył się jeszcze z depresji, bynajmniej; chemia jego mózgu wciąż wystawiała go na ciosy choroby, ale na razie podobał mu się pomysł, by niczym się nie podejmować.

Przyjechały bliźniaki, no i co z tego? Po jakimś czasie Mi-

chael przestał odpowiadać na histeryczne, ponagające buczenia i piskania palmtopa. Po prostu przyszedł dzień, kiedy całkowicie zignorował wiadomości od Rufusa, potem nastał kolejny taki dzień, potem kolejny, i kolejny. Zastanawiał się, jak znieśie powrót do pracy, bo chociaż lubił firmę i podobało mu się, że jego trud, co zadziwiające, rzeczywiście przynosi ludziom pożytek, w Kenii, Czeczenii czy gdzieś w Appalachach, to myśli, że miałyby znowu siedzieć w niemych pokojach, w tej samej grupie inteligentnych, ale znerwicowanych ludzi, budziła w nim lęk przed nawrotem jego własnej rozpacz.

Wyprawa na Florydę okazała się porażką, przynajmniej formalnie rzecz biorąc, choć Michael wcale tak tego nie odbierał. Próbował wielokrotnie, mimo to nie był w stanie nakłonić ojca do zgody na wznowienie *Jak dać rozkosz*. Przeszedł jednak z ojcem niejedno, nie wyłączając choroby Dashiella, przeszczepu i strachu, że brat może po prostu umrzeć. Więc teraz, pod koniec pobytu, mogli się z ojcem odprężyć i mieli co świętować.

Następnego dnia rano będzie już na pokładzie samolotu lecącego do Nowego Jorku, do Dimensions D-Net, do Thei Herlihy, cokolwiek to wszystko razem miałyby znaczyć. Jego ojciec wróci do swojego mieszkania, gdzie dokładnie w tej chwili jego żona, Elise/Elisa, siedzi w łóżku i ogląda wieczorne wiadomości, smarując pięty kremem zmiękczającym, a po całej sypialni roznosi się woń mięty jak z potpourri. Niebawem Elise/Elisa przyniesie świeżą pościel do pokoju, w którym spał Michael i do którego przez następnych parę miesięcy, a może lat, nie zawita żaden gość. Jego ojciec i macocha znowu się zapiszą na jakieś zajęcia w świetlicy; może jak wielu innych będą się uczyć włoskiego, natchnieni śpiewnymi sylabami, oliwą z oliwek lejącą się z ceramicznej karafki lub malowidłami przedstawiającymi Zwiastowanie z pajęczynami delikatnych pęknięć. Paula ogarnie poczucie błęgiego spokoju, niemal sa-

motności, a Michael nie będzie mógł nic z tym zrobić, bo dobrze wie, że to samo uczucie ogarnie go nazajutrz rano, kiedy ruszy w drogę do domu.

Myśl, że wraca do swojego mieszkania, wkłada klucz do zamka, wchodzi do czystego, wypolerowanego wnętrza, napałała go strachem.

- Nie wiem, do czego wracam - powiedział ojcu w ciemnym barze po wypiciu Błękitnej Florydy, podawanej w szklance wielkości psiej miski.

W ostatni wieczór przed powrotem do domu Michael chciał nagle o tym porozmawiać. Ojciec patrzył na niego przez dłuższy czas i zadał pytanie:

- Hm, czego się obawiasz?

- Tego, że nic tam już nie ma. Pracy. Mojej miłości.

- Były tam, zanim wyjechałeś?

- Nie jestem pewien. Jeśli nie, to dlaczego? DDN robi naprawdę pożyteczną robotę, ale nie mogę tam zostać. Umieram z nudów.

- Floryda... - westchnął cicho Paul, kiwając głową.

- Słucham?

- Nic, nic - odparł ojciec. - Mów dalej.

- No dobrze, w kwestii Thei rzeczy mają się tak... Powiem ci prawdę, ale musisz przysiąc, że nigdy nikomu o tym nie powiesz, nigdy nikomu, tato, nawet Elise, swojej żonie. - Pociągnął duży łyk drinka, wypełniając nim całe usta. - Nie mogłem osiągnąć orgazmu. Nie mogłem. - Potrząsnął głową. - To ten pierdolony środek na depresję, który brałem - mówił. - Wiem, o nim też ci nic nie mówiłem. Kiedy tu przyjechałem, odstawiłem lek. Dlatego zachowywałem się trochę dziwnie, pamiętasz? Nie czułem się dobrze. A ten lek... działał jak przesyłana wiadomość, żebym nie szczytował. Bo i tak nic z tego nie będzie; to nie zamieni się w szczęście.

Paul Mellow potrząsnął głową.

- Paskudna sprawa - powiedziała. - Wygląda na to, że nie miałeś z tego żadnej uciechy.

- Właśnie - zgodził się Michael. - Żadnej uciechy.

- Sęk w tym jednak - mówił dalej Paul - że brak takich problemów też niczego ci nie gwarantuje. Ja na przykład, o ile sobie dobrze przypominam, nigdy nie miałem zasadniczych problemów seksualnych, ale ostatecznie to się nie liczyło. Bo w końcu twoja matka zostawiła mnie dla Jacka Sunsteina.

Czas na kolejnego drinka, szybkiego. Paul ściągnął usta w dzióbek, jak do pocałunku, i zaczął spijać morze piany z kolejnej Błękitnej Florydy.

- Dlatego nie chcesz wznowienia książki? - zapytał Michael. - Wszystko się do tego sprowadza?

- W zasadzie tak. Co ci powiedzieć? Nie mam zbyt skomplikowanej osobowości, to wy, nasze dzieciaki, jesteście skomplikowane.

Michael upił duży łyk z psiej miski i pomyślał o ojcu i matce, kiedy byli małżeństwem. Pamiętał, jak lubili siadać na kanapie w domowej bibliotece rozciągnięci na niej jak dzieci. Michael często myślał o tamtych dniach, kiedy ojciec przejawiał wobec mamy jakby prawo wyłącznej własności; wydawało się, że jest w tym ujmujący czar i taka tkliwość, że nawet jego to inspirowało. Teraz jednak Michael uważał, że prawdziwą inspiracją powinna być pełna wzajemność. Dotąd sądził, że właśnie to łączyło go z Theą, ale jeśli tak, to nie powinien wchodzić w grę wzajemny brak uczuć.

Pomyślał o rodzeństwie. Może Dashiell zdołał znaleźć równowagę w życiu; w każdym razie zdawało się, że wytrwale próbował. Claudia, która telefonowała na Florydę przez cały czas pobytu Dashiella w szpitalu, w czasie ostatniej rozmowy wspomniała jakby mimochodem i nieśmiało, że „trochę tak jakby jest razem” z tym facetem, z którym wymieniała e-maile.

- Wiesz, tym z naszego domu - powiedziała. - Którego rodzice teraz tam mieszkają.

- Wiem, o kim mówisz. To dobrze - odpowiedział wielkodusznie Michael.

Jego małej siostrze zawsze z trudnością przychodziło poznawanie nowych ludzi i życiowa samodzielność, więc właściwie był pod wrażeniem, że tak dzielnie podążyła w realny świat śladem e-mailowego flirtu.

Czy któreś z nich było skomplikowane?

- Tylko Holly jest skomplikowana - powiedział do ojca.

- Bo uciekła z domu? - zapytał Paul.

- Nie, zawsze tak myślałem.

Ojciec pokiwał lekko głową, melancholijnie, jak człowiek, który rozważa osobiste porażki w życiu. Między nimi zatańczył przez chwilę obraz małej Holly, malutkiej jak Dzwoneczek z *Piotrusia Pana*, który po chwili i zniknął.

Może, myślał Michael, to Holly jest tą jedyną, o którą trzeba się martwić. Wydawało się mało prawdopodobne, by mogła znaleźć zadowolenie w życiu, wychodząc za takiego lekarza-męża. Spotkał go tylko raz. Marcus Leeming wydał mu się jakiś dziwny, bez wyrazu. Michael nie potrafił sobie wyobrazić, aby tych dwoje łączyło głębokie uczucie, i równie trudno było mu sobie wyobrazić, jak tych dwoje siada do jednego stołu lub, jeszcze gorzej, dzieli jedno łóżko.

Pewnego wieczoru, gdy Michael miał dwadzieścia dwa lata i po studiach przeprowadził się właśnie do Nowego Jorku, w jego ciemnym mieszkaniu przy torach kolejowych na Riverside Drive, które dzielił z dwoma przyjaciółmi, zadzwonił telefon; i w słuchawce usłyszał głos Holly. „Cześć”, powiedziała, a on przeżył wstrząs i chociaż leżał, pogrążony w lekturze, na lekkiej kanapie w swojej małej, skleconej z płyt gipsowych sypialni, natychmiast odrzucił książkę i zamienił się w słuch.

Pół godziny później Holly, cała drżąca, weszła do jego mieszkania, a koledzy Michaela lustrowali ją wzrokiem pełnym podejrzliwości, ale i zainteresowania. Płakała, opowiadała mu o zawiedzionej miłości i swojej rozpacz. Była naćpana, cała przesiąknięta zapachem trawki, tym „słodkawym zapachem palonej liny”, o którym mówiły wyświetlane im w gimnazjum filmy edukacyjne o narkotykach, jak gdyby każdy świetnie wiedział, jak pachnie palona lina. „Ciii...” powiedział do siostry. Pożyczył jej na noc długiego T-shirta z logo studenckiej drużyny frisbee z Princeton i oddał swój materac. Leżeli w ciemności twarzą do siebie, choć na różnych poziomach. W oknach nie było zasłon, ale Michael przypiął do framugi pinezkami szerokie, granatowe prześcieradło, które kiedyś ozdabiało jego łóżko w Wontauket, i w pokoju można się było czuć jak w akwarium.

- Nienawidzę siebie - powiedziała Holly.

- Ciii... - mówił Michael. - Dobrze sobie radzisz, Holly. Pewnie uważasz, że to nieprawda, ale tak jest.

- Nie umiałam nic zrobić ze swoim życiem, Michael.

- Nie wiedziałem, że już się skończyło.

- Wiesz, o czym mówię.

Więc mógł tylko znów powiedzieć „ciii...” Leżała centymetry od niego, w jego własnym, pachnącym proszkiem do prania i wybielaczem T-shircie. Jej włosy były długie, trochę potargane, ale wciąż złociste, jej rzęsy nic nie straciły ze swojej niemal albinoskiej bieli. Holly Mellow była przepiękną kobietą, miała dwadzieścia cztery lata, staczała się po równi pochyłej, a on nie mógł jej zatrzymać, bo nie miał do niej praw. Po prostu nie miał, ona nigdy nie będzie do niego należała.

W spodenkach od piżamy wiązanych w pasie sznurkiem, bez koszuli, Michael odwrócił się do ściany.

- Dobranoc - powiedział. - Rano zrobię ci śniadanie.

Zanim jednak zrobił śniadanie, jej już nie było, a następ-

nym razem odezwała się dopiero po roku, kiedy się przeniosła do Nevady.

Sączył teraz Błękitną Florydę, ten staw pełen alkoholu, który zdawał się nigdy nie wysychać.

- Co chcesz zrobić, Michael? - zapytał nagle ojciec, trochę bez namysłu, za mało skupiony, by wdać się w taką konwersację.

Michael wzruszył ramionami.

- A co mogę zrobić? Wróć do domu i jakoś sobie poradzę. Muszę odbyć w pracy parę rozmów. Muszę porozmawiać z Theą. Całkowicie pochłania ją teraz ta sztuka o Dorze. Rozmawialiśmy trochę ostatnio, pisała do mnie, ale nie wiem, czego jeszcze ode mnie oczekuje

- Wiesz, podobnie się czuję z Elise - powiedziała ojciec.

Znowu umknęła Michaelowi ostatnia sylaba zdania i nie był pewien, czy ojciec powiedział „Elisa” czy „Elise”. Czy uda mu się kiedyś wreszcie zapamiętać imię swojej obecnej macochy? Ta gra trwa zbyt długo, by teraz pytać o to ojca.

- Za dużo śpisz? - zapytał ostrożnie Michael. - W tym problem?

Paul pokiwał głową, nie było w tym ruchu ani zaprzeczenia, ani potwierdzenia, zamknął oczy, walczył ze łzami. Och, nie, znowu się rozpłaczę, pomyślał Michael; ogarnął go paniczny strach, że zaraz nastąpi ta niezręczna chwila, kiedy będzie musiał wyciągnąć do ojca rękę, poklepać go po ramieniu, może nawet po plecach, a uczyni to pewnie z niezdarkością młodego tatusia, który klepie po pleckach swojego pierwszego, czkającego niemowlaka i zastanawia się przejęty - czy nie za mocno, czy nie za lekko, czy nie umiem sobie poradzić, kiedy to się skończy?...

Paul Mellow się nie rozpłakał; jak większość mężczyzn w takiej sytuacji powstrzymał łzy, a potem sięgnął do koszyczka ze smażonymi grzybami, których napęczniałe ciastem kape-

lusze dwukrotnie zwiększyły rozmiary, i zaczął jej zajadać ze smakiem. Michael chciałby usłyszeć coś więcej, ale w tej chwili do baru podeszły trzy młode kobiety i popatrzyły na nich niczym rekiny szukające żeru. „Thuudno przewidzieć, kiedy hekin zaatakuje”. Przysiadły się już wcześniej do Michaela takie kobiety, ale nigdy w obecności ojca i od kiedy był z Theą, bo właściwie nie wychodził wieczorami do pubów.

Wszystkie trzy były bardzo ładne, choć w pewnym historycznym sensie, jakby przywoływały przeszłość, która minęła bezpowrotnie, lecz której nie zapomniano; lata osiemdziesiąte. Miał w każdym razie takie wrażenie - wszystkie z podniesionymi, napuszonymi fryzurami lekko farbowanymi henną, z tanim żelem we włosach, który kotłuje je trochę i podnosi w kształt cierniowej korony, i jeszcze z dyndającymi koleczkami w uszach, które zapewne przyjaciółka sama zrobiła jako prezent pod choinkę. Jedna z kobiet się wycofała. Była najbardziej nieśmiała, najmniej zdecydowana i najmniej ładna - więc nie przetrwała tej darwinowskiej chwili, sama na sobie dokonała doboru naturalnego i szybko dała się wessać z powrotem do wnętrza pubu, przeczuwając, że nadciąga to, co nieuniknione. Zakręciła się przy szafie grającej, gdzie stanęła z pięciodolarowym banknotem w dłoni, dokładnie przeglądając sztywne, metalowe okładki płyt w szafie grającej. Michael pomyślał, że dziewczyna jest takim knajpianym odpowiednikiem kogoś, kto na hucznej imprezie staje przy regale z książkami, wybiera sobie jedną i zaczyna ją czytać z udawanym zainteresowaniem, lecz tak naprawdę robi to tylko dla uniknięcia towarzystwa i skrępowania. Żal mu się zrobiło tej kobiety i miał ochotę podejść do niej i zacząć rozmowę, ale zorientował się, że jest mocno podпиты i trudno było mu się podnieść z krzesła, więc gorący zapach szybko w nim wygasł.

- Zrobiłyśmy zakład - odezwała się teraz do Michaela ta o jaśniejszych włosach.

- Taak? - powiedział, podnosząc ciężko głowę. - Jaki zakład?

- Ja twierdzę - tym razem odezwała się druga, która miała ciemniejsze, bardziej przyzlane włosy i budziła mniejsze zafanie - że jesteście synem i ojcem. Moja przyjaciółka, Sabina, uważa, że to idiotyzm i że jesteście kumplami, których nie dzieli nawet zbyt duża różnica wieku.

- Ojciec i syn? - włączył się Paul. - To absurd.

Michael zerknął na ojca ze zdziwieniem i jakimś nowym podziwem. Wymienili spojrzenia niczym dwa kieliszki uniesione wysoko i zderzone w toaście.

- Widzisz? Mówiłam - triumfowała Sabina. - Wiesz mi drinka, Lindsey, o, choćby tego, wygląda nieźle. Co to jest? Skutki uboczne? Wygląda wspaniale.

- Nie, to Błękitna Floryda - odparł Michael.

Tak na marginesie, drink był paskudny, słodki i cienki jak gatorada, a jego słodycz miała raczej kryć, niż uzupełniać smak alkoholu. Nie smakował, ale Michael pił go jak tyłu innych ludzi wokół, a wesoły, młody barman raz po raz brał w ręce shaker i sitko i wlewał napój do wciąż podstawianych bez końca olbrzymich szklanek.

- Mieszkacie tu? - zapytał Paul.

- Nie, chodzimy do collegeu na północy, ale mamy przerwę zimową - odpowiedziała Lindsey. - Po drugiej stronie szosy mama Sabiny ma mieszkanie i co roku pozwala nam z niego korzystać. Przyjechałyśmy również zeszłej zimy i było fantastycznie. Tutaj pogoda jest cudowna i czasem się zastanawiam, dlaczego musimy mieszkać tam, gdzie mieszkamy, skoro tutaj życie jest o wiele prostsze.

Paul wstał i Michael zauważył, że ojciec jest pijany bardziej od niego. Głowa Paula zataczała malutkie kręgi, jak u boksera z komiksu.

- Musimy iść - oznajmił. - Jest już późno, jak sędzę.

- Skąd, jest bardzo wcześnie - zaproponowała Lindsey. - Zresztą, szczerze mówiąc, nie wyglądasz na kogoś, kto mógłby usiąść za kierownicą. Żaden z was nie wygląda. Macie nieźle w czubie. Nie chcielibyście się przejść na drugą stronę szosy i odsapnąć trochę u nas w domu?

Michael ruszył za ojcem, za kobietami, i wyszedł z paprociowo-mahoniowego pubu w kojącą niczym balsam chłodną noc. Lawirując między samochodami i trzymając kobiety pod rękę, przebiegli nieporadnie na drugą stronę szosy; wyglądały oczywiście absurdalnie, ale pierwszy raz czuli się razem wolni, pierwszy raz w ich ojcowsko-synowskiej relacji. Michael wiedział, że dla ojca to większe wyzwolenie niż dla niego, ale ciekawie było patrzeć, jak Paul, chociaż pijany, błyskawicznie się regenerował pod spojrzeniami młodych, zainteresowanych nim kobiet. Oczywiście do niczego nie dojdzie, obaj byli związani z innymi kobietami, a te konkretne dwie panie były dla nich tak niedorzecznie i boleśnie młode. Ale przecież w grze pozorów nie ma nic złego. Nic złego w tym, że siedzą w ich mieszkaniu, które okazało się całe żółto-zielone, i przypominało ni mniej, ni więcej, tylko salon mebli ogrodowych. Podobne było kubek w kubek do mieszkania Paula w Roześmianym Lesie, tyle że to osiedle nosiło inną nazwę, Przystań Muszli, która według Michaela była kompletnie bez sensu - jakby muszłom potrzebna była jakaś przystań albo jakby miała to być przystań dla kochanków w muszli. Nic z tych rzeczy nie potrafił sobie wyobrazić, więc dopisał nazwę osiedla do listy dziwactw, których całe mnóstwo zobaczył na Florydzie.

Sabina włączyła muzykę, w której Michael rozpoznał stare nagrania Steelyego Dana i zrozumiał, że miał to pewnie być wyraz szacunku dla dwóch starszych panów. Z zaciekawieniem, ale i ze strachem zobaczył, jak ojciec rozparł się wygodnie na kanapie i sprawiał wrażenie, jakby lada moment miał zasnąć. Ale kiedy jedna z kobiet wyjęła z kosmetyczki cias-

no skręconego jointa i go zapaliła, Paul Mellow natychmiast otrzeźwiał, wyprostował się i wychylił nos w kierunku, z którego nadciągał dym.

Michael właściwie nigdy nawet się nie zbliżył do trawki, choć niektórzy znajomi Thei z teatru palili czasem, gdy przychodzili do ich domu na próbę. Wtedy najczęściej zamykał się w sypialni. Zza ściany słyszał przytłumione głosy aktorów, starających się coś mocno zaakcentować, z pasją okazać uczucia, by potem uciąć je nagłym wybuchem śmiechu.

Dawniej, kiedy Mellowowie mieszkali razem, Michael wiedział, że rodzice od czasu do czasu się hajcują, i nigdy mu się to nie podobało. Otwarcie pisali o tym nawet w swojej książce, co tylko wzmogło atmosferę skandalu wśród jej zajadłych antagonistów. Na rysunkach mających zilustrować ten fragment tekstu oczy Paula i Roz wyraźnie nabiegały krwią, choć Sunstein użył do ich namalowania delikatnej, różowej akwareli. Michael widział, jak teraz, w prawdziwym życiu, oczy ojca znowu nabierają tej barwy. Ojciec był pijany, a jeszcze trochę i będzie naćpany, i Michael, którego upojenie niebawem znacznie ustępować, będzie musiał odwieźć go do domu.

Ktoś przyniósł kupione, rozmrożone ciasto czekoladowe, które pochłonęli szybko, nie tyle z głodu, ile raczej z narkotycznej potrzeby przeżuwania. Musimy jak najszybciej wyjść, myślał Michael, kiedy ciasto zniknęło. Nie chodziło mu o to, że obudzą Elise/Elisę, ale o to, że rano musiał jechać na lotnisko i już się denerwował podróżą. Wiedział zresztą, że to nie może prowadzić do niczego dobrego.

- Paul - powiedział, celowo mówiąc do ojca po imieniu, trochę ze swadą, tutaj, gdzie ojciec i syn byli po prostu kumplami i gdzie cieniem na ich relacji położył się pijacki zakład. - Musimy iść.

Ojciec nie chciał o tym słyszeć. Wsłuchiwał się w Steelyego Dana z zachłannością, jaką zawsze obdarzał jazz. W pewnej

chwili Sabina, gospodyni mieszkania, przysiadła się do Paula i coś mu szepnęła do ucha. Paul się zaśmiał, a Michael odwrócił głowę i trzymał ją wciąż odwróconą, kiedy młoda kobieta wyprowadzała ojca przez rozsuwane, szklane drzwi do ogrodowego atrium. Michael został z Lindsey. Poprawił się na kanapie, usiadł prosto. Ojciec postawił go w okropnej sytuacji. Jego ojciec, żonaty ojciec, zniknął z dziewczyną, która mogła być jego córką, a może nawet wnuczką. Co za banał, pomyślał Michael i poczuł, jak sztywnieje mu szczeka, więc zaczął ją masować, tak mocno nacierając skórę końcami palców, że go zabolęło.

- Coś mi się wydaje - powiedziała Lindsey - że wyszli do ogródka.

- Chyba tak.

- Jakoś nie wyglądasz na zadowolonego - powiedziała i w tej samej chwili w jej oczach pojawiło się błagalne, płochliwe spojrzenie. - Liczyłeś na Sabinę? - zapytała z pewną dzielnością w głosie, co mu zaimponowało.

- Co takiego? Och nie, oczywiście, że nie. Na nic nie liczyłem, jutro rano wracam do Nowego Jorku.

- W porządku - powiedziała łagodnie. - Domyśliłam się. Bóg świadkiem, że nie szukam stałego związku. Jestem już w stałym związku - dodała cicho i podniosła oczy do nieba.

Michael wyobraził sobie słodkiego, trochę przyćpanego chłopaka, gdzieś w jej collegeu na północy, który rozgrzewa ją w mroźne zimy.

- Chcesz zobaczyć sypialnię? - zapytała.

Michael przytaknął tępo, równie tępo jak zapewne ów chłopak z północy, a potem, nie zastanawiając się nawet, czy powinien to robić, wstał i poszedł za Lindsey do pokoju, w którym stały dwa pojedyncze, przystawione do siebie łóżka przykryte kwiecistymi narzutami. Zamknęła za nim cienkie drzwi i odwróciła się, oparta rękoma o drzwi, uśmiechając się szeroko.

- Śliczniutki jesteś - powiedziała. - Chodź.

Posłusznie podszedł do niej i gdy tylko zaczęli się całować, poczuł, jak erekcja rozpycha mu spodnie. Nikt nigdy nie powiedział mu wcześniej, że jest śliczniutki. Owszem, że jest przystojny. Że jest poważny. Ckliwy. Łebski. Inteligentny. „Phi Beta Kappa - umiłowanie mądrości, przewodniczki życia” albo „summa cum laude”, albo nastrojowy, spięty, posępny, ambitny, robiący dobre wrażenie. Nigdy śliczniutki.

Położyli się na łóżku, Lindsey na nim, leciutka obecność, jak letni kocyk. Wsunęła nos w zagłębienie jego szyi, mrucała „mmm...” gładziła jego pierś palcami o długich wypielegnowanych paznokciach. Zauważył, że właściwie nie podoba mu się jej zapach, że używa tandetnych perfum, których woń uderza czasem po otwarciu kolorowego czasopisma. Ale choć nie podobał mu się zapach Lindsey, wciąż był podniecony. To w końcu kobieta; myślał o jej piersiach i wilgotnym zagłębieniu między nogami. Poczuł nagle, że jeśli nie będzie uważał, to lada chwila wytryśnie. Wystrzelił wprost w bokserki, co nie zdarzyło mu się od czasów, gdy był nastoletnim młokosem.

Teraz mógł mieć orgazm; wiedział, że mógł. Był o tym w pełni przekonany. Orgazm bez najmniejszego wahania, orgazm, który wyleci z niego nawet bez drobnej myśli. Żadnych zmartwień, trosk, nic.

„Mmm...”, mrucała wciąż i przypomniało mu to jego „nnng”, które wydawał z siebie, gdy kochał się z Theą, ale teraz był absolutnie pewien, że żadnego dźwięku z siebie nie wydaje. Mógłby mieć teraz orgazm, gdyby chciał, tak, mógłby, ale tak naprawdę nie miał w tym żadnego interesu. Zmienił pozycję, myśląc, co dalej robić, gdy nagle rozwiązanie samo się znalazło, gwałtownie i przez przypadek, bo kiedy się poruszył, zsunięte łóżka raptem się rozstały jak morze, a kiedy dziura się powiększyła, Michael i studentka collegeu spadli na dywan pod łóżkiem, z cichym i bezbolesnym dudnięciem.

- O Boże - jęknęła Lindsey, wybuchając śmiechem. - Wierzyć się nie chce.

Leżeli w ciemnej czeluści między łózkami i musieli się trochę pogimnastykować, zanim się z niej wydostali, stanęli na nogi i złapali równowagę, a potem na powrót zestawili łóżka. Lindsey nie przestawała się śmiać, a Michael jej wtórował. Kiedy jednak próbowała wciągnąć go na łóżko i zacząć wszystko od nowa, on potrząsnął lekko głową.

- Wiesz, jestem za bardzo napity - wyjaśnił, bo czuł, że w żaden sposób nie powinien ranić jej uczuć.

Tak naprawdę tylko jedna myśl zaprzętała jego głowę; orgazm - ten, który mógł mieć, który już właściwie był, czekał na swoją chwilę, i te, które się zdarzą w przyszłości, może z Theą, może z kimś innym, inną kobietą, może z wieloma innymi kobietami. Michael zobaczył siebie przed laptopem, jak ogląda porno w Internecie, wytryskuje przy nim i nie czuje, że dokonał właśnie jakiegoś aktu mordy na duszy. Zobaczył siebie, jak na stronie internetowej z randkami komunikuje się z kobietą, której nie zna, i chociaż taki obraz wyobraźni wcale nie powinien mu się podobać - bo stawał przeciw wszystkiemu, co głosili w swojej książce rodzice, przeciw miłości, intymności, poczuciu bezpieczeństwa i wszystkiemu, co dawno zostało utracone - to chciał go zachować, bo dawał niezmierzone możliwości.

- Nie ma sprawy - odpowiedziała Lindsey, chowając w sobie ból, jeśli odczuła go w mniejszej czy większej dawce.

Nieco skrupowani przeszli z sypialni z powrotem do salonu, w chwili, kiedy otworzyły się raptem drzwi wejściowe i do mieszkania wtoczyła się trzecia z przyjaciółek, ta, którą zostawili przy szafie grającej.

Dziewczyna przeszła kilka kroków, zachwiała się, oparła o ścianę dla odzyskania równowagi, a potem powiedziała:

- Aż nie chce mi się wierzyć, że tak mnie zostawiłyście jak ścierwo.

- Czułam, że postąpiłyśmy źle - powiedziała Lindsey.

- I słusznie - odpowiedziała jej przyjaciółka, a potem, bez uprzedzenia, zwymiotowała niebieskawym równym łukiem na dywan. - O Jezu... przepraszam - jęknęła natychmiast i zaczęła płakać. - Nigdy nic nie robię tak jak trzeba.

- W porządku, nic się nie stało - uspokajała ją koleżanka i obie kobiety się objęły.

Michael miał ochotę wyjść za wszelką cenę i po chwili z ulgą zobaczył, że rozsuwają się szklane drzwi atrium i wchodzi do mieszkania Paul, a parę kroków za nim Sabina. Coś się stało, dostrzegł to po lekkim zdenerwowaniu na twarzy u ojca i wiedział, że prawdopodobnie mu o tym powie. Ale na razie musieli jak najszybciej wyjść.

Podziękowali za gościnność, trawkę, ciasto i okazaną uprzejmość. Życzyli miłych wspomnień z ferii zimowych na Florydzie i dużo szczęścia na studiach. Taki błąd, takie gigantyczne nieporozumienie, kompletnie postrzelony wieczór w towarzystwie kobiet, których nigdy więcej w życiu nie zobaczą, co już samo w sobie mogło być dla Michaela powodem egzystencjalnej melancholii, ale do tego nie dopuścił.

- Tato - powiedział, wciągając ojca na przednie siedzenie w samochodzie. - Co ci jest?

Jazda do domu trwała długo, z otwartym oknem i wychyloną głową; Paul Mellow czuł się jak pies wyprowadzony na spacer przez swojego pana, nieświadomy, dokąd zmierza i zupełnie o to nie dbający. Czuł tylko olbrzymią ulgę, gdy wręczył synowi kluczyki i rozsiadł się wygodnie na miejscu pasażera, na którym nie siadał nigdy wcześniej. Ono należało do Elise. Fotel był wysunięty daleko do przodu i musiał go cofnąć. Teraz to było jego miejsce, pozwolił, by syn powiózł go autostradą, i będzie musiał jeszcze z kimś porozmawiać o tym, co się wy-

darzyło dzisiejszego wieczoru, choć nie chciał, już na pewno nie z Michael'em.

- Muszę się z tym przespać - powiedział synowi.

Zamknął oczy, przechylił na bok głowę, wystawiając ją przez okno. Wiatr targał jego włosy, a rozmowa z dziewczyną, Sabina, wciąż grała mu w głowie jak piosenka.

Rozmawiał z Sabina o tym, jak mu się żyje na Florydzie, o domu, o rozmaitych kursach dla dorosłych, na które uczęszczał, a ona, rozwijając temat, powiedziała, że studiuje socjologię na jednym z college'ów na północy i że właściwie nie wie, co będzie mogła zrobić z takim wykształceniem, ale zajęcia tak się jej podobają, że na razie nie ma zamiaru się zamartwiać, co zrobić z życiem.

- Dobra filozofia - pochwalił Paul swoim naturalnym, dobrotliwym tonem, którego nie potrafił stłumić, a potem, bez żadnego szczególnego powodu, raczej z grzeczności zapytał, w jakim mieście znajduje się jej college.

- Skidmore - odpowiedziała Sabina, wesołym, może nawet dumnym głosem, a Paul poczuł się, jakby ktoś rapt'em wypruł z niego wnętrze.

Czy wszystkie drogi świata prowadzą do Roz? Czy to możliwe? Dlaczego tak jest? Dlaczego ma być przez nią ścigany przez resztę swoich dni na ziemi? Ale nie, nawet kiedy pytał tę słodką Sabina, czy ma zajęcia z profesorem Mellow z wydziału psychologii, to wiedział oczywiście, jaka padnie odpowiedź, i wiedział, że sam do tego doprowadził. To nie Roz goniła za nim po świecie; to on gonił za Roz. Zawsze tak było.

Natomiast zupełnie nie był przygotowany na zachwyty w głosie Sabiny, kiedy odwróciła się do niego z błyszczącymi oczami i powiedziała:

- Och, niesamowite! To moja promotorka.

Zaczęła wyjaśniać, że chociaż profesor Mellow nie pracuje na wydziale socjologii, to Sabina wybrała trzy prowadzone przez nią zajęcia i poprosiła ją, by została jej promotorka.

- Jest cudownym nauczycielem - ciągnęła Sabina. - Dbam o wszystkich studentów. Często ją widuję w mieście z mężem, takim młodszym, trochę łysym facetem. Znasz go może? Zawsze trzymają się za ręce. Wyglądają na szczęśliwą parę. Własnych rodziców nigdy nie widziałam równie szczęśliwych. Pozwól, że zapytam jeszcze raz, skąd znasz profesor Mellow?

Wysłuchał całego wywodu Sabiny, a teraz szybko cofnął się do jego początku i natychmiast odzyskał panowanie, mówiąc sobie w duchu: Nie pokażę najmniejszej emocji. Ale jego głowę zaprzętała już tylko myśl o tym, że Roz i Jack stanowią w oczach ludzi szczęśliwą parę, i zalała go fala bezsensownej złości. Odwrócił się w bok i objął dłońmi gliniany dzban pełen tropikalnych, jasnych, kwitnących roślin.

- To przyjaciółka z dawnych czasów.

Och tak, to przyjaciółka z dawnych czasów, jak najbardziej. Roz Mellow, jego ukochana, jego kobieta, z którą dokonał wszystkiego. Przypomniawszy mu się dzień, w którym wymyślili „Elektryzujące przebaczenie”. Kiedy później odtwarzali tę pozycję w pracowni, na wielkim, oślepiająco białym łóżku, w którym każdego dnia zmieniano pościel i które było nieustanną impresją słonecznego blasku i radosnego seksu, Paul i Roz ustawiali się bardzo starannie, tak samo jak robili to wcześniej w domu, na swoim mosiężnym łóżku.

- Jak w Twisterze - powiedziała Roz, kiedy usiłowali przyjąć pozycję.

- Co?

- W tej grze Twister. Nasze dzieci w nią grają.

- A tak. Masz rację - odpowiedział.

Lewa ręka na czerwone. Prawa stopa na zielone. Sczepili się ostrożnie, z pieczołowitością. Miał erekcję; nigdy mu się nie zdarzyło, żeby nie miał, przez cały czas powstawania książki. Zatem była i teraz, pełna i zakrzywiona, i Paul powoli, nerwowo wszedł w swoją żonę, zgodnie z planem, który razem spisali.

- Poczekaj, wolniej - powiedziała, śmiejąc się trochę. - Bo się przewrócę.

- Nie pozwolę ci się przewrócić - odpowiedział. - Nigdy nie pozwolę.

W narożniku, za potężną sztalugą, z piórem i tuszem w ręku, siedział gotowy do rysowania plastik. Paul napał lekko na Roz - ze zdumieniem i ulgą, że jednak się nie przewrócili. To zapewne wówczas biedne, stare „Elektryzujące przebaczenie” natchnęło ich swoim wyraźnie wyczuwalnym, gorącym psychodelicznym półmrokiem, aluzją do innego stanu świadomości, stanu, w który można się wprowadzić nie za sprawą halucynogennego kryształka na języku, ale pieszczot skóry, układu form, oplecenia, zapomnienia o swoim starzejącym się „ja”, triumfu nad śmiercią, czym to zapewne było, bo bez chęci angażowania w rzeczy niełatwe i niebezpieczne, bez tego targu dobitego z partnerem niewiele pozostaje w życiu rzeczy, którymi można by się entuzjasmować. Przecież wspaniałe książki przeczytałeś jeszcze na studiach, kiedy umysł był otwarty szeroko jak dziób głodnego pisklęcia, i wsłuchiłeś się już w głębię muzyki Mahlera, a teraz czeka cię reszta życia. Wciąż masz ciało, wciąż zdolne do niejednego, może już nie z tym samym zdecydowaniem, tym samym niespożytym wigorem, jak kiedyś, ale ma jeszcze przed sobą długi żywot i musi żyć, bo jeśli pozostawisz je na jałowym biegu, to przepadnie raz na zawsze i nie odzyskasz go już nigdy. Nigdy.

Myśl, że mógłby się znowu znaleźć w łóżku z Roz, od wieków nie pojawiła się w jego głowie - ale to już się nigdy nie stanie, bo Roz zabrała nogi, którymi go oplatała, zabrała ramiona, którymi go obejmowała, i usunęła się z drogi. Nie potrafił sobie przypomnieć ostatniego razu, kiedy się kochali, ale z całą pewnością nie wiedział wtedy, że to jest ostatni raz. Gdybyż mógł wrócić do tej lekko słonawej skóry na szyi, do tych jędrnych piersi (.. .tak, Roz, one już zaczynały obwisać”, pomyślał Paul, ...kłamałem,

kiedy mówiłem, że tak nie jest), do motka rudawych włosów łonowych, które tyle razy rozgarniał palcami, które kochał, bo były jej, należały do niej, stanowiły fragment śmiesznej, jakże nietrwałej, ornamentyki ludzkiego ciała.

- Źle się czujesz? - zapytała Sabina, studentka collegeu.

- Co? Och, nie, nie, wszystko w porządku.

Powrócił z tamtego dalekiego, białego łóżka do tego dziwnego, obcego ogrodu, gdzie siedzi z kobietą, której nie zna; kiedy teraz spojrział na nią i dostrzegł parę uderzających szczegółów - drobną konstelację pryszczków na czole, podniesione na żelu włosy, malutki tatuaż drozda na nadgarstku - instynktownie się wycofał.

- Wiesz, muszę iść - powiedział.

Była bardzo młoda i nie miał tu nic do roboty. W jej ustach wyczuwał woń każdego z komponentów ciasta - granulowany cukier, masło, jajka, mąka, nawet proszek do pieczenia - a każdy zapach wzmocniony był marihuaną, którą się zaciągał.

Potem znowu siedział z Michaeliem w samochodzie, z głową wychyloną na wiatr, krążąc myślami wokół Roz, którą utracił. Ale to tylko on ją utracił, nikt inny. Wciąż była matką jego dorosłych już dzieci i wciąż była żoną Jacka, ale dla Paula nie była już nikim. Nie ma punktu zaczepienia. Samochód pędził szosą, a Paul przypomniał sobie wieczór, kiedy się dowiedział, że jego żona kocha artystę, wówczas znanego im pod imieniem John. Wpadł wtedy we wściekłość, dosłownie miał pianę na ustach, zwołał dzieciaki i powiedział, że zabiera je na lody. Nikt nie był głodny, nikt za bardzo nie chciał jechać, ale mimo wszystko zapędził je do samochodu i pomknął szosą: sześćdziesiąt, siedemdziesiąt, osiemdziesiąt mil na godzinę.

- „Hej, Mellowów rodzinka to my...” - ryczał. - „Mama innego ma facia od dziś...”

Nikt nic nie powiedział, ale Paul czuł na sobie przenikliwy wzrok siedzącego obok Michaela.

- „Hej, rodzinka Rinzlerów to nie my, bo nie my rodzin-
ką... Pinzlerów!”

Potem już nie mógł śpiewać, bo się rozpłakał. Przez ułamek sekundy wyobraził sobie, jak roztrzaskuje zielone volvo kombi, jak wjeżdża nim w ścianę - nie, lepiej w ukośną, oszkloną fasadę Carvel - i zabija siebie i czwórkę dzieci, jakby chciał powiedzieć żonie: „Widzisz? Popatrz na nas, no sama popatrz”.

Oczywiście nie byłyby zdolny zrobić krzywdy dzieciom, własnym brzdącom. Oblał go wstyd, że taka myśl w ogóle przemknęła przez zakola i wrąbki płatów jego mózgu. Michael, zarozumiały piętnastolatek, siedział z przodu obok niego. Paul przedstawiał sobą jedną, czarną rozpacz.

- Pojedziemy na przejażdżkę, dzieci - powiedziała. - Będzie-
my jechać, dopóki się nie skończy benzyna.

- Chyba nie mówisz poważnie, tato - rzucił Michael.

- Nie, nie mówię poważnie. Żartuję. Żartowniś ze mnie, co? Powiedz matce, jaki ze mnie żartowniś. Jak wesołek. Może oprzytomnieje.

- Jedziemy na te lody czy nie? - krzyknęła z tyłu Claudia.

- Oczywiście, kochanie, oczywiście.

Zjechał na parking przed Carvel, wręczył dzieciom zwitek banknotów i wypuścił je z samochodu. Holly obrzuciła go wściekłym spojrzeniem, ale też wyszła. Tylko Michael został.

- Nie chcesz sobie czegoś kupić? - zapytał syna.

Michael zignorował pytanie.

- Co ty robisz, tato?

- Nic - odpowiedział Paul. - Chyba nic. Nic, co miałoby
jakiś sens.

Westchnął ciężko i skinął głową w kierunku Carvel, gdzie trójka jego dzieci, zbita pod lampą w gromadkę, składała zamówienie u kobiety, której głowa wystawała z małego, rozsuwanego okienka.

- Idź - powiedziała do Michaela. - Kup coś sobie. Mi też coś kup.

Jazda z powrotem do domu była spokojna, pełna zadumy, 0 wiele wolniejsza, bo wszyscy jedli lody w wafelkach. Wieczorem Paul zasnął na kanapie z słuchawkami na uszach; do snu usypiał go Gustav Mahler.

Już z górą dwadzieścia pięć lat rozmyślał o Roz, rozmyślał i mruzczał do siebie: o tym, jak kiedyś go kochała i jak dziś już nie kocha, o tym, że przestała go kochać, że się zakochała w kimś innym, że tak cicho strzelały kiedyś w łóżku stawy jej palców, że z biegiem czasu przybrała na wadze, że istniała, że istniała bez niego. Paul wyobraził sobie, jak Roz spaceruje po zasypanym liśćmi kampusie na północy stanu Nowy Jork, ze swoim mężem pod rękę, jak rozmawiają o kolacji, albo gorzej, o seksie, może nawet wspominają o tym, jak pierwszy raz poszli do łóżka. Paul zamknął oczy i usiłował przestłonić ten obraz innym, większym, przedstawiającym Roz i jego, wystającym ponad scenkę z Roz i Jackiem, ale obraz się nie utrzymywał, odpływał, nie chciał się wyostrzyć i osiąść w miejscu, do którego nie należał.

Jakim cudem, pomyślał nagle, Elise wytrzymała z nim te ostatnie siedem lat? Jak mogła tolerować małżeństwo z mężczyzną, który do tego stopnia czuł się związany z byłą żoną, że przez połowę dnia usiłował pokazywać, jak bardzo jest mu ona obojętna? Ostatnia rzecz, którą mógłby zrobić, to nie dopuścić do wznowienia książki, bo Roz potrzebne były pieniądze i znowu było jej potrzebne zainteresowanie. Zawsze kochała zainteresowanie wokół swojej osoby, nawet na początku, kiedy była jego niefortunna pacjentką. Kładła się na kozetce w gabinecie i wygładzała wokół siebie spódniczkę w tak bardzo dziewczęcy sposób, że musiała wiedzieć, iż będzie w nim budzić podniecenie. O swoim dzieciństwie, o swoich sennych marzeniach seksualnych, opowiadała mu potem tak, jakby sta-

ła w świetle reflektorów; pragnęła tego i nigdy nie chciała zejść ze sceny. Może była rozczarowana, że przerwała terapię i została jego kochanką. Może powinien się powstrzymać. Oczywiście, że powinien, ale wówczas nad tym nie panował; był słaby. Seks czyni z mózgu porowatą gąbkę, chętną do wchłaniania nowych, tak wyczekiwanych doświadczeń. Na początku związku z Elise miał wrażenie, że uda mu się skupić na niej uwagę i przestać myśleć o Roz. W łóżku nie było im źle. Czasem, kiedy Elise się do niego odwracała, czuł przez koszulę nocną jej ciepłe piersi. Często przywierała do niego - potem - i mówiła: „Paul, było cudownie”.

Jej głos wskazywał, że mówiła szczerze. To samo mówiły jej oczy. Była osobą gołębiego serca, ale również pełną potrzeb. Obie te szale zdawały się równoważyć, w każdym razie dopóki w jej życiu nie pojawił się on. Nigdy nie krył nieustającej fascynacji Roz i w miarę upływu czasu Elise po prostu dała za wygraną; jej potrzebę posiadania Paula stopniowo stępiło inne pragnienie - snu. Wiedział, że to przez niego, że nie była narkoleptyczką, niewolnicą poduszki z czerwonym ryżem, nie była zombi. Boże, ależ był narcyzem, ależ był dzieckiem, a mimo to została z nim jako żona. To jakiś cud.

Trzy razy w tygodniu Elise jeździła samochodem do pobliskiego miasteczka Corliss, gdzie pracowała w przychodni jako pracownik socjalny. Pomagała rodzinom, które się rozpadły i zdemoralizowały przez nędzę, narkotyki albo choroby psychiczne. Przesiadywała w ich domach z notatnikiem na kolanach i rozmawiała z nimi po angielsku albo hiszpańsku. Tym ludziom dawała z siebie wszystko, a niektórym odmieniała życie.

Niekiedy wieczorami Elise opowiadała Paulowi o sprawie, którą się zajmowała w ciągu dnia. Na przykład rodzina nielegalnych imigrantów z Kuby; ojciec stracił pracę w fabryce żywności, młodsze dziecko chorowało na mukowiscydozę, a star-

sze, nastolatek, włamywało się do domów i kradło sprzęt stereo. Jak ta biedna rodzina może przetrwać w kraju, gdzie każdy, poza najlepszymi, poza tymi z samego szczytu, najbogatszymi, którym sprzyja fortuna, ledwie wiąże koniec z końcem? Wszyscy wiedzieli, że Elise potajemnie daje swoim podopiecznym pieniądze; trochę grosza tu, trochę tam, to na pieluszki, to na mleko, czasami nawet na bilety do kina.

Paul był świadom, że Elise ma dobre serce; właśnie to go do niej przyciągnęło, kiedy siedem i pół roku temu poznali się na jakimś przyjęciu w Nowym Jorku.

- Znasz Elise Brandau? - zapytała ich wspólna znajoma z dawnych czasów, która w różnych, potwornych szkołach publicznych uczyła wychowania seksualnego i która była później bohaterką filmu dokumentalnego stacji telewizyjnej PBS.

- Nie, nie znam - odpowiedział Paul, a Elise Brandau uśmiechnęła się do niego ze szczerą sympatią.

Była osobą nadzwyczajnej urody, nieco odbiegającej od kanonu, w sposób dość charakterystyczny dla kobiet udzielających się społecznie. Miała wtedy na sobie skórzaną, kowbojską spódnicę do łydek, miękką szal i bardzo delikatny makijaż, jakby przypadkowe cienie. Od razu dostrzegł ślad po niewielkiej operacji nosa i wyobraził sobie jej poprzednią, być może mniej doskonałą wariację; osoby młodej, czytanej, choć nie genialnej, ze zbyt dużym nosem, do którego czasami, przy głębokim namyśle, przykłada palec, jakby chciała wcisnąć wypukłość jego grzbietu. Ze swoim nowszym, a zarazem starszym „ja”, pozbawionym wypukłości na nosie, Elise wyglądała może mniej interesująco, ale zapewne czuła się swobodniej i postrzegała siebie jako kobietę bardziej atrakcyjną dla mężczyzn - a mężczyzn, Paul dobrze wiedział, rzeczywiście to przyciąga. Paul chciał w tamtej jednej chwili, aby wiedziała, że nie jest jednym z takich mężczyzn, że pokochałby ją nawet z orlim nosem. Wówczas jednak mógł tylko ucisnąć jej dłoń

na powitanie, poczekać na kontakt wzrokowy i wyobrazić sobie, jak Elise wygląda bez tych powłóczyстых ubrań.

Dowiedział się już trzeciego wieczoru, kiedy zaprosił Elise Brandau do restauracji na stek, a potem do łóżka. Po mięsny obiedzie, po winie i rundzie doskonałego, fascynującego seksu Elise opowiedziała mu, jak to jest być młodą wdową, a on opowiedział jej o dwóch małżeństwach, odpowiednio gospodarując czasem, by niewiele powiedzieć o żonie numer dwa, Elisie. Potem, jak zwykle to czynił, zwolnił tempo, by delectować się hojnymi opowieściami o Roz.

- Bardzo się kochaliśmy - powiedziała.

Może nie jest to najlepszy gambit na otwarcie gry, jeśli leżysz akurat w łóżku z inną kobietą, ale przynajmniej pokaże, myślał sobie, że jesteś mężczyzną zdolnym do miłości.

- To dlaczego wasze małżeństwo się rozpadło? - zapytała Elise Brandau, łagodnym tonem zaciekawienia, który zapewne brzmiał tak samo, kiedy pytała swoich podopiecznych: „Dlaczego chcecie odzyskać prawa rodzicielskie?” Albo: *Cuántas veces a la semana fuma kokę?*

- Dlaczego? - Westchnął i poczuł nagłe, potworne, fizyczne wspomnienie małżeństwa z Roz i zagłuszył je dziwnym, cichym chlipnięciem, które w ciągu lat opanował doskonale jako reakcję na to pytanie. - Wyłącznie z jednego powodu. Roz zakochała się w innym mężczyźnie.

- Och! O, tak mi przykro - powiedziała Elise.

A potem zrobiła coś, co bardzo go zdziwiło: przeturlała się na niego, rozbudziła go i znowu podnieciła. Przez chwilę myślał, że to pomoże mu uporać się z Roz, czego nie była w stanie zapewnić druga żona. Właściwie Elisa jeszcze głębiej wciągnęła go w dramat z Roz w roli głównej - tak dalece nie spełniała oczekiwań, że jej przywary uwypuklały wręcz zalety pierwszej żony.

Współczucie Elise Brandau było jak najbardziej niekłama-

ne. Kiedy skończyli się kochać po raz drugi - i kiedy uznał, że Elise musi być pod wrażeniem jego możliwości, jego zdolności do ponownego działania w krótkim czasie, zwłaszcza w tym wieku - poprosiła go, by powiedział o sobie coś więcej. Nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu; ta kobieta chciała go słuchać, więcej nawet, była szczęśliwa, słuchając historii, którą pragnął opowiedzieć. Lecz chociaż jej umiejętność słuchania mogła być wykorzystana na wiele sposobów, mogła być wykorzystana do opowiadania o jego małżeństwie, jego nadziejach i rozczarowaniach, to Paul jej nie wykorzystał. Nie usiłował też odsłuchać drugiej strony płyty, strony Elise, która chciała mówić i mówić, i opowiedzieć mu wszystko o sobie. Niech już tak zostanie, jego pierwsza żona, Roz, była wyjątkowa. Z nikim nie można jej porównywać. Ale co z tego? Co z tego, co z tego, co z tego?!

Dzisiaj, w jego mieszkaniu w budynku 3A, na osiedlu Roześmiany Las, leżała z nim w łóżku Elise, tak, trzecia żona, ale mimo wszystko żona. Siedem lat wcześniej, w jakiś piątek, włożyła fioletową suknię z marszczonego aksamitu, chwyciła pasującą do niej torebkę i wzięła z Paulem ślub - cywilny, w gronie kilkorga najbliższych przyjaciół. Potem poszli na lunch, a potem, jak się zdawało, Paul natychmiast zapomniał, że ją poślubił i tworzą już parę. Nie potrafił być sam. Samotność przeżywała go, trzęsła oknami. Bez Elise pozostawałby w stanie nieustannego strachu, a tak przynajmniej pozostawał w stanie nieustannego niepokoju.

Jadąc samochodem szosą, z synem za kierownicą, czując własny bezwład, bezużyteczność, Paul zaczął wszystkiego żałować. Był centrum żalu, jego tablicą rozdzielczą, rozbłyskującą setkami jasnych, alarmujących światełek, a każde było chwilą i o każde mógł mieć do siebie pretensje, taki był głupi.

Roz odeszła i to był koniec. Żałował tego, co zrobił, i tego, co ona zrobiła, ale koniec był definitywny. Nie było również

Elisy, ale jej nie żałował, bo ledwie ją pamiętał. Jednak Elise wciąż była, błyskawicznie zapadała w sen, w domu, który dzielili, którym zdecydował się z nią podzielić. Może więc tamtego dnia w Nowym Jorku, kiedy ich sobie przedstawiono, nie oddali się słusznej sprawie? Może niedostatecznie się zastanowił nad przyszłością, a również nad przeszłością, nad historią błędów i tego wszystkiego, czego teraz tak żałował? Może powinien był ją uprzedzić o swoim nieszczęściu? „Za bardzo kochałem pierwszą żonę”, mógł jej powiedzieć. „Obawiam się, że już zużyłem swoje zasoby miłości”. Elise ufała jego zainteresowaniu, jego uśmiechowi, jego uprzejmości, jego brodzie - tej samej brodzie, która zawsze przyciągała kobiety, bo zdawała się świadczyć o szczególnej wrażliwości, bliskości z ziemią czy o czymś w tym rodzaju. Jeśli człowiek miał brodę, to i morderstwo mogłoby mu ująć na sucho. Zawsze był wobec kobiet uprzejmy. Nigdy nie podnosił na nie głosu - tylko raz, na Roz, pod sam koniec, ale to co innego. Kiedy żona mówi ci, że cię zostawia, że kocha innego mężczyznę, masz prawo podnieść głos, wytapetować nim cały pokój.

- Dojeżdżamy już? - zapytał syna, chowając głowę do wnętrza; stracił już orientację, gdzie się znajdują.

Michael odwrócił się do niego lekko.

- Masz czuprynę jak klaun, tato - powiedziała.

- To wiatr.

- Uhm. Może jednak się nie wychylaj. Zostało nam jakieś dziesięć minut. Dobrze się czujesz?

- Nic mi nie będzie - odpowiedział Paul i opuścił spod sufitu lusterko, w którym tak często podczas wspólnych wyjazdów przeglądała się jego żona.

Nigdy wcześniej nie siedział na miejscu pasażera i z całą pewnością nigdy nie korzystał z tego lusterka. Znajdowała się przy nim tylko malutka lampka i teraz wieczorem, kiedy w samochodzie było ciemno, mógł dostrzec swój ledwie widocz-

ny zarys, ale to wystarczało. Paul Mellow patrzył, jak sam wygładza luźny, skręcony kędzior siwych włosów, oplatających wianuszkami jego głowę; teraz te włosy reklamowały już tylko jego starzejącą się męskość, nieunikniony bliski splot nicości i śmiertelności.

Nad ranem Michael odleci. Niech obu im się poszczęści w ich eskapadzie ku kobietom, niczym rycerzom, którzy przemierzają dalekie kraje, by wrócić do swoich niewiast. Wszystkiego najlepszego, bo dopóki człowiek nie stanie w progu, nigdy nie może być pewien, jak będzie przywitany. O, bardzo będzie tęsknił za synem; w drodze powrotnej z lotniska dużo będzie o nim myślał. Będzie tęsknił i będzie odtąd częściej do niego dzwonił; zresztą do pozostałych dzieci też, korzystając przy tym ze sposobności, by wyrwać się siłą z fortecy swojego sponiewieranego, solipsystycznego „ja”. Będzie teraz zamęczał swoje dzieci: spokojnego, dochodzącego do zdrowia Dashiella i jego cholerną politykę; Claudię, która, o ile dobrze widział, wciąż jest dzieckiem; nawet Holly, która w ogóle go nie potrzebuje, w każdym razie tak twierdzi, ale to źle, więc go teraz usłyszy. Powie, że chce tylko usłyszeć jej głos przez telefon. „Bez obaw, Holly”, zapewni ją, niczego od niej nie będzie chciał, żadnych wypraw na Wschodnie Wybrzeże, by zobaczyć się z nim albo kimś innym z rodziny.

Jak to się stało, że dzieci wychowane w jednej rodzinie tak bardzo różnią się od siebie po latach? Jak to się stało, że ostatecznie są od siebie tak daleko? Nie będzie płakał dzieciom w słuchawkę, bo pomyślał, że jest żałosny, że jest Willym Lomanem edukacji seksualnej, a nigdy, nigdy nie chciałby, aby tak go widziano.

Dzieci uważały, że zgorzkniał, i tego też żałował. Nie będzie już w nim goryczy; koniec z tym.

- No dobra, w porządku - powiedział nagle. - Skoro to ma dla was takie znaczenie.

- Co? - zapytał Michael. - Jakie znaczenie?

- Książka - odpowiedział Paul, nagle ożywiony, otrząsając się ze swojego podbitego „ja” z potarganymi włosami, zrzucając z siebie postać ze sztuki Arthura Millera, którą bał się, że zostanie prędzej czy później. - Zgadzam się - mówił dalej. - Niech wyjdzie ta książka. Co mi tam. Skoro sprawi to wam radość.

- Mówisz serio? - zapytał Michael, a Paul przytaknęła.

- Rozumiem - zauważył Michael. - Chodzi ci o to, żebym przestał cię tym zadreć, żeby o tym zapomnieć, tak?

- Nie - zaprzeczył Paul. - Wcale nie.

- Cóż, świetnie, powód nie jest ważny - stwierdził Michael. - Naprawdę świetnie. Dziękuję. Bardzo dziękuję, tato.

- Daj spokój - powiedział Paul i machnął lekko ręką do syna.

Michael wjechał na parking. Wydawało się, że parkingowy aż zamrugał ze zdziwienia, widząc, że Paul nie prowadzi własnego samochodu, ale nic nie powiedział. Dochodziła północ; o tej porze na tym parkingu niewiele się już działo.

W mieszkaniu światła były wygaszone poza jedną, bladą żarówką, która świeciła przez całą noc przy małych roślinkach na oknie w kuchni, jakby miała kołysać je do snu. Michael powiedział ojcu dobranoc i zniknął w korytarzu, idąc do pokoju gościnnego. Po chwili Paul usłyszał głuchoe uderzenie zrzuconych butów, a krótko potem szum wody w łazience. Przeszedł w głąb mieszkania po grubym, dźwiękochłonnym dywanie, który został wymyślony chyba specjalnie na nocne, ukradkowe powroty do domu. Kiedy otworzył drzwi sypialni, w środku panowała oczywiście absolutna ciemność. Elise spała w pokoju, który był czymś więcej niż czarną, duszną grota.

Przeszedł przez pokój wzdłuż smugi światła, którą wpuścił z korytarza przez uchylone drzwi. Jego żona leżała na plecach po lewej stronie łóżka, z włosami rozsypanymi wokół głowy,

jedna jej pierś wystawała spod koszuli nocnej, a nad brzegiem pikowanej kołdry zobaczył białe, krągłe, obnażone ramię. Poduszka otulała głowę Elise niczym kołyska; nawet w przyćmionym świetle widział unoszące się lekko pod powierzchnią dwa ziarna o indywidualnych kształtach.

Żona spała nieświadoma jego obecności, a Paul Mellow stał nad nią przez chwilę, wahając się, lecz potem usiadł na krawędzi łóżka, dotknął jej ramienia i powiedział:

- Zbudź się, proszę.

Rozdział trzynasty

Wyob rażcie sobie tych dwoje zrażonych do siebie kochanków, w słuźnym juź wieku, których łączy jedynie czworo dzieci, również mających coraz więcej lat na karku. Wyobraźcie sobie męczyznę i kobietę, w najlepszych ubraniach, przypudrowanych na twarzy, siedzących przy okrągłym stole, po obu stronach neutralnego prezentera telewizyjnego, którego wiek trudno określić, lecz który trzydzieści lat wcześniej siedział z nimi przy tym samym stole, a może tylko podobnym. Wtedy, podczas tamtego pierwszego wywiadu w programie Kena Londona *Nocny marek*, można było odnieść wrażenie, że prezwenter robi wszystko, co w jego mocy, by powstrzymać męza od porwania żony i uciezki od stołu, by gdzieś na boku, w gniazdku uwitym wśród telewizyjnych kabli i studyjnych reflektorów, uprawiać z nią miłość. Kamera pokazywała ich wówczas w zbliżeniu, wyłapując na twarzach wszelkie sygnały, czytając ten niemy, małżeński dialog, zatrzymując się dłużej na twarzy Paula Mellowa, który spoglądał na żonę z nabożną czcią, a potem przenosząc obiektyw na Roz, zatrzymując się na jej niebieskich oczach, jej ustach, i schodząc z wolna ku dołowi, by uwiecznić rowek między piersiami.

Teraz jednak kamera była wiele bardziej cnotliwa i nieśmiała, nie odbierała godności tej starszej juź, choć wciąż atrakcyjnej parze, i w jakiś sposób próbowała pominąć istniejącą między nimi animozję, wyraźną nawet tutaj, w dusznym wnętrzu telewizyjnego studia. Było późne, poniedziałkowe popo-

ładnie, bynajmniej nie pora dla nocnych marków, jednak program zostanie wyemitowany dopiero później, w ciągu tygodnia, o dwudziestej trzeciej trzydziści. Ulicę za oknami studia telewizyjnego, na rogu Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy i Dziesiątej Alei, rozjaśniały światła samochodów; poszukujący wolnej taksówki ludzie machali z nadzieją rękami niczym tonący. Ale tutaj, w studiu, panował spokój. Zrażeni do siebie mąż i żona znaleźli sposób, by usiąść przy jednym stole, a prezenter znalazł sposób, by zadawać pytania; kamery były gotowe, obiektywy wycelowane.

Ekipa techniczna wyglądała zbyt młodo jak na swoją robotę, nawet nieco po sztubacku, a jeśli któryś z jej członków słyszał kiedykolwiek o pierwszym wydaniu książki *Jak dać rozkosz: podróż pewnej pary do spełnienia*, to nie pokazywał tego po sobie. Żaden z tych młodych ludzi w roboczych koszulach i słuchawkach nie wyglądał na zainteresowanego rozmową o seksie, która się toczyła pod ich nosami. Na stole stała nowa edycja książki, wznowionej z okazji jej trzydziestolecia, w różowej okładce ze stylizowanym łóżkiem, tym razem z pościelą w subtelnym odcieniu różu, cięższa od wersji z siedemdziesiątego piątego roku o całe sto dwadzieścia pięć gramów.

Wielu ludzi, którzy ich znali, było zdumionych, że Mellowom udało się tutaj dotrzeć i doczekać takiej chwili - Roz może z odrobiną próżnej satysfakcji w związku z odniesionym triumfem, ale starała się tego nie okazywać, a Paul nie kryjący niepewności, zdeprymowany, ale jednak obecny; najważniejsze było to, że przyszli oboje. W ciągu dwóch lat książka została przeredagowana i przygotowana do druku pod czujnym okiem Jennifer Wing, wykorzystano nowe ilustracje stworzone przez młodego plastyka Harrisa Glynna z Phoenix w Arizonie, który potrafił perfekcyjnie odwzorować ludzkie kształty, lecz którego niesłabnącą pasją były japońskie kreskówki, co wyjaśniałoby lekko wytrzeszczone, jakby wystra-

szone oczy, którymi obdarzył kochanków na ilustracjach, bez względu na to, co robili.

Więc są razem, Paul i Roz, odpowiadają na w miarę inteligentne pytania Kena Londona, którego fryzurę księcia Valianta i welurową marynarkę z lat siedemdziesiątych zastąpiły teraz siewiące włosy i konserwatywny, czarny granitur, przydający mu trochę wielkopańskiej powagi, jakiej nikt by się po nim nie spodziewał. Pytania, które zadawał, dotyczyły starego wydania książki, nowego wydania, tego, jak przez trzy dziesięciolecia zmienił się seks, co sądzą o ogólnokrajowej fiksacji na tle pornografii internetowej i randek przez Internet, co sądzą o filmach i grach wideo pełnych przemocy i obscenicznych. Pytał też, jak ich zdaniem zmieniło się z biegiem lat pojęcie miłości, od tamtych czasów, kiedy postanowili wejść razem do łóżka i pokazać ludziom, jak to się robi.

Niewykluczone, że ktoś, kto oglądał ich w tym samym programie trzydzieści lat temu, widząc ich teraz po tylu latach razem, chętnie zobaczyłby na ekranie telewizora jakiś wielki zwrot akcji. Może chciałby, żeby były mąż odwrócił się do byłej żony i powiedział, że wciąż ją kocha, i żeby ona odpowiedziała mu, że również wciąż go kocha, i aby oboje odsunęli na bok zdębiałego Kena Londona, by odwrócili go od siebie mocnym pchnięciem fotela obrotowego, by ruszyli ku sobie, by zderzyły się ich krzesła, gdy ich usta złączą się w pocałunku, by zerwały się przypięte do ich kołnierzy mikrofony wielkości rodzyńka i nikt nie mógłby już usłyszeć, co chcieli sobie powiedzieć przez wszystkie te lata, a nie mogli.

Każdy chce ostatecznego „zamknięcia”; to słowo, po które się sięga najchętniej. Ludzie domagają się ostatecznego zamknięcia podczas obrad przysięgłych orzekających w sprawie morderców dzieci. Domagają się ostatecznego zamknięcia, kiedy w strefie Ground Zero pojawia się kolejna tablica pamiątkowa. Rodzaj ostatecznego zamknięcia niesie też z sobą każdy

rozwód, choć zawsze pojawia się natychmiast nowa rysa, rozpadlina, której nie sposób wypełnić, bo spójrzcie tylko na te zgorzkniałe, pełne żalu twarze po tylu latach. Spójrzcie na te dorosłe dzieci, które stąpają ciężko po ziemi, dźwigając na swoich barkach brzemię zniechęcenia i wyobcowania. Jakimiż były kiedyś słodkimi maluchami, te dzieci, w ogóle wszystkie dzieci, bo nikt nigdy nie zapomina tego wczesnego, rozkosznego widoku rodziców będących ze sobą razem i nikt nie zapomina niepojętego poczucia bezpieczeństwa i pięknej symetrii obrazu. Dla dzieci rodzice nie są bestią o dwóch grzbietach, lecz olbrzymim ptakiem z dwoma skrzydłami, z których każde symbolizuje jedno z rodziców - dzieci się wznoszą na tym ptaku, wczepiając się z całych sił palcami w wiechy piór, dając się unosić hen wysoko.

Ken London, co było nieuniknione, zapytał Roz i Paula o rozpad małżeństwa, zniżając głos, nadając mu lekko smutnawy ton, jakby rozwód sprawiał wciąż dotkliwy ból, co było zresztą prawdą - a oni odpowiedzieli wspólnie, sięgając po słowa, które uzgodnili wcześniej, podczas kilku rozmów telefonicznych w ostatnich tygodniach. Uznali za ważne, aby ich odpowiedzi były wyważone, aby żadne z nich nie wydało się widzom bardziej zranione, wściekłe czy zagubione. Jeśli mieli już przejść przez te wszystkie wywiady, artykuły, nawrót objazdowych wykładów, to wydawało się konieczne, by zrobili to, jeśli nie wspólnie, to przynajmniej równoprawnie. Paul Mellow wiedział więc, jak odpowiedzieć Kenowi Londonowi, pytającemu, co czuł, kiedy dotarło do niego, że żona zakochała się w ilustratorze ich książki.

- To było bardzo bolesne doświadczenie - odpowiedział Paul.

- Bardzo bolesne - powtórzyła jak echo Roz, zanim wybrzmiały słowa Paula.

Odwrócili się nieznacznie do siebie i w pewnej chwili, nie

przewidywanej wcześniej w scenariuszu, Paul skinął głową. Roz nie była pewna, co to skiniecie miało oznaczać, i trochę się zdenerwowała. Nie miała jednak czasu, by się nad tym dłużej zastanawiać, bo London poruszała już kolejne tematy. Pytało o sytuację z AIDS oraz o to, na ile ta choroba zmieniła w Ameryce naturę seksu.

- Może ja odpowiem - odezwał się Paul, a Roz zagłębiła się w swoim skórzanym, obrotowym fotelu i pozwoliła Paulowi wieść prym.

Po nagraniu wydawca zaprosił ich na wystawny obiad w drogiej restauracji Plank w centrum miasta, gdzie Mellowowie wraz ze swoją siostrą usiedli przy dwóch długich stołach, na których zaraz zapalono świece, ustawiono koszycki z białym pieczywem, podano wielkie menu, a potem talerze z wołowiną. Co za przepych, to odpowiednie słowo, pomyślała Roz, patrząc wzdłuż długiego stołu i widząc przy nim swoją rodzinę, a w każdym razie większą jej część. Claudia siedziała obok narzeczonego, Davida Gupty, za którego w maju wychodzi za mąż. Kiedy człowiek ma nieśmiałe dziecko, myślała dalej Roz, martwi się o nie bezustannie. Czy ktoś dostrzeże kiedyś jej zalety? Czy świat kiedyś ją pozna? Czy zadepczą ją głośniejsi, którzy wiedzą, czego chcą, i w końcu to zdobywają?

W ubiegłym roku Claudia stanęła jednak przed ekranem sali kinowej na kameralnym festiwalu filmowym w Filadelfii, podczas którego odbył się konkursowy pokaz jej filmu *Od zerówki do szóstej*, i przemówiła do grona siedemdziesięciu pięciu widzów, by opowiedzieć, jak to jest, zrobić swój pierwszy w życiu film. Nikt się z niej nie śmiał, a kiedy projekcja dobiegła końca, w sali rozległy się gorące brawa. Ku wielkiemu zaskoczeniu samej Claudii, film nie okazał się zły. Gdy pracowała nad montażem, David oglądał z nią nakręcony materiał i namawiał, by zachowała w filmie powagę i humor bohaterów i unikała sztucznej łaskawości. Claudia miała wrażenie, że oca-

liła film w montażowni; może więc tu tkwiła jej siła? Uczęszczała teraz na zajęcia z montażu filmowego i liczyła na pracę przy produkcji filmu kręconego przez kogoś innego; wykładowca z kursu podsunął już jej nazwisko pewnego niezależnego filmowca, który mógłby ją zatrudnić. Siedzący obok David Gupta, prawnik, specjalista od spraw własności intelektualnej, szeptał jej teraz coś do ucha, a Claudia się śmiała wesoło.

Troje z czworga dzieci Mellowów tak zorganizowało sobie pracę, aby przyjechać do Nowego Jorku na tydzień rozmaitych wydarzeń związanych ze wznowieniem książki. Była nawet szansa, że z Los Angeles przyleci Holly. Jednak po długiej i trudnej rozmowie telefonicznej z Claudią przed dwoma dniami, w czasie której Holly się zgodziła (powiedziała, że w porządku, przyjedzie do Nowego Jorku na te popierdalone celebacje, przyjedzie zobaczyć rodziców w ich ostatnim blasku chwały), dzisiaj nagle się wycofała.

- Przepraszam, przepraszam - mówiła siostrze rano z Kalifornii przez telefon. - Nie mogę wsiąść do tego samolotu, po prostu nie mogę.

- Dlaczego? - zapytała Claudia. - Boisz się, że wyleci w powietrze czy co?

- Oczywiście nie - odpowiedziała Holly. - Po prostu nie mogę sobie z tym poradzić, tak? Z rodziną.

- W porządku - odparła Claudia. - To sobie nie przyjeżdżaj. - Nastąpiła chwila ciszy, potem cichy, charkotliwy odgłos, jakby ktoś wydmuchiwał nos, i Claudia dodała spokojniejszym tonem: - Powiedz mi tylko dlaczego. Dlaczego sobie z tym nie radzisz, a my jakoś sobie radzimy? Czym się od nas różnisz?

- Nie wiem - odpowiedziała siostra. - Naprawdę nie wiem. Tak po prostu wyszło, chyba. Jakoś toksycznie reaguję na tę naszą rodzinę. Za bardzo się wkurzam. Myślę o zbyt wielu rzeczach. Nie potrafię dać sobie z tym rady. No nic, w każdym razie pozdrów ich ode mnie.

Holly, która nie potrafiła dać sobie z tym rady, była obecna tylko duchem. Wszyscy myśleli, że najlepiej rozumie ją Michael; ale to przekonanie wynikało z racji ich wieku, bo Michael nigdy jej do końca nie rozumiał. Można powiedzieć, że w każdej rodzinie znajdzie się osoba, która do pewnego stopnia „nie daje sobie rady”. Michael wiedział, że swoich pierwszych rozkoszy Holly zaznała w ramionach i ustach Adama Seliga, a następnych w wilgotnych, kiepsko skręconych jointach, po których była już tylko równia pochyła. Kiedy byli nastolatkami, Holly opowiadała mu długie historie o życiu, swojej przyszłości i o tym, co robią z Adamem Seligiem. Brat słuchał jej oniemiały i zauroczony tym, kim była. Jego uczucia do Holly płonęły długo, a potem raptownie wygasły, ulotniły się bez ostrzeżenia.

Trudno było zachować w wyobraźni równocześnie oba wizerunki Holly; tej młodej, wesołkowatej, podekscytowanej, i tej starszej, trudnej, zagubionej, wściekłej na świat. W rodzinie wciąż była uznawana za „osobę zaginioną”, choć teraz to już mniej bolało. Jej nieobecność straciła moc, którą niegdyś ze sobą niosła, stała się wręcz wzruszająca. Wyobraźcie sobie: po tylu latach wciąż być wściekłym na rodziców za ich słabości, za ich egoizm, za to, że pozwolili myśleć, iż miłość dana jest człowiekowi na wieczność. Wyobraźcie sobie: przejąć się tym tak bardzo, by trzymać się z dala od rodziny już na zawsze. Oddzielenie Holly od rodziny było niemal religijne.

Michael zjadał dziś wieczorem niemal półkilowy stek Wagyu, jedno z najdroższych dań w restauracyjnym menu. Od pewnego czasu przez większą część roku mieszkał w okręgu Wise w Appalachach, pracując w odległej placówce firmy DDN. Przeniósł się tam na własną prośbę, zgłosiwszy ją bezpośrednio bliźniakom, czym doprowadził do furii przełożonych. Bliźniacy tymczasem wykazali zrozumienie i zorganizowali dla Michaela stanowisko kierownika biura, które mieściło się w starym, skromnym budynku, w miasteczku Norton w Wirginii.

Miał tam do dyspozycji asystenta i sekretarkę, ale dużą część dnia spędzał poza biurem, w okolicznych szkołach, schroniskach i kościołach. Zdarzało mu się zawędrować w rejony prawdziwej biedy, gdzie opuszczone zakłady świeciły pustkami, a rodziny przesiadywały na starych, połamanych kanapach, ustawionych w zachwaszczonej trawie przed domem, patrząc przed siebie martwym wzrokiem. Michael wiele jeździł, robił notatki, często ulegał przytłaczającym nastrojom, ale nie opuszczało go przekonanie, że to lepsze niż praca w centrali DDN, choć oczywiście zdarzały się dni, kiedy samotność doskwierała mu szczególnie mocno. Miał mieszkanie, zajmujące całe górne piętro starego, szkieletowego domu w Norton; miał samochód; miał paru przyjaciół. Udało mu się poznać kilku wykładowców z pobliskiego uniwersytetu, którzy zapraszali go do siebie na kolację złaknieni nowego towarzystwa, świeżej krwi, ale najczęściej wracał wieczorem do domu i jadł sam. Ponieważ to, co robił, dotyczyło walki z biedą i głodem, nie potrafił przygotowywać sobie posiłków, które wydawałyby mu się nazbyt wykwintne i wyszukane. Często chodził do sklepu za rogiem, gdzie kupował sobie mięso na hamburgera i główkę wątlej sałaty. Niekiedy kupował pudełko brązowego ryżu, ser i soczewicę, a po powrocie do domu zdejmował z półki *Dietę dla małej planety* - relikwii ich domowej biblioteki, tę samą książkę, która niegdyś stała przyparta do książki rodziców - i wczytując się w jej łamliwe i poblakłe już strony, komponował sobie jakieś wegetariańskie danie, zwykle mało zadowalające, ale za to twórcze. Jadł potem taki dymiący, ciastowaty obiad przed monitorem komputera, nieustannie wymieniając e-maile z Dashiellem lub Claudią, mając przy tym wrażenie, jakby oboje siedzieli z nim przy obiedzie, po drugiej stronie stołu. Wieczorami leżał w łóżku, słuchał starych płyt Pink Floydów i myślał ze zdumieniem: Co ja robię? Mieszkam w Appalalach!

Prawdę mówiąc, Michael nie robił niczego nadzwyczajne-

go, bo wciąż miał swoje mieszkanie w Nowym Jorku i mniej więcej raz w miesiącu wracał do miasta na różne spotkania. Bywało, że podczas takiej wyprawy do Nowego Jorku wiązał się na krótko z kobietą, ale nigdy nie wynikało z tego nic poważnego. Nie wiedział, jak długo będzie mieszkał i pracował w terenie, ale dochodziły go wieści, że być może wiosną zostanie oddelegowany na jakiś czas do Kenii.

Dwa lata wcześniej, kiedy wrócił do domu z Florydy, dowiedział się, co nie było dla niego zaskoczeniem, że Thea Herlihy już go nie kocha, natomiast zakochała się w Anne Freling, byłej aktorce serialowej. Trochę się spierali, ale jakby z obowiązku. Trochę się poczuł zraniony, ale nie była to rana śmiertelna. Thea wyprowadziła się wkrótce po jego przyjeździe, wprost do mieszkania Anne Freling. Sztuka o Dorze, *Histeryczka*, zebrała pozytywne recenzje, ale Michael nie poszedł na spektakl. Niebawem, po niedługim, ale przyzwoitym żywocie, zeszła z afisza. Obie kobiety wciąż mieszkaly razem, a Thea od czasu do czasu przysyłała Michaelowi e-maile złożone z kilku niewinnych słów. Czasem zachęcała, by wpadł do ich mieszkania przy Gramercy Park, kiedy będzie w mieście, ale Michael nie miał na to ochoty. Claudia powiedziała mu kiedyś, że na plotkarskich stronach „New York Postu” widziała zdjęcie Anne i Thei - robiły zakupy na jakimś targu warzywnym, a podpis pod zdjęciem brzmiał: „Była gwiazda *Classic 6*, Anne Freling, i zaprzyjaźniona z nią dama”. Bardzo mu się spodobało takie określenie pod adresem Thei, bo jak żadne inne oddawało powściągliwość jej natury; była damą i przyjacielem, ale wobec niego nigdy nie była tak kochająca. Ostatnio gra tytułową rolę w *Piotrusiu Panie* dla dzieci. To dla niej, tak androginicznej, znakomita rola, myślał Michael; jakby myślała, że zostawienie Michaela pozwoili jej odfrunąć, dokąd się jej podoba. Jak to możliwe, by Thea mogła pokochać tę zapatrzoną w siebie Anne Freling? Czy właśnie do niej chciała odfrunąć?

Wybór ukochanej osoby zawsze jednak spowija tajemnicą: jak to się dzieje, że akurat ta osoba przemawia do wyobraźni, a tamta nie, że ten smak przyciąga, a tamten odpycha. Jak to się dzieje, że teraz, będąc w restauracji ze swoją rodziną, Michael Mellow ma ochotę tylko na to, by wepchnąć nóż w kawałek półkilowego, japońskiego steku i czuć, jak łatwo, jak głęboko stal wnika w mięso i jaki smutek czuje za każdym razem, gdy przeżuwa i przełyka kolejny kęs delikatnej wołowiny, wiedząc, że oto mija chwila radości, jaką odnalazł w jej smakowaniu. W Appalachach nie ma steków Wagyu.

Po obiedzie wyjdzie z restauracji i pójdzie w kierunku wschodnim, do baru na Drugiej Alei o nazwie Dym z Papierosa, gdzie, o ironio!, od lat nikt z nowojorskiego establishmentu nie wypuścił nawet jednego kłębu papierosowego dymu, bo zakazuje tego prawo. Było to miejsce spotkań młodych wilków, mężczyźni w koszulach bez marynarek i kobiety w szykownych, dobrze dopasowanych ubraniach młodych prawniczek i dyrektorek marketingu. Przed rokiem, podczas jednego z wyjazdów do Nowego Jorku, Michael poznał w tym barze kobietę o nazwisku Lucy Sherkow. Była asystentką prokuratora okręgowego, młodszą od niego o dziesięć lat; pili te same drinki, szybko nawiązali rozmowę, a potem poszli do jej loftu w Noho. Seks był łatwy, lekki i przyjemny, a wolny od Provivy Michael wytrysnął bez najmniejszych obaw. Miał ochotę zatelefonować do mieszkania Anne i powiedzieć Thei: „Hej, zgadnij, co przed chwilą zrobiłem”, jakby mogła być tym w ogóle zainteresowana.

Podczas jednej z ostatnich wypraw do miasta Michael poszedł na spotkanie z psychofarmakologiem, Snellem. Depresja machała już do niego drżącymi czujkami i Michael był zaniepokojony; bał się, że lada chwila siądzie okrakiem na jego życiu, przygniecie je i uczyni nie do zniesienia.

- Nie wiem, czy znowu zacząć coś brać - powiedział Snelowi.

- Rozumiem - odparł farmakolog. - Wiele leków powoduje skutki uboczne rzutujące na życie seksualne.

- Czasem wydaje mi się - powiedział Michael - że aby zneutralizować depresję, trzeba zneutralizować całego siebie.

- Niestety, to możliwe. Mamy trochę szczęścia z kilkoma najnowszymi lekami z grupy SSRI, choć w większości przypadków trzeba dużo czasu, by przyjęły się w organizmie. Ale jest coś zupełnie nowego - rzucił Snell. - Coś, co zdaje się rozwiewać obawy. Prawdopodobnie w ogóle nie wpływa na potencję i niezwykle szybko daje pierwsze efekty.

Lek nazywał się Relizon, kolejna dziwna, futurystyczna nazwa. Kiedy jednak Michael zaczął go zażywać, nie odczuł żadnych koszmarnych skutków ubocznych. Miał orgazm za każdym razem, kiedy wybierał się do Nowego Jorku i spędzał noc z Lucy Sherkow lub później z innymi kobietami. Mógł dojść bez trudu, nie myśląc o niczym, mimo że przyjmował lek przeciwdepresyjny, mimo że nie był zakochany. Jakby miłość miała z tym cokolwiek wspólnego. Kiedy Michael był młody i patrzył przez cały pokój na swoją siostrę Holly, widział dobrze, jak jej oczy często patrzą gdzieś indziej, dalej, i znowu gdzieś indziej, znowu dalej. Miłość jest tylko łańcuchem pokarmowym, chciwym pożeraniem, łapczywym chwytaniem.

- Jak smakuje Wagyu? - zapytał Jack Sunstein, a Michael dał mu kawałek do posmakowania, przesuwając talerz wśród brzęku naczyń na drugą stronę przepełnionego stołu.

Jack nie potrafił znaleźć tu sobie miejsca. Głębokie poczucie rozczarowania, złości nawet, że nie zaproponowano mu zrobienia ilustracji do drugiej edycji, były czymś, o czym próbował już w ogóle nie rozmawiać i z czym będzie w stanie się pogodzić dopiero po kilku miesiącach. Podobnie jak musiał się pogodzić z tym, że teraz, dzisiaj wieczorem, przez ten krótki czas, jego żona znowu należy do pierwszego męża. Siedzieli ramię w ramię, Mellowowie od seksu, ale zarówno Jack, jak

i żona Paula, Elise, wiedzieli wystarczająco dużo, by pozostawić tym dwojgu swobodę, by przyzwolić na wznowienie książki i oczywiście przy tej okazji ich ponowne spotkanie, z całą jego nostalgią i dyskomfortem. W ciągu lat, odkąd rodzina mieszkła w Wontauket, pozycja każdego z nich się kurczyła, a potem rosła. Niemal każdy przy stole miał teraz swoją parę, jakby miał się tutaj odbyć dansing. Poza Michaeliem nikt nie chciał być sam tego wieczoru. Kiedy spotykasz się z rodziną - pierwszą rodziną, z której wyrastasz korzeniami, jak to mówią - potrzebny jest ci ktoś z twojego nowego życia, z twojego następnego życia, by zapewnić sobie sposób na przetrwanie i czuć się wygodniej. Samemu nie dałbyś rady. Jack był sam, ale nie do końca. Po drugiej stronie stołu widział małżonkę, uśmiechała się, dotykała dłoni i ramion swoich dzieci, uśmiechnęła się do Jennifer Wing, gdy ta coś do niej powiedziała.

Jack wiedział, że niebawem usiądą z Roz na wielkim, dwuosobowym łóżku, w typowym pokoju hotelu Helmsley, i że będą się przebierać w piżamy i rozmawiać o wszystkim, co się tego wieczoru wydarzyło, o wszystkim, co kto mówił w restauracji.

„No i jak wypadłam w programie?” - będzie się dopytywać Roz, a Jack powie jej, że była piękna i inteligentna i że wszystko poszło cudownie. Nie powie jej, że w połowie nagrania przestał mu się przysłuchiwać. Wcale tego nie chciał, ale zanim się zorientował, jego myśli same gdzieś powędrowały i natychmiast zgubił wątek rozmowy. Nie wysłuchując ich do końca, zapewne zachował się nieładnie. Ale stać go było na tylko tyle. Bo przez cały czas z głębi studia wołało go stare małżeństwo, przez cały czas na stoliku znajdowała się książka, stara dobra towarzyszka, podręcznik sztuki wyrażania miłości dla mężczyzn i kobiet.

Jack Sunstein wiedział, że zawsze będzie mu daleko do tego, jak bardzo Paul i Roz się kochali, jak twórczo uprawiali seks;

sam nigdy nie należał do tych wiecznie jurnych satyrów, na których kobiety zdają się lecieć, lecz którzy w końcu czynią je nieszczęśliwymi i doprowadzają do stanu, w jakim rozpaczliwie pragną być same. Jack bynajmniej nie stronił od kobiet, jednak angażował się w sposób bardziej stonowany. Teraz z Roz byli już starsi, wolniejsi, a ich życie seksualne nieco ostygło w ciągu tylu lat. Jakież to smutne, że tak się stało, ale Jack wiedział, że tak się dzieje z wszystkimi parami; przebrzmiewają jedna po drugiej, chyba że usilnie nad sobą pracują. Ale jeśli pracują, to znaczy, że dawno już przebrzmiały. Kiedy w czasie nagrywania programu telewizyjnego Roz i Paul zaczęli opowiadać prezenterowi o klimacie, jaki panował wokół seksu w latach siedemdziesiątych, o tym, jak się spotkali, jak poszli ze sobą do białego łóżka, to sympatyczny i trochę bierny drugi mąż Roz poczuł, jak budzi się w nim najprymitywniejszy gniew, i wiedział już, że albo może go w sobie zdusić siłą, pijąc na umór w restauracji po nagraniu, albo może po prostu przestać słuchać.

Tak więc, gdy jego żona nie przestawała mówić i wciąż słyszał śliczny, delikatny tembr jej głosu, któremu towarzyszył raz po raz głęboki, dopełniający głos Paula, Jack zaczął myśleć o czymś zupełnie innym: nowym zleceniu, nad którym w poniedziałek miał zacząć pracę, okładce na płytę CD nowofalowej grupy z wczesnych lat osiemdziesiątych, próbującej chwalebnie wrócić na scenę.

Przy stole byli wszyscy, Claudia i David, Michael, Dashiell z Tomem, Jack i Elise, która siedziała obok Jacka i smarowała chleb, poświęcając tej materii nieożywionej tak wielką uwagę, że zdawała się zachowywać jak człowiek dotknięty autyzmem.

- Jak się pani miewa? - zapytał Jack, odwracając się do niej z uprzejmości.

W tej wielkomięsnej jaskini Elise robiła wrażenie najbar-

dziej niepewnej siebie i wystraszonej. Na Florydzie jest pracownikiem socjalnym, przypomniał sobie Jack, ale poza tym nic o niej nie wiedział, więc nie miał pojęcia, co jeszcze powiedzieć.

- Nie najgorzej, dziękuję - odpowiedziała Elise, a po chwili dodała: - Wydaje mi się, że pan i ja powinniśmy zamówić sobie parę naprawdę mocnych drinków.

Jack się roześmiał zaskoczony.

- Tak - odpowiedział. - Oczywiście.

Przywołał ręką kelnera i zamówił dwa martini. Elise wydawała się zadowolona, że Jack zrozumiał jej myśli i że jej uwaga nie spotkała się z osłupieniem ani milczeniem.

- Dziękuję - powiedziała Elise Brandau-Mellow, kiedy kelner przyniósł drinki.

Wzniesli szklanki i stuknęli się nimi delikatnie.

- Za małżeństwo - powiedział Jack.

- Za małżeństwo - powtórzyła Elise, choć tak naprawdę oboje myśleli w głębi duszy: „Za koniec małżeństwa”.

Bo inne małżeństwa musiały się skończyć, aby ich zostały zawarte. Tych dwoje związanych węzłami małżeńskimi ludzi, którzy chcieli, by byli to ich węzły ostatnie - aby byli już ostatnimi małżonkami, już odtąd jedynymi - wypilo martini, a potem każde z osobna, kiedy upłynęło trochę czasu i nie wydawało się to niegrzeczne wobec drugiej osoby, dyskretnie spojrzęło na przeciwną stronę stołu, by zobaczyć, co robią ich mąż i żona i co do siebie mówią.

A Roz i Paul mówili do siebie tyle:

- Jak myślisz, dobrze się wszyscy bawią? - zapytał Paul.

- Myślę, że tak - odpowiedziała Roz. - Spójrz tylko na Claudię. Jest zakochana. Aż chce mi się płakać.

- Lepiej tu nie płacz - powiedział Paul. - Jennifer zadała sobie zbyt wiele trudu. Poza tym ludzie pomyślą, że jesteśmy przesadnie nostalgiczni.

- Cóż, cała ta sprawa wymaga chyba pewnej dozy nostalgii, prawda? - odparła Roz.

- Pewnej dozy, prawda - zgodził się Paul; wciąż patrzył po twarzach osób przy stole. - Dashiell wygląda znakomicie. Widać, że razem z Tomem trzymają sylwetkę. Pewnie mają wolny wstęp na siłownię w Brown University albo co...

- Czy on coś w ogóle je? - zapytała Roz. - Nie widziałam ani razu, żeby podnosił widelec do ust.

- Kto? Dash? Oczywiście, że je - odpowiedział Paul, chociaż ze swojego miejsca nie mógł widzieć, czy Dashiell je.

Jego syn siedział w najdalszym końcu stołu, na jego talerzu było jakieś jedzenie, ale leżało tam nietknięte. Po przeszczerpie sprzed dwóch lat choroba w krótkim czasie rozwinęła się w chłoniaka ziarnistego, którego szczęśliwie udało się wyleczyć kolejnym przeszczepem. Dashiell doszedł do zdrowia i miał się dobrze; jego sylwetka wydawała się Paulowi jakoś wyjątkowo elegancka, jakby rzeźbiona, h o m o s e k s u a l n a, ale głośno by tego nie powiedział. Wiedział, że przy całej swojej otwartości na sprawy seksu nigdy w pełni nie zrozumie dwóch facetów idących ze sobą do łóżka. W tej kwestii wciąż pozostawał przeczulony. Dashiell i Tom nie chcieli iść do łóżka z kobietami, nie chcieli poczuć smaku, zapachu, dotyku, znaczenia napierającego na nich kobiecego ciała. Jednak jeszcze bardziej daleka i obca była Paulowi myśl, że Dashiell i Tom, nie wiadomo jakim sposobem, przyswoili sobie ciasne, rygorystyczne, bezlitosne pryncypia partii republikańskiej. Stali murem za tymi dzikimi cięciami podatkowymi, zbójceją polityką obronną i tak dalej, i dalej. Ale nawet jeśli za nimi stali, to musieli przecież krzywić się choć trochę, prawda? Dashiell powiedział parę miesięcy temu, że Robert Wyman, senator Stanów Zjednoczonych z Rhode Island, myśli o kandydowaniu na prezydenta w 2008 roku, i razem z Tomem znajdują się we władzach jego sztabu wyborczego.

Paul spojrzął ponad stołem na młodszego syna, siedzącego w blasku świecy, objął wzrokiem kości jego twarzy, sztywność kołnierzyka, sposób, w jaki ociera się ramieniem o ramię swojego kochanka, ale powstrzymuje się od czegoś więcej. Obaj byli ostrożni, trochę sztywni w zachowaniu, nazbyt wytworzeni. Rozmawiali o czymś z Claudią, Davidem Gupta i Jennifer Wing; wydawało się, że wszyscy świetnie się bawią.

Paul poczuł się nagle zmęczony, miał ochotę wrócić do hotelu. Elise chętnie wyszłaby razem z nim; nie należała do osób, które zostają same na imprezach. Nawet w Naples, kiedy uczestniczyli w bankietach po wieczorkach poetyckich w świetlicy, zawsze trzymała się blisko Paula, gdy krążył po sali, i poznawała ludzi, których on poznawał, i zawsze wychodziła razem z nim. Obserwując ich w takich sytuacjach, można by pomyśleć, że są sobie bliscy jak rzadko które małżeństwo, że są zawsze razem, bo niczyje towarzystwo nie uczyni ich bardziej szczęśliwymi niż ich własne. Och, chciałbym, żeby tak było, myślał Paul i wciąż miał nadzieję, że jest jeszcze szansa, by tak się stało. W ciągu ostatnich dwóch lat jego żona spała o wiele mniej, częściej wychodzili na spacer, grali zapamiętałe w scrabble, próbowali nowych rzeczy w łóżku (dla Paula starych, ale nowych dla nich jako pary), więc kto wie, co jeszcze ich czeka? Mieli czas.

Kiedy podano do stołu kawę i sernik, kiedy w arterie Melowów wlało się dostatecznie dużo tłuszczu, by zatrzymać ich w miejscu raz na zawsze, goście wstali, odebrali w szatni płaszcze, stanęli przed wyjściem i zaczęli się żegnać. Na koniec wieczoru zawsze następuje ta niezręczna chwila; o ile byłoby lepiej, myślał Dashiell, gdyby można było wpuścić szybko ręce w rękawy, chwycić dłoń kochanka i czmychnąć pierwszemu w ciemny mrok bez chwili zbędnej zwłoki, bez wymieniania uprzejmości, bez pogarszania sytuacji. Właściwie nie było to wielkie pożegnanie, bo wszyscy jeszcze zostaną w mieście przez tydzień. Po południu następnego dnia Roz i Paul mają

prelekcję w centrum kulturalnym na Dziewięćdziesiątej Dru-
giej Ulicy, czeka ich też spotkanie z czytelnikami w jednej z
śródmiejskich księgarni, a w ciągu kolejnych dni kilka wywia-
dów dla prasy. Rodzina spotka się jeszcze nieraz. To nie jest
ostatnie pożegnanie.

- Dobranoc, mamó - powiedział Dashiell, a mama skorzy-
stała z okazji, zrobiła krok naprzód i mocno pocałowała go
w policzek.

Na twarzy miała jeszcze makijaż ze studia telewizyjnego,
podobnie jak Paul, co nadawało im trochę teatralny wygląd -
jakby dwoje starych członków objazdowej trupy przyjechało
tu na gościnne występy z klasyczną sztuką.

- Dobranoc, kochanie - odpowiedziała, a potem odwró-
ciła się do Toma i pocałowała go z równą wylewnością. - Zo-
baczmy się jutro, tak? Hotel wam odpowiada? Prosiłście
o pokój na piętrze dla niepalących, prawda?

- Odpowiada. Jest super - odparł Tom, który nieraz w swo-
im życiu nocował w hotelach, jak cień podążając za senatorem
po północno-wschodniej części Stanów.

Czasem lubił obdarowywać Dashiella hotelowymi prezen-
cikami: słoikami orzeszków makadamii, zamkniętymi szczel-
nie jak podziemne krypty, małymi buteleczkami johnniego
walkera albo długopisami z napisem Hotel Centurion czy Ho-
tel w Zamkowym Parku. Długopisy nawet się przydawały Da-
shiellowi do pisania przemówień, bo wciąż pisał ręcznie. Ale
ostatnio pisał niewiele.

Claudia, David Gupta i Michael mieli już na sobie płaszcze,
a David zdążył nawet nałożyć na głowę nauszniki (Boże, kto
w tym wieku nosi jeszcze nauszniki?). Dashiell musiał do nich
mówić szybko i w naturalny sposób, ale przekonująco.

- Słuchajcie - powiedział do brata i siostry z narzeczonym,
nieznacznie odsuwając ich od rodziców - co powiecie na ma-
łego drinka przed pożegnaniem?

Claudia i David spojrzeli na siebie i wzruszyli ramionami. Michael spojrział przeciągle na zegarek, a potem powiedział coś w rodzaju:

- No, hm... no chyba...

W ten sposób dzieci Mellowów pożegnały się jeszcze raz z rodzicami i odłączyły od grupy.

- Patrzcie tylko - powiedział Paul do Elise i Roz, które przypadkiem stały obok siebie; w mrocznym, czerwonym westybulu owijały wokół szyi piękne, długie szale i ukradkiem zerkały w lustro, by raz jeszcze spojrzeć na siebie, tak dla pewności, ze ściągniętymi ustami, jak czynią to przy takiej okazji kobiety. - Dzieciaki idą gdzieś razem. Czy to nie wspaniałe?

- Tak - odpowiedziała Roz. - Mają własne towarzystwo.

- „Dusza dobiera sobie własne towarzystwo” - wyrecytowała cicho Elise.

- Słucham? - zapytał jej mąż.

- To werset z wiersza.

- Emily Dickinson - wtrąciła Roz. - Też zawsze lubiłam ten wiersz.

Kobiety uśmiechnęły się do siebie w lustrze.

Jednak na ulicy dzieci szły raczej osobno. Michael i David trochę rozgoryczeni, że Dashiell wyszedł z taką propozycją, obaj najedzeni do syta, obaj pragnący tylko powiedzieć wszystkim „do widzenia”. Ale nie, z jakiegoś powodu nie było ich na to stać. Niech będzie, pomyślał Michael, jeden szybki drink. W ślad za Dashiellem weszli do ciemnego, wąskiego baru na rogu ulic, gdzie w zawieszonych na ścianach telewizorach trwała transmisja jakiegoś meczu, a faceci, jak najbardziej heteroseksualni, siedzieli przy barze z udkiem kurczaka w palcach i gapili się w ekran z podniesionymi głowami. Niepodobna, by Dashiell chciał przysiąc w takiej spelunie, myślał Michael, ale nic nie powiedział. Przez sekundę pomyślał o Lucy Sherkow, kobiecie, do której telefonował z restauracji, a która już nie-

bawem ma czekać na niego w innym pubie, robiącym daleko lepsze wrażenie. Lucy będzie musiała jednak trochę poczekać. Miał głęboką nadzieję, że kobieta nie wyjdzie z pubu, nim zdąży do niej dotrzeć.

Cała piątka usiadła w zatoczce przy wejściu, z dala od telewizorów. Nikt już nie miał ochoty na alkohol, więc zamówili wodę i dietetyczną colę. Kiedy rozmowa zaczęła w końcu przymierać, odezwał się Dashiell.

- Musiałem was poprosić o przyjęcie tutaj - powiedział - bo nie chciałem o tym mówić przy ojcu i mamie. Nie chcę, żeby wiedzieli. Nie teraz. Najlepiej nigdy, gdybym mógł to sprawić, ale pewnie nie mogę.

Tom wziął Dashiella za rękę i Michael pomyślał w pierwszej chwili, że Tom i Dashiell chcą wziąć ślub. Ale w ułamku sekundy zorientował się, że nie o to chodzi, i serce podeszło mu do gardła.

- Wróciła choroba - powiedział Dashiell. - Nowotwór jest wszędzie. Drugi przeszczep szpiku nie przyniósł spodziewanych skutków. Koniec remisji.

Wszyscy zamilkli, w jakimś błyskawicznym nokaucie, widząc tylko gwiazdy przed oczami. Po chwili odezwał się Michael:

- Jak to, przecież mówiłeś, że tym razem się udało, miało już być po wszystkim, koniec sprawy.

- Jednak czasami tak się dzieje - włączył się Tom. - Choroba jest nieprzewidywalna.

- To teraz zrobisz mi trzeci przeszczep, tak? - zapytała Claudia łamiącym się głosem.

Dashiell potrząsnął głową.

- Nie - odparł, starając się mówić spokojnie, jednostajnym tonem. - Jak się okazuje, organizm nie reaguje na przeszczep. Choroba jest zbyt agresywna. Doktor Balakian powiedział, że jeśli chcę, to mogę jeszcze pójść na chemioterapię, ale tylko po to, by zyskać trochę czasu. Niewiele. Szacuje, że zostało

mi jakieś pięć, sześć miesięcy. Rozmawialiśmy o tym i postanowiłem, że nie warto. Jakość życia i takie tam... - Zamilkł na chwilę, a potem dodał ni stąd, ni zowąd: - Chcę, żebyście wiedzieli, że jeśli będą was pytać, czy to z powodu AIDS, to możecie odpowiadać, co wam się podoba. Stwierdziłem, że to już mnie nie obchodzi.

- Pięć, sześć miesięcy... - szepnęła Claudia. - Och, nie, nie... - Wybuchnęła tak gwałtownym płaczem, że David Gupta rozejrzał się po wszystkich bezradnie, jakby spodziewał się wskazówek, co robić z kobietą w takim stanie; nikt jednak nie potrafił mu pomóc, więc objął Claudię ramieniem i przytulił do siebie.

„Na pewno?” - pytali go bez końca. „Na pewno?” Dashiell i Tom, każdy z osobna, cierpliwie odpowiadali, że na pewno, że są pewni, że tak to wygląda i nic już nie da się zrobić.

- Dash, czy fizycznie czujesz się źle? - zapytał Michael.

Dashiell powiedział, że nie, że generalnie czuje się tylko mocno zmęczony, ale to nic potwornego, rano może wstać z łóżka, mógł przecież przyjechać tutaj, do Nowego Jorku. Co najdziwniejsze, przez długi czas nie wiedział, że choroba wróciła, wyjaśniał. Poszedł do dermatologa z powodu wysypki na piersi, takie tam różowe kropeczki wielkości ukłucia szpilką, był pewien, że dostanie tubkę jakiejś maści z kortyzonem i wizyta się skończy. Jednak dermatologa, który znał historię choroby Dashiella, zaniepokoił ostry rzut tej wysypki i postanowił przeprowadzić dodatkowe badania. Dwa dni później krew powiedziała wszystko; jak choroba wraca, jak opanowuje całe ciało i niebawem zacznie je wyniszczać.

Michael zaczął płakać niemal zaraz po Claudii, a po nim Dash, a potem Tom. David ściągnął wargi w wąską linię, ale choć był wstrząśnięty, choć to go bolało, nie czuł potrzeby wypłakania się. Wiedział, że to nic nie pomoże. Trzymał Claudię za rękę, masował jej kark, pocałował włosy. Michael, zalany

łzami, zdjął okulary i odłożył je na stół, obok szklanek z wodą i colą, i obok nauszników Gupty. Kelner, który chciał już podejść i zapytać, czy czegoś nie podać, zawahał się nagle, zaskoczony widokiem.

- Kurwa, kurwa, nie mogę, po prostu nie mogę - powtarzała Claudia. - Ja tego nie zniosę. - Potem zapytała w końcu brata: - Dashiell, co możemy dla ciebie zrobić?

Jej głos był tak zduszony, że trudno było ją usłyszeć, Dashiell jednak pochylił się ku niej nad stołem i wziął ją za rękę. „Nie”, tak miała brzmieć odpowiedź, ale pokręcił tylko głową, wzruszył ramionami i nie wiedział, co dalej powiedzieć.

- Kocham cię, Dash, tak cię kocham - ciągnęła Claudia. - Wszyscy cię kochamy. - Wydmuchała głośno nos w zieloną serwetkę i powiedziała nagle: - A pamiętasz ten dzień, jak pierwszy raz oglądaliśmy książkę? Potem jeździłam na tobie po kuchni jak na koniku?

- Tak - odpowiedział Dashiell, przytakując, a po chwili odwrócił się do Michaela i zapytał: - Właściwie dlaczego nas wtedy zaciągnąłeś do oglądania tej książki? Byliśmy tacy mali. To mogło nam wypaczyć charakter.

- Przecież wypaczyło - stwierdziła Claudia.

- Bo wcześniej ja ją oglądałem - odpowiedział Michael. - I nie chciałem zostać z tym sam.

- Ktoś musi powiedzieć Holly - powiedział Dashiell. - Claudia, najlepiej będzie, jak ty to zrobisz. Ja i Holly właściwie nie mamy kontaktu.

Claudia pokiwała posępnie głową i znowu wydmuchała nos. Jasne, dlaczego nie, może powiedzieć Holly; sytuacja była tak potworna, że nic już nie mogło jej ani poprawić, ani pogorszyć. Może powiedzieć Holly i nie będzie to miało żadnego znaczenia. Kto wie, co powie jej siostra, co pomyśli, co zrobi, czy chowa jeszcze w sobie jakieś prawdziwe uczucia, czy też wszystkie się w niej wypaliły, uległy erozji w wyniku ciągłe -

go, wieloletniego zażywania narkotyków i zostały zastąpione przez uczucia do męża, do dziecka, którego nikt z nich nie widział więcej niż raz, choć wcale nie było już małe.

- Co z rodzicami? - zapytał nagle David Gupta, który przez cały czas w ogóle się nie odezwał. - Naprawdę nie zamierzasz im powiedzieć?

Zapadła cisza. Wszyscy wyobrazili sobie biednych rodziców i zastygli; żywy obraz poczucia winy.

A rodzice szli właśnie ulicą Zachodnią Pięćdziesiątą Siódmą, minawszy parę chwil wcześniej pub, w którym siedziały dzieci, nieświadomi oczywiście, że one są w środku. Paul i Elise, Roz i Jack szli we czworo, niczym dwa stare, dobre małżeństwa, które wybrały się wieczorem do miasta, na spacer po wspólnym obiedzie w restauracji, by spoglądać w niebo i obserwować jego dziwną jasność. Jack słyszał w radiu, że dziś wieczór ma padać śnieg. Niebo rzeczywiście wyglądało tak, jakby zaraz miał sypnąć śnieg; było bladopurpurowe, a wiatr zdawał się przycichać, jakby czekał na coś, co zaraz ma się wydarzyć.

Roz się gryzła, czy dobrze wypadła w nagraniu telewizyjnym i czy będzie potrafiła spojrzeć na siebie za parę dni w programie *Nocny marek*. Tak, brzmiała odpowiedź, oczywiście, że będzie potrafiła, ale musiała postawić takie pytanie, choćby samej sobie.

Paul myślał o chwili, w której podczas nagrywania programu skinął głową w kierunku Roz, i o tym, jak była zdziwiona w tej krótkiej chwili uświadomienia sobie, że, tak, utrata jej była dla Paula bolesnym doświadczeniem, ale potrafił ten ból pokonać. Minęło wiele czasu, odkąd miał okazję czymś ją zdziwić, choćby tylko tak trochę.

Elise myślała o spaniu, ale potem powstrzymała się i powiedziała sobie: Nie. Pomyśl o czymś innym.

Jack myślał o tym, jak godzinami rysował Roz, jeszcze wtedy, na początku, w swojej starej pracowni, a Paula umieszczał na ilustracji na samym końcu, w pośpiechu. Myślał o kawałku steku Wagyu, którego dzisiaj spróbował, o tym, jak wybornie smakował, i zastanawiał się, czy taki stek można gdzieś zjeść w Saratoga Springs.

Kiedy na rogu ulicy Pięćdziesiątej Siódmej i Piątej Alei pary powiedziały sobie dobranoc i rozeszły się w przeciwnych kierunkach, spędzić noc w innych hotelach, z nieba zaczęły padać pierwsze tej zimy płatki śniegu, najpierw powoli i lekko, a potem coraz gęściej. W ciągu sekund pokryły ich głowy i ramiona, choć specjalnie nie czuło się zimna. Paul przytulił do siebie Elise; Roz wzięła Jacka pod ramię, odwróciła go do siebie i pocałowała, smakując na ustach śnieg.

Krótko pomyśleli o swoich dzieciach, jak to rodzice, wyobrazili sobie, jak się śmieją przy stole, piją i dowcipkują, czyniąc aluzje do odniesień, których oni nie rozumieją, bo odniesienia się zmieniły, tak jak zmieniły się same dowcipy, i w pewnym wieku człowiek po prostu nie jest już w stanie za nimi nadążyć, a po jakimś czasie woli już nawet nie próbować, woli zostawić nowe odniesienia i dowcipy nowym ludziom i myśleć o starych odniesieniach, z minionych lat, nazwiskach i nazwach, które wciąż mu coś mówiły.

Było to trochę tak, jakby w tę pierwszą w Nowym Jorku śnieżną noc rodzina Mellowów raz jeszcze powróciła do życia, niczym poruszany sprężyną stary klaun, który siedzi w bezruchu przez dziesiątki lat, przez nikogo niedotykany, i raptem, bez żadnej przyczyny, coś przeskakuje w jego mechanizmie i wydaje z siebie jeszcze jeden spontaniczny dźwięk, znowu krótko uderza talerzami.

- Chodźmy spać - powiedział z uczuciem Paul do Elise.
- Wiesz, nie mogę się już doczekać, by pójść spać - powie-

działa Jackowi Roz i ziewnęła przeciągle; obie pary szły dalej, jedna w kierunku wschodnim, druga zachodnim, a śnieg sy-
pał coraz gęściej.

Tymczasem w pubie z telewizorami mężczyźni wyli do ekranów, na których rozgrywał się mecz futbolowy, a grupka łąkających osób siedziała wciąż w zatoczce przy wejściu, coraz bliżej siebie, jakby usiłując stać się jednym organizmem. „Co z rodzicami?” - zapytał David Gupta.

- Powiem im w swoim czasie - odpowiedział Dashiell. - Ale nie teraz. Nie w ten weekend. Nie w tym tygodniu. Nie, kiedy tyle się teraz wokół nich dzieje.

Bo rodzice są też śmiertelni, jak on, chciał jeszcze dodać, a te chwile należą teraz do nich, w pewnym sensie wrócili do łóżka i nie ma końca rzeczom, które ich ciała mogłyby jeszcze razem robić. Zostawmy ich, myślał Dashiell. Zostawmy ich w łóżku. Zamknijmy drzwi i dajmy się im cieszyć tym, co im jeszcze zostało, bo ciało nie jest wieczne i oczywiście rodzice zawsze o tym wiedzieli, dotykając się w jakimś przynagleniu, jakby zostało im bardzo mało czasu, jakby wiedząc, że wkrótce nadejdzie dzień, w którym przestaną się dotykać.

Wie o tym każda para; mający nastąpić w przyszłości zawód miłosny został im na krótką chwilę odsłonięty, lecz z konieczności szybko wyparty ze świadomości. Ale widzieli to wszyscy, choćby przez sekundę.

Widzieli to Claudia i David Gupta; widzieli rodzice Davida, Vikram i Preethi, widzieli Roz i Jack, Paul i Elise, Holly i jej mąż Marcus, Ken London i jego żona Helenę, małżeństwo Rinzlerów z tej samej ulicy w Wontauket, nauczycielka z zewnątrz pani Doreen Pernak i Russell Corcoran ze szkolnego studia audiowizualnego, Jennifer Wing i jej chłopak Corey Xu, kelner w pubie z telewizorami i jego partner Lowell, Warren Keyes i jego żona Margaret, senator Wyman i Susan, występu-

jąca jako jego żona, bliźniacy Dibblerowie i ich różne lubiące się bawić kobiety, L. Thomas Slocum i jego czwarta żona Maureen, Ricky Lukins i pewien pracowity młody gwiazdor filmowy, Thea Herlihy i Anne Freling, doktor Ham Kleeman i jego chłopak Douglas, „Hojo” Westborn i jego żona, nałogowa narkomanka Nona, Trish Leggett i jej mąż lobbysta Todd, mężczyzna i kobieta siedzący dziś przy sąsiednim stole w restauracji i splatający dłonie przy blasku świecy, zakochani nastolatkwie, którzy z brzaskiem dnia spacerowali po kampusie w Skidmore, dziadkowie jednego z tych nastolatków, leżący w łóżku w jakimś domu w Maine, mężczyźni i kobiety, kobiety i kobiety, mężczyźni i mężczyźni, którzy już za chwilę się poznają na czacie, przez ogłoszenie w Internecie, na przyjęciu, na marszu pokojowym, w kolejce w urzędzie komunikacji, na przystanku autobusowym, przez przypadek i zbiegiem okoliczności, lecz z pełną świadomością, oszołomieni rzucają się w przepaść.

Tego wieczoru Roz i Paul Mellowowie na krótko znowu byli razem, po długotrwałym nieistnieniu dla siebie, choć jakąkolwiek groźbę zawodu miłosnego dawno już mieli za sobą. Byli na to uodpornieni, czuli się ufortyfikowani przekonaniem o własnej niepodatności na te szczególne człowiecze zaburzenia. Są teraz tu, odpowiadają elokwentnie na pytania dziennikarki dotyczące miłości, seksu, granic intymności, mniej lub bardziej subtelnych zmian, które się pojawiają z biegiem czasu w szerokim krajobrazie kultury. Podpisują nowiutkie, świetnie się prezentujące, zaktualizowane wydanie swojej książki, siedzą przy jednym stole na kolacji, znowu dzielą wymagane łóżko, to z mosiężnym wezgłowie, które uderzało o ścianę, jakby nadając coś kodem, którego nikt nigdy nie będzie potrafił odszyfrować.

Dużo później, w środku nocy, Claudia Mellow i David Gupta szukali dla siebie wygodnej pozycji do snu, jednak łóżko w kawalerce Claudii na Siódmej Ulicy nie było łóżkiem dla dwóch osób. Zwykle robili tak, że w co drugi weekend David przyjeżdżał do niej pociągiem z Filadelfii, ale dosłownie przed tygodniem wpłacili zaliczkę na mieszkanie w Prospect Heights na Brooklynie, a David złożył podanie o pracę w kilku różnych, niedużych kancelariach prawniczych w Nowym Jorku. Mieszkanie będzie gotowe na ich ślub, który zaplanowano na dwunastego maja, a wesele ma się odbyć w zabytkowym Puck Building. Na szalony miodowy miesiąc zamierzają pojechać na dwa tygodnie do Indii i Pakistanu, spotkać się z krewnymi Davida, wszystkimi Guptami, których on sam właściwie nie znał.

Przez całą noc kręcili się w łóżku z boku na bok, chwilami Claudia przysypiała, ale prawie natychmiast budził ją własny płacz, który pojawiał się zupełnie bezwolnie.

- Porozmawiajmy - szepnął do niej David, ale ona odparła, że nie, dzisiaj nie jest w stanie z nikim rozmawiać.

Jednak o trzeciej w nocy, desperacko szukając jakiegoś po-krzepienia, zarzuciła na niego nogę, obudziła go, a on położył rękę na jej biodrach i przyciągnął ją do siebie.

- Spróbujmy czegoś - szepnął znowu.

Zza okna dobiegły ich jakieś hałasy, wyjący alarm samochodowy i krzyki dwóch pijaków, ale nie było tak źle; sypiący śnieg wszystko tłumił.

- Czego mamy spróbować? - zapytała.

- „Elektryzującego przebaczenia” - odpowiedział. - No wiesz.

- Och nie - jęknęła. - Proszę, tylko nie to. Zresztą nie mamy sobie czego przebaczać.

- Zawsze jest coś, co trzeba sobie przebaczać.

- No, w sensie ogólnym może i tak...

- Świetnie - stwierdził David. - To wystarczy.

David wyjął stare wydanie książki z kartonu pod łóżkiem, wiedząc, że Claudia chowa ją tam przed wszystkimi. W nowej edycji, z okazji trzydziestolecia, nie zamieszczono już opisu tej pozycji, bo tak naprawdę nigdy się nie przyjęła, mimo szczerzej zachęty Mellowów ujętej w słowach tekstu, że „to znakomity sposób, aby po kłótni lub stresie szybko i z uczuciem osiągnąć rozkosz”. David postawił otwartą książkę na parapecie okna nad łóżkiem i w migotliwym świetle neonu, wiszącego nad całodobowym sklepikiem po drugiej stronie ulicy, gdzie można było zrealizować każdy czek, odszukał stronę, na której pozycja została opisana i zilustrowana. Claudia czytała wcześniej ten opis, ale nic już z niego nie pamiętała.

- „Usiądźcie na środku łóżka twarzą do siebie” - czytał głośno David. - No, w porządku, to jeszcze nie jest takie trudne. Witaj.

- Witaj - odpowiedziała Claudia.

- „Kobieta oplata partnera nogami i zaciska je bardzo lekko, jakby przytulała go do siebie ramionami, nie mocniej”. - Claudia postąpiła zgodnie z instrukcją, obejmując Davida nogami, i czekała na dalsze wskazówki. - „Następnie lewą dłoń” - czytał dalej David. - „kładzie na jego mostku, delikatnie go uciskając, a jednocześnie prawą dłoń... - David przestał na chwilę czytać i obrócił stronę - ...kładzie na stawie krzyżowo-biodrowym”. - Znowu przestał czytać i spojrzał na Claudię. - Gdzie to może być?

- To na dole pleców.

Zajęli pozycję, powoli i ostrożnie, jakby budowali domek z kart, który w każdej chwili mógłby się rozlecieć.

- „Mężczyzna robi dokładnie to samo w stosunku do kobiety” - czytał dalej David. - No, masz babo placek...

Poprawił się na łóżku, przygniatając przy tym na moment stopę Claudii i z trudem wyplątując rękę, o którą owinęło się prześcieradło.

- „Mężczyzna wysuwa penisa jak najdalej naprzód, ku partnerce, starając się, by stopień kąta jego nachylenia wywierał jak największy nacisk na łechtaczkę”. No, proszę... - Wślizgnął się w nią szybko, jakoś niezdarnie.

Poczuła, jak się w niej porusza. Nie było w tym nic naturalnego, nic swojskiego, tylko jakby jakieś dziwaczne tłumaczenie starej jak świat przypowieści.

- „Kołyszcie się najpierw powoli” - czytał David. - Może być, to mi odpowiada. „Stopniowo nabierajcie tempa i wigo-ru, pamiętaj, że bardzo się kochacie, że przebaczacie sobie wszystkie przykrości, jakie przez przypadek czy z rozmysłem sobie sprawiliście. Życie jest zbyt krótkie, by rządziły nim gniew i rozczarowania. Kołyszcie się dalej, połączcie usta, aż oboje zaczniecie szczytować, a potem rozdzielcie się delikatnie i opadnijcie plecami na łóżko”.

Ustawiali się dalej na łóżku, najlepiej jak potrafili, biorąc pod uwagę ciasnotę, środek nocy i tyle wylanych przez nią wcześniej łez. Ciało Claudii dopasowało się łatwo do ciała Davida; był rozgrzany, ona też była rozgrzana, i była zdumiona, że potrafili zgrać mechanizm ruchów i w ogóle się dopasować. Kiedy jednak się rozkołysali, zaczęła się bać, że David się z niej wysunie albo że ona spadnie z łóżka, albo że nacisk, jaki wywiera na jego mostek, staje się dokuczliwy. Ich pocałunek był długi i dość zmudny; oboje byli zdenerwowani, ale zrobili to, w końcu zrobili, i na kilka minut zapomniała, że sam fakt, iż można coś takiego zrobić, nie oznacza, by rzeczywiście było warto - bo odczuła małą rozkosz, było to raczej tarcie, niemiłe pulsowanie ucisku i poczucie, że nieustannie jest ponaglana, że trzeba rwać naprzód. Bała się, że wystarczy jej odetchnąć głębiej, by David się z niej wysunął, więc w czasie kołysania prawie w ogóle nie oddychała.

Po jakimś czasie przestali się kołysać i całować, i nabrali głębokiego oddechu.

- No, jak się podobało? - zapytał David z kamienną twarzą. - To znaczy, podziałało w ogóle na ciebie? Właśnie na coś takiego liczyłaś?

- Właściwie to trochę nudne - odpowiedziała.

- Wiem...

Pozostali jeszcze przez kilka sekund w tej niewygodnej, niezdarnej pozycji, ale w końcu żadne z nich nie mogło już tego dłużej wytrzymać. Więc to było „Elektryzujące przebaczenie”, coś takiego wynaleźli jej rodzice, coś takiego przećwiczyli dawno, dawno temu i uznali, że będzie się to podobać również innym. Claudia nie zdawała sobie nawet sprawy, jakie to jest nijakie, niewygodne i po prostu śmieszne, ale teraz już wiedziała.

Nagle oboje zaczęli się śmiać, mimo jak najbardziej szczerych chęci wypróbowania tej pozycji, mimo pragnienia, by coś im przyniosła, i mimo potwornej wiadomości, którą usłyszeli wieczorem.

- Ta pozycja to jakieś paskudztwo - powiedział David. - Chyba się wykastruję. Będziemy musieli się zdecydować na adopcję. Przepraszam, że przyszedł mi do głowy ten pomysł.

- W każdym razie możemy jeszcze opaść plecami na łóżko - zaproponowała.

- Uhm, zróbmy to.

Opadli bezwiednie na plecy, z dala od siebie, podnosząc do góry nogi, pokazując całą swoją nagość, zahaczając się jeszcze kolanami, niczym dwoje akrobatów kręcących w powietrzu salto.

- Co oni sobie myśleli? - zastanawiała się głośno. - Naprawdę im się wydawało, że to się komuś spodoba? Im samym w ogóle się podobało?

Wiedziała jednak, że nie było ważne, co myśleli sobie jej rodzice; to była zagadka, rebus, rzecz zrodzona w ciemności, i nigdy nie potrafiłaby tej łamigłówki rozwikłać, i wiedziała

też, że nawet nie chciałyby jej rozwikływać, bo przecież, jakkolwiek by było, to ich sprawa, nie jej.

Leżeli z Davidem na plecach, szeroko rozłożywszy nogi, ich śmiech cichł z wolna. Pijacy na ulicy dawno już odeszli, może razem, a alarm samochodowy w końcu przestał wyć. Z brzoskiem dnia po ścianie bloku bez windy, w którym spali Claudia Mellow i David Gupta, zacznie się powoli pięć światło; wpadnie do wnętrza przez okno i zbudzi Claudię, która będzie musiała sobie przypomnieć o pewnych sprawach, ale jeszcze nie teraz, jeszcze nie. Wąskie łóżko tuliło ich mocno do samego rana.